



Kobieta  
strona  
thrillera

Co czai się tam...

GDZIE  
KOŃCZY  
SIĘ CISZA?

C.L.  
TAYLOR

Prószyński i S-ka

GDZIE  
KOŃCZY  
SIĘ CISZA?  
C.L.  
TAYLOR

Przełożył  
Janusz Ochab

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
THE ACCIDENT

Copyright © C.L. Taylor 2014  
All rights reserved

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce  
Sybille Sterk/Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Rudzka

Redakcja  
Agnieszka Roslan

Korekta  
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-7961-781-4

Warszawa 2014

Wydawca  
 Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Istnieje tylko jeden  
naprawdę ważny rodzaj wolności:  
wolność umysłu.*  
Iris Murdoch

*Chrisowi Hallowi*

22 kwietnia 2012

Śpiączka. Jest w tym słowie coś dobrotliwego, coś niemal kojącego, co przywołuje obraz pozbawionego marzeń snu. Tyle że moim zdaniem Charlotte wcale nie wygląda tak, jakby spała. Jej powieki nie wydają się okryte miękkim ciężarem snu. Nie przyciska zaciśniętych w dłonie pięści do skroni. Z jej lekko rozchylonych ust nie wydobywa się spokojny ciepły oddech. Nie ma nic kojącego w ułożeniu jej ciała, które spoczywa wyprostowane na pozbawionym kołdry łóżku. Z jej gardła wystaje przezroczysta plastikowa rurka, jej piersi upstrzone są kolorowymi kólkami elektrod.

Kardiomonitor w rogu pokoju piszczy w regularnych odstępach, znacząc upływ czasu niczym jakiś medyczny metronom. Zamykam oczy. Jeśli mocno się skupię, udaje mi się zamienić ćwierkanie maszyny w uspokajające tykanie zegara z wahadłem w naszym salonie. Natychmiast cofam się w czasie o półtorej dekady, znów mam dwadzieścia osiem lat i trzymam maleńką Charlotte w ramionach. Jej drobna twarzyczka wtulona jest w moją szyję, czuję bicie jej maleńkiego serca, szybsze od mojego nawet we śnie. Wtedy o wiele łatwiej było jej zapewnić bezpieczeństwo.

– Sue? – Czuję na ramieniu ciężką dłoń, która wciąga mnie z powrotem do szpitalnej sali. Znów mam puste ręce, trzymam w nich jedynie pokryty naklejkami notes, który przyciskam do piersi. – Napijesz się herbaty?

Odmownie potrząsam głową, po czym natychmiast zmieniam zdanie.

– Właściwie tak. – Otwieram oczy. – Wiesz, na co jeszcze miałabym ochotę?

Brian kręci głową.

– Na te pyszne ciastka do herbaty z M&S.

Mój mąż wydaje się zakłopotany.

– Chyba nie mają ich w tutejszym sklepiku.

– Och... – Udaję rozczarowanie i natychmiast czuję złość na samą siebie. Nie mam w zwyczaju manipulować ludźmi. Przynajmniej tak mi się wydaje. Tylu rzeczy nie jestem już pewna...

– Jasne, nie ma problemu.

Znów czuję dotyk ciężkiej dłoni, która tym razem na dodatek lekko ściska moje ramię.

– Mogę wyskoczyć do miasta. – Brian uśmiecha się do Charlotte. – Nie obrazisz się, jeśli zostawię cię na chwilę samą z mamą?

Nawet jeśli nasza córka słyszała to pytanie, to w żaden sposób nie daje tego po sobie

znać.

– Na pewno nie – odpowiadam za nią, siląc się na uśmiech.

Brian przez chwilę wodzi wzrokiem ode mnie do Charlotte i z powrotem. Wyraz jego twarzy mówi sam za siebie – to ta sama przerażona mina, którą przybieram od sześciu tygodni, gdy tylko zostawiam Charlotte samą. Ogarnia mnie wtedy groza na myśl, że umrze, gdy tylko wyjdę z pokoju.

– Nic jej nie będzie – powtarzam łagodniejszym tonem. – Zostanę z nią.

Brian odrobinę się uspokaja.

– Zaraz wrócę.

Odprowadzam go wzrokiem do drzwi, które zamyka za sobą delikatnie, z cichym kliknięciem, a potem odsuwam dziennik od piersi i kładę go na kolanach. Wpatruję się w drzwi przez chwilę, która wydaje mi się całą wiecznością. Brian nigdy nie potrafił wyjść z domu od razu – zawsze wracał po kilku sekundach, by zabrać klucze, telefon albo okulary przeciwsłoneczne albo by zadać jedno „małe pytanie”. Gdy jestem już pewna, że wyszedł na dobre, spoglądam ponownie na Charlotte. Jestem niemal pewna, że uniesie lekko powieki albo poruszy palcem, da mi w jakiś sposób znać, że wie, co zamierzam jej powiedzieć. Ale nic się nie zmienia. Moja córka nadal „śpi”. Lekarze nie mają pojęcia, kiedy – jeśli w ogóle – się obudzi. Przeszła całą serię badań – tomografię komputerową, rezonans magnetyczny i tak dalej – a czekają ją jeszcze kolejne, lecz wydaje się, że jej mózg funkcjonuje normalnie. Nie ma żadnego medycznego powodu, dla którego nie mogłaby się ocknąć.

– Kochanie... – Otwieram dziennik na stronie, której treści nauczyłam się już na pamięć.

– Proszę, nie gniewaj się na mnie, ale... – Zerkam na twarz córki. – Znalazłam pamiętnik, kiedy wczoraj sprzątałam twój pokój.

Nic. Żadnego dźwięku, najmniejszego ruchu czy drgnienia. Kardiomonitor wciąż miarowo odmierza bicie serca. Skłamałam, mówiąc o pamiętniku. Znalazłam go wiele lat temu, gdy zmieniałam pościel na łóżku Charlotte. Schowała go pod materacem, dokładnie tam gdzie ja przed laty chowałam swój. Nie przeczytałam go wtedy, nie miałam powodu. Wczoraj już go miałam.

– W ostatnim wpisie.... – mówię, po czym przerywam na chwilę, by oblizać nerwowo wargi – ...wspominasz o jakimś sekrecie.

Charlotte milczy.

– Napisłaś, że to cię dobija.

Nic. Tylko miarowe bip-bip-bip monitora.

– Czy właśnie dlatego...

Bip-bip-bip.

– ...dlatego wyszłaś przed autobus?

Wciąż nic.

Brian nazywa to, co się stało, wypadkiem. Wymyślił kilka teorii na poparcie tej tezy: Charlotte zobaczyła jakąś przyjaciółkę po drugiej stronie ulicy i pobiegła w jej stronę, nie rozejrzawszy się na boki, próbowała pomóc jakiemuś rannemu zwierzęciu, potknęła się i poleciała do przodu, gdy pisała SMS, albo po prostu zamyśliła się i nie patrzyła, dokąd

idzie.

Owszem, mogło tak być. Tyle że kierowca autobusu zeznał na policji, że Charlotte spojrzała mu w oczy, a potem celowo wyszła na ulicę, prosto pod koła. Brian uważa, że kierowca kłamie, zwała winę na Charlotte, bo inaczej mógłby zostać uznany za winnego i stracić pracę. Ja tak nie myślę.

Wczoraj, gdy Brian był w pracy, a ja siedziałam przy łóżku, spytałam lekarkę, czy zrobiła Charlotte test ciążowy. Spojrzała na mnie podejrzliwie i spytała, dlaczego mnie to interesuje, czy mam jakieś powody, by przypuszczać, że moja córka może być w ciąży. Odpowiedziałam, że sama nie wiem, ale to mogłoby sporo wyjaśnić. Czekałam, aż sprawdzi to w notatkach. W końcu pokręciła głową. Nie. Charlotte nie była w ciąży.

– Charlotte. – Przesuwam krzesło do przodu, do samego łóżka, zaciskam dłoń na jej dłoni. – Bez względu na to, co powiesz lub zrobisz, nigdy nie przestanę cię kochać. Możesz mi powiedzieć wszystko. Wszystko.

Charlotte milczy.

– Nieważne, czy chodzi o ciebie, o którąś z twoich przyjaciółek, o mnie czy o tatę. – Robię krótką przerwę. – Czy ta tajemnica ma coś wspólnego z tatą? Uściśnij moje palce, jeśli tak właśnie jest.

Wstrzymuję oddech i modlę się, by tego nie zrobiła.

## Piątek, 31 sierpnia 1990

*Jest 5:41 rano, siedzę w salonie, z kieliszkiem czerwonego wina w jednej ręce, z papierosem w drugiej, i zastanawiam się, czy ostatnie osiem godzin mojego życia naprawdę się wydarzyło.*

*W końcu zadzwoniłam do Jamesa w środę wieczorem, po godzinie wahania i kilku kieliszkach wina. Telefon dzwonił i dzwonił, a ja zaczęłam już myśleć, że może gdzieś wyszedł, gdy w końcu odebrał.*

*– Halo?*

*Byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu, ale to on odezwał się ponownie:*

*– Susan, to ty? Naprawdę zadzwoniłaś!*

*Jego głos wydawał się inny – cichszy, zachrypnięty – jakby on też był zdenerwowany. Zazartowałam, że mówi tak, jakby ucieszył się z mojego telefonu.*

*– Oczywiście, że tak – odparł. – Myślałem, że po tym, co zrobiłem, nigdy już do mnie nie zadzwonisz. Przepraszam, zwykle nie zachowuję się jak dupek, ale tak się ucieszyłem, kiedy spotkałem cię samą za kulisami, że... Tak czy inaczej przepraszam. To było głupie. Powinienem być cię po prostu zaprosić, jak normalny człowiek... – Umilkł zawstydzony.*

*– Właściwie to było nawet zabawne – powiedziałam, rozczulona nagle jego nieporadnością. – Nikt jeszcze nie rzucił we mnie wizytówką, wołając „Zadzwoń do mnie”. Poczulałam się niemal wyróżniona.*

*– Wyróżniona? To ja powinienem czuć się wyróżniony. Zadzwoniłaś! O Boże... – Znów*



przerwał na moment. – Dzwonisz, żeby umówić się ze mną na drinka, a nie żeby mi powiedzieć, że jestem skończonym palantem?

– Owszem, brałam tę drugą opcję pod uwagę. – Roześmiałam się. – Ale dziś wyjątkowo chce mi się pić, więc jeśli chcesz zabrać mnie gdzieś na drinka, da się to zorganizować.

– Oczywiście! Gdzie tylko i kiedy tylko chcesz. Ja stawiam wszystkie drinki, nawet te najdroższe – dodał ze śmiechem. – Chcę ci udowodnić, że nie jestem... zresztą sama wyrobisz sobie zdanie. Kiedy jesteś wolna?

Miałam ochotę odpowiedzieć TERAZ, ale rozegrałam to na spokojnie, jak kazała mi Hels, i zaproponowałam piątek wieczór. James od razu się zgodził i umówiliśmy się w Dublin Castle.

Przed wyjściem przymierzyłam kilkanaście różnych zestawów ubrań, odrzucając bez namysłu te, w których – jak mi się wydawało – wyglądałam grubo lub pospolicie. Niepotrzebnie się martwiłam. Gdy tylko znalazłam się obok Jamesa, przyciągnął mnie do siebie i wyszeptał mi do ucha:

– Pięknie wyglądasz.

Miałam właśnie odpowiedzieć, kiedy nagle mnie wypuścił, chwycił za rękę i powiedział:

– Chcę ci pokazać coś niezwykłego.

Wyprowadził mnie z pubu, przeciągnął przez rozbawiony tłum w Camden i skierował w boczną uliczkę, do małego lokalu z kebabem. Kiedy spojrzałam na niego ze zdumieniem, uśmiechnął się uspokajająco i poprowadził do tylnych drzwi. Byłam pewna, że trafimy w końcu do kuchni lub toalety, lecz weszłam prosto w mroczne, zadymione i wypełnione muzyką wnętrze. James wskazał na kwartet jazzowy w rogu sali i krzyknął:

– To Grey Notes, największy sekret Londynu!

Potem zaprowadził mnie do stolika w rogu i podsunął sfatygowane drewniane krzesło.

– Whisky – powiedział. – Bez tego nie mogę słuchać jazzu. Też chcesz?

Skinęłam głową, choć nie przepadam za whisky, i zapaliłam papierosa, podczas gdy James przedzierał się do baru. W jego ruchach kryła się jakaś niesamowita pewność siebie, niemal hipnotyzująca męskość. Zauważyłam to, gdy tylko po raz pierwszy zobaczyłam go na scenie.

James w niczym nie przypominał mojego byłego chłopaka, Nathana. Nathan był drobnym chłopcem o twarzy dziecka, wyższym ode mnie zaledwie o pięć centymetrów, a James ma metr dziewięćdziesiąt i atletyczne ciało, przy nim czuję się mała i delikatna. Ma też dołek w brodzie jak Kirk Douglas, ale ze względu na trochę za duży nos i brudne blond włosy, które bez ustanku wpadają mu do oczu, trudno go nazwać klasycznym przystojniakiem. Jednak w tych jego oczach jest coś nieuchwytnego i zmiennego, co przypomina mi Ralphi Fiennesa: w jednej chwili są chłodne i odległe, a w następnej roześmiane i pełne ekscytacji.

Gdy tylko wrócił od baru, domyśliłam się, że coś jest nie tak. Nie powiedział ani słowa, ale stawiając na blacie szklaneczkę z whisky, spojrzał na papieros w mojej dłoni. Od razu zrozumiałam.

– Nie palisz.

Pokręcił głową.

– Mój ojciec umarł na raka płuc.

Próbował mnie uspokajać, powiedzieć mi, że moje palenie to nie jego sprawa, ale gdy tylko zgasiłam papierosa, rozpogodził się, a atmosfera natychmiast się oczyściła. Zespół grał tak głośno, że nie byliśmy w stanie przekrzyczeć pisku trąbki ani scatu wokalisty, więc James przysunął się bliżej, żebyśmy mogli szeptać sobie prosto do ucha. Kiedy się do mnie pochylał, jego noga opierała się o moją, a ja czułam na uchu i karku jego ciepły oddech. Przeżywałam prawdziwe męki, czując dotyk jego ciała i wdychając zapach jego wody po goleniu, a jednocześnie nie mogąc go otwarcie dotknąć. Gdy wydawało mi się, że nie zniosę już tego ani chwili dłużej, James nakrył swoją dłonią moją dłoń.

– Chodźmy gdzie indziej. Znam naprawdę magiczne miejsce.

Ledwie tylko powiedziałam „Dobrze”, zerwał się ze swojego miejsca i pomaszerował do baru. Już po chwili był z powrotem, w jednej dłoni trzymał butelkę szampana i dwa kieliszki, a w drugiej wytarty koc. Uniosłam brwi w niemym pytaniu, lecz on roześmiał się tylko i powiedział:

– Zobaczysz.

I znów przeciskaliśmy się przez rozbawiony tłum w Camden, aż dotarliśmy do Chalk Farm. Kilkakrotnie pytałam, dokąd idziemy, ale tylko się śmiał. W końcu zatrzymaliśmy się przed wejściem do jakiegoś parku, a James położył mi dłoń na ramieniu. Myślałam, że chce mnie pocałować, lecz on kazał mi zamknąć oczy, bo miał dla mnie jakąś niespodziankę.

Nie miałam pojęcia, co ciekawego mogło mnie spotkać w ciemnym parku o tak późnej porze, ale posłusznie zamknęłam oczy. Potem poczułam, jak coś ciepłego i miękkiego otula moje ramiona, otoczył mnie przyjemny zapach męskich kosmetyków. James zauważył, że drzę z zimna, i pożyczył mi swój płaszcz. Pozwoliłam, by poprowadził mnie w górę zbocza. Z jednej strony takie całkowite zawierzenie komuś, kogo prawie nie znałam, było przerażające, z drugiej zaś podniecające i niezwykle zmysłowe. Gdy w końcu przystanęliśmy, kazał mi poczekać. Kilka sekund później pomógł mi usiąść, a ja poczułam pod palcami miękki dotyk koca.

– Gotowa?

Czułam, jak przykucnął obok mnie, potem jego palce dotknęły delikatnie mojej twarzy, przesunęły się po kościach policzkowych i zakryły oczy. Zadrżałam, choć wcale nie było mi już zimno.

– Gotowa – odparłam.

James odsunął dłonie, a ja otworzyłam oczy.

– Czyż to nie piękne?

Mogłam tylko skinąć głową. W dole, u podstawy wzgórza, ciągnął się park, szachownica ciemnych kwadratów trawy i plam światła rzucanych przez latarnie. Wyglądało to niczym jakaś magiczna mozaika blasku i ciemności. Za parkiem rozciągało się miasto, migotliwe okna i roziskrzony budynki, a na horyzoncie błękitny łuk London Eye. Po ciemnogramatowym tle nieba przesuwwały się pomarańczowe chmury. Był to najbardziej niesamowity widok, jaki widziałam w życiu.

– Twoja reakcja, kiedy otworzyłaś oczy... – James wpatrywał się we mnie jak urzeczony.

– *Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego.*

– *Przestań! – Próbowałam się roześmiać, ale głos uwiązł mi w gardle.*

– *Wydawałaś się taka młoda, Suzy, taka oczarowana... jak dziecko w Boże Narodzenie. – Pokręcił głową. – Dlaczego ktoś taki jak ty jest sam? Jak to w ogóle możliwe?*

*Otworzyłam usta, by mu odpowiedzieć, ale on jeszcze nie skończył.*

– *Jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. – Sięgnął po moją dłoń. – Jesteś zabawna, miła, inteligentna i piękna. Co ty tu właściwie ze mną robisz?*

*Chciałam zażartować, spytać, czy jest już tak pijany, że nie pamięta, jak mnie tu przyprowadził, ale przekonałam się, że nie mogę.*

– *Chciałam tu być – powiedziałam. – I nie chciałabym być nigdzie indziej.*

*Rozpromienił się, jakbym obdarzyła go jakimś wyjątkowym komplementem, a potem ujął moją twarz w dłonie. Patrzył na mnie przez długi czas, a potem mnie pocałował.*

*Nie wiem, jak długo się całowaliśmy, leżąc na kocu na szczycie wzgórza Primrose Hill. Nasze splecione ciała tuliły się do siebie, ręce sięgały wszędzie, dotykały, chwytaly, zaciskały się. Nie zdjęliśmy ubrań i nie uprawialiśmy seksu, ale był to najbardziej erotyczny moment w moim życiu. Gdy tylko wypuściłam Jamesa z objęć choćby na sekundę, natychmiast chciałam przyciągnąć go do siebie z powrotem.*

*Zrobiło się zimno, zaproponowałam, żebyśmy poszli do jego mieszkania.*

*James pokręcił głową.*

– *Wsadzę cię do taksówki i pojedziesz do domu.*

– *Ale...*

*Otulił mnie szczerzej swoim płaszczem.*

– *Mamy na to czas, Suzy. Mnóstwo czasu.*

## 2

Następnego dnia czekam, aż Brian wyjdzie do pracy, a potem przeglądam jego rzeczy. W garderobie jest chłodno, stoję bosymi stopami na zimnych płytkach, wilgoć osadza się na szybach. Nie tracę jednak czasu na szukanie skarpetek, lecz sięgam do kieszeni ulubionej kurtki Briana. Wieszak kołysze się mocno, gdy przeszukuję kolejne kieszenie i w pośpiechu wyrzucam ich zawartość na podłogę.

Kończę z marynarką i wkładam właśnie obie dłonie do kieszeni bluzy z kapturem, gdy z kuchni dobiega głośny trzask.

Nieruchomieję.

Mój umysł robi się nagle pusty, wyłącza się, jakby ktoś odciął mu zasilanie. Stoję obok wieszaka, równie sztywna jak on, oddycham płytko, nasłuchuję, czekam. Wiem, że powinnam się ruszyć. Powinnam wyjąć ręce z bluzy Briana. Powinnam przesunąć stopą zawartość kieszeni jego kurtki w kąt pokoju i ukryć fakt, że jestem okropną, podejrzliwą żoną, ale nie potrafię.

Serce bije mi jak szalone, mam wrażenie, że ten dźwięk wypełnia całe pomieszczenie. Natychmiast przenoszę się w czasie dwadzieścia lat wstecz, klęczę w szafie, w lewej dłoni trzymam plecak z ubraniami, w prawej klucze, które ukradłam z kurtki kogoś innego. Jeśli nie będę oddychać, nie usłyszy mnie. Jeśli nie będę oddychać, nie dowie się, co...

– Brian? – Poczucie *déjà vu* opuszcza mnie, gdy tylko słyszę ciche drapanie. – Brian, to ty? Wytężam słuch, próbuję dosłyszeć cokolwiek poza rytmicznym dudnieniem mojego serca, ale w domu znów zapada cisza.

– Brian?

Ożywam nagle, jakby ktoś znów włączył mój umysł, wyciągam ręce z bluzy.

Dywan w przedpokoju jest ciepły i miękki, tłumi moje kroki, gdy powoli skradam się w stronę kuchni. Moje nozdrza wypełniają się wonią wybielacza, nagle uświadamiam sobie, że zakrywam usta dłonią przesiąkniętą zapachem środków dezynfekujących, którymi czyściłam wcześniej łazienkę. Przystaję i próbuję uspokoić oddech. Jest krótki, przerywany, niczym przed atakiem paniki, teraz jednak nie obawiam się, że mój mąż wrócił po klucze czy dokumenty. Boję się raczej...

– Milly!

Z trudem utrzymuję się na nogach, gdy wielka suka golden retriever pędzi przez korytarz i skacze na mnie, sięgając wilgotnym językiem do twarzy. W innych okolicznościach złałabym ją za takie zachowanie, ale teraz jestem tak uradowana, że obejmuję ją ramionami i głaszczę po wielkim miękkim łbie. Gdy jej czułości robią się już nieco zbyt natrętne, spycham ją na dół.

– Jak ty tu weszłaś, urwisie?

Milly „uśmiecha się” do mnie, z jej języka kapią krople śliny. Domyślam się już, jak udało jej się dostać do domu.

I rzeczywiście, kiedy wchodzę do kuchni w towarzystwie psa, drzwi na ganek są otwarte.

– Masz siedzieć w łóżku, dopóki mama cię nie wypuści! – mówię, wskazując stertę szmat i koców, na których śpi w nocy. Na dźwięk słowa „łóżko” Milly opuszcza ogon. – Niemądry tata zostawił otwarte drzwi, kiedy wychodził do pracy?

Nigdy nie sądziłam, że mówiąc do psa, będę nazywała siebie i męża mamą i tatą, ale Milly jest członkiem naszej rodziny w takim samym stopniu jak Charlotte. Jest siostrą Charlotte, której nigdy nie mogliśmy jej dać.

Ponownie zamykam Milly na ganku, choć kraje mi się serce, gdy patrzy na mnie błagalnie tymi swoimi wielkimi czarnymi ślepiami. Jest ósma, powinnyśmy spacerować teraz po parku na tyłach domu, ale muszę skończyć to, co zaczęłam. Muszę wrócić do garderoby.

Rzeczy z kieszeni Briana są tam, gdzie je zostawiłam – rozrzucone na podłodze przy wieszaku. Klękam powoli, żałując, że nie zabrałam z salonu poduszki, którą mogłabym teraz podłożyć pod kolana, i przeglądam wszystkie drobiazgi po kolei. Najpierw podnoszę chusteczkę, białą, z wyszytym golfistą w rogu, czystą i złożoną starannie w kwadrat (dostał ją od któregoś dziecka na Gwiazdkę), potem trzy chusteczki higieniczne, używane, kawałek sznurka – takim samym podwiązuje pomidory na działce – paragon za benzynę za 40 funtów, miętówkę oblepioną jakimiś kłaczkami, garść drobnych i zmięty bilet do kina. Dotykam go z bijącym sercem, potem odczytuję tytuł i datę filmu i oddycham z ulgą. Widzieliśmy razem tę komedię. Nie podobała mi się, uważałam, że jest prostacka i slapstickowa, ale Brian obśmiał się do łez.

I to wszystko. Nic dziwnego. Nic podejrzanego. Po prostu rzeczy Briana.

Zgarniam wszystko na dłoń, a potem ostrożnie wkładam przedmiot po przedmiocie tam, gdzie je znalazłam. Brian nie jest pedantem, nie pamiętałby zapewne, w której kieszeni trzymał drobne, a w której bilet z kina, ale wolę nie ryzykować.

Może jednak nie ukrywa przede mną niczego.

Charlotte nie ścisnęła mojej dłoni, gdy spytałam, czy ta tajemnica ma cokolwiek wspólnego z tatą. Nie drgnęła. Nie wiem, czego się spodziewałam, dlaczego wydawało mi się, że może jednak zareagować – dlaczego w ogóle zadałam jej to pytanie. Choć w gruncie rzeczy wiem. Kierowałam się przecuciem, które mówiło mi, że mąż znów mnie zdradza.

Sześć lat temu Brian popełnił błąd, który omal nie zniszczył naszego małżeństwa oraz jego kariery – miał romans z dwudziestotrzyletnią stażystką. Wściekałam się, wrzeszczałam, obrażałam. Przez dwa miesiące mieszkłam poza domem, w końcu mu jednak przebaczyłam. Dlaczego? Bo ten romans zdarzył się wkrótce po jednym z moich „epizodów”, bo rodzina jest dla mnie najważniejsza na świecie, a Brian – pomimo różnych wad – w gruncie rzeczy jest dobrym człowiekiem.

„Jest dobrym człowiekiem” – wydaje się, że to jeszcze nie powód, by wybaczyć komuś niewierność, prawda? Może i nie. Ale na pewno lepsze to, niż żyć ze złym człowiekiem,

a gdy poznałam Briana, doskonale wiedziałam, jak wygląda takie życie.

Było lato 1993 roku, oboje mieszkaliśmy w Atenach. Ja uczyłam angielskiego, on, owdowiały biznesmen, realizował jakąś dużą transakcję. Kiedy po raz pierwszy odezwał się do mnie w jakiejś zapuszczonej tawernie nad rzeką Kifissos, zignorowałam go. Za drugim razem się przesiadłam. Za trzecim nie zgodził się, bym dalej udawała, że nie istnieje. Kupił mi drinka i przyniósł go do mojego stolika z kartką, na której widniał napis: „Pozdrowienia od Anglika dla Angielki”, po czym wyszedł z pubu, nie obejrzawszy się nawet za siebie. Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Potem był wytrwały, ale nie natarczywy, coraz częściej wymienialiśmy przelotne „cześć” i „co czytasz?”, aż stopniowo zaczęliśmy się przyjaźnić. Potrzebowałam dużo czasu, by pozbyć się zahamowań, lecz w końcu, niemal równo rok po naszym pierwszym spotkaniu, pozwoliłam sobie go pokochać.

To był ciepły miły wieczór, spacerowaliśmy nad rzeką wpatrując się w światła miasta, gdy Brian zaczął mi opowiadać o Tessie, swojej zmarłej żonie. Mówił, że czuł się zdruzgotany, gdy ostatecznie przegrała walkę z rakiem. Był w szoku, bo choroba postępowała zadziwiająco szybko, a potem ogarnęła go bezsilna złość. Poczekał, aż jego syn zamieszkał na jakiś czas u babci, i rozbił swój samochód kijem do krykieta, bo nie umiał sobie inaczej poradzić z wściekłością. Oczy Briana napełniły się łzami, gdy mówił, jak bardzo tęskni za synem, Oliverem (zostawił go w Anglii z dziadkami, by sam mógł zrealizować kontrakt w Grecji), ale nie próbował ich otrzeć. Dotknęłam jego twarzy, delikatnie przesuwałam palcami po jego skórze, a potem ujęłam go za rękę. Nie wypuściłam jej przez następne trzy godziny.

Otwieram drzwi do gabinetu Briana i podchodzę do jego biurka. Od razu czuję, że posunęłam się za daleko. Piorę ubrania mojego męża, prasuję je, niektóre też kupuję, lecz ten gabinet reprezentuje jego karierę – tę część jego świata, którą oddziela wyraźnie od życia rodzinnego. Brian jest posłem. Kiedy mówię o tym głośno, czuję ogromną dumę, a nie zawsze tak było. Siedemnaście lat temu czułam się trochę zdeprimowana, gdy rozprawiał z oburzeniem o „kanaliach z rządu torysów”, o „podziałach klasowych” i „podupadającej służbie zdrowia”, ale nie należał do ludzi, którzy tylko stoją z boku i narzekają. Kiedy wróciliśmy do Anglii, wciąż odurzeni radością po urządzonym naprędce ślubie na plaży Rodos, był już zdecydowany. Postanowił, że zamieszkamy w Brighton, tam rozkręci nowy interes – przeczuwał, że recykling ma przed sobą dużą przyszłość – a kiedy już ta inwestycja zacznie przynosić zyski, wystartuje w wyborach do parlamentu. Nie znał się szczególnie na gospodarce, ale wiedziałam, że mu się uda. I udało się.

Nigdy nie przestałam w niego wierzyć, wciąż uważam, że pod wieloma względami jest wspaniałym człowiekiem, ale nie darzę go już podziwem. Kocham Briana, lecz aż za dobrze widzę, że kariera polityczna nauczyła go próżności i odebrała pewność siebie. Pochlebstwa mogą mieć ogromną siłę, gdy zbliżasz się do pięćdziesiątki i stu kilogramów wagi – szczególnie jeśli pochlebia ci osoba młoda i ambitna, która pracuje dla ciebie. Brian zmienił się od czasu wypadku Charlotte. Oboje się zmieniliśmy, ale na różne sposoby. Zamiast zbliżyć, dramat naszej córki oddalił nas od siebie, powiększył dzielący nas dystans. Jeśli się okaże, że Brian znów ma romans, tym razem już mu nie wybaczę.

Staję obok biurka mojego męża i przesuвам palcami po srebrnej ramce czarno-białej

fotografii. Przedstawia mnie i Charlotte na plaży na Majorce, pierwszego dnia wakacji. Jesteśmy jeszcze w ubraniach, w których tam przyleciałyśmy, nogawki naszych spodni są podwinięte, byśmy mogły brodzić w morzu. Jedną ręką osłaniam oczy przed promieniami słońca, w drugiej ściskam maleńką dłoń naszej córki. Stoi obok mnie z podniesioną głową i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Zdjęcie ma już co najmniej dziesięć lat, nadal jednak czuję, jak wzbiera we mnie fala gorącej miłości, gdy patrzę na jej twarz. Wyraża czyste, niczym niezmacone szczęście.

Z korytarza dobiega skrzypienie deski. Odsuwam szybko dłoń od fotografii, a potem wzdycham ciężko. Kiedy zrobiłam się tak nerwowa, że każdy odgłos wydawany przez dwustuletni dom napełnia mnie panicznym strachem?

Spoglądam ponownie na biurko. To ciężki mahoniowy mebel z trzema szufladami po lewej stronie, trzema po prawej i jedną wąską szufladą pośrodku. Sięgam do mosiężnej gałki środkowej szuflady i wysuwam ją powoli. Znow skrzypi deska, ale ignoruję ten dźwięk, choć teraz wydaje się bliższy niż poprzednio. W szufladzie leży jakaś zapisana odręcznie kartka, może list. Sięgam po nią, starając się przy tym nie naruszyć ułożonych obok spinaczy i gumek...

– Sue? – rozlega się nagle męski głos za moimi plecami. – Co ty robisz?

## Niedziela, 2 września 1990

*Kochałam się z Jamesem.*

*Zrobiliśmy to w sobotę wieczorem.*

*Zadzwonił do mnie po południu i od razu powiedział:*

*– Nie mogłem spać, bo ciągle o tobie myślałem.*

*Dobrze wiedziałam, co ma na myśli. Ja też nie mogłam przestać o nim myśleć. Obudziłam się w sobotę rano z przerażającą myślą, że już nigdy go nie zobaczę. Byłam przekonana, że powiedziałam w piątek coś niewybaczalnego i później, w świetle dnia, uświadomił sobie, że nie jestem kobietą dla niego.*

*Więc kiedy do mnie zadzwonił i powiedział, że nie może przestać o mnie myśleć, nie wierzyłam własnym uszom.*

*– Jasne – odparłam, gdy oświadczył, że musi zobaczyć się ze mną jak najszybciej. – Jeśli wskoczę teraz pod prysznic, a potem złapię szybko metro, będę w Camden za...*

*– Właściwie myślałem, że moglibyśmy spotkać się wieczorem, na kolacji.*

*Co on musiał sobie o mnie pomyśleć, kiedy potraktowałam go dosłownie i zachowałam się tak, jakbym nie miała własnego życia i ani krzty samokontroli? Na szczęście nie śmiał się ze mnie, zapytał tylko, czy byłam kiedyś w pewnej drogiej restauracji przy St Pancras. Nigdy nawet o niej nie słyszałam, więc James wyjaśnił, że polecił mu ją jego znajomy.*

*Oczywiście znow miałam problem z wyborem ubrania (w końcu zdecydowałam się na wypróbowaną małą czarną) i spóźniłam się dwadzieścia minut. Gdy o 8:20 weszłam do restauracji, starałam się nie gapić zbyt ostentacyjnie na olśniewający wystrój, stoły zastawione kryształami i nienagannie wystrojonego szefa sali, który zaprowadził mnie na*

miejsce. James wstał na nasz widok. Był ubrany w trzyczęściowy szary garnitur z liliowym fularem i eleganckimi srebrnymi spinkami. Poczułam się nagle okropnie zapuszczona w swojej trzyletniej sukience i odrapanych butach na obcasie, ale gdy James zmierzył mnie pełnym uznania spojrzeniem, natychmiast odzyskałam dobry humor i poczułam się najatrakcyjniejszą kobietą w całym Londynie.

– Nie mogę oderwać od ciebie wzroku – powiedział, gdy szef sali usadził mnie przy stole, podał nam karty dań i odszedł. – Zawsze wyglądasz pięknie, ale dziś... – Pokręcił głową, jakby nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. – Jesteś nieprawdopodobnie seksowna.

Zarumieniłam się, gdy jego spojrzenie spoczęło na moim dekolcie.

– Dziękuję.

– Susan, chyba naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jakie wrażenie robisz na mnie i na wszystkich mężczyznach w tej sali.

Pomyślałam, że trochę przesadził, ale gdy zerknęłam odruchowo na dwóch mężczyzn, którzy omawiali przy sąsiednim stole jakieś interesy, obaj z uznaniem skinęli na mnie głowami.

– No dobrze... – James sięgnął do mojej dłoni, gdy opróżniłam pierwszy kieliszek wina. – Na co masz ochotę?

Spojrzałam na menu.

– Może przegrzebki?

Pokręcił głową i splótł palce z moimi, a potem przesunął je do tyłu i do przodu.

– Nie to miałem na myśli.

Próbowałam wywinąć się od odpowiedzi, skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, ale dołał mi wina i przeszył mnie tym swoim niezwykłym spojrzeniem.

– Przez cały dzień myślałem tylko o tobie – powiedział.

– Ja też.

– Chyba mnie nie rozumiesz. – Zacisnął mocniej dłoń i dodał ciszej: – Spędziłem z tobą tylko jeden wieczór, ale od tej pory nie mogę się skupić, bo moje ciało i umysł bez ustanku cię pragną.

Skinęłam głową, zbyt nieśmiała, by przyznać, ile razy wyobrażałam sobie, jak leżymy obok siebie nadzy.

– To jest po prostu nie do zniesienia – mówił dalej. – Siedzieć naprzeciwko ciebie przy stole i nie móc cię dotknąć, nie móc cię pocałować, nie móc się z tobą pieprzyć – dokończył chropawym głosem.

Nie odwróciłam wzroku. Przesunęłam delikatnie czubkami palców po jego dłoni i knykciach, a potem wyszeptalam:

– Na górze są pokoje.

– Owszem. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale skoro już wiem, jak bardzo mnie chcesz, każę ci poczekać.

Próbowałam protestować, lecz tylko pokręcił głową, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha, i ponownie napełnił mój kieliszek.

– Zamówimy coś? – spytał. – Może rzeczywiście zdecydujemy się na przegrzebki.

Nie udało nam się na długo uciec od tematu seksu. Nim dostaliśmy przystawki, powietrze



było gęste od emocji. Zwykle nie rozmawiam o takich sprawach w restauracji, ale James wciąż przesuwał palcami przez moje palce, a ja dotykałam stopą jego kostki. Piliśmy już drugą butelkę wina, gdy spytał mnie, czy kochałam się kiedyś pod gołym niebem. Czulałam się już tak ośmielona, że przyznałam się do seksu w namiocie, seksu w ogrodzie po przyjęciu i próby seksu oralnego na plaży. James słuchał moich opowieści z fascynacją, a potem spytał, czy kiedykolwiek bawiłam się w S&M albo odgrywanie jakichś scenek, chciał też, żebym powiedziała mu, jaka jest moja ulubiona pozycja. Wyznałam, chichocząc, że korzystaliśmy czasem z Nathanem z jedwabnych szali i kajdanek.

– A ty? – spytałam, gdy kelner postawił przed nami talerze z głównym daniem. – Czego próbowałaś?

– Nie było tego wiele – odparł James, podnosząc brwi. – W porównaniu z tobą...

Uśmiechał się, kiedy to mówił, ale w jego głosie pobrzmiwała nuta potępienia, która dotknęła mnie do żywego.

Natychmiast zauważył tę odmianę nastroju.

– Och, Suzy. – Pochwycił mnie znów za rękę. – Suzy-Sue. Obraziłaś się? Kochanie, żartowałem tylko. Spójrz na mnie, proszę.

Podniosłam nań wzrok i roześmiałam się na widok jego naburmuszonej miny, która miała zapewne imitować moją.

– Byłem bardzo niegrzeczny – powiedział, wodząc kciukiem po grzbiecie mojej dłoni – i robiłem różne okropne rzeczy, ale... – tu przerwał na moment i uśmiechnął się szelmowsko – nie tak okropne jak to, co zrobię z tobą.

– To groźba czy obietnica?

Wypuścił moją dłoń, wbił nóż w stek i uśmiechnął się ponownie.

– Jedno i drugie.

Wciąż nie mam pojęcia, jak udało nam się zameldować, wjechać windą na górę i wejść do pokoju w ubraniach, bo gdy tylko zatrzasnęły się za nami drzwi, natychmiast zdarliśmy z siebie wszelkie okrycia i rzuciliśmy się na siebie. Seks był szybki, gwałtowny, zwierzęcy – bardzo szybko się skończył, tak bardzo pragnęliśmy się nawzajem. Leżeliśmy w swoich objęciach, spoceni i zdyszani, przez całe dziesięć minut, nim James przekręcił mnie na bok i znów zaczęliśmy się pieprzyć. Gdzieś w środku nocy kochaliśmy się w łazience. Mieliśmy wziąć razem prysznic i umyć się, ale pokusa wody, mydła i dwóch śliskich ciał była zbyt silna. Nim znów położyliśmy się do łóżka, za oknami było już jasno.

– Czuję się jak we śnie – powiedział James, przesuwając palcem w dół mojego czoła, po nosie, aż do ust. – Nigdy chyba nie byłem równie szczęśliwy.

– Wiem. – Pogłaskałam go po ramionach i zamknęłam dłoń na jego bicepsie. – Ja też nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– A jednak się dzieje.

Pochylił się i pocałował mnie czule, potem rozchylił językiem moje usta i pocałował ponownie, tym razem mocniej, kładąc jednocześnie dłoń na mojej piersi. Kilka sekund później znów leżał na mnie. Było już dobrze po szóstej, gdy wreszcie zasnęliśmy.

### 3

Co? – Wyjmuję szybko dłoń z szuflady i obracam się w miejscu. – Nie robiłam niczego złego. Szukałam tylko...

– Mam cię! – Wysoki rudowłosy mężczyzna stojący w drzwiach wskazuje na mnie palcem i śmieje się na całe gardło. – Cudownie! Powinnaś startować na olimpiadzie, Sue. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś skakał tak wysoko!

– Oli! O mało nie umarłam ze strachu!

Mój pasierb znów wybucha śmiechem, który wypełnia jego piegowatą twarz szczerą radością.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

Zmuszam się do uśmiechu, choć trzęsą mi się ręce.

– Nie powinieneś być teraz na uczelni?

– Byłem. Jestem. W pewnym sensie. – Poprawia plecak, który zawiesił na jednym ramieniu, i uśmiecha się. – Praca w terenie, w Southampton. Pomyślałem, że po drodze wpadnę i zobaczę się z tatą. – Rozgląda się po gabinecie. – Nie zastałem go, prawda?

– Wyszedł jakieś dwadzieścia minut temu. Pracuje dziś w Londynie.

– Cholera. – Jeszcze raz rozgląda się dokoła, jakby w nadziei, że Brian jakimś magicznym sposobem zmaterializuje się w pokoju, po czym patrzy na mnie. – Wszystko w porządku, Sue? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Nic mi nie jest. – Zamykam szufladę i przechodzę przez gabinet. – Naprawdę.

Oli przygląda mi się uważnie, próbuje coś wyczytać z mojej twarzy, gdy zbliżam się do niego.

– Jak tam Charlotte?

Wzdycham ciężko i garbię się, jakby nagle uszło ze mnie powietrze. Grzebiąc w rzeczach Briana, byłam tak nafaszerowana adrenaliną, że teraz, gdy emocje już opadły, czuję się całkiem pozbawiona sił.

– Charlotte... – Chcę powiedzieć mu prawdę, że stan Charlotte jest taki sam jak wczoraj albo przedwczoraj, albo jeszcze wcześniej, ale Oli wydaje się tak przejęty, że postanawiam skłamać. Wkrótce czekają go egzaminy, do których tak długo się przygotowywał. – ... Wygląda trochę lepiej. Wczoraj miała nawet rumieńce.

– Naprawdę? – Znów się rozpromienia. – To dobrze, prawda?

– To... jakiś postęp.

– A czy... czy nie pokazała w jakiś sposób, że może się wybudzić?

– Nie, jeszcze nie. – Wiem, że powodem, dla którego ciągle śpi, jest jej sekret. Być może kiedy go poznam, będę mogła jej pomóc.

– Coś... coś... muzyka... – mówi mój pasierb.

– Słucham? Przepraszam, zamyśliłam się.

Oli obdarza mnie tym samym pobłażliwym uśmiechem, który widziałam na jego twarzy setki razy od wypadku Charlotte. Daje mi w ten sposób do zrozumienia, że biorąc pod uwagę, co mnie spotkało, moje zachowanie jest całkiem zrozumiałe.

– Muzyka. Próbowалаś puszczać Charlotte jej ulubione piosenki? Na filmach to działa.

– Muzyka. – Uwielbiała Steps i S Club Seven, ale to było wieki temu, gdy była jeszcze małym dzieckiem.

– Od lat nie kupowałam jej płyt. Teraz zresztą wszystko ściąga się w plikach, prawda? Pewnie nie wiesz, co lubiła?

– Nie mam pojęcia. – Wzrusza ramionami. – Może Lady Gagę? Jessie J.? Myślałem, że uwielbiają ją wszyscy, którzy nie skończyli jeszcze szesnastu lat.

– Nie wiem.

– Mogłabyś po prostu wziąć jej iPoda i sprawdzić, czego najchętniej albo najczęściej słuchała.

– Można to sprawdzić? – Notuję w głowie, że powinnam poszukać iPoda Charlotte.

– Albo zapytać którąś z jej przyjaciółek?

– Tak, w sumie mogłabym – odpowiadam, potem jednak marszczę brwi. Na facebookowym profilu Charlotte pojawiła się ostatnio cała masa wpisów w rodzaju „Kochamy cię” czy „Wracaj do nas J♥”, ale nie kontaktowała się dotąd ze mną żadna z dwóch najważniejszych osób w jej życiu – jej chłopak Liam Hutchinson i jej najlepsza przyjaciółka Ella Porter. Jak mogłam tego nie zauważyć?

Oli zerka na zegarek.

– Cholera, nie wiedziałem, że już tak późno. Muszę lecieć. Następnym razem zajrzę do Charlotte. – Posępnije na moment. – Przepraszam, że nie bywam u niej częściej. Ostatnio po prostu nie daję...

– Wiem. – Kładę mu dłoń na przedramieniu. – Masz masę rzeczy na głowie. Najlepsze, co możesz teraz robić, to uczyć się dalej i dawać nam wszystkim powody do dumy.

Schodzimy w przyjaznym milczeniu na dół i przechodzimy przez korytarz do kuchni, gdzie znów czeka na nas rozradowana Milly. Ściskam Olego na pożegnanie i po raz enty myślę o tym, jak szybko mija czas. Wydaje się, że zaledwie wczoraj wymienialiśmy pierwszy uścisk, ale jego ręce obejmowały wtedy moje kolana, a nie ramiona.

– Powiem tacie, że wpadłeś – mówię do jego ramienia.

– Świetnie. – Całuje mnie w czubek głowy, a potem sięga w dół i drapie Milly za uszami. – Bądź grzeczną dziewczynką, pani Moo.

– Jedź ostrożnie! – wołam za nim, kiedy wychodzi z kuchni i pokonuje ganek dwoma długimi krokami. Podnosi rękę i wsiada do samochodu.

Stoję przy oknie w kuchni i patrzę na ogród jeszcze długo po tym, jak czerwony mini Olego wyjeżdża na drogę i znika w oddali. Nasza krótka rozmowa pomogła mi ochłonąć, czuję się teraz jak idiotka na myśl o przeszukiwaniu kieszeni i biurka Briana. Nie licząc pewnego emocjonalnego chłodu z jego strony i moich dziwnych przeczuć, nie mam żadnych powodów do podejrzeń. To oczywiste, że wypadek Charlotte zmienił nasze

relacje – jak mogłoby być inaczej? Mówią, że natura ciągnie wilka do lasu, ale Brian był załamany, kiedy dowiedziałam się o jego romansie. Płakał, mówił, że „nie jest wcale lepszy od tego potwora, z którym byłam wcześniej”, i przysięgał, że nigdy już mnie nie skrzywdzi. Uwierzyłam mu.

Z rozmyślań wyrывa mnie nagle ostry dźwięk telefonu. Bez zastanowienia zamykam Milly na ganku i wchodzę szybko na górę. Mało kto korzysta z prywatnej linii Briana i zwykle chodzi wtedy o naprawdę ważne sprawy.

Wbiegam do gabinetu i chwytam za słuchawkę.

– Halo? – dyszę.

– Pani Jackson?

Natychmiast rozpoznaję ten głos. To Mark Harris, asystent Briana.

– Przy telefonie.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale chciałbym porozmawiać z pani mężem, a jego komórka jest wyłączona.

– Z Brianem? – Marszczę brwi. – Właśnie jedzie do pracy.

– Jest pani pewna? – Słyszę, jak przewraca jakieś papiery. – W terminarzu jest napisane, że przyjedzie dopiero po południu.

– Widocznie to jakaś pomyłka... – Przełykam ciężko, nagle robi mi się słabo. Musi istnieć jakiś konkretny powód, dla którego Brian powiedział co innego mnie, a co innego asystentowi. – Na pewno mówił rano, że jedzie do pracy.

– Och... – Mark milczy przez chwilę. – Może wpuścili go wcześniej.

– Słucham?

– Do szpitala. Wspomniał wczoraj, że rano chce odwiedzić Charlotte. Myślałem, że dlatego może przyjechać dopiero po południu.

Opadam ciężko na skórzany fotel Briana, z trudem utrzymując słuchawkę w dłoni.

Kiedy byliśmy u Charlotte poprzedniego wieczoru, lekarz powiedział nam, że rano będą ją znowu badać i będziemy ją mogli zobaczyć dopiero wieczorem.

– Pani Jackson? – Głos Marka wydaje się słaby i odległy, jakby dochodził do mnie z drugiego końca świata. – Pani Jackson, nic pani nie jest?

## Środa, 5 września 1990

*Od trzech dni nie mam żadnych wiadomości od Jamesa i zaczynam się martwić. W niedzielę rano wyszedł z hotelu wcześniej, bo przed próbą musiał jeszcze wrócić do domu i przebrać się. Od tamtej pory nie miałam z nim kontaktu.*

*Ciągle analizuję w myślach tamten wieczór i tamtą noc, ale nie znajduję niczego, czym mogłabym go obrazić albo odrzucić. Owszem, przy kolacji paplałam trochę o tym, jak bardzo się cieszę, że będę mogła zaprojektować kostiumy dla Abberley Players, i że dzięki pracy w barze zrezygnuję z uczenia i w dzień będę szyła, ale zadałam też mnóstwo pytań Jamesowi. I ani razu nie zapaliłam. Nawet przy kawie.*

*W poniedziałek rano, przed wyjściem, pochylił się nade mną i pocałował mnie w usta.*

*Powiedział, że to była najwspanialsza noc w jego życiu, że trudno mu się ze mną rozstać i że zadzwoni tego samego dnia wieczorem.*

*Ale nie zadzwonił.*

*Nie zadzwonił też w poniedziałek.*

*We wtorek wieczorem byłam już tak zestresowana, że zadzwoniłam do Hels. Ochrzaniła mnie i powiedziała, że mogą istnieć setki logicznych powodów, dla których James do mnie nie zadzwonił, i że na pewno zadzwoni, gdy będzie mógł. Kazała mi się uspokoić i żyć normalnie. Łatwo jej mówić. Nie była sama tak długo jak ja. Nie pamięta już, jaka to męka, kiedy człowiek siedzi w domu i próbuje oglądać film, ale przez cały czas gapi się na telefon i zastanawia, czy czasem się nie zepsuł – a potem wstaje i sprawdza.*

*O Boże! Telefon dzwoni właśnie teraz. Proszę, proszę, niech to będzie on.*

## 4

Kiedy Brian wraca do domu, leżę na sofie z książką w dłoni i stopami schowanymi pod pupą, a na stoliku obok stoi kieliszek z winem. To typowy scenariusz, który normalnie świadczyłby o tym, że jestem zrelaksowana i zadowolona, ale piję już trzeci kieliszek wina i czytam po raz siódmy ten sam akapit.

– Cześć, kochanie. – Mój mąż zagląda do salonu i podnosi rękę w tym samym wyluzowanym geście co jego syn dwanaście godzin wcześniej. – Wskoczę tylko jeszcze po coś do samochodu i zaraz wracam.

Uśmiecham się, ale jestem spięta. Najgorsza nie jest nawet myśl, że znów ma romans, ale że wykorzystuje wypadek naszej córki, by to przede mną ukryć. Zadręczałam się przez cały dzień – przeglądałam mój dziennik i gabinet Briana (okazało się, że w biurku nie było nic podejrzanego), szukałam czegoś, co utwierdziłoby mnie w moich przypuszczeniach albo pozwoliło je odrzucić, ale niczego nie znalazłam. Gdyby nie poranny telefon Marka, nie miałabym właściwie powodu do zmartwienia.

– Cześć, kochanie. – Brian wchodzi do pokoju z Milly u boku. Całuje mnie delikatnie w usta i siada obok. – Jak minął ci dzień?

– W porządku.

Sięga po poduszkę leżącą za jego plecami, rzuca ją na fotel, rozsiada się wygodniej z głębokim westchnieniem i spogląda na mnie.

– Tylko w porządku? Myślałem, że chciałaś wybrać się do miasta, kupić sobie nową sukienkę...

– Tak... – Przez sekundę wszystko wydaje się normalne, rozmawiam z mężem o minionym dniu, lecz potem sobie przypominam. Nic nie jest normalne. – Nie pojechałam. Byłam zbyt zajęta.

– Tak? – Unosi brwi i czeka na szczegóły, ale ja zmieniam temat.

– Rano wpadł Oli.

– Znów się z nim rozminąłem? – Wydaje się szczerze zmartwiony. – Czego chciał?

– Niczego konkretnego. Jechał właśnie do Southampton, miał robić coś w terenie. Chyba zajrzy tu znowu, kiedy będzie wracał.

– Och, świetnie – ucieszył się mój mąż. Jego relacje z synem są inne niż relacje z Charlotte, bardziej złożone. Praktycznie nie rozstawali się z sobą, gdy Oli był dzieckiem, potem, gdy został już nastolatkiem, bez przerwy się kłócili, aż wreszcie zaczęli darzyć wzajemnym szacunkiem. Łączy ich nie tylko ojcowsko-synowska miłość, ale i prawdziwa przyjaźń, którą umacnia podobne poczucie humoru, a podkopują odmienne poglądy polityczne. Zwykle śmieją się razem i żartują, ale kiedy już dojdzie do starcia, lecą iskry.

Charlotte i ja uciekamy wtedy gdzie pieprz rośnie.

Odwracam się, by odłożyć książkę i kieliszek z winem na stolik, ukrywając przy tym twarz przed mężem. Jestem pewna, że dostrzegł w niej napięcie i niepokój. Nie jest łatwo udawać „normalną”, gdy człowiek ma ochotę krzyczeć, nie mogę tego jednak zrobić. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje teraz Charlotte, jest mój kolejny „epizod”. Muszę myśleć spokojnie. Logicznie. Jedno kłamstwo nie świadczy jeszcze o zdradzie. Potrzebuję więcej dowodów.

– Dobrze się czujesz? – pyta Brian z troską.

– Tak. – Odwracam się do niego ponownie. – Jak było w pracy?

– Fuj... – jęczy z niesmakiem i przesuwając dłoń przez włosy, niegdyś rude jak włosy Olego, teraz coraz radsze i prawie całkiem siwe. – Okropnie.

– A jak podróż pociągiem?

Zerka na mnie z ukosa, zaintrygowany. Zwykle nie interesuję się tak bardzo szczegółami jego dojazdu.

– Jak zwykle – odpowiada, po czym klepie mnie po kolanie. – Naprawdę wszystko w porządku? Wydajesz się trochę... spięta.

Dopiero teraz dostrzegam, że moje palce są z sobą splecione. Czy wyginałam je w czasie tej rozmowy? To zadziwiające, jak wiele może zdradzić nasze ciało. Podnoszę wzrok na męża. Jego ciało nie wygląda inaczej niż zwykle, wydaje się spokojne i zrelaksowane.

– Dlaczego mnie okłamałeś? – pytam.

Otwiera usta i mruga oczami.

– Słucham?

– Mówiłeś, że jedziesz do pracy.

– Kiedy?

– Dziś rano. Nie pojechałeś, prawda?

– Owszem, pojechałem.

– To dziwne, Mark mówił, że cię tam nie było.

– Mark? – Brian zabiera rękę z mojego kolana. – Dlaczego dzwoniłaś do mojego asystenta?

– Nie dzwoniłam. To on dzwonił tutaj.

– Dlaczego?

– Mówił, że musi omówić z tobą coś ważnego. Nie wspominał o tym, kiedy przyjechałeś po południu do biura? Jeśli rzeczywiście tam byłeś...

– Oczywiście, że byłem. I tak... – Zmienia pozycję, odwracając się do mnie przodem. – Teraz sobie przypominam, że miał coś ważnego do omówienia.

– Świetnie. – Wciąż patrzę mu prosto w oczy. – Więc gdzie byłeś dziś rano?

Milczy przez kilka sekund. Przeciąga dłoń po twarzy i bierze kilka głębokich oddechów. Zastanawiam się, czy chce się w ten sposób uspokoić i zasłonić oczy, bym nie dostrzegła w nich kłamstwa, które właśnie wymyśla.

– Ja... – W końcu podnosi na mnie wzrok. – Miałem pójść do Charlotte.

– Ale nie poszedłeś! Oboje słyszeliśmy, jak lekarz powiedział...

– Sue. – Podnosi rękę, a ja posłusznie milknę. – Planowałem pójść do Charlotte dziś

rano. Zaplanowałem to wiele dni temu. Wiem, że nie znosisz, kiedy jest sama, więc chciałem ci zrobić niespodziankę, zaproponować, żebyś poszła do miasta, do manikiurzystki czy fryzjera, albo kupić sobie nową sukienkę, a ja posiedziałbym w tym czasie przy niej. Ale wczoraj wieczorem lekarz powiedział nam o tych badaniach i moje plany wzięły w łeb, więc...

– Więc co? – Wypowiadam te słowa tak głośno, że Milly podnosi łeb i spogląda na mnie.

– Więc pojechałem do miasta. Wpadłem do biblioteki, poszedłem na basen, zrobiłem zakupy, można powiedzieć, że... zrobiłem sobie wolne.

– Zrobiłeś sobie wolne?

– Tak. – Patrzy mi prosto w oczy.

– Więc nie poszedłeś rano do pracy, bo chciałeś zrobić mi wolne, a kiedy lekarz powiedział, że nie możemy rano odwiedzić Charlotte, postanowiłeś zrobić wolne sobie?

Wzrusza ramionami, nieco zawstydzony.

– Tak.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– Kiedy?

– Choćby teraz. Kiedy wszedłeś do domu.

– Och, na miłość boską, Sue. – Brian pochyla się do przodu i kryje głowę w rękach. – Naprawdę tego nie chcę. Nie chcę.

– Ale... – Nie mogę dokończyć zdania. Cała sytuacja wydaje mi się nagle absurdalna i sama nie rozumiem, dlaczego chcę to ciągnąć dalej. Brian zaplanował dla mnie niespodziankę, a gdy jego plan nie wypalił, zrobił sobie wolne. To całkiem zrozumiałe. W porządku, nie powiedział mi o tym zaraz po wejściu do domu – i co z tego? Nie jestem jego stróżem, nie musi opowiadać mi się ze wszystkiego. Nie zrobiłabym mu tego, nie po tym, co przeżyłam przez Jamesa.

Spojrzałam na przygarbioną, zmęczoną sylwetkę na sofie. Jeszcze kilka minut temu, gdy wszedł do domu, był wesoły, rozluźniony. Teraz wydaje się dziesięć lat starszy.

– Przepraszam. – Wyciągam rękę i kładę mu dłoń na ramieniu.

Brian milczy.

– Przepraszam – powtarzam.

Zegar szafkowy w rogu odlicza miarowo kolejne sekundy i minuty.

– Brian – mówię cicho. – Proszę, spójrz na mnie.

Wydaje mi się, że mijają całe wieki, nim w końcu odsuwa dłonie od twarzy i patrzy na mnie.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Sue. Nie po tym wszystkim, co nas spotkało.

– Ja też nie.

Ściskam jego ramię, a on kładzie dłoń na mojej dłoni. Ciepło jego dotyku natychmiast mnie uspokaja. Wypuszczam głośno powietrze z płuc.

– W porządku? – pyta Brian, patrząc mi prosto w oczy.

Mam już skinąć głową, objąć go mocno, zatracić się w jego ciepłym, męskim zapachu, gdy nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Jak było na basenie? – pytam. – Dużo ludzi?



Brian marszczy brwi zaskoczony, a potem uśmiecha się szeroko.

– Dziki tłum. Wszędzie pełno cholernych dzieciaków. Mają teraz wolne, czego innego mogłem się spodziewać?

Nie wiem, czego ty się mogłeś spodziewać, myślę, gdy mnie obejmuje i przyciąga bliżej, ale ja spodziewałabym się, że będzie całkiem pusty, bo dwa tygodnie temu zamknęli go na czas remontu.

Siedzimy przy łóżku Charlotte w milczeniu, Brian trzyma ją za jedną rękę, ja za drugą. Kardiomonitor w rogu pokoju piszczy miarowo. Nie rozmawialiśmy po drodze do szpitala, ale często jeździmy w milczeniu, szczególnie gdy jest włączone radio, Brian nie widział więc nic dziwnego w fakcie, że przez cały czas patrzyłam za okno. Zastanawiałam się, co robić – spytać go otwarcie, jak naprawdę było z tym basenem, czy też udawać, że wszystko jest w porządku. Wybrałam tę drugą opcję. Na razie.

– Ciągłe nie naprawili guzika alarmu – mówię. Mój głos brzmi okropnie głośno w małej sali.

Brian spogląda na brudną żółtą taśmę zakrywającą czerwony guzik nad łóżkiem Charlotte.

– Typowe. Telewizora też pewnie nie ruszyli.

Sięgam po pilota i naciskam guzik. Ekran telewizora rozjaśnia się po chwili, przez trzydzieści sekund oglądamy jakiś teleturniej, potem obraz zastępują szaro-białe zakłócenia. Wyłączam odbiornik.

– To zakrawa na kiepski żart. – Brian kręci głową. – Wynegocjowałem dla tego szpitala trzykrotnie większy budżet, a wciąż nic się tu nie zmienia. Widziałas tę warstwę brudu na parapecie? Co tu robią salowe? Spryskują wszystko wybielaczem, a potem idą na papierosa?

– Chyba jesteś dla nich trochę zbyt surowy. – Wyciągam chusteczkę antyseptyczną z paczki przy łóżku Charlotte i przecieram nią parapet, a potem ramę łóżka i kłankę. – Mają pewnie za dużo pracy, nie wyrabiają się ze wszystkim.

– Powinni naprawić ten cholerny guzik. Co zrobimy, kiedy będziemy potrzebowali pomocy? Wywiesimy białą flagę za okno?

Brian wzdycha i rozkłada gazetę. Czasami czyta co ciekawsze lub bardziej kontrowersyjne artykuły na głos. Nie robi to żadnego wrażenia na Charlotte, ale wypełnia jakoś czas.

Wyrzucam chusteczkę do kosza i zajmuję się naszą córką. Poprawiam pościel, czeszę jej włosy, wycieram twarz wilgotną chusteczką, nacieram dłonie kremem. Potem stoję przy łóżku i zaciskam bezradnie dłonie. Włosy Charlotte nie były splątane, jej twarz nie była brudna, a dłonie nie były suche, ale co innego mogę robić? Mogłabym trzymać ją za rękę. Mogłabym mówić jej, jak bardzo ją kocham. Mogłabym ją zaklinać i błagać, by otworzyła oczy i wróciła do nas. Mogłabym poczekać, aż zostaniemy same, pochylić się nad łóżkiem, wziąć ją w ramiona i spytać dlaczego. Dlaczego nie zauważyłam, że cierpi tak bardzo, że wolała raczej umrzeć, niż żyć choćby dzień dłużej? Moje dziecko. Moja najdroższa. Jak mogłam tego nie wiedzieć? Jak mogłam tego nie wyczuć?

Mogłabym układać się z Bogiem. Błagać Go, by pozwolił nam zamienić się miejscami,

by ona znów mogła się śmiać, chodzić na zakupy, plotkować z przyjaciółkami, oglądać filmy i spędzać za dużo czasu w internecie. By mogła żyć zamiast mnie.

W ciągu ostatnich sześciu tygodni modliłam się i błagałam tyle razy, że straciłam już rachubę, lecz nic się nie zmieniło.

– Przykro mi, ale oprócz chorego w pokoju mogą przebywać co najwyżej trzy osoby jednocześnie. Obawiam się, że jedno z państwa...

Odwracam się, żeby zobaczyć, kto to mówi. Przy drzwiach stoi pielęgniarka z parą młodych ludzi. Rozpoznaję wysokiego blondyna, do którego mówi. To Danny Argent, przyjaciel Olivera. Nie znam dziewczyny, atrakcyjnej Mulatki, która mu towarzyszy.

– Cześć, Sue – mówi do mnie chłopak.

– Danny, co ty tutaj robisz? – dziwię się i zerkam na Briana, a ten marszczy brwi.

Chłopiec wchodzi do sali. Pielęgniarka cmoka z niezadowoleniem, ale Danny ją ignoruje.

– Chcieliśmy... Keisha i ja chcieliśmy odwiedzić Charlotte. Możemy?

Brian chrząka głośno. Nie toleruje Danny'ego, odkąd wezwano nas kiedyś do szpitala, gdzie Oli musiał poddać się płukaniu żołądka po tęgiej popijawie. Brian zbladł jak ściana, gdy zobaczył półprzytomnego syna leżącego na szpitalnym wózku, potem zaś spąsował, dojrawszy Danny'ego, który opierał się obok o ścianę i kopał nogą obutą w brudny trampek koło wózka. Nigdy nie wybaczył Danny'emu, że upił jego syna do tego stopnia, ale Oli nie chce słyszeć złego słowa o swoim najlepszym przyjacielu. Poza tym jako szef nocnego klubu Danny musi dbać o swoją reputację.

– Sue? – powtarza Danny, wskazując głową na Keiszę, która stoi w korytarzu i uśmiecha się do mnie z nadzieją.

Spoglądam na Briana. Na pozór wygląda całkiem normalnie, ale dobrze wiem, o czym myśli. Zastanawia się, czy Danny ma coś wspólnego z wypadkiem Charlotte. Robi się podejrzliwy na sam jego widok. Ja nie mam nic przeciwko Danny'emu. Owszem, jest próżnym, zapatrzonym w siebie materialistą, ale nie jest zły ani niebezpieczny. Zawsze traktował Charlotte jak młodszą siostrę, lecz teraz nie mogę stawać przeciwko Brianowi. Tu chodzi o to, co jest najlepsze dla Charlotte, a nie dla któregokolwiek z nas.

– Nie jestem pewna... – zaczynam, wodząc wzrokiem od Danny'ego do Briana i z powrotem. – Nie wiem, czy...

Brian odsuwa z piskiem krzesło i wstaje.

– Muszę napić się kawy – mówi, spoglądając na mnie znacząco. – Tobie też przyniosę, Sue. Zostań tutaj.

Danny jest równie zaskoczony jak ja, gdy Brian kiwa do niego głową, a potem wychodzi z sali. Przez chwilę wszyscy milczymy, czekając, aż któreś z nas zdecyduje, co robić dalej.

– Wejdz, wejdz – mówię w końcu, przywołując gestem Keiszę.

Dziewczyna waha się przez moment, a potem podchodzi do Danny'ego i mocno się weń wtula. Milly zachowuje się podobnie w obecności Briana. Przywiera tak mocno do jego nóg, że Brian ma kłopoty z utrzymaniem równowagi. W przypadku Milly jest to oznaka całkowitego oddania – patrząc na twarz Keishy, dochodzę do wniosku, że tutaj motywacja jest podobna.

Danny nie zwraca większej uwagi na dziewczynę. Gdyby nie fakt, że objął ją ramieniem i położył dłoń na jej karku, powiedziałabym nawet, że jej nie zauważył. Od kilku minut nie odrywa spojrzenia od Charlotte.

– Jak ona się czuje? – pyta.

Wzruszam ramionami. Zdążyłam już dobrze wyćwiczyć ten gest – po części wyraża nadzieję, a po części pogodzenie się z losem.

– Lekarze mówią, że najgorsze obrażenia dobrze się goją.

– Więc dlaczego... – Marszczy brwi. – Dlaczego jeszcze się nie wybudziła?

– Nie wiedzą. – Ściskam nieruchomą dłoń Charlotte. Można by się spodziewać, że będzie zimna, ale nie, jest równie ciepła jak moja.

– Naprawdę? A ja myślałam, że to...

Nagle przerywa mu głośne chlipnięcie. Oboje spoglądamy na Keishę.

– O Boże... – Danny wydaje się przerażony widokiem łez spływających po jej policzkach. – Przestań, nie rób mi wstydu.

Spinam się, słysząc jego chłodny ton. James zachowywał się tak samo, gdy przy nim płakałam.

Keisha zakrywa twarz dłońmi, ale nie może ukryć łez. Spływają jej po brodzie i spadają na różową bluzkę, znacząc ją ciemniejszymi plamami.

Wyciągam rękę, lecz siedzę zbyt daleko, by jej dotknąć.

– Dobrze się czujesz?

Kręci głową i ociera policzki prawą dłonią. Lewą zaciska na brzegu skórzanej kurtki Danny'ego. Ma jakieś osiemnaście, może dwadzieścia lat, ale ten gest pasuje raczej do pięciolatki.

– Chodzi o to, że... – Przełyka ciężko, tłumiąc szloch. – To takie smutne...

Jestem zaskoczona, słysząc jej akcent. Nie przypuszczałam, że jest Irlandką.

– To prawda – mówię. Pierś Charlotte powoli unosi się i opada. – Ale nie tracimy nadziei. Właściwie nie ma żadnego powodu, dla którego nie mogłaby z tego wyjść...

Keisha zawodzi, jakby pękało jej serce, i odsuwa się od Danny'ego.

– Przestań, Keisha – cedzi Danny przez zaciśnięte zęby.

– Nie. – Dziewczyna obejmuje się szczupłymi ramionami i cofa do drzwi. – Nie.

– Keisha? – Wstaję i powoli robię krok w jej stronę. Wyciągam rękę, pokazując otwartą dłoń, jakbym podchodziła do wystraszonej sarny. – Keisha, co się dzieje?

Patrzy na moją rękę i kręci głową.

– Tak mi przykro. – Robi kolejny krok w stronę drzwi, potem jeszcze jeden. Drży na całym ciele. – Tak bardzo mi przykro.

– Wszystkim nam jest przykro. – Próbuję zachować spokój, ale serce wali mi jak oszałałe. – Lecz to nie powód, żeby aż tak się przejmować. Ona naprawdę...

– Keisha! – wtrąca nagle Danny tak głośno, że obie podskakujemy. – Uspokój się, kurwa!

– Nie. – Keisha odrywa w końcu spojrzenie od twarzy Charlotte i patrzy na swojego chłopaka. – Ona powinna to wiedzieć.

– Wiedzieć co? O czym mówisz? Co powinnam wiedzieć, Keisho? Powiedz mi.

Keisha i Danny patrzą na siebie w milczeniu. On mruży oczy. Ostrzega ją, przykazuje bez słów, żeby się zamknęła.

– Keisha! – Muszę ściągnąć jej uwagę na siebie, wyrwać z zakłęcia, które rzucił na nią Danny. – Keisha!

– Sue, dlaczego krzyczysz? – W drzwiach, za plecami Keishy, stoi Brian. W obu rękach trzyma parujące kubki z kawą.

Wpatruję się w niego ze zdumieniem. Od jak dawna tu jest?

– Wiedziałem. – Mój mąż wbija gniewne spojrzenie w Danny’ego. – Wiedziałem, że narobisz kłopotów, jeśli ci pozwolę...

Przerywa mu głośny jęk Keishy, która odpycha Briana i wybiega na korytarz. Gorąca kawa chluszcze na podłogę.

– Keish! – Danny natychmiast rzuca się do drzwi.

Przez jedną przerażającą chwilę Danny i Brian stoją naprzeciwko siebie, jestem niemal pewna, że któryś z nich uderzy, ale w końcu Brian odsuwa się na bok. Słyszę jeszcze krzyk Keishy i tupot nóg jej chłopaka, a potem w sali znów zapada cisza.

Kardiomonitor popiskuje cicho w rogu.

Brian patrzy na mnie z konsternacją i zdumieniem.

– Co tu się stało, do cholery? – W jego głosie kryje się niewypowiedziane oskarżenie. Spogląda z z troskaniem na Charlotte. – Słyszałem krzyki tej dziewczyny przy automacie na korytarzu. Dziwię się, że nie przysłała tu pielęgniarka. Albo ochroniarz. I o co jej właściwie chodziło? – Stawia kubki z kawą na stoliku przy łóżku i ujmuje drugą rękę Charlotte.

– Komu?

– Tej dziewczynie. Krzyczała coś, kiedy biegła korytarzem.

– Niczego nie słyszałam.

Brian marszczy brwi.

– Krzyczała: „Głupia, pierdolona dziewczyna. Ufała mi, myślała, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, i zobacz tylko, co się z nią stało”.

## Sobota, 8 września 1990

*W środę rzeczywiście dzwonił James. Bardzo mnie przeproszał, mówił, że miał jakieś okropne problemy w życiu osobistym, i pytał, czy kiedykolwiek zechcę mu wybaczyć, że tak długo kazał mi czekać. Chciałam złościć się na niego, powiedzieć mu, że zasługuję na lepsze traktowanie, i że nie może oczekiwać ode mnie wybaczenia tylko dlatego, że łaskawie sięgnął po słuchawkę. Ale powiedziałam tylko:*

*– Postaw mi piwo, to się zastanowię.*

*Nazwał mnie wtedy aniołem i dodał, że tylko tak niezwykła osoba jak ja może być równie wyrozumiała.*

*Kiedy spotkaliśmy się na piwie, próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o tych „problemach osobistych”, lecz wykręcał się od odpowiedzi. Powiedział tylko, że zdradzi mi*

coś więcej, kiedy już dłużej będziemy z sobą. (Więc jesteśmy z sobą? Ciekawe!).

Jak można się było spodziewać, wylądowaliśmy w łóżku. Znowu.

Byliśmy w *Heart and Hand* w *Clapham Common*, a gdy barman ogłosił, że czas już na ostatnie zamówienia, zaproponowałam, żebyśmy wrócili metrem do mojego mieszkania, bo mam tam dwie butelki wina, które trzeba wypić. James od razu się zgodził. Powiedział, że nie może się już doczekać, kiedy zobaczy moje mieszkanie i przekona się, co mówią o mnie moje rzeczy. Okazało się, że gdy już weszliśmy do środka, zobaczył tylko kremowe ściany i biały sufit.

Później, gdy leżeliśmy przytuleni do siebie, słuchając w kółko *Monkey Gone to Heaven* *Pixies* (żadnemu z nas nie chciało się wstać z łóżka i zmienić płyty), spytałam Jamesa, kiedy zobaczę jego mieszkanie. Spochmurniał i odpowiedział:

– Mam nadzieję, że nigdy.

Spytałam, co to znaczy, a on wzruszył ramionami i powiedział, że musi iść do toalety. Po powrocie czymś mnie rozśmieszył i na tym się skończyło – nawet nie zauważyłam, kiedy zmienił temat.

Następnym razem nie poddam się tak łatwo...

Keisha Malley? – Oli sięga przez stół po ciastko. Przyjechał zaledwie dziesięć minut temu, a zdążył już pochłonąć niemal całą paczkę ciastek z czekoladą. – Szczupła Mulatka? Tak, znam ją, chodzi z Dannym.

Minął już cały dzień od incydentu z Keishą i Dannym w szpitalu, a ja wciąż nie mogę się pozbierać. Co miała na myśli, mówiąc: „Ufała mi, myślała, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, i zobacz tylko, co się z nią stało”.

Rozmawiałam o tym z Brianem przez całą drogę powrotną i jeszcze przez kilka godzin w domu, ale niczego nie wymyśliśmy. Tylko dzięki mojej sile woli i nieustępliwości Briana nie zadzwoniłam do Olego o północy, by poprosić go o numer Danny’ego.

– Czy Charlotte mówiła kiedyś, że Keisha jest jej najlepszą przyjaciółką?

– Keisha? Jej najlepszą przyjaciółką? Żartujecie sobie ze mnie, prawda? A co z Ellą? Przecież to papużki nierozłączki. – Podnosi brwi. – A może już nie?

Kręcę głową.

– Nie wiem. Charlotte nie wspominała nigdy, żeby pokłóciła się z Ellą, ale z drugiej strony... – Milknę zakłopotana. Ostatnio zaczynam odnosić wrażenie, że właściwie niewiele wiem o życiu swojej córki.

– Raczej mało prawdopodobne, co? – Oli się krzywi. – Piętnastolatka i dziewiętnastolatka najlepszymi przyjaciółkami? A może u dziewczyn wygląda to jakoś inaczej?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Ale po co Keisha miałaby zmyślać?

– Bo jest kobietą i ma nierówno pod sufitem. – Śmieje się, a potem spogląda na mnie ze skruchą. – Wybacz, Sue, zapominam się.

– Oliverze Jamesie Jacksonie! – woła Brian z ganku. – Znów obrażasz swoją matkę? – Przeszywa Olego lodowatym spojrzeniem, ale zdradzają go usta wykrzywione w uśmiechu.

Jego syn od razu włącza się do gry.

– Pomyślałem, że trochę cię wyręcę, staruszk.

– No! – Brian podchodzi i uderza go lekko w tył głowy. – Powiedzmy, że tego staruszka nie słyszałem, a za resztę dziękuję.

Uśmiecham się, gdy ze swobodą wchodzą w swoje role zrzędliviego ojca i knąbrnego syna. Wymieniają informacje, obrażają się nawzajem i opowiadają sobie dowcipy, ani na chwilę nie przestając się przy tym uśmiechać. Uwielbiam ich obserwować, choć jakaś maleńka, nienawistna cząstka mojej duszy wypełnia się wtedy zazdrością. Łączy ich bliskość, której ja i Charlotte nigdy nie zaznałyśmy. Kiedy się urodziła, gdy trzymałam ją

po raz pierwszy w ramionach, wyobrażałam sobie szczęśliwe obrazy z przyszłości: kupujemy razem buty, plotkujemy przy manikiurze, zachwycamy się hollywoodzkimi gwiazdami w kinie albo po prostu siedzimy przy stole w kuchni i gawędzimy o tym, jak minął nam dzień. Ale te wizje nigdy się nie zrealizowały.

Byłam dla Charlotte najwspanialszą osobą na świecie, dopóki nie skończyła jedenastu lat. Nie wracała już ze szkoły w podskokach, by opowiedzieć mi o wszystkim, co ją spotkało, lecz stała się ponura i skryta. Nie oglądała już ze mną kreskówek na kanapie w salonie, ale zamykała się w swoim pokoju w towarzystwie laptopa i komórki. Złościła się na mnie, jeśli ośmieliłam się choćby zajrzeć do niej i spytać, czy nie chce herbaty. Brian próbował mnie uspokajać, mówił, że w tym wieku to normalne, że jest już nastolatką. Przypominał mi, jak ścierał się z Olim, gdy syn przechodził przez podobny okres, miałam jednak wrażenie, że ich kłótnie zawsze dotyczyły spraw takich jak kieszonkowe czy późne chodzenie do łóżka. W przypadku Charlotte sprawa wydawała się poważniejsza, bardziej osobista.

Właśnie dlatego, że córka nie chciała ze mną rozmawiać, postanowiłam kupić jej pierwszy pamiętnik. Uznałam, że dzięki temu będzie mogła dać ujście wszystkim nowym, trudnym do pojęcia uczuciom – w tym niechęci do mnie.

– To prawda, Sue? – Oli przesuwa dłonią przed moimi oczami i parska śmiechem. – Jest tam kto?

– Słucham? – Spoglądam na niego, potem na Briana. – O co chodzi?

– Tato właśnie zażartował. To znaczy... – Oli unosi brwi. – Wydaje mu się, że to żart, a ja próbowałam spytać cię o zdanie... – przerywa i znów się śmieje, prawdopodobnie rozbawiony wyrazem mojej twarzy.

– Sue rozmawiała z tobą o Keishy? – pyta Brian, zmieniając zdanie.

Oli kiwa głową, ale właśnie włożył do ust ostatnie ciastko i nie może mówić.

– Tak – odpowiadam za niego. – Zna ją, to dziewczyna Danny'ego, ale Charlotte nigdy o niej nie wspominała.

– Hmm... – Brian sięga po pusty talerz, wstawia go do zlewu i wraca do stołu. – Anie mówiła o Elli? Nie pokłóciły się z sobą?

Oli kręci głową.

– Charlotte nigdy nie rozmawiała ze mną o tym, co się dzieje w jej życiu. Kontaktowała się tylko wtedy, gdy potrzebowała jakiejś rady albo... – urywa nagle.

– Albo co? – pytamy z Brianem jednocześnie.

Oli poprawia się na krześle.

– Albo gdy chciała kupić coś w internecie.

Brian i ja spoglądamy po sobie znacząco.

– A co kupowała? – pyta mój mąż.

– Nic złego! Bilety na koncerty, prenumeratę, jakieś drobiazgi z eBaya, rzeczy, za które można zapłacić tylko kartą albo z konta PayPal.

– Czy wśród tych rzeczy, o które cię prosiła, nie było czegoś dziwnego? Zwłaszcza przed jej wypadkiem?

– Nie. Jak już mówiłem, to były głównie bilety, zdjęcia z autografami, takie bzdury. –

Oli sięga ponownie przez stół, a potem nieruchomieje, uświadomiwszy sobie, że talerz zniknął. Potem marszczy brwi.

– O co chodzi? – pyta Brian.

Chłopak przez chwilę wodzi wzrokiem ode mnie do Briana i z powrotem. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, potem zamyka je z powrotem.

– O co chodzi? – Teraz i ja zaczyna się niepokoić. – Możesz nam wszystko powiedzieć. Nie będziemy cię osądzać ani złościć się na ciebie. Obiecuję.

Cóż, na pewno ja nie będę się złościć. Brian siedzi na skraju krzesła, opiera łokcie na blacie stołu i wpatruje się w syna.

– Ja... – Oliver unika jego wzroku.

– Proszę – mówię cicho. – To może być ważne.

– No dobrze. – Opada na oparcie krzesła, bębni palcami o stół i opuszcza głowę. – No dobrze. – Znowu milknie na moment, by odchrząknąć, a ja mam wrażenie, że lada moment eksploduję. – Pytała, czy zapłaciłbym za pokój hotelowy dla niej i Liama.

– Co takiego?!

– Mówiła, że nie chce tracić dziewictwa w samochodzie albo na boisku za szkołą jak wszyscy i że...

– Pokój hotelowy?! – Twarz Briana robi się purpurowa. – Ona ma piętnaście lat, do jasnej cholery! Co ona sobie wyobrażała? Jeśli się zgodziłeś...

– Nic nie zrobiłem, tato! – Oli podnosi ręce. – Przysięgam.

Jego przerażona mina świadczy o tym, że mówi prawdę.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej? – pytam.

– A dlaczego miałbym mówić?

– Bo twoja PIĘTNASTOLETνια SIOSTRA chciała uprawiać seks ze swoim siedemnastoletnim chłopakiem w pokoju hotelowym! – Brian podniósł się z krzesła, opiera dłonie o blat stołu, czubki jego palców są białe.

– Brian. – Nawet na mnie nie spogląda, kiedy wymawiam jego imię, piekli się tylko nadal. – Brian, przestań! – powtarzam. – Przestań krzyczeć. To nie wina Olego.

Obaj patrzą na mnie ze zdumieniem. Chyba jeszcze żaden z nich nie słyszał, bym mówiła podniesionym głosem.

– Przepraszam. – Mój mąż opada powoli na krzesło, masuje kark i zamyka oczy. Potem otwiera je ponownie i sięga po moją dłoń. – Przepraszam, Sue. – Spogląda na Olego i zaciska usta, skruszony. – Przepraszam, synu. – Oli wzrusza tylko ramionami, widzę jednak, że czuje się dotknięty. – To wszystko po prostu jest takie...

Nakrywam dłoń dłoń męża.

– Wiem.

On patrzy mi w oczy.

– Nie wydajesz się tym zaskoczona.

– Bo nie jestem. – Delikatnie ściskam jego rękę. – Czytałam pamiętnik Charlotte. Wiem, co czuła do Liama.

Marszczy brwi.

– Pisała pamiętnik? Kiedy go znalazłaś?



– Dziś rano – kłamię.

Brian siedzi prosto. Jeśli rzeczywiście jest w jakiś sposób odpowiedzialny za wypadek Charlotte, to nie wydaje się zaniepokojony faktem, że poznałam najskrytsze myśli naszej córki.

– Czy napisała... – pochyła się do przodu. – Czy napisała, dlaczego mogłaby...

Nie potrafi wypowiedzieć słów „chcieć się zabić”. Nie dopuszcza do siebie myśli, że nasza córka mogła być tak nieszczęśliwa, że wolała raczej odebrać sobie życie, niż podzielić się z nami swoim nieszczęściem. Dobrze wiem, dlaczego tak się czuje, doskonale to rozumiem.

– Nie – mówię, a na jego twarzy maluje się niekłamana ulga.

Oczywiście to kolejne kłamstwo, ale nie mogę wyznać mu prawdy o pamiętniku, dopóki nie będę miała pewności, że nie odgrywał żadnej roli w „tajemnicy”, która tak bardzo jej ciążyła. Na razie nie wiem, w co – ani komu – wierzyć.

– Mogę go obejrzeć? – pyta.

Kiedy unoszę brwi, kręci głową.

– Nie, masz rację, oczywiście, że nie. Nie możemy odbierać jej prywatności. Ale... – Zerka ponownie na Olivera, który przygląda nam się z dziwnym wyrazem twarzy. Po raz pierwszy rozmawiamy przy nim otwarcie o wypadku Charlotte. W końcu zaważyła się fasada z napisem „wszystko jest w porządku”.

Brian kręci głową i opada na oparcie krzesła. Przy stole zapada cisza. Wpatruję się w okruszki ciastek na stole. Nie byłam zaskoczona, czytając o tym, jak bardzo Charlotte chciała stracić dziewictwo z Liamem i jak bardzo czuła się w związku z tym podekscytowana i wystraszona zarazem. Byłam wzruszona, ale nie zwróciłam na to szczególnej uwagi. Na pewno nie zastanawiałam się, czy może to mieć jakiś związek z „tajemnicą”, o której wspomina w ostatnim wpisie. Myślałam, że ma to coś wspólnego z Brianem, ale teraz, gdy Oliver wspomniał o tym hotelowym pokoju...

Odrywam w końcu wzrok od okruszków i spoglądam na Milly, która drzemie u moich stóp. Musimy wybrać się na spacer – do domu Liama.

## Sobota, 29 września 1990

*Wczoraj wieczorem James powiedział mi, że mnie kocha – równo cztery tygodnie po naszej pierwszej randce.*

*Zabrał mnie do fantastycznej meksykańskiej restauracji w Camden – wszędzie przytłumione światła, kameralny nastrój, świece i ani jednego kaktusa. Próbowałam jeść moje fajita, nie rozrzucając jedzenia po całym stoliku, ale im bardziej się starałam, tym więcej wypadało z drugiego końca i tym mocniej się śmiałam. James siedział naprzeciwko, a kiedy na niego spojrzałam, miał minę śmiertelnie poważną. Obejrzałam się za siebie, żeby sprawdzić, czy to nie reakcja na jakiś okropny wypadek, ale na ulicy nie działo się nic nadzwyczajnego.*

*Odłożyłam fajitę. Nagle odechciało mi się jeść.*

– O co chodzi, James?

Poprawił się na krześle.

– O ciebie.

– Co masz na myśli?

– Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką poznałem w życiu.

Wpatrywał się we mnie, nie mrugając oczami, zaciskał mocno usta, a dłonie trzymał równo ułożone na kolanach. Miałam wrażenie, że przenika wzrokiem moją czerwoną kwiecistą sukienkę, moje czarne korale i kręcone włosy, że zagląda mi do wnętrza głowy.

– Kocham cię, Suzy – powiedział. – Nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie. Taka miłość mnie przeraża. Przez ciebie nie mogę spać, jeść ani myśleć. Z trudem normalnie funkcjonuję. Straciłem kontrolę nad tym, kim jestem, i cholernie się tego boję, ale nie mogę uciec, bo cię kocham. Nie mogę żyć bez ciebie.

Patrzył mi w oczy, czekając na reakcję. Nigdy nie widziałam go tak zmartwionego. Uśmiechnęłam się, chcąc jak najszybciej go uspokoić, i wyciągnęłam do niego rękę. Powoli podniósł ręce z kolan i ujął moje dłonie.

– Ja też cię kocham, James, ale nigdy w życiu nie czułam się tak przerażona i bezbronna. Nie mogłabym cię w żaden sposób powstrzymać, gdybyś zechciał mnie skrzywdzić.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził, Suzy-Sue. – Wypuścił moje dłonie i sięgnął przez stół, by dotknąć mojej twarzy. – Nigdy. Wolałbym raczej zrobić sobie krzywdę, niż patrzeć, jak cierpisz.

W jego oczach pojawiły się łzy, ale szybko je otarł.

– Chodźmy. – Wyjął z portfela kilka banknotów i rzucił je na stół. – Chodźmy do ciebie, włączmy muzykę, połóżmy się do łóżka i zapomnijmy o całym świecie.

O niczym innym w tamtej chwili nie marzyłam.

## 6

Nie poszłam wczoraj wieczorem do Liama. Gdy miałam już oznajmić, że chcę wyprowadzić psa na spacer, Brian wstał nagle od stołu i zniknął za drzwiami. Pojawił się chwilę później w kurtce, ze smyczą Milly w dłoni. Pożegnał się krótko z Oliverem i już go nie było. Oli wydawał się równie zaskoczony jak ja. Zaproponowałam mu jeszcze jedną filiżankę herbaty i więcej ciastek, ale pokręcił głową i powiedział, że robi się późno, a on musi wracać do Leicester.

Zerkam na zegar kuchenny. Brian dawno już wyjechał do pracy, choć jest dopiero 8:50. Jeśli Liam przypomina Olivera sprzed kilku lat, to w czasie ferii na pewno jeszcze śpi o tej porze. Powinnam najpierw odwiedzić Charlotte, dopiero potem pójść do niego. Odstawiam filiżankę z kawą i wstaję. A jeśli wyjdzie z jakiegoś powodu i go nie zastanę? Nie, lepiej będzie, jeśli najpierw złapię Liama, a później pojedę do Charlotte. Może po prostu pójdę do niego dłuższą drogą i zanim tam dotrę, zdąży już wstać. Jeśli wybiorę trasę przez park, będę na miejscu nie wcześniej niż o 9:30.

Nie, zmieniam zdanie po raz kolejny, gdy wchodzę do garderoby i sięgam po płaszcz. Najpierw powinnam do niego zadzwonić. Albo wysłać SMS. Wtedy nie będę przeszkadzać jego rodzinie. Nie mam jednak numeru komórki Liama, tylko telefon stacjonarny.

Na pewno ma go Charlotte.

Wybiegam na górę, idę do jej pokoju, przystaję jednak w drzwiach. Gdzie jest jej komórka? Nie widziałam jej od czasu wypadku.

Nie dotykałam niczego w pokoju Charlotte przez ponad dwa tygodnie, odkąd została hospitalizowana – dosłownie niczego, nawet zużytych wacików do demakijażu rozrzuconych po stole, brudnych staników i majtek wepchniętych pod łóżko czy czasopism zaścielających podłogę. Myślałam, że jeśli to zrobię, a ona nigdy się nie obudzi, będę potem żałowała, że usunęłam wszelkie ślady jej osobowości. Teraz wydaje mi się to absurdalne, ale wtedy byłam w szoku. Inaczej zauważyłabym na pewno, że w foliowej torebce z rzeczami Charlotte, którą wręczyła mi pielęgniarka, brakuje telefonu. Torebka zawierała wszystkie rzeczy, które zwykle z sobą nosiła – portfel, klucze, kosmetyki i szczotkę do włosów – ale nie telefon? Dlaczego? Jak ogromna większość nastolatków praktycznie nigdy się z nim nie rozstawała.

Trzy tygodnie po wypadku otrząsnęłam się w końcu z szoku, postanowiłam posprzątać jej pokój. Teraz nie postrzegałam już tego bałaganu jako oznaki normalności, lecz jako swego rodzaju grobowiec. A przecież moja córka nie umarła, była jedynie chora, powinnam więc posprzątać przed jej powrotem. Wtedy właśnie znalazłam pamiętnik.

Otwieram szafę i grzebię w kieszeniach jej ubrań. Jest tam kilka rzeczy, których nigdy

dotąd nie widziałam – kurtka Vivienne Westwood i elegancka sukienka z metką VB. Wpatruję się w nią przez chwilę. Skąd Charlotte ma sukienkę Victorii Beckham? Przesuwam ją na bok i sięgam do kieszeni dzinsów Diesel. Przy najbliższej okazji będę musiała poważnie porozmawiać z Olim.

Zamykam drzwi szafy. Kierowca autobusu nie wspominał o telefonie komórkowym, podobnie jak żaden ze świadków wypadku, a policja natychmiast otoczyła to miejsce taśmą, więc gdyby leżał w pobliżu, ktoś na pewno by go zauważył. Musi więc być gdzieś w domu.

Charlotte gdzieś go celowo schowała. A jeśli tak, to miała coś ważnego do ukrycia.

Otwieram szufladę ze skarpetkami i przeglądam dokładnie jej zawartość. Nic. Przechyliłam pudełko z jakimiś papierami ze szkoły i zaglądam do środka. Tu też nic. Nie schowała go też w butach ani za książkami w biblioteczce. Przeszukuję pokój przez piętnaście, dwadzieścia minut, zaglądam do wszystkich szuflad, toreb i pudełek, ale telefonu nigdzie nie ma.

Więc gdzie jest?

Sięgam pod poduszkę, po jej pamiętnik, i przerzucam strony. Czytałam go już dziesięć, może dwadzieścia razy, a wciąż nie wiem, jakaż to tajemnica tak okropnie jej ciążyła. Pisała w pamiętniku o różnych zmartwieniach – o wyimaginowanej nadwadze, o obawach, jakie budziła w niej utrata dziewictwa z Liamem, o egzaminach i rozterkach związanych z wyborem przyszłej kariery zawodowej – ale żadna z tych spraw nie była tak ważna i przytłaczająca, by mogła pchnąć ją do próby samobójstwa.

Zamykam dziennik i chowam go z powrotem pod poduszkę. Tu nie znajdę żadnych odpowiedzi – może będzie miał je Liam.

White Street jest kompletnie pusta, tylko jakiś rudawy kot syczy na mnie i Milly gniewnie, gdy przechodzimy obok. Byłam przed domem Liama dziesiątki razy, ale prawie nigdy nie wchodziłam do środka. Zwykle siedzę w samochodzie i czekam, aż Charlotte go przyprowadzi, a potem wiozę ich na kręgle albo do kina. Nigdy nie została u niego na noc, a Liam nigdy nie nocował u nas, ale powiedziałam Charlotte, że jeśli po ukończeniu szesnastu lat nadal będzie z nim, zaprowadzę ją do lekarza, by przepisał jej odpowiednie środki. Potem, kiedy będzie już zabezpieczona, któregoś wieczoru wyjdziemy gdzieś z ojcem, a oni będą mieli dom tylko dla siebie. Wydawało mi się, że to całkiem rozsądne rozwiązanie (albo „absurdalnie liberalne”, jak twierdził Brian), ale Charlotte powiedziała, że to „najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszała”, i że jeśli będzie chciała, by jej rodzice wiedzieli, kiedy się kocha ze swoim facetem, ogłosi to w miejscowej gazecie.

Otwieram bramkę przed niebieskim domem pod numerem pięćdziesiąt pięć. Ogród wygląda ślicznie – grządki mienią się feerią barw, nie widać tam ani jednego chwastu. Claire, mama Liama, musi poświęcać kwiatom wiele pracy. Chciałabym mieć taką rękę do roślin jak ona.

Podchodzę do drzwi i pukam lekko. Zasłony w salonie są zasunięte, widzę jednak sylwetkę poruszającą się w głębi pokoju. Pukam ponownie, tym razem mocniej, i uważnie obserwuję zasłony. Chwilę później rozchylają się lekko, wyziera zza nich para jasnoniebieskich oczu, które natychmiast kryją się ponownie w półmroku. Słyszę

skrzywienie drewnianej podłogi, aż w końcu otwierają się drzwi frontowe. Przede mną stoi Liam Hutchinson, siedemnastoletni chłopak Charlotte, ubrany jedynie w granatowe prążkowane bokserki. Wydaje się zakłopotany, więc uśmiecham się do niego ciepło.

– Cześć, Liam.

– Dzień dobry, pani Jackson – odpowiada, kiwając głową.

– Mogę wejść? Chciałabym zamienić z tobą parę słów.

Czuję się dziwnie, siedząc w salonie Hutchinsonów. Nie byłam tu nigdy wcześniej, więc rozglądam się dokoła, zaciekawiona, patrzę na niezwykle litografie na ścianach, na dobrane kolorystycznie poduszki ozdobne i wielki, zapewne drogi koc przed autentycznym wiktoriańskim kominkiem. Liam siedzi rozparty na sofie po drugiej stronie pokoju. Jeśli i jemu ta sytuacja wydaje się dziwna, to nie daje tego po sobie znać. Siedzimy tu już od kilku minut i zerkamy na siebie w milczeniu. Po drodze zastanawiałam się, od czego tę rozmowę zacząć, teraz jednak mam pustkę w głowie.

– No więc... – odzywam się w końcu. – Pewnie zastanawiasz się, po co tu przyszłam.

Wzrusza ramionami.

– Z powodu Charlotte?

– Tak. Odwiedzałeś ją? To dziwne, że jeszcze nie spotkaliśmy się w szpitalu.

– Nie. – Zaczyna skubać kremowo-złote nakrycie na sofie, wyciąga metaliczne nici i rzuca je na podłogę. Jego matka wpadnie w szal, kiedy wróci do domu. – Nie byłem u niej. Myślałem, że i tak mnie nie wpuszczą.

– Naprawdę? – Pochyliłam się do przodu. – Bo nie jesteś krewnym? To nie ma znaczenia. Chorych mogą odwiedzać krewni i przyjaciele. – Uśmiecham się do niego ciepło. – Ty jesteś kimś więcej niż przyjacielem.

Poprawia się niepewnie na krześle.

– Nie, nie jestem.

– No dobrze, jesteś jej chłopakiem.

– Nie, nie jestem.

Marszczę brwi, pewna, że się przesłyszałam.

– Słucham? Wydawało mi się, że powiedziałaś właśnie...

– Nie chodzimy już z sobą. – Odwraca wzrok, jakby zawstydzony. – Charlotte mnie rzuciła.

Nie mogę w to uwierzyć. Charlotte z nim zerwała? Charlotte? Dotąd byłam pewna, że jeśli ktoś zrezygnuje z tego związku, to Liam. Charlotte go uwielbiała. Był wysoki, śniady i przystojny, a do tego grał w zespole, więc omal nie zemdląła z wrażenia, kiedy rok temu jeden z jego przyjaciół podszedł do niej w szkolnej stołówce i powiedział, że podoba się Liamowi.

Nie okazywała w żaden sposób, że coś niedobrego dzieje się w ich związku, choć... Odwracam wzrok od Liama, spoglądam na zegar stojący na kominku, wsłuchuję się w miarowe tykanie i... cofam się w czasie.

Trzy tygodnie przed wypadkiem, w sobotnie popołudnie, Charlotte wraca właśnie z miasta. Siedzę w salonie i czytam. Słyszac, jak otwiera drzwi ganku, pytam głośno, czy coś kupiła, ale nie otrzymuję żadnej odpowiedzi. Nie odzywam się więcej, ale uważnie

obserwuję otwarte drzwi salonu. Sekundę później Charlotte wchodzi na schody, błada jak ściana. Wołam za nią, pytam, czy dobrze się czuje, ale odpowiada mi tylko trzask zamykanych drzwi łazienki. Podnoszę się niepewnie z sofy, nie wiem, co robić. Charlotte nie lubi czułości, szczególnie gdy jest zdenerwowana. Nie pozwala mi się przytulać, wzdryga się, gdy choćby pogłaszczę ją po ramieniu. Jest zestresowana, jak wszystkie dzieciaki w tym wieku. Wystarczy postać przez kilka minut przy wyjściu ze szkoły, żeby się o tym przekonać. Egzaminy gimnazjalne zbliżają się wielkimi krokami, nauka zajmuje coraz więcej czasu. Charlotte musiała nawet iść do szkoły w czasie przerwy semestralnej i prosić o pomoc nauczyciela, bo inaczej nie wyrobiłaby się ze wszystkim na czas. Opadam z powrotem na sofę. Ostatnio znów dręczą mnie koszmary, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest kłótnia z córką. Sięgam po książkę i uspokajam się myślą, że w razie czego Charlotte wie przecież, gdzie mnie znaleźć.

– Rozeszliście się w sobotę? – pytam Liama. – Jakies dziewięć tygodni temu?

Przeciąga dłonią po twarzy.

– Nie, to było... – milknie na chwilę, zmagając się z emocjami. – Zerwała ze mną dzień przed wypadkiem.

– Dlaczego? – Pochyliam się do przodu, zaciskam mocno dłonie na kolanach. Dlaczego nie skontaktowałam się z nim wcześniej? Czuję się tak, jakbym od czasu wypadku Charlotte – nie, dłużej – chodziła we śnie i dopiero teraz się z niego budziła. Na pewno próbowała popełnić samobójstwo, bo rozeszła się z chłopakiem. W tym wieku złamane serce boli najbardziej. Wydaje ci się, że cierpienie cię zniszczy, że nigdy już nie będziesz kochać ani nie będziesz kochana. Ale nie napisała o tym w pamiętniku...

Liam wstaje, przechodzi przez pokój i podnosi gitarę ze stojaka przy biblioteczce. Potem znów siada i trąca palcami struny. Wydaje się, że całkiem zapomniał o mojej obecności.

– Dlaczego Charlotte z tobą zerwała? – pytam. – Jak ona się czuła?

Patrzy na mnie z konsternacją. Milczy.

– Jak się czuła, kiedy z tobą zrywała?

Kręci głową.

– Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

– Słucham?

Spogląda ponownie na gitarę, jeszcze raz uderza kilkakrotnie w struny, po czym wygłusza je dłonią i patrzy na mnie.

– Zerwała ze mną SMS-em.

Wyczuwam, że nie chce o tym rozmawiać. Chce, żebym sobie już poszła. Ale nie mogę.

– Co napisała w tym SMS-ie? Jeśli wolno zapytać, oczywiście...

– Niewiele. – Sięga za siebie, a Milly podrywa się na równe nogi, gdy mały plastikowy obiekt przelatuje nad podłogą i ląduje obok mnie na sofie. Telefon. Spoglądam na Liama, pytając w ten sposób, czy mogę do niego zajrzeć. Kiwa głową, a potem ponownie opuszcza wzrok na gitarę.

Otwarta wiadomość od Charlotte. Czytam ją i spoglądam na Liama ze zdumieniem.

– To wszystko?

Ponownie kiwa głową.

Patrzę jeszcze raz na wiadomość.

*Między nami skończone, Liam. Jeśli mnie kochasz, nie kontaktuj się ze mną nigdy więcej.*

– Pytałeś dlaczego?

Liam nie odpowiada. Wpatruje się w podłogę i tupie miarowo stopą.

– Liam?

– Co? – Nie podnosi wzroku.

– Kontaktowałeś się z nią?

– Oczywiście. – Podnosi się, jakby chciał odłożyć gitarę na podłogę, potem jednak zmienia zdanie i tuli ją do siebie. – To chyba normalne, że kiedy na człowieka spada taka wiadomość jak grom z jasnego nieba, to chce zadzwonić i zapytać, co się dzieje, do kurwy nędzy, prawda? Zwłaszcza jeśli ciągle kocha się tego kogoś.

Milly posapuje u moich stóp.

– I co powiedziała Charlotte?

– Nic. – Liam spogląda na mnie beznamytnie, jakby nagle opadł z sił. – Nie odbierała. Pisałem do niej SMS-y, ale nie odpowiedziała na żaden. – Kręci głową. – Wiem, że to pani córka, ale nie zasłużyłem sobie na to, pani Jackson. Nie zasłużyłem na to, żeby ktoś zrywał ze mną SMS-em bez słowa wyjaśnienia, a potem kompletnie mnie ignorował.

Jestem rozdarta. Chcę podejść do Liama i wziąć go w ramiona, ukoić w bólu. Chcę spytać, czy się kłócili, czy zrobił coś, co sprawiło, że Charlotte zerwała z nim w tak bezceremonialny sposób. Ale tego nie robię. Chłopak wydaje się bliski płaczu, a ja nie chcę denerwować go jeszcze bardziej. Nie mogę tego zrobić, jeśli chcę, by jeszcze kiedykolwiek ze mną rozmawiał. Wstaję i pociągam za smycz, a Milly posłusznie podnosi się z podłogi.

– Przykro mi, Liam – mówię. – Nie miałam pojęcia. Charlotte nie wspomniała o tym ani słowem.

Wzdycha ciężko, po czym zakłada ręce na piersiach i odwraca wzrok. Rozmowa zakończona.

Dopiero w połowie drogi powrotnej do domu uświadamiam sobie, że nie poruszyłam kwestii, która sprowadziła mnie na White Street. Kwestii seksu. Nie mogę teraz wrócić i znów zapukać do jego drzwi, nie po tym, co mi powiedział. Nie wiem, co skłoniło Charlotte do tak radykalnego kroku, czuję jednak, że było to okrutne, nawet jak na nastolatkę. Może jednak Liam zasłużył sobie na to, co go spotkało? Czasami trzeba uciekać ze związku skrycie, jak najszybciej.

– Jesteśmy, Milly – mówię, wkładając klucz do zamka i otwierając drzwi ganku. – Znów w domu. Znów w...

Głos więźnie mi w gardle. Na wycieracze leży pocztówka odwrócona obrazkiem do góry. Zaczynam drżeć, gdy schylam się po nią.

– Przestań, Sue – przykazuję sobie głośno. – Nie przesadzaj, to tylko pocztówka.

Jednak gdy tylko obracam ją w dłoniach i czytam, co jest napisane po drugiej stronie, robi mi się słabo. Świat zasnuwa mgłą, chwytam się mocno futryny i mrugam oczami, próbując przegnać sprzed nich coraz liczniejsze białe plamy, ale wiem, że już za późno. Zaraz zemdleję.

Piątek, 12 października 1990

Minęły już prawie dwa tygodnie, odkąd James powiedział mi, że mnie kocha, a wciąż u niego nie byłam. Wiem tylko, że mieszka w segmencie z trzema sypialniami w pobliżu Wood Green. Hels się martwi. Uważa, że facet, który po sześciu tygodniach znajomości nie pokazał ci jeszcze swojego domu, ma coś do ukrycia. Powiedziałam jej, że mnie to nie przeszkadza – że sypianie w hotelach jest ekscytujące, a jeśli śpimy u mnie, to przynajmniej nie muszę nigdzie wracać, ale Hels wie, że to bzdury. Nie tak łatwo kłamać w żywe oczy komuś, z kim przyjaźni się pół życia.

– Nie przyszło ci do głowy, że on może być żonaty? – spytała mnie pewnego dnia przy lunchu.

Odpowiedziałam, że przyszło, ale na serdecznym palcu Jamesa nie było żadnego śladu po obrączce, nigdy też nie wygadał się przypadkiem o żonie czy dzieciach. Nie wspominał nawet o byłych dziewczynach. Ja powiedziałam mu wszystko o Nathanie, a także o Rupercie i o tym, że pieprzyliśmy się po pijaku na imprezie, zanim jeszcze zszedł się dzięki mnie z Hels, ale on nigdy nie wymienił choćby imienia żadnej kobiety. Helen uważała, że to dziwne – że milczy, bo najwyraźniej coś ukrywa. Tłumaczyłam jej, że niektórzy ludzie są skryci i nie lubią rozmawiać o przeszłości.

– Więc o co chodzi? – mówiła. – Jest gangsterem? Uciekł z więzienia? – Obie parsknęłyśmy śmiechem. – A może ciągle mieszka z mamą i tatą?

Przestałam się śmiać. Ta sugestia wcale nie była tak absurdalna, jak mogło się wydawać. James rzeczywiście wychodził ode mnie o przedziwnych porach, twierdząc, że ma „sprawy do załatwienia” i „rzeczy do uporządkowania”, i choćbym nie wiem jak uparcie go wypytywała, zbywał mnie i mówił, że to wyjątkowo nudne i na pewno nie byłabym zainteresowana.

– Żonaty, bez dwóch zdań – orzekła Hels, kiedy podzieliłam się z nią tymi spostrzeżeniami. – Inaczej nie wychodziłby tak nagle i nie wymigiwał się od odpowiedzi.

Przed powrotem do pracy kazała mi przysiąc, że przestanę „się certolić” i zagrozę Jamesowi, że z nim zerwę, jeśli nie pokaże mi swojego mieszkania. Nie byłam pewna, czy stawianie takiego ultimatum to dobry pomysł, ale obiecałam, że nazajutrz przy kolacji z Jamesem poruszę ten temat.

Jestem pewna, że za dziwnym zachowaniem Jamesa nie kryje się nic strasznego i wkrótce wszystko się wyjaśni. Więc dlaczego tak źle się z tym czuję?



Przytomnieję na podłodze ganku. Pod jednym policzkiem czuję zimną płytkę, drugi jest dziwnie wilgotny. Podnoszę wzrok i widzę Milly, która stoi nade mną i wpatruje się w pustą psią miskę w rogu ganku, a z jej języka skapuje ślina. Wyczuwa, że na nią patrzę, i uśmiecha się do mnie psim uśmiechem, a potem z zapałem liże mnie po policzku.

– Cześć, Milly Moo.

Podnoszę się powoli do pozycji siedzącej i sprawdzam, czy nic mi się nie stało. Chyba niczego sobie nie zламаłam, ale sądząc po bólu w lewej skroni, będę tam miała potężnego siniaka. Przez sekundę jestem przekonana, że się potknęłam i upadłam, ale potem dostrzegam na podłodze pocztówkę i wszystko sobie przypominam. Zdjęcie przedstawia Jamesa Stewarta siedzącego na schodku i uśmiechającego się głupio, a na ścianie za jego plecami widać cień olbrzymiego królika. To kadr z filmu *Harvey*. Właściwie można by to uznać za niewinny żart, pozdrowienia od jakiejś przyjaciółki, tyle że po drugiej stronie nie ma żadnego tekstu, nie ma nawet imienia i nazwiska adresata. Jest tylko znaczek z pieczętką urzędu w Brighton i adres – mój adres.

Nie, nie chodzi tu wcale o to, że ktoś zapomniał napisać na kartce wiadomość i przez pomyłkę wrzucił ją wraz z innymi listami do skrzynki pocztowej. Na pewno tak wytłumaczyłby to Brian, gdybym podzieliła się z nim moimi obawami. Spojrzyłby na mnie znacząco, jakby chciał powiedzieć: „Znów zaczynasz się wygłupiać, tak?”, a potem wyrzuciłby pocztówkę do kosza i przekonywał mnie, że nie ma się czego obawiać. Ale to nieprawda. *Harvey* był ulubionym filmem Jamesa. Sama już nie wiem, ile razy oglądaliśmy go razem.

Milly podnosi nerwowo głowę, gdy kopniakiem posyłam kartkę pod półkę na buty. Może kiedy zniknie mi z oczu, nie będę o niej myśleć. Może uda mi się zignorować fakt, że dwadzieścia lat po tym, jak od niego odeszłam, James w końcu mnie wytropił.

Staram się, jak mogę, zapomnieć o pocztówce, ale równie dobrze mogłabym próbować zapomnieć, jak się oddycha. Gdy tylko mój umysł chce na chwilę odpocząć, gdy jest wolny od myśli o Charlotte, Brianie i o tym, co mam ugotować na obiad, wraca na ganek, zagląda pod półkę z butami i wyciąga pocztówkę. Bez względu na to, gdzie jestem, przesładuje mnie z tego mrocznego, zakurzonego zakątka. Chcę odwiedzić Charlotte, ale jestem zbyt przerażona, by wyjść z domu. A jeśli James już na mnie czeka? Jeśli obserwował dom, to wie, że jestem sama. Na szczęście wszystkie drzwi i okna są zamknięte – sprawdzałam trzy razy – więc nie może dostać się do środka. W dłoni wciąż trzymam komórkę, z której w każdej chwili mogę zadzwonić na policję.

Nie zdążę jednak zadzwonić, jeśli wyjdę z domu, a James mnie zaatakuje. Jeśli chowa się

za krzakiem przy drzwiach, może dopaść mnie, gdy będę wsiadała do samochodu, może też czekać w swoim samochodzie na ulicy, pojechać za mną do szpitala i zaatakować Charlotte. Nie minęła jeszcze doba, odkąd widziałam ją po raz ostatni, a już dręczą mnie wyrzuty sumienia i strach, bo nie odwiedziłam jej dzisiaj. A jeśli podświadomie wyczuwa jakoś, że u niej nie byłam, i ukrywa się jeszcze głębiej w śpiączce? A jeśli się wybudzi, a mnie tam nie będzie? A jeśli umrze?

Przez następne dwie godziny nie wiem, co z sobą zrobić. Podskakuję, gdy zadzwoni telefon albo gdy wiatr uderzy w okno. Kiedy w końcu słyszę pukanie do drzwi, biegnę do gabinetu Briana i wyglądam ukradkiem zza zasłony. To tylko elektryk z rachunkiem. Ogarnia mnie gniew. Pozwalam, by wspomnienie Jamesa mnie prześladowało, by kierowało moim zachowaniem, by powstrzymywało mnie od odwiedzenia córki. Nie jestem „Suzy-Sue” – nie jestem nią od bardzo długiego czasu. Teraz mam czterdzieści trzy lata i ani chwili dłużej nie będę trząść się ze strachu we własnym domu.

Wracam na dół, wyciągam kartkę spod półki szczypcami do węgla i palę ją w kominku w salonie. Siadam na sofie i patrzę, jak płomienie liżą krawędzie pocztówki, tańczą na uśmiechu Jamesa Stewarta, a potem go pochłaniają. Kiedy już całość zamienia się w popiół, zgarniam go na szufelkę.

Wysypuję popiół do kosza i przychodzi mi do głowy pewna myśl. A jeśli ta kartka przeznaczona była dla Olego? Jeśli wysłali ją jego przyjaciele z uczelni, którzy byli zbyt pijani lub zbyt upaleni, by zauważyć, że zapomnieli napisać jego imienia? A jeśli zapyta mnie, co się z nią stało? Jeśli powiem mu prawdę, wyjdę na wariatkę. Drżącymi rękami sięgam po kluczyki do samochodu i opieram się o stół. Opuszczam głowę i oddycham powoli – wdech, jeden, dwa, trzy, wydech. I znów wdech, jeden, dwa, trzy, wydech. Muszę zachować spokój. Muszę myśleć logicznie, inaczej czeka mnie kolejny „epizod”. Tak to się właśnie zaczyna, tak zamieniam się z normalnej, rozsądnej Sue w obłąkaną neurotyczkę, która poddaje się myślom w rodzaju „Lepiej zamknę Charlotte na weekend, bo Brian wyjechał na konferencję, a w wiadomościach mówili, że niedaleko stąd porwano dziecko”. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy.

Powoli mój oddech wraca do normy.

Po powrocie ze szpitala jestem spokojniejsza i zadowolona. Poczułam się lepiej, gdy tylko weszłam do jej sali i zobaczyłam, że żyje, jest bezpieczna i otoczona troskliwą opieką. Jej stan nie uległ zmianie, a pielęgniarki zapewniły mnie, że od mojej wczorajszej wizyty nie miała żadnych gości. Nie ma powodów, by przypuszczać, że James mnie znalazł. Pusta kartka to po prostu pusta kartka, nic więcej. Pomyłka nadawcy albo listonosza. Od wypadku Charlotte bardzo źle sypiam. Nocami nie mogę zasnąć, bez ustanku myślę o tym, dlaczego to zrobiła. Nic dziwnego, że czasami tracę zdrowy rozsądek.

Po raz drugi tego dnia przypinam smycz do obroży Milly i wyprowadzam ją z domu. Cieszy się, że znów jest na świeżym powietrzu. Zwykle wyprowadzamy ją tylko rano i późnym wieczorem, więc popołudniowy spacer w wiosennym słońcu to dla niej miła niespodzianka.

Otwiera mi Judy, mama Elli, która na mój widok marszczy brwi.

– Sue?

Uśmiecham się wymuszenie.

– Cześć, Judy, co u ciebie?

– W porządku.

Czekam, aż zapyta, z czym przyszedłam, ale ona mierzy mnie powolnym badawczym spojrzeniem. Zaczyna od włosów z szarymi odrostami, zatrzymuje się na moment przy zmarszczkach i ciemnych obwódkach pod pozbawionymi makijażu oczami, spogląda na mój najlepszy płaszcz z M&S i kończy na wygodnych wsuwanych butach Clarks. Kiedyś byliśmy dobrymi przyjaciółkami, pokłóciłyśmy się jednak, gdy na trzynaste urodziny Elli zabrała obie dziewczynki na przekłuwanie uszu, nie uzgodniwszy tego wcześniej ze mną. Być może zareagowałam wtedy nieco zbyt gwałtownie, ale obie powiedziałyśmy sobie parę naprawdę nieprzyjemnych słów, a czas na pojednanie dawno już minął.

– To świetnie – mówię pogodnym tonem, choć tak naprawdę mam ochotę trzepnąć ją w ten zadarty, wysmarowany kremem nos. – Jest może Ella?

– Ella? – powtarza ze zdziwieniem.

– Tak. Chciałabym porozmawiać z nią o Charlotte. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Judy mruży oczy i na ułamek sekundy na jej twarzy pojawia się coś, co można by uznać za wyraz współczucia. Na pewno słyszała o wypadku.

– Dobrze – mówi po chwili. – Ale niedługo, Ella musi się uczyć do egzaminów.

Odwraca się w głąb korytarza, ciągnąc za sobą drzwi i niemal całkiem je zamykając, po czym woła córkę. Usłyszawszy jakąś przytłumioną odpowiedź, zamyka mi drzwi przed nosem. Po chwili drzwi uchylają się ponownie, lecz tym razem wygląda zza nich Ella.

– Cześć – mówi, patrząc na mnie podejrzliwie, jak jej matka.

– Cześć, Ella – odpowiadam i uśmiecham się przy tym tak szeroko, że aż boli mnie twarz. – Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy przez chwilę pogadać. O Charlotte.

Jej twarz natychmiast się zmienia, podejrzliwość zastępuje gniew.

– Niby dlaczego miałabym to robić? – pyta.

Najpierw Liam, teraz Ella. Samo imię moje córki budzi w innych złość i niechęć. To nie ma sensu. Kiedy na początku tego roku szkolnego ich klasa przygotowała księgę pamiątkową i prognozowała, gdzie każdy z nich będzie za pięć lat, Charlotte uznano za „dziewczynę, z którą wszyscy będą utrzymywać kontakt” i „dziewczynę, która ma największe szanse na odniesienie sukcesu”.

– Bo jesteście przyjaciółkami – odpowiadam. – Chyba że... – Przyglądam się uważnie jej twarzy. – Chyba że już nie jesteście.

Ella podnosi wąskie, pociągnięte kredką brwi.

– Zgadza się.

– Rozumiem. – Milknę i zastanawiam się, jak dalej poprowadzić tę rozmowę. Sądząc po jej zaciętej minie, Ella wcale nie ma na to ochoty, może jednak...

– Charlotte nadal jest w śpiączce – mówię.

– Wiem. – Ponownie podnosi brwi, ale zdradza ją błysk w oku. Jest ciekawa. Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o swojej byłej przyjaciółce.

– Oddycha już sama. Nadal podają jej tlen przez maskę, ale jej płuca są coraz silniejsze,

a to dobry znak.

Ella milczy.

– Próbowaliśmy już wszystkiego, żeby ją obudzić – kontynuuję. – Mówiłam jej o rodzinie i o tym, co robimy. Brian czyta jej artykuły z gazet...

– Ohyda. Normalnie by tego nie zniosła.

– To prawda – odpowiadam, rozbawiona jej reakcją. – Proponowałam, żeby zamiast tego czytał jej magazyn „Heat”, ale jakoś nie chciał. Chyba nie jest aż takim fanem plotek o celebrytach jak Charlotte.

Ella znów się krzywi, jakby wyobrażenie mojego męża czytającego „Heat” budziło w niej odrazę.

– Tak czy inaczej – mówię dalej – Oli wpadł na pomysł, żebyśmy puszczali Charlotte jej ulubione piosenki. Mówił, że widział to na filmach i że czasami ludzie wybudzają się dzięki temu ze śpiączki.

Ella rozpromienia się na wzmiankę o moim pasierbie. Do niedawna ona i Charlotte chodziły za Olim i Dannym jak cienie. Podejrzewam, że mogły się w nich podkochać.

– Tak?

– Tak – kiwam głową. – Więc zastanawiałam się, czy mogłabyś mi pomóc. Nie mam pojęcia, co lubiła Charlotte.

– *Someone Like You* Adele.

– Świetnie. – Słyszałam nawet tę piosenkę. Ciągle puszczają ją w radiu. – Coś jeszcze?

Wzrusza ramionami.

– To jej ulubiony kawałek, ale lubi jeszcze *I Love the Way You Lie* Rihanny i Eminema, *Money* Jessie J. i *Born This Way* Lady Gagi. Tańczyłyśmy do tego w moim pokoju przed wyjściem do Breeze, tego klubu dla nastolatków – dodaje.

Jej zachowanie zmienia się nagle. Nie jest już młodą kobietą, która opiera się o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wyzywającą miną. Przypomina raczej pięciolatkę, którą zastałam z Charlotte na placu zabaw po ich pierwszym dniu w szkole.

– Mogłabyś ją odwiedzić – mówię cicho. – Gdybyś tylko chciała. Mogłabym podwieźć się do szpitala. Charlotte na pewno byłaby ci wdzięczna.

– Nie, nie byłaby.

Twarz Elli znów wykrzywia gniewny grymas, który przegonił z niej wszelkie ślady czułości i wrażliwości.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie byłaby i już.

– Chodzi o Keishę? – ryzykuję, wyraźnie zaskakując tym Ellę. – Dlatego jesteś na nią zła?

– To nie moja sprawa, z kim kumpluje się Charlotte. Może robić, co chce.

– Ale jesteś jej najlepszą przyjaciółką. Na pewno...

– Nie jestem.

– Nie? – udaję zdziwienie. – Co się stało?

Ella zaciska zęby.

– Nic.

– Ale przecież coś musiało...

– Nic się nie stało i już! Proszę zostawić mnie w spokoju i nie pytać więcej...

W drzwiach pojawia się Judy, zaniepokojona podniesionym głosem córki.

– Ella, wszystko w porządku?

– Nie. – Dziewczyna krzywi twarz w teatralnym grymasie cierpienia. – Sue mnie dręczy, aja nie zrobiłam nic złego, mamó. Ja tylko...

– Dręczysz moją córkę? – Judy próbuje zmarszczyć brwi, ale utrudnia jej to zbyt dużo wstrzykniętego pod skórę botoksu.

– Nie! – odpowiadam, nie mogąc powstrzymać śmiechu. – Oczywiście, że nie. Pytam tylko, dlaczego Ella i Charlotte nie są już najlepszymi przyjaciółkami.

– I...?

– Ella twierdzi, że nic się nie stało.

Judy zerka na swoją córkę, która wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Tak właśnie mówiłam”.

– Jeśli Ella mówi, że nic się nie stało, to nic się nie stało – oświadcza Judy, patrząc na mnie.

– Ale to niemożliwe. Przecież były najlepszymi przyjaciółkami, odkąd...

– Nic się nie stało! – wrzeszczy na mnie Ella. – Jasne?! Po prostu przestałyśmy się przyjaźnić. – Spogląda na swoją matkę. – Nie chcę już więcej o tym mówić.

– W porządku, kochanie. – Judy kładzie wypielegnowaną dłoń na ramieniu córki. – Wracaj do swojego pokoju i...

– Proszę – mówię błagalnym tonem. – Judy, proszę. Muszę wiedzieć, co się stało. To może pomóc Charlotte. Wiedziałaś, że zerwała z Liamem albo że...

– Mamó... – Ella ponownie podnosi wzrok na swoją matkę. – Mamó, muszę wracać do nauki.

– Dobrze, kochanie, idź...

– Proszę. – Łapię Ellę za rękę. – Proszę. Musisz mi pomóc.

– Zabieraj łapy od mojej córki! – Czuję bolesne ukłucie na przedramieniu, a na mojej skórze pojawiają się cztery głębokie ślady znaczące miejsce, w które Judy wbiła swoje sztuczne paznokcie. – Ale już!

Zszokowana, natychmiast puszczam rękę Elli.

– Dzięki, mamó. – Dziewczyna uśmiecha się z satysfakcją i znika we wnętrzu domu.

– Chciałabym, żebyś już sobie poszła, Sue – mówi Judy wyważonym tonem.

– Posłuchaj, przepraszam, jeśli przesadziłam, ale...

– Idź już. – Cofa się do korytarza i zaczyna zamykać drzwi.

Próbuję ją powstrzymać, kładę dłoń na drzwiach i pcham je w drugą stronę.

– Nie, Judy, czekaj, posłuchaj mnie!

– Nie! To ty posłuchaj! – Drzwi otwierają się ponownie. – Przykro mi z powodu tego, co spotkało Charlotte, naprawdę, ale to nie moja wina i na pewno nie Elli. Może powinnaś szukać winnych bliżej swojego domu.

Stoję na progu i rozdziawiam usta ze zdumienia – nie tylko dlatego, że Judy właśnie zamknęła mi drzwi przed nosem.

Niedziela, 14 października 1990

Dziś wieczorem po raz pierwszy pokłóciłam się z Jamesem. Wraz z resztą zespołu teatralnego wpadł do baru, jak zawsze w niedzielę po próbie, i zajął swoje ulubione miejsce przy końcu kontuaru. Przywitałam się z nim, dałam mu kufel piwa i buziaka, a potem zajęłam się pracą, jak zawsze – przez chwilę przekomarzałam się z Maggie i Jakiem, plotkowałam z Kate i nabijałam się ze Steve'a – czułam jednak, że dzieje się coś niedobrego. Zerkając co jakiś czas na Jamesa i zauważyłam, że nie czyta jak zwykle scenariusza lub książki, tylko patrzy na mnie z kwaśną miną. Uśmiechnęłam się do niego, a potem wykrzywiłam twarz w komicznym grymasie. Kiedy i to nie pomogło, w wolnej chwili podeszłam do niego, by spytać, co się stało.

– Ty wiesz – powiedział.

– Co wiem?

– Nie muszę ci mówić, bo już wiesz.

– Gdybym wiedziała, nie pytałabym ciebie!

Wzruszył ramionami, jakbym była idiotką, a ja, wkurzona, poszłam obsłużyć kogoś innego.

Po chwili spojrzałam w tamtą stronę. Jamesa już nie było. Spytałam pozostałych, czy w czasie prób miał kiepski humor. Wcale nie, mówili. Był w doskonałym nastroju, niemal tańczył na scenie.

– Ktoś tu jest chyba zakochany. – Maggie puściła do mnie oko.

Ja też tak myślałam, bo rano był wyjątkowo czuły, kochaliśmy się dwa razy, zanim wypuścił mnie z łóżka. Powiedział nawet „wkrótce”, gdy spytałam, kiedy spędzimy wieczór u niego.

Więc co się zmieniło?

Nie mogłam się doczekać końca pracy. W końcu wsadziłam wszystkie naczynia do zmywarki, wytarłam stoliki i popędziłam do domu, żeby zadzwonić do Jamesa. Odebrał dopiero po ósmym dzwonku.

– Halo – powiedział głosem wyzutym z emocji.

– James, tu Suzy.

– Cześć, Susan.

To zabolalo. Nigdy nie zwracał się do mnie pełnym imieniem.

– Dlaczego byłeś na mnie taki zły dziś w barze?

– Dobrze wiesz.

– Właśnie że nie – odparłam, starając się nie okazywać, jak bardzo czuję się dotknięta. – Nie wiem. Dlatego dzwonię, bo chciałabym, żebyś mi powiedział.

– Skoro sama nie wiesz, to nie ma sensu o tym rozmawiać.

– Och, na miłość boską, przestań się wygłupiać. James, powiedz mi, proszę, dlaczego byłeś w takim złym humorze, albo odłożę słuchawkę.

– Proszę bardzo.

– Jak chcesz.

Odłożyłam z trzaskiem słuchawkę i wpatrywałam się w nią ze złością. Czekałam pięć minut, dziesięć, piętnaście. Po dwudziestu nie wytrzymałam i ponownie sięgnęłam po telefon.

– Halo. – Ten sam beznamienny głos po drugiej stronie.

– O co chodzi? Coś powiedziałam? Coś zrobiłam? Rozmawiałam z kimś? – James westchnął, a ja zrozumiałam, że trafiłam w sedno. – Z kim? Ale jeśli jeszcze raz powiesz: „Dobrze wiesz”, już nigdy się do ciebie nie odezwę.

– Steve.

– Steve? Steve MacKensie?

– Tak.

– Byłeś na mnie zły, bo rozmawiałam ze Steve’em MacKensiem? To absurdalne. Dlaczego miałbyś być o niego zazdrosny?

– Nikt nie powiedział, że jestem zazdrosny, Susan.

– Więc dlaczego...

– Flirtowałaś z nim. Widziałem, jak pochylałaś się za barem, żeby mógł zajrzeć ci za dekolt.

– Co?

– Nie próbuj nawet zaprzeczać. Wszyscy to widzieli, a nie pozwolę, żeby kobieta, którą kocham, robiła ze mnie pośmiewisko na oczach innych.

– Nie pozwolisz? Co to, cofnęliśmy się do dziewiętnastego wieku? I wcale z nim nie flirtowałaś, przekomarzaliśmy się tylko, jak zawsze.

– Więc dlatego trzymał nos między twoimi piersiami?

– Ja... – Umilkłam na moment i westchnęłam głęboko. – To absurd, James. Kompletny absurd. Rano leżeliśmy z sobą w łóżku po najlepszym seksie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam, mówiłam ci, jak bardzo cię kocham, a teraz ty oskarżasz mnie o... – Pokręciłam głową z niedowierzaniem. – Nieważne. Jeśli myślisz, że mogłabym poświęcić to, co nas łączy, dla jakiegoś podrzędnego aktorzyzny, to jesteś więcej niż głupcem, jesteś...

– Przełknęłam ciężko i otarłam łzy, które napłynęły mi do oczu. – Nieważne.

Odłożyłam słuchawkę.

Telefon zadzwonił niemal w tej samej chwili. Odczekałam dziewięć dzwonek i dopiero wtedy odebrałam, nie odzywając się jednak ani słowem. James westchnął.

– Przepraszam, Suzy-Sue. Ogromnie cię przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ostatnio miałem sporo rzeczy na głowie. Kilka... spraw osobistych... nad którymi obecnie pracuję i o których jeszcze ci nie mówiłem.

– To nie powód, żeby się na mnie wyżywać.

– Wiem i przepraszam. Nie zasługujesz na to. Wyglądałaś dziś pięknie w tej czerwonej bluzce. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu, dekolt masz naprawdę cudowny, ale wkurzałem się, kiedy inni też się na niego gapili, bo nie mają prawa patrzeć na ciebie jak na kawałek mięsa i...

– Więc nie chcesz już, żebym nosiła dekolty? To właśnie chciałeś powiedzieć?

– Tak. Nie. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Chcę raczej powiedzieć, choć nie bardzo mi to wychodzi, że to było dla mnie oczywiste, że Steve z tobą flirtował, bo wyglądałaś

*fantastycznie, twój dekolt wyglądał fantastycznie, i to mnie złościło – że on widział jedynie twoje ciało. Ja kocham cię nie tylko za wygląd, kocham też kobietę, która kryje się za tym wyglądem.*

*Milczałam. Wciąż próbowałam zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Był chyba zły na Steve'a, a nie na mnie, więc dlaczego czułam się winna, jakbym to ja zachęcała go do czegoś, nosząc nieodpowiednie ubranie albo będąc dla niego zbyt miła?*

*– Suzy...*

*Nadal się nie odzywałam.*

*– Suzy – powtórzył James. – Proszę, nie złość się na mnie. Nie skreślaj mnie.*

*– Nie skreślam cię. Po prostu czasami cię nie rozumiem.*

*– Pozwól mi to naprawić.*

*– Jak?*

*– Zaprowadzę cię do mojego domu. Pokażę ci, gdzie mieszkam.*



## 8

To jeszcze dzieciaki, Sue. Trudno spodziewać się po nich czegoś innego.

– Wiem.

Zanurzam bawełnianą szmatkę w misce z ciepłą wodą przy łóżku, a potem delikatnie ocieram nią czoło Charlotte. Minęły już trzy dni od mojej rozmowy z Liamem i Ellą, ale wciąż nie mogę zapomnieć o tym, co powiedziała mi na koniec Judy.

– Pokaż mi nastolatka, który otwiera się przed dorosłymi, a ja przedstawię cię Świętemu Mikołajowi – dodaje Brian. – No powiedz sama, Sue, czy będąc nastolatką, wyznałabyś swoje tajemnice jakiejś kobiecie w średnim wieku? Ja na pewno bym tego nie zrobił.

– Masz rację. – Spoglądam na Briana i kręcę głową. – Ja też bym tego nie zrobiła. Myślałam tylko, że może otworzą się przede mną ze względu na Charlotte... – Milknę zakłopotana. Żadne z nich nie chciało pomóc naszej córce.

Brian wzrusza ramionami.

– Nie wiem, dlaczego cię to dziwi, Sue. Dzieciaki ciągle się zakochują i odkochują, zmieniają przyjaciół jak rękawiczki. Nastolatki są kapryśne, chyba o tym wiesz?

– Wiem, ale... – Odkładam szmatkę do miski i sięgam po szczotkę Charlotte. – Przyjaźniły się z Ellą od pierwszej klasy. Owszem, sprzeczały się czasem, ale potem zawsze się godziły. A jeśli chodzi o Liama... – Przeciagam szczotką przez długie ciemne włosy Charlotte. – Gotowa była zrobić dla niego wszystko. Uwielbiała go. A teraz mam uwierzyć, że rzuciła go z powodu jakiegoś kaprysu? To nie ma sensu.

Brian zamyka gazetę i kładzie sobie na kolanach.

– Sue...

Nadal szczotkuję włosy Charlotte, wyglądam je dłońmi, by leżały płasko na jej ramionach.

– Sue, spójrz na mnie.

– O co chodzi? – pytam, nie podnosząc wzroku.

– Nie wydaje ci się, że odrobinę... przesadzasz?

– Przesadzam?

– Traktujesz ten wypadek, jakby to był wynik jakiegoś spisku, podczas gdy to był... po prostu wypadek – kończy po krótkiej pauzie. – Straszliwy wypadek, któremu nikt nie mógł zapobiec. Rozumiem, że czujesz się bezradna, bezsilna, bo ja czuję się tak samo, ale oskarżanie przyjaciół Charlotte nie wyrwie jej ze śpiączki.

– Nie rozumiesz... – zaczynam, po czym milknę. Wciąż nie powiedziałam mu o tym, co Charlotte napisała w swoim pamiętniku. Omal nie wyznałam mu tego kilka dni temu, ale wtedy nieoczekiwanie wymknął się z łóżka o szóstej rano. Najpierw myślałam, że poszedł

do toalety, ale gdy nie wrócił po półgodzinie, również wstałam i zaczęłam go szukać. Nie było go w domu, Milly też. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni wyprowadził ją na spacer, nie wspominając już o tym, by robił to, zanim jeszcze zadzwonił jego budzik.

Coś się tu dzieje, a na całym świecie jest tylko jedna osoba, z którą mogę o tym porozmawiać.

Mama siedzi na swoim ulubionym miejscu, przy oknie, w fotelu, który kilka lat temu przykryłam śliczną narzutą Laury Ashley. Nie podnosi wzroku, gdy wchodzę do pokoju.

– Cześć, mamó.

Zsuwam stertę ręczników i pościeli na podłogę i przysiadam na skraju łóżka. Nie ma tu innych miejsc do siedzenia.

Mama w ogóle nie reaguje, stosuję więc inną taktykę.

– Cześć, Elsie. Jak się dziś czujesz?

Tym razem odwraca się do mnie i marszczy brwi skonsternowana.

– Kim jesteś?

Opadają mi ręce. Nie rozpoznaje mnie. Ma lepsze i gorsze dni. Wygląda na to, że ten dzisiejszy zalicza się do gorszych.

– Jestem Sue – odpowiadam. – Twoja córka. Kupiłam ci prezent.

Wręczam jej pudełko rachatlukum, jej ulubionych słodyczy. Odbiera blaszany pojemnik bez słowa, potem jednak ożywia się na widok znajomego obrazka na wieczku.

– Jak się miewasz? – Mam ochotę położyć jej dłoń na kolanie albo w jakiś inny sposób nawiązać kontakt fizyczny, ale boję się, że ją wystraszę.

– Nudzę się trochę – odpowiada, przesuwając dłonią po pudełku. Potem podnosi na mnie wzrok, a w jej jasnoniebieskich oczach pojawia się szelmowski błysk. – Ale przynajmniej żyję.

Cieszę się, że choroba nie pozbawiła jej poczucia humoru. Przynajmniej jeszcze nie. Pamiętam czasy, gdy obawiałam się, że straciłam ją na dobre – gdy mieszkała jeszcze w Yorku i przechodziła najgorszy okres choroby, a ja byłam daleko od niej. Powoli traciła wtedy kontakt z terażniejszością, wciąż jednak była na tyle świadoma, by zrozumieć, co się z nią dzieje. Pamiętam prerażenie w jej głosie, gdy rozmawiałyśmy przez telefon. Terażniejszość była okropna i nieprzewidywalna, przeszłość stanowiła bezpieczną przystań, ale mama nie chciała się poddać, osunąć w otchłań choroby, skąd nie było już powrotu.

Teraz pod pewnymi względami jest jej łatwiej. Stoi oboma stopami w przeszłości, a jej wycieczki do terażniejszości są tak krótkie, że prawie w ogóle ich nie zauważa. Rzadko mnie rozpoznaje, ale kiedy już jej się to zdarzy, jestem w siódmym niebie.

– Możesz powtórzyć, kim jesteś? – Mama zerka na mnie znad okularów, przyciskając pudełko ze słodyczami do piersi.

– Jestem Sue. – Uśmiecham się uspokajająco, próbuję ukoić strach widoczny w jej oczach. – Jestem twoją córką.

– Nie, nie jesteś moją córką. – Jej twarz wykrzywia gniewny grymas. – Dlaczego tak mówisz? Dlaczego jesteś taka okrutna?

– Przepraszam. – Muszę mówić szybko, uspokoić ją, zanim się rozkręci. – Pomyliłam

panią z kimś innym. Moja mama jest do pani bardzo podobna.

– Na pewno jest bystra, co? – mówi mama. – No i ładna. – W jej oczach znów pojawił się szelmowski błysk.

– O tak, jest wyjątkowo inteligentna – odpowiadam. – Nic jej nie umknie. A co do urody... cóż, w 1952 roku została Miss Bognor Butlins, więc na pewno była bardzo ładna. Olśniewająca.

Zamiast się ucieszyć, mama zerka na mnie ze złością.

– Ja zostałam wybrana na Miss Bognor Butlins w 1952.

– Oczywiście, że tak – poprawiam się szybko. Ciągle zapominam, że choć mama często nie wie, jaki jest dzień, doskonale pamięta różne wydarzenia z przeszłości. – Widocznie moja mama została miss rok wcześniej.

Mama milczy, zajęta odwijaniem rachatlukum z folii.

– Mogę pomóc? – Czekam na przyzwalające skinienie głową, a potem zdejmuję folię i otwieram pudełko. Mama wkłada kostkę przysmaku do ust i zamyka oczy uszczęśliwiona. – Kupiłam pani prezent. – Przez chwilę grzebię w torebce i wyciągam stamtąd płytę CD. – To muzyka. Pomyślałam, że przypomni pani wieczorki taneczne z czasów, kiedy była pani młoda.

Mama nie reaguje. Wciąż ma zamknięte oczy. Przechodzę przez pokój i wkładam płytę do małego przenośnego odtwarzacza, który kupiłam jej na Gwiazdkę. Wciskam guzik odtwarzania, czekam, aż powietrze wypełni się dźwiękami kontrabasów i banjo, do których dołącza potem męski głos, po czym siadam ponownie na łóżku. Na twarzy mamy pojawia się uśmiech, jej stopa wystukuje cicho rytm na beżowym dywanie domu opieki.

– *I found a million dollar baby* – śpiewa słabym, zawodzącym głosem – *in a five and ten cent store*.

Siedzę w milczeniu obok niej. Wstrzymuję oddech, gdy otwiera oczy i wpatruje się w róg pokoju, kołysząc głową na boki. To prawdziwie magiczna chwila – mama jest teraz szczęśliwa, zanurzona w pięknych wspomnieniach. Ciekawe, czy tkwi właśnie w objęciach taty, wiruje z nim po parkiecie sali tanecznej. Tato nie żyje od ponad trzydziestu lat, a mama wciąż za nim tęskni. Małżeństwo i rodzina były dla niej wszystkim. Poświęciła życie tacie i mnie. Powiedziała mi kiedyś, że odkąd była małą dziewczynką, marzyła o założeniu rodziny.

Ja byłam taka sama i nie posiadałam się z radości, gdy zaszłam w ciążę z Charlotte. Ledwie zaczęliśmy się starać z Brianem o dziecko, gdy poczułam dziwne mrowienie nad kością łonową. Test ciążowy potwierdził tylko to, czego byłam już niemal pewna. Brian szalał ze szczęścia. Zawsze chciał, by Oli miał braciszka lub siostrzyczkę. Stał się jeszcze bardziej opiekuńczy i przez dziewięć miesięcy nie pozwolił mi nawet ruszyć palcem. Nigdy nie czułam się tak kochana i tak wyróżniona. Miałam dwadzieścia osiem lat, gdy urodziłam Charlotte. Rodzicielstwo podobało nam się obojgu tak bardzo, że pół roku później zaczęliśmy starania o następne dziecko. Jednak szczęście, które dopisało nam za pierwszym razem, teraz nas opuściło. Mijały kolejne miesiące i lata, a lekarze wciąż mówili nam, że nie licząc naszego coraz bardziej zaawansowanego wieku, nie ma żadnego powodu, bym nie mogła znów począć. Po niezliczonych nocnych rozmowach i naradach

doszliśmy do wniosku, że co ma być, to będzie. Skoro pisane nam było zostać rodziną czteroosobową, musieliśmy na tym poprzestać. Marzyłam o kolejnej ciąży, znów chciałam czuć w brzuchu ruchy maleńkiego dziecka, ale gdy w ciągu dwóch lat poroniłam po raz trzeci, poddałam się.

Żadne z nas nie chciało po raz kolejny doświadczać tego cierpienia, więc w dniu piątych urodzin Charlotte pojechaliśmy do miejscowego hodowcy golden retrieverów i z kotłującej się masy mięciutkiej żółtej sierści wybraliśmy Milly. Nasza rodzina była w końcu kompletna.

– Witaj, Susan.

Mama wypowiada moje imię tak cicho, że sama nie wiem, czy się nie przesłyszałam, ale nie – odłożyła pudełko rachatlukum na stół i wpatruje się we mnie swoimi jasnoniebieskimi oczami.

Mam ochotę zerwać się z łóżka i wziąć ją w ramiona. Chcę opowiedzieć jej o wszystkim, co wydarzyło się ostatnio w moim życiu, błagać ją o radę, słuchać z uwagą, czuć znowu, że nade mną czuwa i chroni mnie. Nie ruszam się jednak z miejsca. Biorę ją za rękę. Nie mogę obarczać jej moimi obawami i troskami. To ona potrzebuje teraz troski i ochrony, nie ja.

– Cześć, mamó. – Skóra na jej dłoni jest cienka jak papier, poznaczona starczymi plamami. – Jak się dziś czujesz?

– Staro – odpowiada, poprawiając się na fotelu i zmieniając pozycję, jakby chciała sprawdzić, co ją boli, a co nie. – Co tam u Charlotte i tego twojego przystojnego męża?

Mama zawsze miała słabość do Briana. Między innymi dlatego zdecydowałam się wrócić do niego i wybaczyć mu zdradę.

– U Briana wszystko w porządku – odpowiadam pogodnie, sięgając po kostkę rachatlukum, choć nigdy za nim nie przepadałam. – Ma dużo pracy, jak zawsze. A Charlotte...

Nie mogę powiedzieć jej prawdy. Nie chcę jej denerwować, bo wtedy znów mi ucieknie. A jeśli już nigdy nie wróci z przeszłości? Jeśli w ostatniej chwili pełnej świadomości w moim towarzystwie poczuje tylko smutek i rozczarowanie? Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

– ...Charlotte uczy się do egzaminów gimnazjalnych.

– Dobra dziewczyna. – Mama wydaje się naprawdę dumna. – Daleko zajdzie. Kim to ona chciała ostatnio zostać? Psychologiem, tak?

– Fizjoterapeutką. Chce pracować z piłkarzami z pierwszej ligi. Mówi, że podziwia ich sprawność fizyczną i poświęcenie dla sportu, ale mnie się wydaje, że po prostu chce dotykać ich ud – mówię ze śmiechem. – Wcale bym się nie dziwiła, gdyby jutro chciała zostać stewardesą, a pojutrze oceanologiem. Tak często zmienia zdanie w tej kwestii, że już za nią nie nadążam.

Mama chichocze.

– Byłaś dokładnie taka sama, Susan. Zawsze myślałam, że zostaniesz pielęgniarką, ale tato uważał, że bardziej nadajesz się na krawcową.

– Oboje mieliście rację – odpowiadam. – W pewnym sensie.

Po studiach skończyłam kurs dla nauczycieli angielskiego – to był najprostszy sposób na sfinansowanie moich podróży – lecz nigdy za tą pracą nie przepadałam. Studiowałam projektowanie tekstyliów i zawsze chciałam pracować w teatrze jako projektant kostiumów, ale o pracę było naprawdę trudno. Liczyły się tylko znajomości. Dlatego w końcu trafiłam do Abberley Theatre Players.

– Byłaś dobra w jednym i drugim – mówi mama, przywołując mnie z powrotem do swojego małego pokoju w domu spokojnej starości. Poklepuje dłonią narzutę na fotelu. – Powinnaś zająć się tym zawodowo. Ludzie dobrze płacą za piękne rzeczy.

Uśmiecham się. Porzuciłam marzenia o projektowaniu dwadzieścia lat temu. Nie tknęłam igły aż do dnia, w którym pięcioletnia Charlotte wróciła do domu cała we łzach i zapytała, dlaczego jako jedyne dziecko grające w jasełkach nie ma kostiumu.

– Może powinnam.

Chciałabym powiedzieć o mnóstwie spraw, dopóki choć przez chwilę jest sobą, w terażniejszości, ale nie wiem, od czego zacząć. Nie chcę opowiadać, że znów podejrzewam Briana o zdradę, ani że były chłopak Charlotte i jej była najlepsza przyjaciółka mogą mieć coś wspólnego z wypadkiem. Chcę powiedzieć mamie, jak wiele dla mnie znaczy i jak bardzo bym chciała uwolnić ją od tej straszliwej choroby, która dzień po dniu coraz bardziej ją ode mnie oddala.

– Kocham cię, mamo. – Słowa wypływają z moich ust tak szybko, że zlewają się w jeden ciąg. – Nie mówię tego wystarczająco często, ale to prawda. Wszyscy cię kochamy. I jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, i przepraszam, że byłam taką okropną córką...

– Susan! – Mama przestaje się uśmiechać i wydyma usta. – Nie waż się tak mówić. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszej córki.

– Ale uciekłam. – Łzy napływają mi do oczu, przękam ciężko i próbuję się uspokoić. – Uciekłam do Grecji, kiedy mnie potrzebowałaś, i...

– Susan! – Zaciska swoje drobne dłonie na mojej dłoni. Jestem zaskoczona, że ma w nich jeszcze tyle siły. – Nie waż się. Nie waż się za to przeproszać, kiedy ten... ten potwór... robił ci to, co robił. Żałuję tylko, że nie było już z nami taty, on by do tego nie dopuścił...

Wpatruję się w nią z przerażeniem. Nie powinna wiedzieć o Jamesie. Nie powinna pamiętać. Zadzwoiłam do niej z lotniska w Gatwick, kiedy czekałam na lot do Grecji, i opowiedziałam jej o wszystkim. Musiałam wtedy z kimś porozmawiać, oczyścić się z trzech lat piekła, lecz ani przez sekundę nie przypuszczałam, że cokolwiek z tego zrozumiała. Nie sądziłam nawet, że wie, kim jestem. Jak mogłam być tak samolubna?

– Charlotte przesyła pozdrowienia – mówię, chcąc jak najszybciej zmienić temat. – Odwiedzi cię, gdy tylko będzie mogła.

– Och, byłoby cudownie! – Mama się rozpromienia, a ja odmawiam w duchu modlitwę, modłę się do tego, który zarządza wszechświatem, kimkolwiek jest, by przywrócił zdrowie mojej córce, by pozwolił nam jeszcze spędzić trochę czasu razem, by te słowa nie okazały się kłamstwem. – Bardzo bym tego chciała – dodaje mama. Potem sięga do małej szuflady pod stolikiem stojącym obok jej fotela i wciska mi w dłoń broszkę ze szkła i strasu w kształcie bukietu kwiatów przewiązanych wstążeczką. Jest okropnie staroświecka, ale

bardzo ładna i lśniąca. – Daj to Charlotte i ucałuj ją ode mnie. Powiedz, że na pewno przyniesie jej szczęście na egzaminach. – Spogląda na mnie znacząco. – Nosiłam to w dniu, w którym poznałam twojego tatę.

Otwieram usta, by jej podziękować, by powiedzieć, jak bardzo wzruszy to Charlotte, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– Mam też coś dla ciebie – dodaje mama i ponownie odwraca się do szuflady.

Chcę zaprotestować, zabronić jej, ale w tym samym momencie rozbrzmiewają dźwięki XL symfonii g-moll Mozarta, sięgam więc do torebki po komórkę.

– Brian? – mówię przyciszonym głosem, wstając i przechodząc na drugi koniec pokoju, odwrócona do mamy plecami. – Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem u mamy.

Po krótkiej pauzie mój mąż odpowiada:

– Chodzi o Charlotte. Musisz przyjechać do szpitala. Natychmiast.

## Wtorek, 16 października 1990

*Dziś wieczorem w końcu zobaczyłam dom Jamesa. Teraz już wiem, dlaczego tak długo z tym zwlekał...*

*Mieliśmy przyjść do niego na pierwszą, bo na tę godzinę pani Evans przygotowała lunch (tak, mieszka ze swoją mamą!), ale wcześniej wpadliśmy do pubu, a James, który był dziwnie zdenerwowany (choć nie chciał się do tego przyznać), uparł się, że powinniśmy wypić po jednym na szczęście. Mówił, że jego mama nawet nie zauważy, jeśli się spóźnimy, bo będzie oglądać swój ulubiony serial.*

*Dwie godziny później w końcu wtoczyliśmy się do jego domu w Wood Green. James nie mógł trafić kluczem w zamek, a ja nie mogłam przestać się chichrać.*

*– Buty – powiedział James, dźgające mnie pod żebra, gdy wpadliśmy do przedpokoju.*

*– Skarpetki – dorzuciłam, po czym również dźgnęłam go łokciem i parsknęłam śmiechem.*

*– Nie. – Spojrzał na moje piękne czerwone szpilki z lakierowanej skóry. – Zdejmij buty. Mama nie pozwala chodzić w butach po dywanie.*

*Pochyliłam się i zdjęłam jeden but. Musiałam trzymać się ściany, żeby nie upaść na podłogę.*

*– Myślałam, że to taka gra na skojarzenia. Wiesz – buty, skarpetki, stopy, palce...*

*– Dlaczego miałbym to robić? – Spojrzał na mnie z ukosa. – Nie jestem dzieckiem.*

*Wzruszyłam ramionami i sięgnęłam po drugi but, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć.*

*– Żartowałem! – Znów mnie szturchnął, a ja straciłam równowagę i poleciałam na podłogę. – Stopy! Nóżki! Kopyta!*

*Roześmiałam się, kiedy pomógł mi wstać, ale zabrzmiało to wymuszenie. Jakoś przestało mnie to śmieszyć.*

*– Kapaty – powiedział James.*

*Uznałam, że wciąż bawi się w skojarzenia, zignorowałam go więc i rozejrzałam się po przedpokoju. Było to całkiem spore pomieszczenie, ale ciemnoczerwona tapeta z fakturą i mahoniowe meble ustawione pod ścianą sprawiały, że wydawało się ciemne i ciasne.*

Z sufitu zwieszała się pojedyncza żarówka przysłonięta ciemnobrązowym aksamitnym abażurem, a wzdłuż ściany ciągnął się szereg fotografii w oprawkach. Niektóre z nich były czarno-białe, niektóre kolorowe, choć mocno już wyblakłe. Wiele z nich przedstawiało małego jasnowłosego chłopca o szerokim uśmiechu i roziskrzonych oczach. Podeszłam bliżej, by sprawdzić, czy to James jako dziecko.

– Kapatcie. – Chwycił mnie za nadgarstek i przyciągnął gwałtownie do siebie.

Wyrwałam rękę z jego uścisku i roztarłam ją.

– James, to bolało.

Kopnął coś przez dywan w moją stronę.

– Przestań się wygłupiać i włóż to.

Spojrzałam w dół, na kapatcie z beżowego zamszu leżące u moich stóp, i pokręciłam głową. Coś podobnego nosiła tylko moja babcia.

– Musisz je włożyć, Susan.

Otworzył szafkę obok mnie i wyciągnął z niej parę podobnych, choć nieco większych kapatcie, które wsunął na stopy. Podniosłam wzrok na jego twarz, czekając, aż parsknie śmiechem, ale się nie zaśmiał.

Nie podobało mi się takie traktowanie, ale nie chciałam wdawać się z nim w kłótnię tuż przed pierwszym spotkaniem z jego mamą. Wsunęłam stopy w kapatcie, starając się nie myśleć o tym, kto nosił je przede mną.

James popatrzył na moje stopy, roześmiał się i powiedział, że mi pasują. Potem objął mnie, przyciągnął do siebie i mocno pocałował. Od razu poczułam się lepiej i rozluźniłam w jego ramionach.

– Chodź – powiedział w końcu, biorąc mnie za rękę. – Poszukajmy mamy. Jestem pewien, że od razu cię polubi.

Pociągnął mnie w głąb korytarza i przeprowadził przez białe odrzwia.

– Mamo – powiedział, ściskając mnie mocno za rękę. – To jest Suzy. Suzy, to jest mama.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam rękę do niskiej ciemnowłosej kobiety, która wstała z sofy i ruszyła w moją stronę. Wciąż stałam w takiej pozycji, gdy kobieta minęła mnie obojętnie i wyszła na korytarz.

– James! – zawołała z przedpokoju. – Pozwól na słówko!

Zaskoczył mnie jej silny walijski akcent. Myślałam, że będzie mówiła w sposób typowy dla wyższych sfer, jak jej syn.

James poszedł za nią bez słowa, nawet na mnie nie spojrzął. Stałam nieruchomo, zszokowana, i wpatrywałam się w drzwi salonu, które starannie za sobą zamknął. W końcu ruszyłam się z miejsca i przysiadłam na skraju nieskazitelnie czystej sofy obitej rdzawoczerwoną skórą, ustawionej obok olbrzymiej mahoniowej witryny. Na ścianie naprzeciwko, obok kredensu mieszczącego mały szary telewizor i stary gramofon, wisiał najbardziej przerażający batik, jaki kiedykolwiek widziałam. Na czarnym tle widniała olbrzymia maska obrzędowa złożona z różnych odcieni błękitu, bieli i fioleto. Otwarte usta maski wyglądały niczym czarna otchłań umieszczona pod pustymi białymi oczami, które wpatrywały się we mnie. Odwróciłam wzrok w stronę biblioteczki zastawionej książkami w twardych zielonych oprawkach, potem zaś spojrzałam na stół przykryty białym

koronkowym obrusem i zastawiony jedzeniem. Zaburczało mi w brzuchu na widok talerzy wyładowanych kanapkami z ogórkiem, jajkami i łososiem, pysznego ciasta biszkoptowego na srebrnej paterze i misek pełnych oliwek, orzechów i chipsów, ale niczego nie dotknęłam.

Dla zabicia czasu podeszłam do biblioteczki, sięgnęłam po jedną z oprawionych na zielono książek i otworzyłam ją na pierwszej stronie. Dziesięć minut później usłyszałam podniesione głosy. Odłożyłam książkę na półkę, uchyliłam lekko drzwi do przedpokoju i podeszłam bezgłośnie do następnych drzwi. Były otwarte na całą szerokość, widziałam różowoczerwony dywan na podłodze. Głosy przybrały na sile, gdy zbliżyłam się do wyjścia.

– Jak mogłeś?! – Głos jego matki był pełen napięcia, bliski hysterii. – Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. Jak mogłeś się tak zachować?!

– Mamo... proszę... uspokój się.

Opuściłam rękę, którą już wyciągałam w stronę klamki. James też mówił z silnym walijskim akcentem.

– Spóźniliśmy się, to wszystko.

– Na rodzinny lunch! Zapomniałeś całkiem o dobrych manierach? A może całkiem je straciłeś w dniu, w którym zabił się tata?

Zabił się? Opieram się ręką o ścianę. James mówił, że jego ojciec umarł na raka płuc.

– Ale teraz już tu jestem, prawda?

– Spóźniony. Z nią. Z jakąś dziwką, którą znasz od dziesięciu minut.

– Ona nie jest dziwką, mamo. Jest wyjątkowa.

– Co to niby ma znaczyć? Że ja wypadłam sroce spod ogona?

– Oczywiście, że nie. Jesteś...

– Wstałam o szóstej rano, żeby wysprzątać dom. O szóstej rano! Przez cały dzień sprzątałam, szorowałam i gotowałam. Dla ciebie, Jamie, dla ciebie i tej kobiety. Mogłeś okazać mi choć odrobinę szacunku i przyjść punktualnie. Myślałam, że trochę lepiej cię wychowaliśmy.

– Bez przesady, kurwa...

Gdy rozległ się dźwięk przypominający trzask bicia, przerwał nagle i wciągnął głośno powietrze. Odsunęłam się o krok od drzwi. Rdzawoczerwone ściany wydawały się jeszcze ciemniejsze niż przed chwilą, a meble większe. Nawet zdjęcia ze mnie drwiły. Próbowałam wziąć głęboki oddech, ale powietrze z trudem przechodziło mi przez gardło.

– James! James, przepraszam. – Pani Evans mówiła wysokim, zropaczonym głosem. – James, proszę, nie wychodź. Nie chciałam...

Za otwartych drzwi wypadł James. Chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą, zmierzając wielkimi krokami do wyjścia.

– Idziemy. – Wyciągnął mnie w kapciach do ogrodu. Spojrzałam tęsknie w stronę moich pięknych czerwonych szpilek, ale byliśmy już na ulicy. – Pierdolić rodzinne lunche. Pierdolić ją. Pierdolić to wszystko. Rozumiesz teraz? – powiedział, odwracając mnie do siebie i szarpiąc za ramiona. – Rozumiesz już teraz, dlaczego nie chciałem, żebyś do mnie przychodziła?

Nie odezwał się słowem przez następne półtorej godziny.



## 9

Nie wiem, dlaczego jesteś taka zestresowana. – Brian włącza kierunkowskaz i zjeżdża z ronda. – Przecież to dobra wiadomość.

– Tak uważasz?

– Oczywiście. Słyszałaś, co powiedział doktor Rashid. Charlotte może już całkiem samodzielnie oddychać, nawet bez maski. Uszkodzenia kory mózgowej już się zaleczyły.

– Nie do końca. Powiedział, że „jak wykazało badanie, uszkodzenia znacznie się zmniejszyły”.

– Tak, zaleczyły.

– Zmniejszyły, nie zaleczyły.

Brian powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Sue, oboje słyszeliśmy, że jego zdaniem nie ma żadnych medycznych powodów, dla których nie mogłaby się wybudzić.

– Ale się nie wybudziła, prawda? Cieszę się ogromnie, że może sama oddychać, ale dopóki nie otworzy oczu i nie...

– Och, na miłość boską!

– Czy pozwolisz mi łaskawie dokończyć zdanie?

Zerka na mnie z ukosa i podnosi brwi.

– Jestem ciągle zestresowana z powodu drugiej informacji, którą przekazał nam doktor Rashid: że im dłużej Charlotte pozostaje w śpiączce, tym większe prawdopodobieństwo, że może dojść do jakichś wtórnych komplikacji.

– Może, ale nie musi, Sue. Podchodź do tego z większym optymizmem.

Opieram głowę o zagłówek i patrzę na nudne, szare wnętrze samochodu. Chcę podchodzić do tego z większym optymizmem. Naprawdę chcę, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że zawiodłam jako matka. Gdybym była z Charlotte bliżej, gdybym zachęciła ją do rozmowy, gdybym poszła wtedy za nią na górę, zamiast czytać książkę, może nigdy nie weszłaby pod autobus.

– Powinnam była ją ochronić, Brian – mówię cicho.

– Przestań, Sue. To nie twoja wina.

Patrzę prosto na niego.

– Nie chroniałam jej wtedy, ale mogę zrobić to teraz.

– Co masz na myśli?

– Jeśli dowiem się, dlaczego to zrobiła, i jeśli powiem jej, że rozumiem, że jej pomogę, może się wybudzi.

– Nie, tylko nie to! – Brian wzdycha ciężko. – Mówię ci po raz setny, Sue, to był tylko

wypadek.

– Nie. Charlotte próbowała się zabić, Brian. Pisała o tym w swoim pamiętniku.

Nagle rozlega się pisk opon, a pas bezpieczeństwa wrzyna się w moje gardło, gdy nasz samochód zjeżdża raptownie na sąsiedni pas, prosto na nadjeżdżające z przeciwka auta. Chcę krzyknąć na Briana, ale nie mogę wydobyć głosu z gardła. Zaciskam tylko obie dłonie na pasie, gdy suniemy na jakąś terenówkę. Powietrze wypełnia kakofonia klaksonów, a potem Brian znów szarpie gwałtownie kierownicą, pędzimy przez moment w stronę krawężnika, aż w końcu wracamy na swój pas.

Mój mąż jest blady jak ściana, na jego górnej wardze skrzą się krople potu.

– O mało nas nie zabiłeś – szepczę. Brian milczy.

Nie mówi nic do końca podróży. Kiedy jesteśmy już na miejscu, wyłącza silnik, wysiada z samochodu i przechodzi przez trawnik, nie oglądając się za siebie. Ja zostaję w samochodzie, zbyt oszołomiona, by się ruszyć, gdy on otwiera drzwi i znika we wnętrzu domu. Nie wiem, co przeraziło mnie bardziej – fakt, że omal nie wjechaliśmy prosto w inny samochód, czy wyraz oczu Briana w chwili, gdy się to stało.

Trzęsą mi się ręce, gdy sięgam do klamki i otwieram drzwi. Przystaję na moment, by się opanować i zebrać myśli. To niedorzeczne. Brian nie ryzykowałby naszego życia w sytuacji, gdy Charlotte wciąż nas potrzebuje. Był wściekły, rozmyślam, idąc w stronę domu. Pytał mnie niedawno, czy w pamiętniku Charlotte jest coś, o czym powinien wiedzieć, i ja zaprzeczyłam. Okłamałam go, a teraz już o tym wie.

– Brian?

Otwieram ostrożnie drzwi, pewna, że zaraz rzuci się na mnie rozradowana Milly, ale nie ma jej na ganku. Pewnie poszła za Brianem do salonu. Mam już wejść do kuchni, kiedy dostrzegam na posłaniu Milly jakiś czerwony przeżuty przedmiot. To zawiadomienie o niedoręczonej paczce pozostawione przez listonosza. Ale jak trafiło do posłania Milly? Odwracam się i widzę na podłodze klatkę na pocztę, którą przymocowaliśmy wokół skrzynki. To już trzecia klatka, którą nasza ulubienica zdołała oderwać od drzwi. Z wiekiem staje się coraz sprytniejsza. Przykucam, podnoszę przeżutą kartkę i uśmiecham się, widząc, co listonosz napisał na odwrocie – „w koszu na śmieci do recyklingu”. Brian uważa, że doręczyciel łamie przepisy pocztowe, zostawiając przesyłki w koszu, ale ja uważam to za świetny pomysł. Listonosz nie musi wieźć paczki z powrotem na pocztę, a ja nie muszę potem jechać do miasta. Wracam na zewnątrz i podnoszę pokrywę kosza na śmieci przeznaczone do recyklingu.

Sięgam do wnętrza i wyjmuję zieloną ofoliowaną paczkę z logo Marks & Spencer. Jest sztywna, jak pudełko na buty, a nie miękka jak torba z ubraniami. Ale to nie mogą być buty. To jedyna rzecz, jaką nadal kupuję wyłącznie w tradycyjnych sklepach. Mam wyjątkowo szerokie stopy, więc zamawianie butów przez internet wiąże się w moim przypadku ze sporym ryzykiem.

– Brian? – Zanoszę paczkę do domu i szukam mojego męża. – O, cześć, Milly.

Podnosi głowę sprzed zimnego kominka, a potem opuszcza ją z westchnieniem, zrozumiawszy, że to nie Brian. Pewnie jest u siebie w gabinecie. Milly wie, że nie wolno jej wychodzić na górę.

– Co my tu mamy? – Rozrywam folię, spod której wyziera kartonowe pudełko na buty. – Tata jest bardzo odważny, skoro wybiera dla ma...

Otwarte pudełko wypada mi z dłoni, a na dywan wylatuje para kapci z beżowego zamszu.

Są dla mnie. Ale nie od mojego męża.

– Brian? – Otwieram szerzej uchylone drzwi gabinetu. – Musimy porozmawiać.

Mój mąż siedzi z głową ukrytą w dłoniach i łokciami opartymi na blacie biurka. Nie reaguje, kiedy do niego mówię.

– Brian? – powtarzam, zmagając się z drżeniem głosu. – Brian, proszę. Potrzebuję twojej pomocy.

Podnosi powoli głowę i spogląda na mnie. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji, oczy są równie ciemne i nieobecne jak wtedy, gdy jechaliśmy prosto na terenówkę.

– Czego chcesz, Susan?

– Ja... – Wyciągam przed siebie rękę z kapciami, ale nie mogę mu powiedzieć, że przysłał mi je James. Nie ma przy nich żadnego listu, żadnych danych nadawcy – nic, co mogłoby dowieść, kto je wysłał. Poza tym Brian wygląda teraz jak ktoś, kto właśnie stracił duszę.

Siadam na skraju drewnianego krzesła przy drzwiach.

– Przepraszam, Brian.

Mój mąż milczy, ale widzę, że mnie słucha, że chce, bym kontynuowała.

– Przepraszam. Powiedziałam ci, że w pamiętniku Charlotte nie ma nic niepokojącego. A jest.

– Co? – Brian już się nie garbi, siedzi wyprostowany, opierając dłonie na blacie i wpatrując się we mnie. – Co napisała? Powiedz mi.

– Napisała... – Nie mogę tego zrobić. Nie mogę zignorować przeczucia, które mi to odradza. Nie w sytuacji, gdy stawką jest bezpieczeństwo Charlotte. – Dlaczego okłamałeś mnie, że poszedłeś na basen?

– Co?

– W zeszłym tygodniu, kiedy wyjechałeś rano, poszedłeś podobno na zakupy i na basen.

– I...? – To tylko jeden dźwięk, ale słyszę ukrytą za nim irytację.

– Prince Regent jest od dwóch tygodni nieczynny, robią tam remont.

Brian przyjmuje to ze stoickim spokojem.

– Nie byłem w Prince Regent.

– A gdzie?

– W Aquarena.

– Pojechałeś aż do Worthing, żeby popływać?

– I co w tym złego?

– Brian, od miesiący nie byłeś na basenie.

– Dlatego miałem na to ochotę.

– Przestań kłamać – mówię, wstając. – Proszę, przestań kłamać.

Mój mąż opada na oparcie krzesła.

– Kłamać? Zdaje się, że przed chwilą ustaliliśmy, kto jest tutaj kłamcą, Sue. A może

chcesz odwołać swoje przeprosiny sprzed kilku minut? – Kiedy milczę, na jego ustach pojawia się ledwie dostrzegalny uśmiezek. – Co Charlotte napisała w swoim pamiętniku, Sue?

– Dokąd wychodzisz codziennie o świcie?

Brian milczy.

Ja też milczę.

Patrzymy sobie prosto w oczy, żadne z nas nie chce ustąpić.

Bim-bom.

Aż podskakuję na dźwięk dzwonka. Sekundę później już jestem na korytarzu, zadowolona, że mam pretekst do ucieczki. Chyba mąż mnie woła, kiedy zbiegam po schodach, ale się nie odwracam.

– Już idę! – krzyczę, przechodząc przez korytarz i kuchnię. Milly idzie za mną, trąca nosem pustą miskę na jedzenie, gdy wchodzę na ganek.

Nie widzę nikogo przez szybę, więc otwieram drzwi i wyglądam na zewnątrz, ale ulica jest pusta. Ten, kto nacisnął na dzwonek, musiał potem natychmiast rzucić się do ucieczki.

– Co tam masz, Milly Moo? – Odwracam się do suni, która leży już na swoim posłaniu i trzyma coś w łapach. Podchodzę bliżej i przykucam. To szara koperta z folią bąbelkową. – Skąd to wzięłaś?

Odwracam uwagę psa dobrze już nadgryzioną piłką tenisową, zabieram przesyłkę i siadam z nią przy stole w kuchni. Na wierzchu ktoś napisał niebieskim długopisem moje imię i nazwisko, nie ma jednak adresu ani znaczka. Odwracam kopertę. Po drugiej stronie też nic nie ma, tylko kawałek taśmy klejącej, która przytrzymuje skrzydełko. Musiał więc wepchnąć to ktoś, kto przed momentem dzwonił do drzwi.

Zrywam taśmę. Wstrzymując oddech, odwracam kopertę i wysypuję zawartość na stół.

Na bawełnianym obrusie ląduje z trzaskiem coś różowego i lśniącego.

Telefon Charlotte.

## Sobota, 20 października 1990

*Po incydencie z jego mamą James nie kontaktował się ze mną przez trzy dni.*

*W końcu zadzwonił wczoraj. Przypuszczałam, że mnie przeprosi, ale on zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, i spytał, jakie mam plany na weekend. Powiedziałam, że zaprosili mnie na kolację starzy znajomi i jeśli ma ochotę, może do nas dołączyć. Dodałam, że bardzo bym chciała, by w końcu poznał moich przyjaciół. Minęły już dwa miesiące, odkąd zaczęliśmy się spotykać, a on wciąż nie poznał nikogo z bliskich mi ludzi.*

*– Helena i Rupert? – powtórzył, gdy powiedziałam mu, do kogo się wybieramy. – Tensam Rupert, z którym pieprzyłaś się na studiach?*

*Nienawidziłam, gdy wymawiał słowo „pieprzyć” tak, jakby było to coś plugawego, czego powinnam się wstydić.*

*– Nie. Rupert to mój bardzo dobry przyjaciel, z którym uprawiałam seks bardzo, bardzo dawno temu. To nie ma teraz znaczenia.*

– Dla mnie ma.

– A nie powinno. Wtedy to nic nie znaczyło, i tym bardziej nie znaczy teraz. Helenie to nie przeszkadza, więc dlaczego miałoby przeszkadzać tobie?

– Helena nie jest w tobie zakochana.

– Och, na miłość boską, więc nie idź tam i już.

– Mam cię zostawić sam na sam z facetem, który cię kiedyś zerznął i pewnie chętnie znów by to zrobił? Nie ma mowy.

– James!

– Co?

– Zaraz odłożę słuchawkę.

– Nie rób tego, Suzy. Głupio wyszło. Ciągle nie mogę się pozbierać po tym, co się stało we wtorek. Wybacz mi, kochanie, proszę. Będę bardzo grzeczny na tej imprezie.

– Obiecujesz?

– Oczywiście.

Był pijany, kiedy spotkałam się z nim na stacji metra Willesden. Tak pijany, że ledwie mógł ustać na nogach. Spojrzałam tylko na niego i powiedziałam mu, że powinien wracać do domu. Odmówił.

– Będę duszą towarzystwa – mówił. – Opowiadam świetne dowcipy. Co jest brązowe i lepkie?

Rozbawił mnie, poza tym był bardzo miły i czuły. Pomyślałam, że może rzeczywiście będzie zabawnie. Przynajmniej nie będzie się tak przejmował spotkaniem z Rupertem.

Zrozumiałam, że ten wieczór zamieni się w koszmar, gdy pół minuty po wejściu do mieszkania Heleny i Ruperta James wskazał oprawione w ramkę zdjęcie z Formuły Jeden na kredensie i powiedział:

– Tylko palanty interesują się Formułą Jeden. Trzeba być debilem, żeby oglądać samochody, które bez końca jeżdżą w kółko.

– Przekonasz się kiedyś, że liczba okrążeń zależy od konkretnego toru – odparł Rupert – i że zawsze jest skończona, bo inaczej nie dałoby się wyłonić zwycięzcy.

– Ple, ple, ple... – James machnął na niego ręką, a gdy tylko Rupert wyszedł do salonu, dodał: – Nadęty palant.

Zaprowadziłam go do łazienki i zamknęłam drzwi. Potknął się, poleciał do tyłu i usiadł na (zamkniętej, na szczęście) muszli klozetowej.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, wyjdziemy.

Uśmiechnął się szeroko.

– Więc nie będziemy musieli siedzieć z Głupim i Głupszą i jeszcze jedną parą jakichś Walniętych Dupków? Cudownie. – Próbował wstać. – Chodźmy!

– Ja nie. – Pchnęłam go z powrotem do tyłu. – Ty.

– Nie, Suzy. – Skrzywił twarz w płaczliwym grymasie. – Proszę, pozwól mi spędzić wieczór z Grubym Zadem i Nudnym Ryjem.

– Dość! – Pociągnęłam go za rękę i podniosłam z muszli. – Jedziesz do domu. Zaraz wezwę taksówkę.

– Neeee! – Objął mnie i pchnął na ścianę, a potem przywarł ustami do mojej szyi. – Nie

zostawiaj mnie. Nie każ mi iść. Obiecuję, że będę grzeczny. Suzy, chcę się obudzić jutro z tobą. Nie wysyłaj mnie samego do domu, do mojej cholernej matki. Wygłupiam się tylko dlatego, że cię to nakręca. Wiem, jak bardzo lubisz Ryżą Pałę i jej Grubego Miśka.

– James!

– Widzisz? – Dotknął palcem ściany, jakby naciskał guzik. – To bardzo proste. Obiecuję, że będę grzeczny. Będę rozmawiał, uśmiechał się i tak dalej. Muszę coś przekąsić. Od rana zjadłem tylko talerz płatków.

– James, tak nie można. Rozchorujesz się.

– Widzisz? – Znów wtulił głowę między moje ramię i szyję. – Wiedziałem, że nadal mnie kochasz. Martwisz się, że umieram z głodu.

– Oczywiście, że cię kocham, idioto. – Poglaskałam go po głowie, sycąc się dotykiem jego włosów. – Nawet kiedy się tak zachowujesz.

Dotrzymał słowa i rzeczywiście zachowywał się przyzwoicie, choć jego udział w rozmowie ograniczał się do sarkastycznych uwag. W drodze do domu w ogóle się nie odzywał. Byłam mu wdzięczna za to milczenie. Nie powiedział mi tego wprost, ale domyśliłam się, że nie polubił moich przyjaciół i to nie tylko dlatego, że kiedyś spałam z jednym z nich.

Jednak gdy weszliśmy w końcu do salonu w domu Jamesa, nie mogłam już dłużej znieść tej ciszy i spytałam, czy dobrze się czuje.

Zignorował mnie i przeszedł przez pokój, by zaciągnąć ciężkie aksamitne zasłony. Niespiesznie wyrównywał je i wygładzał. Uznawszy, że wyglądają, jak należy, przeszedł do kominka i nakręcił mosiężny zegar podróży. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, szare oczy omiatały przestrzeń obojętnie. Tylko mocno zaciśnięte usta zdradzały jego nastrój. Stałam przy drzwiach i przestępowałam nerwowo z nogi na nogę. Miałam wrażenie, że powietrze w pokoju jest naelektryzowane, jakby wisiała nad nami chmura burzowa.

– Dobrze się czujesz, James? – powtórzyłam.

– Możesz, kurwa, mówić ciszej? – warknął, odwracając się do mnie. – Zapomniałaś, że na górze śpi moja matka?

– Przepraszam. – Zniżyłam głos do szeptu. – Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wydajesz się trochę... – Zrobiłam krótką pauzę, szukając odpowiedniego słowa. – ... niezadowolony, odkąd wyszliśmy od Hels.

– Niezadowolony? – James podszedł bliżej i spojrzał na mnie z góry. – Dlaczego miałbym być niezadowolony, Suzy-Sue?

Przez chwilę analizowałam w myślach rozmowy, które toczyliśmy przy kolacji. Nie przypominałam sobie niczego kontrowersyjnego, niczego, co odnosiłoby się do moich byłych (Hels wie, że nie może o nich wspominać w obecności Jamesa), niczego, co mogłoby się mu nie spodobać.

– Nic? – James podszedł jeszcze bliżej i postukał mnie w czoło palcem. – Naprawdę nie przychodzi ci do głowy nic, co mogłoby mnie zdenerwować?

– Nie. Myślałam, że spędziliśmy razem miły wieczór i...

– Kłamczucha! – Jego twarz była tuż przy mojej, czułam bijący z jego ust zapach

przypraw, których Hels użyła w curry podanym na kolację.

– Mówię prawdę.

– Jesteś kłamliwą suką.

– Nie, James. Nie powiedziałam...

– Chcesz fajkę, Suz? – powiedział piskliwym tonem, a ja natychmiast zrozumiałam, do czego pije. Naśladował Hels, która po kolacji przechyliła się przez stół i zaproponowała mi papierosa, zanim sama wzięła sobie jednego. Zrobiło mi się nagle gorąco, gdy krew napłynęła mi do twarzy. – Hels! – kontynuował James tym samym głosem, przekrzywając głowę z boku na bok. – Wiesz, że już nie palę. Przestałam parę tygodni temu. Nie pamiętasz?

– Po prostu zapomniała, James. Kiedyś zawsze dzieliłyśmy się w pracy fajkami, więc weszło jej to w nawyk. Zapomniała, że rzuciłam...

– GŁUPI PIERDOLONY NAŁÓG!

Cofnęłam się o krok i otarłam z twarzy jego ślinę.

– Mój ojciec umarł przez palenie, Suzy. Umarł. To była długa i bolesna śmierć. Trzymałem go w ramionach, kiedy odchodził na tamten świat, charczał i rzeził, bo nie mógł już nabrać powietrza do płuc.

– Ale twoja mama powiedziała...

James pochylił się i przysunął do mnie tak, że nasze twarze niemal stykały się z sobą.

– Co powiedziała moja mama?

Wytarłam spocone dłonie w spódnice.

– Powiedziała... że twój tata się zabił. Słyszałam, co mówiliście. Nie podsłuchiwałam, przysięgam. Ale nie było cię tak długo, że chciałam tylko sprawdzić, czy...

– Gówno prawda! – syknął mi prosto w twarz. – Węszyłaś po całym domu, nasłuchiwałaś, szukałaś tajemnic.

– To nieprawda.

– Czyżby?

– Tak. – Chciałam cofnąć się o krok, powiększyć dzielący nas dystans, ale nie mogłam. James nazwał mnie kłamczuchą, a przecież sam skłamał, mówiąc o śmierci swojego ojca. – Nie rozumiem. Dlaczego twoja matka miałaby mówić, że twój ojciec się zabił, gdyby umarł na raka?

– Bo to prawda, zabił się, bo za dużo pił i palił, ale to ona go do tego doprowadziła. Ciągle nie dawała mu spokoju, dręczyła go, obrabiała mu dupę, kłamała i manipulowała.

– Ale... – Nie kończę zdania. Jego matka powiedziała „w dniu, w którym się zabił”, jakby to było samobójstwo, a nie przewlekła choroba. A może się przesłyszałam? Teraz nie jestem już pewna.

– Więc powiedz mi – zaczął ponownie, dźgając mnie palcem w pierś. – Nadal palisz?

– Nie! Nie zaczęłam znów palić, James. Przysię...

– KŁAMIESZ!

Miał rację. Kłamałam. Nie zaczęłam znów palić, nie paliłam regularnie, lecz dwa tygodnie temu wypaliłam jedną fajkę z Hels. Spotkałyśmy się na lunchu, wypiliśmy parę dzinów z tonikiem i po prostu nie mogłam się powstrzymać, kiedy mnie poczęstowała. To

był tylko jeden papieros, ale James by tego nie zrozumiał. Pomyślałby, że nie kocham go dość mocno, by dotrzymać obietnicy.

– Skoro skłamałaś w sprawie tego głupiego nałogu... – Zrobił kolejny krok do przodu, a ja musiałam się cofnąć. – ...To w jakich jeszcze innych sprawach kłamałaś, Suzy-Sue?

Przycisnęłam dłonie do ust.

– W żadnej.

– Naprawdę? Nic a nic? Nie chcesz chyba powiedzieć, że... – Oderwał moje dłonie od ust i zacisnął je w swoich. – ...Że potajemnie znowu rzniesz się z Rupertem?

– Nie. – Próbowałam uwolnić dłonie z jego uścisku. – Oczywiście, że nie.

– Chodźcie się rznąć do naszych ulubionych hoteli?

– Nie! – W końcu udało mi się uwolnić ręce. – Jezu, James, zostaw już tego Ruperta w spokoju. Masz obsesję na jego punkcie.

– Obsesję? To ty kilka razy w tygodniu chodzisz z nim na kawę. I ja mam uwierzyć, że dwoje ludzi, którzy pieprzyli się kiedyś jak króliki, teraz siedzą naprzeciwko siebie, całkiem sami, bez swoich partnerów, popijają spokojnie kawę i nie mają ochoty spróbować znowu? Masz mnie chyba za idiotę.

– Och, na miłość boską, James. – Nie mogłam uwierzyć, że znów wracamy do tego tematu. – Ile razy muszę powtarzać? Rupert jest moim przyjacielem, nikim więcej. Pociąga mnie tak samo jak Hels, która – zanim powiesz cokolwiek o mojej „dzikiej seksualnej naturze” – nie pociąga mnie wcale a wcale.

James pokręcił głową.

– Nie rozumiesz tego, Suzy, prawda? Ja też mógłbym się przyjaźnić z moimi byłymi, ale nie robię tego, bo za bardzo cenię sobie nasz związek. Za bardzo cenię sobie ciebie. Cenię cię bardziej niż cokolwiek innego w moim życiu. Kocham cię, Suzy, wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Moje serce zmiękło w takim samym stopniu jak ton jego głosu. Nikt dotąd nie kochał mnie tak namiętnie ani tak desperacko. Nikt nie był o mnie tak zazdrosny, nikomu aż tak na mnie nie zależało. – Ja też ciebie kocham, James.

– Nie. – Ujął mnie prawą ręką pod brodę i odchylił moją głowę do tyłu, bym musiała spojrzeć mu w oczy. – Ja kocham cię do szaleństwa, Suzy. Jesteś dla mnie wszystkim. Wszystkim.

Lewą ręką objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie, przywarł mocno ustami do moich ust. Całował mnie długo i namiętnie, a ja, choć dotknięta wszystkimi obelgami pod moim adresem, poddałam się tej namiętności.



## 10

Podnoszę komórkę Charlotte i obracam ją w dłoni, a potem zaglądam do wnętrza koperty. Jest pusta. Żadnego listu, kartki, najkrótszej choćby wiadomości. Nic. Tylko telefon.

Wybiegam z domu, ściskając telefon Charlotte w jednej dłoni i pustą kopertę w drugiej. Zatrzymuję się na ulicy. W którą stronę mógł pójść ten, kto podrzucił komórkę? Biegnę w stronę miasta. Mijam kobietę, która pcha wózek z dzieckiem, starszą panią, która ciągnie torbę na kółkach, i parę nastolatków trzymających się za ręce. Mijam autobus linii 19, kiosk i trzy lub cztery puby. Ani na moment nie zwalniam kroku. Nie wiem, kogo szukam ani dokąd biegnę, ale przystaję dopiero wtedy, gdy dostrzegam Milly pędzącą za mną z wywieszonym językiem. Sama nie jestem młoda, ale sunia ma już swoje lata, chore serce i słaby wzrok. Nie powinna nigdzie biegać, nie mówiąc już o wypełnionej spalinami ulicy, gdzie na każdym rogu może czyhać na nią niebezpieczeństwo.

– Chodź, dziewczyno – mówię, klepiąc ją po głowie. – Wracamy do domu.

W pierwszym odruchu chcę odszukać Briana i powiedzieć mu, co się stało, ale nie robię tego. Nalewam Milly do miski świeżej wody i zamykam ją na ganku, a potem idę do toalety na dole, zamykam drzwi na zamek i siadam na klapie sedesu. Wciskam guzik i uruchamiam komórkę Charlotte.

Na wyświetlaczu pojawia się animacja, czekam cierpliwie, a potem wchodzę do menu i próbuję dostać się do SMS-ów. Trwa to całe wieki, ale w końcu mi się udaje. Patrząc na listę imion, niektóre z nich znam – Liam, Ella, Oli, Nancy i Misha, dwie dziewczyny z klasy Charlotte – niektóre są mi zupełnie obce. Zdenerwowana, a zarazem dziwnie rozradowana, czytam kolejne wiadomości, niemal pewna, że wkrótce odkryję powód, dla którego Charlotte próbowała się zabić. Jednak w miarę upływu czasu ekscytacja ustępuje miejsca rozczarowaniu, a później i skrępowaniu, gdy otwieram SMS-y, które moja córka wymieniała ze swoim chłopakiem. Niektóre dotyczą seksu, większość jest jednak zabawna i pełna miłości. Wiadomość, która kończy ich związek, pojawia się zupełnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba. W poprzedniej Charlotte pisze, że spędziła z Liamem fantastyczny wieczór, a potem oznajmia nagle, że między nimi wszystko skończone i nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nic dziwnego, że był taki skołowany i zdenerwowany. Potem pojawia się seria SMS-ów od Liama – początkowo pełnych bólu i próśb o wyjaśnienia, potem w coraz większym stopniu gniewnych i zaniepokojonych. Charlotte nie odpowiada na żaden z nich.

Wchodzę w korespondencję z Ellą. Widzę krótką wymianę wiadomości sprzed dwóch miesięcy, gdy przygotowywały razem jakiś projekt w szkole, ale to wszystko – ani słowa o Liamie lub Keishy ani też o tym, dlaczego już nie przyjaźnią się z sobą.

Przeglądam kolejne wiadomości – te, które Charlotte wymieniała z tatą (głównie prośby o pieniądze albo podwiezienie) i z Olim (jego wersja prośby o rezerwację pokoju znajduje tu pełne potwierdzenie), a potem sprawdzam nieznanne mi imiona. SMS-y z dziewczynami z klasy to głównie plotki o tym, kto podoba się komu. I to wszystko. Zostaje tylko jeszcze jedno imię – K- Dog. Wybieram je z ciężkim sercem. Naprawdę myślałam, że dzięki telefonowi Charlotte znajdę jakieś odpowiedzi. Byłam pewna, że rozwiążę zagadkę, jeśli tylko...

Nagle robi mi się zimno, moje ramiona pokrywają się gęsią skórką.

*Mój tata jest obrzydliwym zboczeńcem i nie wiem, z kim o tym pogadać. Zadzwoń. Charlotte x.*

Czytam wiadomość ponownie.

Nie, to niemożliwe.

Brian nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.

Przez mój umysł przepływa fala wspomnień. Brian zabiera Charlotte na basen. Brian uczy ją jeździć na rowerze. Brian ją kąpie. Gdyby zaczął się dziwnie zachowywać albo zrobił coś niewłaściwego, powiedziałyby mi o tym... prawda?

Nie, upominam się w myślach. Przestań, Sue. Powinnaś ufać instynktowi. Brian nigdy nie skrzywdziłby swojej córki. Kocha ją. Był zdruzgotany, kiedy dowiedział się o jej wypadku. Nadal nie może dojść do siebie. A jednak...

Znów widzę samochody pędzące prosto na nas.

Dlaczego zareagował tak gwałtownie, gdy powiedziałam, że Charlotte pisała o samobójstwie? Dlaczego odwracał kota ogonem, gdy pytałam go o basen i poranne spacerki?

Muszę się dowiedzieć, co oznacza ten SMS. Odnajduję imię K-Dog, a potem wybieram numer zapisany pod tym hasłem.

Słyszę w słuchawce cichy trzask, potem sygnał oczekiwania. Zastanawiam się, co powiedzieć, kiedy ktoś w końcu odbierze, gdy nagle z góry dobiega mnie jakiś hałas.

Brian.

Chodzi po swoim gabinecie.

– Odbierz – szepczę, zdenerwowana, wsłuchując się jednocześnie w kroki mojego męża.  
– Proszę, odbierz.

Szybciej. Proszę.

W końcu sygnał ucicha, zastąpiony cichym kliknięciem.

Ktoś odebrał.

– Halo? – mówię półszepsem. – Halo? Nazywam się Sue...

*Tu numer 07972 711271. Proszę zostawić wiadomość po sygnale.*

Kroki na górze ucichły, teraz słychać skrzypienie schodów.

– Halo? – mówię do telefonu. – Pewnie mnie nie znasz, nazywam się...

– Sue? – Brian puka do drzwi łazienki. – Sue, z kim rozmawiasz?

– Z nikim! – Uderzam kilkakrotnie w klawisz kończący połączenie i chowam telefon za biustonosz. – Zaraz wyjdę.

Zapieram się rękami o ściany toalety, ogarnięta nagle zawrotami głowy.

– Sue? – Brian puka jeszcze mocniej, gwałtowniej. – Co ty tam robisz?

– Nic. Zaraz wyjdę.

– Dobrze. – Słyszę, jak bierze głęboki oddech. – Musimy porozmawiać. Czekam na ciebie w salonie.

Odkręcam zimną wodę, obmywam twarz i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Zmęczona czterdziestotrzylatka z podkrążonymi oczami wyciera twarz ręcznikiem. Z trudem rozpoznaję samą siebie w tym obrazie. A co z Brianem? Czy to ten sam Brian, którego kiedyś znałam, czy też zmienił się w zupełnie obcego mi człowieka? W kogoś kłamliwego, drapieżnego, niebezpiecznego. Tylko w jeden sposób mogę się tego dowiedzieć.

Odwieszam ręcznik i otwieram drzwi toalety.

## Wtorek, 23 października 1990

– *Przepraszam, Suzy.*

*James objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Zamknęłam oczy, wciąż pogrążona w półśnie. Emanował ciepłem i bezpieczeństwem. W jego objęciach czułam się jak w domu.*

– *Za co?*

*Milczał przez kilka sekund, potem odgarnął mi włosy z oczu. Uniosłam powieki.*

– *Za to, jak się ostatnio zachowywałem. Za to, jak cię traktowałem. Byłem... niesprawiedliwy – zakończył po krótkiej pauzie.*

*Nie mówiłam nic, ale ogarnęła mnie ogromna ulga. Rzeczywiście, ostatnimi dniami jego zachowanie coraz bardziej mnie niepokoiło. Nie pasowało do niego, a gdy na mnie krzychał i zarzucał mi kłamstwo, byłam wręcz przerażona.*

– *Jest we mnie mnóstwo gniewu, Suzy. Ten gniew dotyczy czegoś, co zdarzyło się w przeszłości, próbuję go stłumić. Czasami eksploduje... – Przesunął kciukiem po mojej kości policzkowej. – Tyle że wyładowałem go na niewłaściwej osobie. Na kimś, kto nigdy by mnie nie zranił, i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Nie chcę być potworem. Nie chcę być taki jak on.*

– *Kto był potworem? – spytałam, opierając dłonie na jego piersi. – Co się stało, James?*

*Pokręcił głową, a po jego policzku spłynęła łza.*

– *Powiedz mi, James. Powiedz, jak mogę ci pomóc.*

*Przesunął dłonią po twarzy, ocierając łzę.*

– *Widzisz, dlatego właśnie cię kocham. Jesteś niewiarygodnie troskliwa. Masz takie wielkie serce.*

– *O co chodzi? Powiedz, żebym mogła cię zrozumieć.*

*Wziął głęboki oddech, a ja przygotowałam się w duchu na jego wyznanie. Ale nic nie mówił. Leżeliśmy przez kilka minut w krępującym milczeniu. W końcu oznajmił:*

– *Wczoraj była rocznica śmierci mojego wujka.*

*Zaczęłam mówić, że mi przykro, ale on pokręcił głową.*

– *Umarł, kiedy miałem dwanaście lat, nagle, na zawał. Nikt się tego nie spodziewał. Miał pięćdziesiąt kilka lat. Moja mama była zrozpaczona, zamknęła się w pokoju i płakała bez*

końca. Ja pobiegłem do lasu za naszym domem, wybrałem największą gałąź, jaką udało mi się znaleźć – była tak ciężka, że ledwo mogłem ją podnieść – i waliłem nią o drzewo, aż rozpadła się na drobne kawałki, a ja miałem dłonie całe we krwi. Wtedy zacząłem krzyczeć na Boga. Nienawidziłem go, bo zabrał wuja Malcolm, zanim ja dorosłem i mogłem go zabić.

*Przebiegł mnie zimny dreszcz. Nie musiałam pytać, co zrobił wuj Malcolm.*

*– Ukradł mi dzieciństwo. Ukradł zaufanie. Zabrał moją pierdoloną niewinność, Sue.*

*Krzyknęłam mimowolnie, gdy złapał mnie za ramiona i potrząsnął mną mocno. Oddychał szybko i gwałtownie, wpatrywał się w przestrzeń szeroko otwartymi oczami.*

*– James... – Próbowałam oderwać jego palce od mojej skóry, ale naciskał zbyt mocno, wbijał je we mnie. – James, już dobrze. Już po wszystkim. Już po wszystkim.*

*– Nigdy nie będzie po wszystkim.*

*– Ale tak właśnie jest. James, to minęło, skończyło się. Proszę, proszę, puść mnie. Toboli. James, przestań. On nie żyje.*

*Wciąż wpatrywał się we mnie, jakby mnie nienawidził, jakby życzył mi śmierci, a potem jego gniew zniknął równie gwałtownie, jak się pojawił. Jego oczy złagodniały, twarz wykrzywił grymas smutku. Wziął mnie w ramiona, przytulił do siebie i płakał, płakał i płakał.*

# 11

Brian siedzi na sofie, Milly leży obok niego, z głową na jego kolanach. Kiwa głową, gdy zajmują miejsce na fotelu.

– Sue. – Moje imię odbija się echem od ścian. – Uważam, że powinnaś pójść do lekarza. Nie jesteś całkiem zdrowa. Potrzebujesz pomocy.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens jego słów.

– Dzwoniłem do doktor Turner. Powiedziała, że może przyjąć cię jutro rano.

– Słucham?

Brian pochyla się do przodu, opiera brodę na dłoni i marszczy brwi.

– Zamówiłem ci wizytę u...

– Wiem, co zrobiłeś. Nie rozumiem tylko dlaczego.

– Bo martwię się o ciebie! – krzyczy tak głośno, że Milly i ja podskakujemy. – Od wypadku Charlotte nie jesteś sobą, Sue, i jest coraz gorzej.

– Oczywiście, że nie jestem sobą. Nasza córka jest w śpiączce. Może umrzeć.

– Tak, może umrzeć. Ale nie musi. Może wrócić do zdrowia. Lekarze i pielęgniarki robią wszystko co w ich mocy, ale ty też musisz pomóc. Robiłem, co mogłem, żeby cię wesprzeć, lecz już nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać.

– Zawsze możesz spróbować, Brian. Jestem tu cały czas.

– Może fizycznie, ale nie emocjonalnie. Tak szczelnie zamknęłaś się w swojej głowie, że nie mogę do ciebie dotrzeć. Gdy tylko próbuję, patrzysz na mnie tak, jak... jak... sam nie wiem. – Kręci głową. – Jakbym chciał ci zrobić krzywdę czy coś takiego. Czasem patrzysz na mnie tak, jakbyś nie wiedziała, kim jestem.

Boli mnie serce, gdy patrzę na jego zasmuconą twarz, ale nie mogę go w żaden sposób pocieszyć. Ma rację. Nie wiem, czy wciąż jest tym człowiekiem, którego kiedyś znałam.

Brian patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Czy ty w ogóle słyszałaś, co powiedziałem?

Przyglądam mu się uważnie. Czy za propozycją wizyty u lekarza kryją się jakieś brudne intencje? Jeśli świat uzna mnie za szaloną, trafię do zakładu, a on zostanie sam z Charlotte. Wtedy będzie mógł... ta myśl zawisa w powietrzu, straszna i odrażająca.

– Słyszałam, co powiedziałeś.

– I...? – Tym razem to on uważnie mi się przygląda. – Co o tym myślisz?

– Nie jestem obłąkana. I nie pójdę do lekarza – mówię powoli, spokojnie i wyraźnie. Jeśli naprawdę uważa, że pomieszało mi się w głowie, muszę mu udowodnić, że tak nie jest.

– Nigdy nie mówiłem, że jesteś obłąkana, Sue. Pomyślałem tylko, że byłoby dobrze,

gdybyś porozmawiała z kimś innym, a nie tylko ze mną. – Przerywa na moment, szukając właściwych słów. – Z kimś, kto ma odpowiednie kwalifikacje i może ci pomóc.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy. – Wypowiadam te słowa głośniej, niż zamierzałam. – Martwię się tylko o Charlotte.

– Ja też.

– W takim razie powinieneś mnie zrozumieć. – Wzruszam ramionami.

– Dlaczego nie chcesz mi pokazać pamiątnika?

– Bo... – Milknę na moment. – Bo ją chronię.

– Przed czym? – Patrzy na mnie pytająco, a potem nagle blednie. – Chyba nie przede mną? Na miłość boską, Sue, chyba nie uważasz, że miałem cokolwiek wspólnego z jej wypadkiem?

– A nie miałeś?

– Czy nie miałem? – Odrzuca głowę do tyłu i wydaje z siebie dźwięk, którego nie słyszałam nigdy wcześniej – pół krzyk, pół ryk – po czym zrywa się z sofy. Przechodzi przez pokój i staje nade mną. – Powiedz mi, że to tylko jakiś kiepski dowcip. Powiedz to!

Jest wściekły, jego złość, frustracja i szok wydają się niemal fizycznie odczuwalne. Kulę się odruchowo i osłaniam głowę rękami.

– Nie! – Przewyciężam strach i podnoszę wzrok.

Brian cofa się o krok, trzyma przed sobą wyprostowane ręce zwrócone do mnie wnętrzem dłoni.

– Nie chciałem cię dotknąć. Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy, Sue. Wiesz o tym. – Opada z powrotem na sofę, pochyla się do przodu i chowa twarz w dłoniach. – Dobry Boże...

Oboje milczymy. Zegar tyka miarowo w rogu pokoju, Milly drapie się za uchem.

– Powiedz mi, że w to nie wierzysz – mówi Brian niewyraźnie zza zasłony dłoni. – Nie wierzysz, że miałem cokolwiek wspólnego z wypadkiem Charlotte.

Czuję się rozdarta na dwoje. Chcę podejść do Briana, zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć, że go kocham, że mu ufam i naprawdę nie wierzę, by w jakikolwiek sposób skrzywdził naszą córkę. A jednocześnie coś każe mi trzymać się na dystans, nie ufać nikomu i niczemu.

– Sue? – Widzę, jak bardzo czuje się dotknięty, jak bolesne jest dlań to przypuszczenie. – Dlaczego przyszło ci to do głowy? Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć?

– Zrobiłaś to?

– Co?

– Skrzywdziłaś Charlotte?

– Jezu Chryste! – Znow zrywa się z sofy i rozkłada szeroko ręce. – Jak możesz zadawać mi takie pytanie? Cofam to, co powiedziałem, Sue. Nie jesteś zestresowana, jesteś obłąkana. Kompletnie się pogubiłaś. Czy ty w ogóle jesteś świadoma tego, co mówisz? O co mnie oskarżasz? Potrzebujesz pomocy, Sue. Natychmiastowej pomocy psychiatrycznej.

– Obłąkana? – Teraz i ja zrywam się na równe nogi. – Jasne. Oczywiście. Czy dlatego Charlotte wysłała do jednej ze swoich przyjaciółek SMS, w którym nazywa cię zбочeńcem?

Brian nieruchomieje. Potem oblizuje usta.

– Co ty powiedziałaś?

– Powiedziałam... – Drzę tak mocno, że muszę wziąć głęboki oddech, by zapanować nad głosem. – W telefonie Charlotte jest SMS do jej przyjaciółki, w którym nazywa cię zbrojcem.

– Charlotte nazwała mnie zbrojcem?

– Tak.

Przez chwilę wpatruje się we mnie tępo, a potem mruga oczami, jakby właśnie się obudził.

– Pokaż mi ten SMS.

Rzucam mu telefon, a on łapie go w powietrzu.

– Jest pod imieniem K-Dog.

Brian patrzy na telefon i przyciska kilka klawiszy. Po chwili spogląda na mnie z dziwną miną.

– Tu nic nie ma.

– Co? – Podchodzę do niego i wyciągam rękę po telefon. – Oczywiście, że jest. Trzeba wybrać ikonkę z kopertą, a potem... – Przewijam wiadomości, wracam do głównego ekranu i ponownie klikam na kopertę. – Zniknął.

– Naprawdę? – Unosi brwi. – A może w ogóle nie było tu takiej wiadomości?

– Oczywiście, że była. Widziałam... – Nagle przenika mnie zimny dreszcz, cofam się o krok.

– Co? – pyta z irytacją Brian.

– Usunęłaś ją.

– Och, na miłość boską, Sue!

– Brian, była tu jeszcze pięć minut temu. Znalazłam ją, kiedy siedziałam w toalecie. Pamiętam ją co do słowa. Charlotte pisała... – Milknę raptownie. Przypominam sobie, jak waliłam na oślep w klawisze, by zakończyć połączenie z K-Dog, gdy Brian dobijał się do drzwi. Musiałam przez przypadek wykasować ten SMS. Usunęłam jedyny dowód na to, że mój mąż jest odpowiedzialny za wypadek Charlotte.

– Była tutaj. Była. – Raz jeszcze przewijam wszystkie wiadomości, ale ta do K-Doga zniknęła. – Zaniosę telefon do serwisu. Tam pewnie wiedzą, jak odzyskać skasowane wiadomości. A nawet jeśli nie wiedzą, to na pewno można znaleźć w internecie kogoś, kto to potrafi.

– Sue... – Brian mówi do mnie łagodnym, kojącym tonem, jakim przemawia się do ludzi pogrążonych w głębokiej rozpaczy. – Sue, powinnaś chyba usiąść.

Pozwalam, by zaprowadził mnie z powrotem do fotela, i kiwam głową, gdy proponuje, że zrobi nam obojgu herbatę. Zatrzymuje się na moment przy drzwiach i spogląda na mnie. Wstrzymuję oddech, widząc wyraz jego twarzy. Nie ma tam urazy, bólu czy nawet złości. Jest tylko litość. Uważa, że wymyśliłam sobie tę wiadomość.

– Proszę. – Pięć minut później wraca do pokoju i stawia przede mną filiżankę z herbatą oraz talerzyk z kilkoma ciastkami. Siada na sofie, wypija łyk herbaty i wciąga głośno powietrze. Jest za gorąca.

– Sue... – Twarz ma nienaturalnie szarą, oczy nieprawdopodobnie smutne. – Muszę ci coś powiedzieć i chciałbym, żebyś mnie uważnie wysłuchała. Proszę, nie złość się ani nie próbuj od razu bronić. Pozwól mi po prostu powiedzieć to, co mam ci do powiedzenia.

Kiwa głową, dając mu znać, by kontynuował.

– Mówię to tylko dlatego, że cię kocham i martwię się o ciebie, ale... – przerywa na moment i bierze głęboki oddech. – Naprawdę bardzo bym chciał, żebyś wybrała się do lekarza. Albo do terapeuty, do którego chodziłaś wcześniej. Twoje zachowanie nie jest całkiem normalne. Musisz zdać sobie z tego sprawę.

Chcę go uściskać i powiedzieć, że nic mi nie jest i nie ma się czym martwić, ale potem przypominam sobie wiadomość w telefonie Charlotte i kręcę głową.

– Nic mi nie jest, Brian. Wystarczy kilka szczerych odpowiedzi, a wszystko wróci do normy.

Brian wzdycha ciężko.

– O co chcesz mnie zapytać, Sue?

– O twoje zachowanie.

– Słucham?

– Dlaczego powiedziałeś mi tamtego dnia rano, że idziesz do pracy, a potem kłamałeś, że byłeś na basenie?

– Tłumaczyłem ci już przecież...

– I dlaczego zacząłeś wyprowadzać Milly na spacer o różnych porach dnia i nocy?

Brian zaciska palce na przegrodzie nosa i wzdycha głęboko.

– Chodziłem do Trishy.

– Do twojej zmarłej żony?

Spogląda na mnie gniewnie z drugiej strony pokoju.

– Tak, Sue. Do mojej zmarłej żony.

– Na cmentarz?

– A gdzie miałbym do niej chodzić?

– Chwileczkę, muszę się upewnić, czy dobrze cię zrozumiałam... – Poprawiam się na fotelu. – Kłamałeś, że poszedłeś na basen, bo nie chciałeś mi powiedzieć, że byłeś na grobie swojej żony?

Brian kiwa głową.

– A kiedy bierzesz Milly na spacer... też tam chodzisz?

Kiwa głową ponownie.

– I chcesz, żebym to ja poszła do lekarza? – Parskam śmiechem, a potem cichną raptownie. – Jak długo to trwa?

– Jak długo trwa? – Siada nagle prosto i kładzie dłonie na kolanach. – Mówisz tak, jakby to był romans. – Podnosi rękę, nie pozwalając, bym mu przerwała. – Tydzień. Dwa, może trzy.

– Dlaczego?

Milczy przez chwilę, głaszcząc Milly.

– Rozmowa z Trish pomaga mi oczyścić umysł.

Wpatruję się weń z niedowierzaniem, próbuję to zrozumieć.



– Dlaczego nie porozmawiasz ze mną?

– Bo rozmawiam o tobie.

Otwieram usta, lecz wydobywa się z nich tylko ciche westchnienie.

– Czasami trudno wytrzymać w twoim towarzystwie, Sue, czuję się zestresowany.

– Przebywanie w moim towarzystwie cię stresuje?

– Tak. Twoje humory bywają męczące. – Pociera dłonią czoło i ściska skronie. – Boję się, że będziesz miała następny atak, Sue. Wszystko na to wskazuje – paranoja, omamy, obsesja na punkcie wypadku Charlotte. Chcę, żebyś jak najszybciej wybrała się do lekarza.

Obracam w dłoni telefon Charlotte, pocieram kciukiem o wyświetlacz. Niemal mnie przekonał – tą smutną miną, łagodnym tonem i współczującym spojrzeniem. Niemal uwierzyłam, że naprawdę martwi się o mnie.

– Czy molestowałeś seksualnie Charlotte?

Brian wciąga głośno powietrze.

– Nie powiedziałaś tego, prawda?

Wzruszam ramionami.

– Nie oskarżyłaś mnie właśnie o molestowanie naszej córki?

Siedzę w całkowitym bezruchu.

– Nie. – Kręci głową. – NIE! Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. NIE. Oszalałaś. Nie będę siedział we własnym pokoju, we własnym domu i słuchał spokojnie, jak moja żona oskarża mnie o kazirodztwo. NIE MA MOWY. Bez względu na to, jak bardzo jesteś chora, Sue, nie możesz mówić takich rzeczy. Po prostu nie możesz.

Zrywa się na równe nogi, ale nie idzie w moją stronę.

– Chcę, żebyś poszła do lekarza.

Milczę. Czuję się jak w koszmarze, w którym człowiek chce krzyknąć i uciekać, ale nie może wydobyć z siebie głosu, nie może ruszyć nogami.

– Mówię poważnie, Sue. Zgodzisz się na wizytę u lekarza albo to małżeństwo się skończy.

Powinno zareagować. Powinno powiedzieć Brianowi, że w niego wierzę, że musi być jakieś logiczne wyjaśnienie tego, co napisała Charlotte, że możemy razem się nad tym zastanowić, ale czuję się jak emocjonalny zombi – z zewnątrz do złudzenia przypominam człowieka, w środku jestem martwa.

– Pokiwaj tylko głową, Sue. Daj mi znać, że zgadzasz się na wizytę u lekarza i... i... – Przerzywa, gdy powoli kręci głowę na boki. – W takim razie mam odejść, tak? Nie zniosę tego dłużej, Sue. Nikt by tego nie zniósł.

Mówi wolniej niż normalnie, robi przerwy między zdaniami i z naciskiem wypowiada każde słowo. Czeka, aż coś odpowiem. Czeka, aż mu przerwę.

Zamykam oczy.

– Dobrze – dodaje jeszcze ciszej. – Dobrze, w takim razie odejdę.

Podłoga skrzypi pod jego stopami, gdy przechodzi przez pokój, brzęczy obroza na szyi Milly, która idzie obok niego. Chwilę później słyszę trzask zamykanych drzwi.

Zegar w rogu pokoju tyka niewzruszenie.

Sobota, 17 listopada 1990

Dziś poszłam do Southbank na wystawę odkrytych niedawno zdjęć z drugiej wojny światowej. Z Rupertem.

Kupiliśmy bilety kilka miesięcy temu, a ponieważ Rupert jest jedyną znaną mi osobą, która pasjonuje się drugą wojną w takim samym stopniu jak ja, przypuszczałam, że będzie ogromnie podekscytowany. Tymczasem on był wyraźnie nie w sosie, spojrzał na mnie dziwnie, kiedy na powitanie dałam mu buziaka, zamiast mnie uściskać, i prawie w ogóle się nie odzywał, gdy przechodziliśmy od zdjęcia do zdjęcia, a ja rozprawałam o krojach różnych ubiorów. Gdy przysiedliśmy na kawę, zapytałam, co się dzieje.

– Chyba nie rozeszliście się z Hels, co?

– Nie. – Uśmiechnął się słabo. – Nic z tych rzeczy.

– Więc o co chodzi? Przez całe popołudnie dziwnie się zachowywałeś.

– Ja się dziwnie zachowywałem? – spytał, unosząc brwi.

– Co to niby ma znaczyć?

– Nie rozmawiałaś z Hels od czterech tygodni.

– I co z tego?

– Twój chłopak zepsuł jej przyjęcie, a ty nawet nie zadzwoniłaś, żeby spytać, jak Hels się miewa.

– James nie zepsuł jej przyjęcia! Rzucił może parę sarkastycznych uwag, ale ludzie się z tego śmiali. Nie było tak źle.

– Naprawdę? – Znów uniósł brwi. – To dlatego Hels się rozplakała, gdy tylko oboje wyszliście? W dodatku w połowie deseru?

– James źle się czuł. Musiał wracać do domu.

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, w jakim był stanie.

– No dobrze, wyszliśmy wcześniej, i co z tego? Jest jakieś prawo, które mówi, że na kolacji trzeba zostać do samego końca, że nie wolno wyjść przed kawą? Nie mogę uwierzyć, że macie o to do mnie pretensje.

Rupert pokręcił głową.

– Nie mam do ciebie pretensji, Susan. Martwię się o ciebie. Oboje się martwimy.

– Niepotrzebnie. Nigdy nie byłam równie szczęśliwa.

– Tak? Naprawdę jesteś szczęśliwa z kimś, kto nazywa twoich przyjaciół – spojrzał na moment na bok, jakby szukając czegoś w pamięci – Grubym Zadem i Nudnym Ryjem?

Zrobiło mi się nagle gorąco, policzki paliły mnie żywym ogniem.

– Głupim i Głupszą? – mówił dalej. – Ryżą Pałą i Grubym Miśkiem?

– Ja... – Przycisnęłam dłoń do twarzy. – Ja nie wiem, co...

– Słyszeliśmy całą rozmowę, Sue. To małe mieszkanie, a ściany są cienkie jak papier. Helenę ogromnie to zabolowało.

– Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro. – I rzeczywiście było mi okropnie przykro. Przepraszałam Ruperta jeszcze kilka razy i mówiłam, że James zachowywał się inaczej niż zwykle, bo stracił kogoś bliskiego i nie umiał sobie z tym poradzić. – Jestem pewna, że nie

*byłby taki niemiły, gdyby lepiej was poznał.*

*Rupert przeciągnął dłonią po twarzy.*

*– A co z tobą? Kiedy byłeś w toalecie, James spytał, czy w czasie studiów wszyscy byliśmy tacy puszczalscy jak ty. Dlaczego to powiedział?*

*– Żeby was podpuścić, bo się nudził? Nie wiem. – Uwaga Jamesa mnie zabolą, ale fałszywa troska Ruperta i jego pouczający ton zaczęły mnie irytować. Naprawdę nie musiał być tak protekcyjny. – Pewnie chciał ci dogryźć, bo spaliśmy wtedy ze sobą.*

*– Ale nie przeszkadza mu, że spotykamy się na kawie?*

*Odwróciłam wzrok.*

*– Prawdę mówiąc, nie ma go w tym tygodniu w Londynie. Zabrał swoją matkę do Cardiff, do rodziny.*

*– Rozumiem. A gdyby nie wyjechał, spotkałabyś się dziś ze mną?*

*– Oczywiście.*

*Kłamałam i oboje o tym wiedzieliśmy. Wiedziałam, jak zareagowałby James, gdyby zobaczył mnie w towarzystwie Ruperta.*

*– Sue. – Rupert sięgnął po moją rękę. Odsunęłam ją szybko. – Proszę, zadzwoń do Hels. Martwi się o ciebie.*

*– A nie powinna. – Wstałam i włożyłam płaszcz. Jak mogli być tacy krytyczni i świętoszkowaci tylko dlatego, że mój chłopak się trochę upił i napyskował? – Czuję się całkiem dobrze. Właściwie więcej niż dobrze. Już od bardzo, bardzo dawna nie byłam taka szczęśliwa jak teraz.*

*– Wiesz, gdzie nas znaleźć! – zawołał za mną Rupert, gdy wyszłam z Southbank Centre. – Jeśli tylko będziesz nas potrzebować...*

## 12

Charlotte, to mama – mówię, trzymając szczupłą dłoń mojej córki.

Jest piękny słoneczny dzień, błękitnego nieba nie kala żadna chmurka, przez okno wpada zapach kwiatów, lecz gdy obudziłam się dzisiejszego ranka, najpierw zauważyłam puste miejsce w łóżku obok mnie, a dopiero potem promienie słońca wpadające do pokoju.

– Charlotte – powtarzam, przeciągając kciukiem po wierzchu jej dłoni. Skóra mojej córki jest nieprawdopodobnie delikatna. – Muszę porozmawiać z tobą o tacie.

Kardiomonitor w rogu pokoju piszczy miarowo.

– Charlotte, ta tajemnica, o której pisałaś w pamiętniku... – Zerkam na prawo, upewniając się, że nikt nie stoi w drzwiach. Korytarz jest pusty, ale i tak ściszam głos. – Chodzi o twojego tatę, prawda? Skrzywdził cię, a ja... ja cię nie ochroniłam. Nie zapobiegłam temu. Nie zdawałam sobie sprawy i...

Zasycha mi w gardle. Sięgam po szklankę z wodą i pociągam łyk.

– Co się stało?

Obracam się gwałtownie. W drzwiach stoi Keisha, trzyma w dłoniach bukiet żonkili owiniętych folią.

– Przepraszam, pani Jackson – mówi z uśmiechem. – Nie chciałam pani przestraszyć. Pomyślałam, że wpadnę i... – Pochmurnieje nagle, spoglądając na Charlotte. – Nieważne.

Wchodzi do sali i siada naprzeciwko mnie.

– Nie chciałam podsłuchiwać – odzywa się ponownie, wbijając we mnie spojrzenie swych ciemnych oczu. – Ale co mówiła pani o tacie Charlotte?

Odwracam wzrok.

– Nic.

– Naprawdę? – upewnia się, jakby nieco rozbawiona. – Bo mogłabym przysiąc, że chodziło o tego pornosa.

– Słucham?

– O pornosa – powtarza z uśmiechem. – Tego, który Charlotte zobaczyła na komputerze swojego taty.

– Jakiego pornosa?

Keisha wzrusza ramionami.

– Charlotte powiedziała, że jej laptop się zepsuł, kiedy pisała wiadomość do znajomej, więc skorzystała z komputera swojego taty. Wtedy nagle włączył się jakiś pornos...

– W komputerze Briana.

– Tak. – Dziewczyna próbuje ukryć za dłonią uśmiech.

– Keisha?

– Tak?

Staram się zapanować nad falą mdłości.

– Keisha, czy Charlotte nazywała cię K-Dog?

Odgarnia za ucho niesforny kosmyk.

– Wszyscy mnie tak nazywają.

– Charlotte wysłała ci SMS – mówię powoli, usiłując zachować z nią kontakt wzrokowy, choć coraz mocniej kręci mi się w głowie. To nie może dziać się naprawdę. Ta rozmowa tylko mi się śni. – I napisała w nim, że jej tata jest zbrojcem, tak?

Keisha kiwa głową.

– Tak.

– Bo znalazła w jego laptopie jakiś film pornograficzny?

– Tak, naprawdę jej wtedy odbiło, zrobiła z tego straszną aferę. – Śmieje się, a ja czuję, jak krew ścina mi się w żyłach. – Mówiła, że chce uciec z domu i tak dalej. A to był zwykły pornos, nic...

– I nigdy nie skarżyła ci się, że ojciec ją molestuje?

– Boże, nie! – Keisha wydaje się przerażona taką sugestią. – Oczywiście, że nie. Charlotte uwielbiała swojego ojca. Ciągle opowiadała o tym, jak to uratuje świat przed globalnym ociepleniem i takie tam. Gdyby jej coś robił, na pewno by mi o tym powiedziała.

Jestem oszołomiona. Czuję ulgę i przerażenie zarazem: ulgę, że za SMS-em Charlotte kryje się tak banalny i niewinny w sumie powód, i przerażenie, że na mojego męża rzuciłam tak straszne oskarżenie. Nagle staje mi przed oczami pełna bólu twarz Briana i aż podskakuję na krześle. Co ja sobie wyobrażałam?! Co ja zrobiłam?!

– Pani Jackson? Pani Jackson, dobrze się pani czuje? Mam wezwać pielęgniarkę?

Keisha wciąż do mnie mówi, ale ja nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– Może trochę wody?

Słyszę skrzypienie krzesła, a potem chlupot wody nalewanej do szklanki.

– Przepraszam – mówi dziewczyna, wciskając mi szklankę w rękę. – Nie powinnam była pani mówić o tym pornosie. Jest pani w szoku. Nie powinnam była nic mówić.

– Nieprawda – odpowiadam, po czym wypijam łyk wody. – Cieszę się, że mi powiedziałaś. Wyjaśnił się pewien foch, ale... – Spoglądam prosto w jej ciemne oczy. – To nie ty podrzuciłaś komórkę Charlotte do naszej skrzynki, prawda?

– Komórkę Charlotte? Nie. To nie ja. Nawet nie wiem, gdzie mieszkacie. Na pewno dobrze się pani czuje, pani Jackson? Mogę wezwać pielęgniarkę, jeśli pani chce.

– Nie, dziękuję. – Oddaję jej szklankę z wodą i zmuszam się do uśmiechu. – Nic mi nie jest, naprawdę. Właśnie uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd. Okropny, okropny błąd.

Płaczę przez całą drogę do domu. Płaczę, kiedy stoję przed szpitalem i wybieram numer komórki Briana. Płaczę, kiedy włącza się jego poczta głosowa, i płaczę, gdy dzwonię do biura, a Mark mówi mi, że Brian jest na spotkaniu. Kiedy uruchamiam silnik, łzy spływają mi po policzkach, nie przestają płynąć, gdy jadę przez Edward Street, potem przez North Road i Western Road, by w końcu zatrzymać się przed naszym domem. Wciąż chlipię, gdy otwieram zamek w drzwiach. Chwilę potem dostrzegam szklaną kulę ze sztucznym

śniegiem i modelem praskiego mostu Karola. Przestaję w końcu płakać.

I zaczynam krzyczeć.

## Niedziela, 16 grudnia 1990

Ostatni miesiąc z Jamesem był okropny. Przeżyliśmy więcej wlotów i upadków niż podczas jazdy na rollercoasterze, kilka razy zastanawiałam się już całkiem poważnie, czy od niego nie odejść. Zaczynam odnosić wrażenie, że po prostu nie umie być szczęśliwy. Gdy tylko wszystko dobrze się między nami układa, musi to zepsuć, mówiąc albo robiąc coś naprawdę przykrego.

Na przykład po spektaklu Romea i Julii w teatrze Park (piszczałam z radości, kiedy dał mi bilety, zawsze chciałam tam pójść) szliśmy przez Regent's Park, trzymając się za ręce, i śmialiśmy się ze stroju Benvolio, gdy James zauważył, jak zerkam na mężczyznę, który akurat przebiegał obok nas. Ja ledwie go dostrzegłam, a on uśmiechnął się do mnie i pobiegł dalej.

– Rznęłaś się z nim, co? – spytał James.

Tak po prostu. Ni stąd, ni zowąd. Powiedziałałam mu, że jest śmieszny, i od tego zaczęła się kłótnia. James twierdził, że jestem kokietka – podobno robiłam słodkie oczy do aktora grającego Merkucja, gdy ten kłaniał się na koniec przedstawienia. Zirykowałam się i nazwałam go głupcem, a wtedy on się obraził, powiedział, że się wywyższam, bo skończyłam studia, a on nie, i że skoro uważam się za lepszą od niego, to może powinniśmy się rozstać, żebym mogła spotykać się z kimś bardziej wykształconym. Mówił, że ma już dość ciągłego przeproszania, że musi obchodzić się ze mną jak z jajkiem, że nie może już dłużej uważać na każde słowo, więc może lepiej będzie, jak się rozstaniemy. Nie wytrzymałam i wybuchłam płaczem. Nie mogłam uwierzyć, że w ciągu kilku minut przeszliśmy od śmiechu i czułości niemal do zerwania – i to wszystko praktycznie bez powodu.

Siedziałam na najbliższej ławce i szlochałam, podczas gdy James kręcił się w pobliżu. Przez jakiś czas milczał, a gdy myślałam już, że pęknie mi serce, wziął mnie w ramiona i powiedział, że ma dość tych kłótni, że kocha mnie nad życie i nie może patrzeć, jak płaczę. Powiedział też, że nie możemy z sobą zerwać, bo on nigdy nie pozwoli mi odejść.

W ciągu ostatniego miesiąca ten sam scenariusz powtarzał się co najmniej kilka razy – kilka wspaniałych dni, a potem niespodziewana kłótnia, groźby i płacz. Pojednawcze gesty i uściski Jamesa, okres spokoju i cały cykl od początku. Męczyło mnie to do tego stopnia, że zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy zakończenie tego związku nie byłoby jednak najlepszym rozwiązaniem – i wtedy zaskoczył mnie propozycją podróży.

Zadzwoił w ostatni czwartek, kazał mi zapomnieć o wszystkich planach, spakować walizkę na weekend, zabrać paszport i spotkać się z nim na lotnisku Gatwick. Zatkąło mnie. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach z Meg Ryan, a nie w prawdziwym życiu. Próbowałam przemówić mu do rozsądku, mówiłam, że go na to nie stać, ale odpowiedział, że lepiej wie, na co go stać, że powinnam się już zamknąć, spakować bagaż i nie psuć całej

niespodzianki.

Nie musiał mi tego powtarzać. Kiedy dotarłam na lotnisko, już tam na mnie czekał, ogromnie podekscytowany.

– Chodź, chodź. – Pochwycił moją walizkę, wziął mnie za rękę i ruszył w stronę stanowiska British Airways.

– Praga? – Aż zachłysnęłam się ze zdumienia, gdy zobaczyłam informacje dotyczące naszego lotu. – Lecimy do Pragi?

– Tak. Pomyślałem, że możemy obejść trochę wcześniej Boże Narodzenie w jednym z najbardziej romantycznych miast świata.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i uściskałam go mocno. Praga! Skąd wiedział? Zawsze chciałam tam pojechać, ale nigdy mu o tym nie mówiłam. Zupełnie jakby znał mnie lepiej niż ja samą siebie.

Pierwszy dzień pobytu w Pradze spędziliśmy na zwiedzaniu. Kiedy pytałam Jamesa, co zaplanował na wieczór, powtarzał, że to niespodzianka, lecz powinienam włożyć najlepsze ubranie, ułożyć sobie fryzurę i zrobić makijaż.

Odetchnęłam z ulgą, gdy James poprosił obsługę hotelu o sprowadzenie taksówki (włożyłam tak wysokie obcasy, że nie weszłabym do tramwaju), ale nadal nie miałam pojęcia, dokąd się wybieramy. Myślałam, że pojedziemy może do jakiegoś klubu jazzowego, jako że James jest miłośnikiem jazzu, lecz powiedział, żebym nie próbowała więcej zgadywać, bo i tak mi nie powie. Gdy w końcu taksówka się zatrzymała, dostrzegłam w pobliżu barkę na rzece. Serce zabiło mi mocniej. Nigdy nie brałam udziału w rejsie wycieczkowym po rzece, a teraz właśnie miałam wejść na barkę i popłynąć nią pod rozgwieżdżonym niebem, po lśniącej tafli wody, w której odbijały się światła miasta.

Choć zarówno Łódź, jak i jej otoczenie prezentowały się naprawdę fantastycznie, wieczór nie zaczął się najlepiej. James był rozczarowany, że jedzenie podawano w postaci ciepłego i zimnego bufetu (gdy rezerwował wycieczkę, zapewniano go, że dostaniemy trzydaniowy obiad podawany z półmisków) i że co najmniej dwa stoły zostały zajęte przez hałaśliwą grupę kobiet, które urządziły sobie babski wieczór. Gdy barman powiedział, że szampan nie będzie schłodzony, bo zepsuła się maszyna do robienia lodu, James rozwścieczony huknął pięścią w stół. Zdołałam jednak rozładować jakoś sytuację, proponując, byśmy napili się piwa, z którego słynie przecież Praga. Gdy przepłynęliśmy pod mostem Karola i minęliśmy Teatr Narodowy, James zaczął się rozluźniać. Po półgodzinie wziął mnie za rękę i zaproponował, byśmy wyszli na górny pokład. Bałam się, że będą tam już rozbawione imprezowiczki, ale na szczęście mieliśmy cały pokład dla siebie.

– No, tak już lepiej – powiedział, otulając mnie swoim płaszczem. – Tyle piękna i wszystko tylko dla nas.

Oparłam się o jego ramię. Widok był oszałamiający, przypominał obraz ze snu. W porównaniu z tym Londyn wyglądał ponuro. Gdy wyjęłam aparat i zaczęła robić zdjęcia, James odsunął się ode mnie. Pomyślałam, że on też postanowił wyciągnąć aparat, i nie zastanawiałam się nad tym dłużej. Kilka minut później, zadowolona ze swoich zdjęć, odwróciłam się do niego, ale James zniknął... Właściwie zniknął tylko z siedzenia obok mnie. Klęczał na pokładzie i patrzył na mnie, wyraźnie zdenerwowany, w dłoniach zaś

trzymał małe pudełeczko okryte czarnym aksamitem.

Wstrzymałam oddech.

– Susan Anne Maslin, jesteś najpiękniejszą, najserdeczniejszą, najtroskliwszą, najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Jesteś prawdziwym aniołem i wiem, że na ciebie nie zasługuję, ale... – Otworzył pudełeczko. W jego wnętrzu lśnił piękny pierścionek z diamentem i szafirem. – Wyjdiesz za mnie i sprawisz, że zostanę najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi?

Podniosłam ręce do ust i wybuchnęłam płaczem.

James był zszokowany.

– Czy to oznacza „nie”?

– Ależ skąd! Tak! Tak! Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Nie pamiętam, co działo się potem – czy się tuliliśmy, obejmowaliśmy czy całowaliśmy, czy też James wsunął mi pierścionek na palec. Na pewno mówił, że to pierścionek jego babki i że wątpił, czy kiedykolwiek znajdzie kobietę, którą pokocha na tyle, by jej to podarować. Mówił też, że już się cieszy na resztę życia ze mną.

Reszta weekendu minęła jak we śnie, jeden magiczny moment za drugim. Czułam się jak najszczęśliwsza kobieta na świecie.



## 13

Wyrzucam szklaną kulę na zewnątrz. Rozbija się o ścianę garażu na tysiąc drobnych kawałków.

– Chodź, sunia, szybko! – Trzymając Milly za obrozę, przechodzę błyskawicznie przez podjazd i otwieram drzwi po stronie kierowcy.

Milly gramoli się do środka i siada na fotelu pasażera, ja wskakuję do środka za nią i uruchamiam silnik. Radio eksploduje piosenką *Monkey Gone to Heaven* zespołu The Pixies, a ja zerkam na dom, przekonana, że ktoś patrzy na mnie przez okno.

– Ruszaj... – Zmagam się przez chwilę z dźwignią zmiany biegów, chcąc wyrzucić wsteczny i włączyć jedynekę. – No ruszże się...

Milly popiskuje z podniecenia.

– Tak! – Dopiero teraz pozwalam sobie spojrzeć we wsteczne lusterko. Jakiś ciemny kształt skacze na okno w kuchni. Milly pcha mi się na kolana, drapie pazurami w szybę i szczeka jak opętana.

Łapię ją za obrozę i pcham z powrotem na fotel pasażera.

– Uspokój się. To tylko kot, Jess od sąsiadów.

Wyjeżdżam na Western Road, a potem na King's Road, pędzę brzegiem morza w stronę Rottingdean. Nie wiem, dokąd jadę, i właściwie wcale mnie to nie obchodzi.

Wytrzymuję jakoś do parkingu przed Downs Hotel w Woodingdean. Gdy w końcu zatrzymuję samochód i wyłączam silnik, zaczynam dygotać tak gwałtownie, że aż podskakuję na fotelu. Milly skamle, wystraszona, ale nie mogę nic na to poradzić, mogę tylko wpatrywać się w morze i czekać, aż mi przejdzie. Po pięciu, może dziesięciu minutach konwulsje przechodzą w drgawki, a potem w dreszcze, wreszcie ustają. Opadam bezwładnie na fotel.

James wie, gdzie mieszkam.

Pocztówka, kaptcie – to można było wytłumaczyć jako głupie pomyłki, wynik czyjegoś roztargnienia, błędnie wpisany adres, ale ta szklana kula? Nie, to nie mogła być pomyłka. James chce, bym wiedziała, że mnie znalazł. A jeśli nas obserwuje, to wie, że Brian się wyprowadził, że jestem sama.

Drżącymi rękami szukam w torebce komórki. Odblokowuję ekran, wybieram ikonkę ze słuchawką i wystukuję:

9...9...

Nieruchomieję raptownie. Jeśli zadzwonię na policję, pomyślą, że znów mam atak, i skontaktują się z moim lekarzem. Tak przynajmniej było ostatnim razem. Ale wtedy niepotrzebnie do nich dzwoniłam. Wtedy rzeczywiście byłam chora. Inaczej nie byłabym

świątę przekonana, że James mieszka w szopie w ogrodzie i wysłała mi zaszyfrowane wiadomości przez mokre pranie i martwe ptaki.

Kasuję obie dziewiątki.

Wybieram numer Briana.

Czekam dwa sygnały...

– Halo – mówi szorstkim tonem.

– Brian, to ja, posłuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj, Sue. Wczoraj mówiłem całkiem poważnie. Albo pójdziesz do lekarza, albo nasze małżeństwo jest skończone.

– Słuchaj, stało się coś...

– Pójdziesz do lekarza, Sue?

– Nie, ale...

– Więc nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Połączenie zostaje przerwane.

Ponownie wybieram numer mojego męża. Tym razem włącza się poczta głosowa.

– Brian, tu Sue. – Milknę na moment, by uspokoić oddech. – Wiem, że jesteś na mnie zły, ale to ważne. Naprawdę ważne. Musisz jak najszybciej wrócić do domu. Kiedy przyjechałam dziś rano od Charlotte... nie, czekaj... najpierw muszę powiedzieć ci coś innego. Przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam za to, co powiedziałam wczoraj wieczorem. Keisha wytłumaczyła mi, dlaczego Charlotte wysłała jej tę wiadomość, i... cóż, naprawdę nie wiem, jak cię przeproszać...

Aby zachować tę wiadomość, naciśnij jeden. Aby zostawić nową wiadomość, naciśnij dwa. Aby zakończyć połączenie, naciśnij trzy.

2... 2... 2... Naciskam raz za razem. Co ja robię? Dlaczego po prostu nie zostawiłam tej wiadomości?

– Brian, tu jeszcze raz Sue. Próbowałam zostawić ci wiadomość, ale coś mi przerwało i pewnie jej nie dostałeś, więc spróbuję szybko jeszcze raz. Bardzo cię przepraszam za wczorajszego wieczór. To, co powiedziałam, było okropne. Gorzej niż okropne. To było niewybaczalne i wcale ci się nie dziwię, że wyszedłeś. Nie myślałam trzeźwo, bo James...

Aby zachować tę wiadomość, naciśnij jeden. Aby zostawić nową wiadomość, naciśnij dwa. Aby zakończyć połączenie...

Przerywam połączenie, telefon natychmiast ucicha. To nie ma sensu. Będę musiała poczekać, aż Brian wróci do domu. Wpatruję się przez chwilę w aparat. Do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić? Na pewno nie do mamy. Nie mogę też poprosić Olivera, żeby wrócił ze mną do domu, bo jest teraz w Leicester, a poza tym nie chcę go narażać na niebezpieczeństwo.

Opieram głowę o kierownicę i zamykam oczy.

Nie wiem, jak długo tak siedzę. Milly skamle i trąca moją dłoń.

– W porządku, malutka – mówię, głaszcząc ją po łbie. – Wiem, co musimy zrobić.

Środa, 19 grudnia 1990

Wiedziałam, że ta ułuda szczęścia, w której żyliśmy z Jamesem od powrotu z Pragi, nie może trwać długo. Wiedziałam, że wcześniej czy później wszystko zepsuje.

Byliśmy w Clapham, żeby porozmawiać o nowej sztuce, którą kompania wystawi jako następną. James pokłócił się o to ze Steve'em, nazwał go „aroganckim fiutem” i wyszedł, trzaskając drzwiami. Wróciliśmy do mojego mieszkania, a James w ogóle się do mnie nie odzywał. Leżałam w ciemności, zastanawiając się, czy jakoś go uraziłam, gdy nagle James usiadł prosto i spojrzał na mnie.

– Ilu mężczyzn tu spało?

– Słucham?

– W tym łóżku. Ilu?

Westchnęłam i przewróciłam się na bok.

– Nie będę o tym rozmawiać, James. Oboje jesteśmy zmęczeni. Śpijmy już.

– Ilu?

Szukał pretekstu do kłótni, ale ja wcale nie miałam na to ochoty.

– Ani jeden.

– Kłamiesz.

– No dobrze, jeden. – Otuliłam się szerszej kołdrą. – Ty.

– Gówno prawda. – Pochwycił kołdrę i zerwał ją ze mnie. – Ten materac jest pewnie przesiąknięty spermą innych facetów.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– To, co mówisz, jest podłe.

– Nie ja jestem podły. – Wyskoczył z łóżka i spojrzał na mnie z szyderczym uśmiechem. – I nigdy więcej nie będę spał w tym łóżku.

– James! – Ponownie przyciągnęłam kołdrę do siebie i okryłam nią piersi. – Przestań się wygłupiać. Wracaj do łóżka, na miłość boską.

– Ty możesz sobie zostać w łóżku. Ja śpię na podłodze.

– James!

Patrzyłam ze zdumieniem, jak podchodzi do mojej szafy, otwiera ją i wyciąga koc. Owinął się nim, zabrał poduszkę z fotela przy drzwiach i położył się na podłodze, odwrócony do mnie plecami.

– James, proszę. – Przesunęłam się na skraj łóżka i wyciągnęłam do niego rękę. – To absurdalne. Spałeś w tym łóżku tyle razy i jakoś ci to nie przeszkadzało.

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

– Wtedy nie byliśmy zaręczeni.

– Więc o to chodzi? O nasze zaręczyny? – Nagle ogarnął mnie strach. – Nie rozumiem.

– Nasze zaręczyny wiele zmieniają. – Usiadł i oparł się plecami o ścianę. – Pewnego dnia będziesz moją żoną, Suzy, i nie mogę przejść obojętnie obok faktu, że byłaś z tyloma facetami.

– Ale to nieprawda. Ja tylko...

– Piętnastu – przerwał mi James, a ja skuliłam się odruchowo. Dlaczego byłam wobec niego taka szczerą już na drugiej randce? Dlaczego? – Oddałaś swój wianek pierwszemu lepsшему facetowi, który potraktował cię jak szmatę do wycierania spermy.

Zadrżałam ze złości i oburzenia, ale nie próbowałam protestować. Uznałam, że nie warto. I faktycznie przestał się wściekać, mówił spokojnym, niemal refleksyjnym tonem.

– Czekałem, bardzo długo czekałem na kobietę, która zachowałaby czystość tylko dla mnie, ale za każdym razem, gdy wydawało mi się, że znalazłem już tę właściwą, okazywało się, że jest plugawą zdziurą jak wszystkie inne. Wiesz, co w końcu zrobiłem? – Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie, tak że nasze twarze niemal stykały się z sobą. – Wiesz, co zrobiłem, gdy w końcu zrozumiałem, że nie znajdę bratniej duszy i że świat śmieje mi się w twarz? Oddałem moje dziewictwo prostytutce! – Parsknął śmiechem, opluwając mnie przy tym śliną. – Tak, oddałem je prawdziwej dziwce. Dlaczego miałbym to robić z amatorką, skoro mogłem skorzystać z pomocy profesjonalistki?

Milczałam. James mnie przerażał. Przerażały mnie jego szalone oczy, siła, z jaką zaciskał palce na moim nadgarstku, jego gorący oddech uderzający w moje nozdrza. Nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego, nigdy nie widziałam, by patrzył na mnie z taką wściekłością i odrazą. Chciałam przemówić mu do rozsądku, przeprosić go, okazać współczucie. Milczałam jednak i przygryzałam od wewnątrz policzek, by powstrzymać się od płaczu.

– Nigdy nie przypuszczałem, że się w tobie zakocham – dodał szeptem. – Myślałem, że będziesz tylko kolejną dziewczyną, z którą się zabawię, ale... – Odchylił się i przesunął palcem po moich ustach. – Nosisz w sobie coś więcej niż tę pożałowania godną przeszłość. Masz piękną duszę, Suzy. Dlatego dałem ci pierścionek mojej babki, najcenniejszą rzecz, jaką posiadam. Nie mogę znieść myśli, że pieprzyli cię inni faceci i nie zdawali sobie przy tym sprawy, jak cenny klejnot trzymają w ramionach. Chcę ich zniszczyć, jednego po drugim, aż zniknie też cała twoja przeszłość i zostaniemy tylko my dwoje, tu i teraz. – Widocznie wydałam z siebie jakiś dźwięk, może stłumiony okrzyk zdumienia, bo dodał: – Mówię oczywiście w przenośni. Nigdy nie skrzywdziłbym nikogo. Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłbym nawet muchy, prawda, Suzy-Sue? Nigdy.

Atmosfera panująca w pokoju była tak gęsta, tak naładowana emocjami, że z trudem mogłam oddychać. Chciałam wyrwać się z uścisku Jamesa, otworzyć szeroko okno i zaczerpnąć kilka głębokich haustów świeżego powietrza.

– Jesteśmy zaręczeni – kontynuował. – To oznacza wzajemne zobowiązanie, ale i nowy start. Oderwijmy się od przeszłości, Suzy, i zacznijmy od nowa. Czy to naprawdę takie dziwne... – Zerknął na łóżko, a potem na mnie. – Czy to takie dziwne, że chciałbym spać z tobą w nowym łóżku?

Pokręciłam głową. Biorąc pod uwagę, że byliśmy już niemal małżeństwem, rzeczywiście nie wydawało się to takie nierozsądne. Nowe życie razem i nowe łóżko – to miało sens.

Na pewno widziała pani, jak ten człowiek wchodził do pani domu?

Policjantka najwyraźniej jest przekonana, że kłamię. I ma rację.

– Tak – odpowiadam. – Siedziałam w ogrodzie, kiedy przeskoczył przez żywopłot i przebiegł przez trawnik, prosto do ganku.

Drugi policjant podchodzi do miejsca, na które wskazuję, ponad półtorametrowego żywopłotu z ligustru, który oddziela naszą posiadłość od sąsiadów. Zagląda na drugą stronę, a potem kuca i przygląda się ziemi, wreszcie wraca do nas.

– Nie widać tam żadnych śladów. – Obdarza mnie przeciągłym spojrzeniem. – Gdyby ktoś przeskoczył przez taki żywopłot, na ziemi powinno zostać chociaż kilka liści, nie mówiąc o złamanych gałązkach.

Wzruszam ramionami.

– Był bardzo sprawny, wyglądał na sportowca.

– Więc przeskoczył nad żywopłotem, w ogóle go nie dotykając? To niezwykle wyczyn.

Zaplatam ręce na piersiach, a potem rozkładam je z powrotem.

– Cóż, właściwie nie widziałam, jak skacze nad tym płotem. Usłyszałam tylko jakiś szelest, podniosłam wzrok znad książki i zobaczyłam, jak biegnie przez trawnik w stronę domu.

Policjantka i jej towarzysz wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, a mnie ogarnia fala mdłości. Kiedy wracałam z Woodingdean, ta historia wydawała mi się całkiem wiarygodna. Zamierzałam powiedzieć policji, że w naszym domu ukrywa się włamywacz, i nie wspominać ani słowem o moim byłym narzeczonym i szklanej kuli. Policja sprawdziłaby wtedy, czy w domu rzeczywiście nikogo nie ma, a ja mogłabym tam bezpiecznie wrócić.

– Dlaczego uważa pani, że włamywacz wszedł do domu przez drzwi na ganku? – Policjantka spogląda w stronę domu. – Przecież stąd nie widać tych drzwi. Równie dobrze mógł po prostu wybiec bramą.

– Bo zostawiłam drzwi otwarte.

Policjantka unosi brwi w niemym pytaniu.

– Żeby pies mógł bez przeszkód wchodzić i wychodzić – tłumaczę.

– Rozumiem. – Zapisuje coś w swoim notesie.

– Widzicie państwo, chodzi o mojego męża. To Brian Jackson, poseł z tego okręgu. Musimy zachować szczególną ostrożność.

Na twarzy policjantki pojawia się wyraz zaskoczenia. Spogląda na swego kolegę, który unosi brwi, jakby był pod wrażeniem. Albo dziwił się, że Brian ma za żonę kogoś takiego

jak ja. Tak czy inaczej oboje przestali patrzeć na mnie tak, jakby się zastanawiali, czy nie oskarżyć mnie o marnowanie czasu policji.

– Sprawdziliśmy pani dom – mówi chwilę później policjant, przechodząc przez trawnik. Kobieta pokazuje głową, że powinnyśmy pójść za nim. – Nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania ani obecności osób trzecich.

Policjantka przystaje.

– Dobrze się pani czuje, pani Jackson? Wygląda pani na zdenerwowaną.

– Owszem, zdenerwowałam się trochę. – Po raz pierwszy odkąd zaczęli mnie przesłuchiwać, mówię prawdę. Teraz, kiedy wiem już, że James nie ukrywa się w domu ani w ogrodzie, robi mi się słabo z ulgi.

– Możemy z panią zostać, przynajmniej dopóki nie przyjedzie tu jakiś znajomy albo krewny. Chciałaby pani do kogoś zadzwonić?

Kręcę głową. Muszę wejść do środka i zajrzeć do laptopa Briana. Charlotte korzystała z niego, żeby się z kimś pilnie skontaktować. Może znajdę tam jakieś cenne informacje.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

– Jest pani pewna?

– Tak – odpowiadam z przekonaniem, którego wcale nie czuję. – Nic mi nie będzie. Dziękuję bardzo, że zechcieliście państwo tu przyjechać.

Policjant żegna mnie skinieniem głowy i otwiera drzwi samochodu.

– Będziemy w kontakcie – rzuca na odchodnym.

Odwaga opuszcza mnie, gdy tylko radiowóz znika za zakrętem. A jeśli policjanci tylko zaglądali przez drzwi do poszczególnych pokoi i James nadal gdzieś się ukrywa? Na pewno by słyszał, jak odjeżdżają.

Wodzę wzrokiem od otwartych drzwi ganku do samochodu. Mogłabym po prostu uciec – wskoczyć z Milly do auta i pojechać do mojej przyjaciółki Eleanor. Powiedzieć jej, że pokłóciłam się z Brianem (co nie byłoby dalekie od prawdy), i spytać, czy nie zechciałaby mnie przenocować przez kilka nocy. Ale Eleanor ma dwa koty, więc musiałabym zostawić Milly w hotelu dla psów. Kto jeszcze? Annette? Nie. Od razu odrzucam ten pomysł. Annette to okropna plotkara. W ciągu kilku dni, jeśli nie godzin, wszyscy znajomi by wiedzieli, że w naszym małżeństwie źle się dzieje. Rozważam inne możliwości – Ellen nie ma miejsca, Jane i Eric są właśnie w środku remontu, a Mary jest w Hiszpanii. Hotel Travelodge przy A22 przyjmuje psy. Wystarczy, że wpadnę na moment do domu, wezmę laptop i możemy ruszać w drogę, na miejscu będziemy najpóźniej za godzinę.

Kładę dłoń na łbie Milly i drapię ją za uszami, zastanawiając się jednocześnie, co powinnam z sobą zabrać.

– Gotowa? – zwracam się z uśmiechem do suni, a potem ruszam w stronę otwartych drzwi domu.

Każde skrzypnięcie deski w podłodze, bulgot wody w rurze czy stukanie w ścianach przyprawia mnie o szybsze bicie serca, gdy przechodzę w pośpiechu z pomieszczenia do pomieszczenia, zbieram ubrania i wrzucam kosmetyki do kwiecistej torby podróźnej. Kiedy wpadam do łazienki po szczoteczkę do zębów, dostrzegam z przerażeniem, że ktoś patrzy na mnie od strony umywalki. Dopiero sekundę później rozumiem, że to Brian

odwrócił lustro w kierunku drzwi i widzę własne odbicie. Milly szybko męczą moje nerwowe ruchy, kładzie się więc na środku przedpokoju i układa pysk na łapach.

Zostawiam gabinet Briana na koniec i dopiero gdy naciskam na klamkę, przychodzi mi do głowy, że mąż mógł zabrać laptop z sobą. Otwieram drzwi i zaglądam do środka.

Widzę laptop na biurku, zamknięty i odłączony od prądu. Zwinięty kabel z zasilaczem leży na wierzchu, jakby Brian planował zabrać to wszystko z sobą, a potem zapomniał. Sięgam po komputer i nagle...

TRZASK!

Drzwi gabinetu zamykają się z hukiem.

Zastygam w bezruchu, pochylona nad biurkiem, z laptopem w dłoniach. Zamieniam się cała w słuch, nie śmiem nawet oddychać.

Nasłuchuję.

Skrzypienia deski, cichego westchnienia, przytłumionych kroków.

Nasłuchuję.

Czas zwalnia, nie mam pojęcia, jak długo tak stoję, przygarbiona, wystraszona, wyczekująca. Bolą mnie plecy, boli biodro przyciśnięte do blatu biurka, laptop wysuwa się ze spoconych dłoni. Jeśli James stoi za mną, muszę się odwrócić i spojrzeć przeznaczeniu w twarz.

Obracam się powoli, wciąż zaciskając dłonie na laptopie.

Ale w pokoju nie ma nikogo prócz mnie.

Robię krok w stronę zamkniętych drzwi gabinetu. A jeśli James stoi po drugiej stronie? Robię jeszcze jeden krok, kładę dłoń na klamce i naciskam ją. Drzwi otwierają się bezgłośnie. Milly podnosi głowę i wali ogonem o drewnianą podłogę. W domu nie ma nikogo innego. Gdyby ktoś był, reagowałaby inaczej.

– Cześć, mała – mówię i pochylam się, by ją pogłaskać, gdy...

TRZASK!

Drzwi gabinetu zamykają się za mną.

TRZASK! TRZASK! TRZASK!

Tym razem niepokojące odgłosy dochodzą z łazienki. Biegnę tam. Okno nad wanną jest otwarte, zamyka się i otwiera, a do wnętrza wpada chłodny wiatr. Wyglądam na zewnątrz, niemal pewna, że zobaczę uciekającą sylwetkę, ale dostrzegam tylko wierzbę kołysaną wiatrem. Wychylam się, przyciągam okno i je zamykam.

– Chodź, Milly.

Wychodzę w pośpiechu z łazienki, biorę laptop i torbę podróżną, a potem zbiegam ze schodów. Rozglądam się szybko po kuchni, zabieram miski na jedzenie i picie Milly, wrzucam je do foliowej torby wraz z rozpoczętą paczką suchej karmy, zamykam szybko drzwi wyjściowe na klucz i wskakuję do samochodu. Odjeżdżam, nie oglądając się za siebie.

Sobota, 5 stycznia 1991

Bogu dzięki, że to już nowy rok. Ostatnie Boże Narodzenie było chyba najsmutniejszym świętem w moim życiu.

James bardzo mnie przeproszał, że nie może zaprosić mnie do siebie, ale jego mama ciągle czuła się urażona po „incydencie” (kiedy przyszliśmy na lunch spóźnieni i podpici).

W zeszłym roku spędziłam Boże Narodzenie z Hels, Ru, Emmą i Mattem, ale teraz nie mogłam na to liczyć. Zebrałam więc wszystkie pieniądze, jakie mi zostały, kupiłam bilet kolejowy na północ i zarezerwowałam pokój w Holiday Inn, by zobaczyć się z mamą.

Muszę przyznać, że personel domu opieki, w którym przebywa mama, naprawdę bardzo się starał stworzyć przyjemną i wesołą atmosferę, ale widok staruszków w ubraniach poplamionych świątecznymi potrawami i opiekunek z kolczykami w kształcie bałwanów, zajętych sprzątaniem i roznoszeniem basenów po pokojach, ogromnie mnie przygnębiał. Mama była w wyjątkowo dobrej formie – choć spędziłam z nią aż cztery godziny, ani razu nie straciła w tym czasie kontaktu z rzeczywistością. Jednak zamiast się z tego cieszyć, czułam się jeszcze bardziej przybita. Mama raz po raz wybuchwała płaczem, błagała mnie, bym zabrała ją do jej domu, i powtarzała, jak bardzo tęskni za tatą. Robiłam wszystko, co mogłam, by podnieść ją na duchu, tuliłam ją, cesałam, opowiadałam o zaręczynach w Pradze i przeglądałam wraz z nią stare albumy ze zdjęciami, ale jak można pocieszyć kogoś, kto mówi, że chciałby umrzeć. Zaproponowałam, że przeniosę się do Yorku, bym mogła ją częściej odwiedzać, lecz nie chciała o tym słyszeć. „Przeżyłam swoje życie, jak chciałam – mówiła – starałam się realizować swoje marzenia. Chcę, żebyś ty robiła to samo. Cieszę się, że znalazłaś prawdziwą miłość i pracę, którą uwielbiasz. Zawsze mi zależało przede wszystkim na twoim szczęściu”.

W drugi dzień świąt wybrałam się z kwiatami na grób taty. O mało się nie rozplakałam, gdy zobaczyłam, jak bardzo jest zarośnięty i zaniedbany – kiedy mama była jeszcze zdrowa, pielęgnowała grób co najmniej raz w tygodniu – wyrwałam więc tyle, ile mogłam, rękami, a potem pożyczyciłam od dozorczy sekator i przystrzygłam trawę. Przez cały czas rozmawiałam przy tym z tatą – prosiłam go, by opiekował się mamą, mówiłam mu, jak bardzo oboje go kochaliśmy, i z płaczem wyznałam, że nie chcę, by ktokolwiek inny niż on prowadził mnie do ołtarza.

Wczoraj wróciłam do domu, gdzie na sekretarce czekała wiadomość, że ze względu na problemy z transportem przywiozą mi łóżko dopiero w styczniu! Już wyrzuciłam stare łóżko i materac, więc kiedy po świętach przyszedł James, oboje musieliśmy spać na podłodze.

Następnego ranka wstałam, by zrobić nam śniadanie i kawę, a James kręcił się po mieszkaniu, przeglądał stare czasopisma i płyty winylowe. W końcu skupił się na stoliku pod maszynę do szycia. To prawdziwy antyk wykonany wyłącznie z drewna dębowego, naprawdę piękny. Przesunął palcem po wypolerowanym blacie.

– Skąd to masz?

– Dostałam od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

– Piękne.

Szedł dalek wzdłuż ściany, przesuując dłoń po meblach.

– A to? – spytał, zatrzymując się przy biurku.

– Kupiłam na pchlim targu. Kosztowało tylko trzydzieści funtów.



– Też ładne.

Zamarłam, gdy zaczął bębnić palcami o blat. Jeśli go otworzy, znajdzie...

– Co to jest? – Trzymał w palcach za ucho szarego pluszowego królika. – Wydawało mi się, że nie przepadasz za takimi maskotkami.

– To... to jest... to był... prezent od Hels.

– Przyjaciółka dała ci pluszaka? – Zaczerwieniłam się, gdy przyjrzał mi się uważnie. – Trochę dziwne... Jesteś pewna, że to nie prezent od jakiegoś byłego chłopaka?

– Oczywiście, że jestem pewna – odparłam lekkim tonem. – Hels kupiła mi go... to miał być żart. Kiedy pracowałyśmy razem, nazywała mnie króliczkiem, bo... bo nie mogłam usiedzieć w miejscu. Ciągle kręciłam się po pokoju.

– Króliczek? – Uniósł brwi. – Ty?

– Tak. – Opis i przyzwisko odpowiadały prawdzie, ale to nie Hels mi je nadała i nie ona podarowała mi króliczka. Zrobił to Nathan. Przywiązałam się do tej maskotki, kiedy byliśmy razem, i zachowałam ją, podobnie jak kilka innych drobiazgów, kiedy się rozeszliśmy.

– Dlaczego się pocisz, Suzy-Sue? – James zrobił krok w moją stronę, wciąż trzymając przed sobą królika. – Chyba nie próbujesz mnie okłamać, co?

– Nie, oczywiście, że nie. – Przeciągnęłam wierzchem dłoni po spoconym czole. – To przez te jajka. – Dźgnęłam widelcem przypalone jajka sadzone na patelni. – Strasznie pryskają.

Mój głos przybrał dziwnie piskliwy ton, który dźwięczał obco nawet w moich uszach. Pochyliłam się nad patelnię, udając, że sprawdzam, czy boczek jest już gotowy, w rzeczywistości jednak chciałam uniknąć wzroku Jamesa. Krzyknęłam, gdy nagle objął mnie w pasie i pociągnął do tyłu, przyciskając moje pośladki do swego krocza.

– Wystraszyłeś mnie. – Zestawiłam patelnię na bok i wciąż pozostając w jego objęciach, przełożyłam jajka i bekon na dwa talerze.

– A ty wystraszyłaś mnie – wyszeptał mi do ucha James. – Bo czasami się zastanawiam, jak bardzo mnie kochasz.

– Nie bądź niemądry – odparłam swobodnie, choć serce łomotało mi ze strachu. – Wiesz przecież, że kocham cię całym sercem.

– Naprawdę? Bo byłoby mi ogromnie przykro, Suzy, gdybym się dowiedział, że mnie okłamujesz, Suzy. Gdybyś trzymała potajemnie pamiątki po byłych chłopakach, choć wiesz, jak bardzo mnie to rani.

Sięgnęłam do kredensu po keczup.

– Dostałam tego królika od Hels. Mówiłam ci.

– Potwierdzi to, jeśli do niej zadzwonię?

– Oczywiście, że potwierdzi. Dzwon, jeśli chcesz. – Wskazałam głową telefon po drugiej stronie pokoju, modląc się jednocześnie w duchu, by nie przejrzał tego blefu.

Roześmiał się głośno.

– Jasne, bo chciałoby mi się rozmawiać z tą głupią krową o jakimś pluszaku! – Odwrócił mnie do siebie i przycisnął królika do mojego policzka. – Nie jesteś przywiązana do tego paskudztwa, co?

*Pokręciłam głowę.*

*– To dobrze – odparł, po czym rzucił maskotkę na drugą stronę pokoju. Królik wyleciał przez otwarte okno na ulicę.*

*James pocałował mnie w usta.*

*– Śniadanie gotowe? Mógłbym zjeść konia z kopytami.*

*Dwie godziny później, gdy już poszedł, przejrzałam moje rzeczy i wyrzuciłam wszystko, co dostałam od byłych chłopaków lub co mi o nich przypominało – zdjęcia, listy, pocztówki, biżuterię, książki i płyty. Sprzedałam nawet oryginalną klasyczną torebkę Chanel, którą Nathan kupił mi kiedyś na Gwiazdkę.*

*Teraz już nigdy więcej nie będę musiała okłamywać Jamesa.*

Okazało się, że po jednej stronie mojego hotelowego pokoju odbywa się wieczór kawalerski, a po drugiej mieszkają dzieci ze szkolnej wycieczki, ale hałas mi nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, czuję się bezpieczniejsza i spokojniejsza, słysząc donośny męski śmiech i wrzaski rozbawionych trzynastoletków na tle muzyki i dźwięku z telewizorów.

Przesuwam palcem po touchpadzie laptopa Briana i klikam na ikonę „Start”, a potem na „Programy”, i na tym poprzestaję. Jedyne znane mi programy z listy wyświetlonej na ekranie to Microsoft Office. Co to jest Filezilla? Photoshop? Skype? Sięgam do torebki.

Oliver odbiera po drugim sygnale.

– Sue? Z Charlotte wszystko w porządku?

– Tak. Chciałam tylko spytać, czy mógłbyś mi pomóc w pewnej kwestii technicznej.

– Jasne.

– Jakiego programu używałaby Charlotte do kontaktowania się ze swoimi przyjaciółkami w internecie?

– Nie wiem – odpowiada po chwili. – Ja i moi znajomi używamy chatu na Facebooku albo MSN Messenger. Może Skype’a. Nie mam pojęcia, z czego korzystała Charlotte. Dlaczego pytasz?

Klikam na folder „Dokumenty”, ale są tu tylko jakieś rzeczy Briana z pracy.

– Ktoś powiedział mi, że chatowała z przyjaciółką, korzystając z programu na laptopie taty, i wydaje mi się, że to może być ważne.

– Hmm... – Oli się zastanawia. – Prawdopodobnie nie znajdziesz niczego, jeśli się nie dowiesz, jakiej aplikacji używała. A i wtedy musiałabyś znać jej login i hasło dostępu. Mówisz, że korzystała z laptopa taty?

– Zgadza się.

– Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że ojciec raz w tygodniu rozmawia z wyborcami za pomocą MSN Messenger i zapisuje wszystkie te rozmowy, żeby potem nikt nie mógł go oskarżyć o udzielenie niewłaściwej rady, składanie obietnic bez pokrycia i tak dalej. Jeśli Charlotte nie zmieniła ustawień i właśnie tego programu używała, to jej rozmowy też powinny być zapisane.

– Naprawdę?

– Tak. Chcesz, żebym pomógł ci się zalogować do Messengera? A tak właściwie... – Robi krótką pauzę. – Nie powinnaś raczej poprosić o to taty?

– No tak, ale... – Nie wiem, jak to rozegrać. Nie chcę, by Oli się dowiedział, że jego tata wyprowadził się z domu. Ma co prawda dopiero dziewiętnaście lat, ale taka wiadomość na

pewno by go poruszyła, a teraz zdaje właśnie bardzo ważne egzaminy. – Nie mogłam się z nim dziś skontaktować. Przez cały dzień ma spotkanie jakiejś komisji, a ja chciałabym się jak najszybciej dostać do tych wiadomości. Jeśli rzeczywiście są tam jakieś wiadomości...

– Jasne, nie ma problemu. – Wydaje się, że to wyjaśnienie rozwiąło jego wątpliwości. – Więc tak, najpierw powinnaś...

W skupieniu wykonuję krok po kroku jego polecenia, klikam i otwieram to, co mi każe, aż wreszcie docieram do folderu o nazwie „Archiwum chatów”.

– Strasznie tu tego dużo – mówię, przewijając pliki. – Setki. Skąd mogę wiedzieć, które z nich to chaty Charlotte?

– Nie możesz. A jeśli zauważyła, że tato zaznaczył okienko „zapisz rozmowę”, i odznaczyła je, jej chaty się nie zachowały.

– O Boże... – Trzymam palec na klawiszu myszy i patrzę z przerażeniem na nazwy plików przesuwające się po ekranie. Będę potrzebowała sporo czasu, żeby sprawdzić je wszystkie.

– Pomóc ci w czymś jeszcze?

– Nie, dam sobie radę. Dziękuję ci bardzo, Oli.

Żegnamy się i otwieram zapis pierwszego chatu. To rozmowa Briana z wyborcą o rejonach szkolnych. Zamykam ją, otwieram następną. Tym razem ktoś chce zwrócić jego uwagę na „problem imigracji”. Trzecia wiadomość to błaganie o zapomogę, czwarta – prośba o pomoc w remoncie miejscowego placu zabaw dla dzieci. Piąta pełna jest obelg, rozmówca nazywa Briana „pseudopolitykiem z partii, którą bardziej interesuje sadzenie drzew niż sukces gospodarczy”. Takich wiadomości i rozmów są dziesiątki, setki, ciągną się bez końca. To fascynujące i frustrujące zarazem. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, z iloma ograniczonymi, samolubnymi ludźmi musi codziennie radzić sobie Brian. Świetnie, tylko gdzie jest rozmowa Charlotte? Zaczynam klikać na chybił trafił w nadziei, że przypadkiem trafię w dziesiątkę. Na razie czytam jednak o walce o nieruchomości, o skandalach w domach opieki społecznej i wymieraniu centrum. Wygląda na to, że wszyscy są z czegoś niezadowoleni, a Brian... Przestaję klikać, by odczytać ponownie kwestię, która pojawiła się właśnie na ekranie.

*Charliethecat15: Sorki, padł mi komp. Już jestem.*

*Charliethecat15: Czy to mogła być Charlotte? Z bijącym sercem czytam całą rozmowę.*

*Charliethecat15: Sorki, padł mi komp. Już jestem.*

*Ellsbells: Gównu mnie to obchodzi.*

*Charliethecat15: Nie bądź taka, Els.*

*Ellsbells: Nie wiem, dlaczego w ogóle do mnie piszesz. Z nami KONIEC.*

*Charliethecat15: Dobra, ale musimy uzgodnić wersje.*

*Ellsbells: Może uzgodnisz swoją wersję z Keishą, skoro tak się lubicie.*

*Charliethecat15: Tu nie chodzi wcale o Keishę i dobrze o tym wiesz.*

*Ellsbells: Nie?*

*Charliethecat15: Nie. Posłuchaj, Ella, wiem, że cię wkurzyłam, i rozumiem to, nie musimy już nigdy więcej z sobą gadać, ale jeśli nie będziemy się nawzajem kryć, a pan E*

*się o tym dowie, zabije nas.*

*Ellsbells: Pieprzyć E, to fiut.*

*Charliethecat15: Wiem.*

*Charliethecat15: Jesteś tam, Ella?*

*Charliethecat15: Ella?*

*Ellsbells: Co?*

*Charliethecat15: Będziesz mnie kryć, jakby co? Bo ja ciebie tak.*

*Ellsbells: Dobra. Tylko nie pisz do mnie więcej.*

*Charliethecat15: Dobra, nie będę. Chciałam to tylko wyjaśnić.*

*Ellsbells: Jak tam chcesz.*

Czytam całą rozmowę ponownie. I trzeci raz. I wciąż nie mam pojęcia, o czym rozmawiają. Dlaczego muszą się nawzajem kryć i kim jest pan E? Spoglądam na zegarek. Jest druga czterdzieści pięć. Muszę się spieszyć, jeśli chcę złapać Ellę, zanim wyjdzie ze szkoły.

Zerkam na Milly, która patrzy na mnie z nadzieją.

– Dobrze – mówię, sięgając po smycz. – Ty też możesz pójść.

## 16

Czuję się dziwnie, stojąc przed szkolną bramą. Nie odbierałam Charlotte po lekcjach, odkąd skończyła dwanaście lat, a gdy dostrzegam Elle wychodzącą głównymi drzwiami, z torbą na książki przyciśniętą do piersi i swetrem przerzuconym przez ramię, odruchowo wypatruję u jej boku mojej córki, roześmianej i pełnej życia.

– Ella? – Wyciągam rękę i dotykam jej łokcia, gdy podchodzi bliżej. – Mogłabym zamienić z tobą dwa słowa?

Rozgląda się dokoła, sprawdzając reakcję swoich kolegów i koleżanek, ale oni nie zwracają na mnie uwagi, pochłonięci rozmowami, śmiechem i wygłupami.

– Ella, proszę, to ważne.

– Dobrze, już dobrze. – Macha ręką, pokazując, byśmy odsunęły się od bramy, potem ogląda się przez ramię – nie wiem po co – i ponownie patrzy na mnie. – O czym chce pani rozmawiać?

– O tym, jak kryłyście się nawzajem z Charlotte.

Wciąż patrzy na mnie z wyzywającą miną, ale wydaje mi się, że lekko zbladła.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Myślę, że wiesz.

Mogłabym udawać, że wiem wszystko, ale jeśli zorientuje się, że kłamię, ta rozmowa natychmiast się skończy. A jeśli zrozumie, że nie wiem praktycznie nic, że chwytam się brzytwy, też nie będzie miała powodu, by ze mną rozmawiać.

– Przeczytałam waszą rozmowę na MSN Messenger. Zapisała się na jednym z naszych komputerów.

Ella otwiera szerzej oczy i przygląda mi się uważnie. Próbuje odgadnąć, czy ma powody do obaw. Muszę postępować bardzo ostrożnie.

– Kim jest pan E?

Spogląda na szkołę, a potem ponownie na mnie.

– Nie wiem, o czym pani mówi, pani Jackson.

– O panu E. Charlotte napisała do ciebie, że jeśli pan E dowie się, co zrobiliście, zabije was obie.

Ella wzrusza ramionami.

– Musiała mnie pani z kimś pomylić.

– Ellsbells, tak nazywał się użytkownik, z którym rozmawiała Charlotte. Przecież to ty.

Dziewczyna ponownie wzrusza ramionami, wydyma usta i odwraca się. Wie, że w tym chacie nie było nic, co by ją obciążało, a ja nie mogę jej inaczej nakłonić do rozmowy. Jak może być taka bezduszna, kiedy jej najlepsza przyjaciółka leży w śpiączce, z której być

może już nigdy się nie wybudzi?

– Ella, proszę. – Kładę dłoń na jej ramieniu. – Nieważne, co zrobiliście z Charlotte ani dlaczego musiałyście uzgodnić wersję. Nie będę się na ciebie złościć i nie powiem nic twojej mamie. Powiedz mi tylko proszę, kim jest pan E.

– Mówiłam pani już... – Strąca moją dłoń z ramienia. – Pomyliła mnie pani z kimś innym.

Odwraca się i chce odejść, ale ja łapię ją ponownie.

– Czy ten pan E to czyjś ojciec? A może nauczyciel? Czy to któryś z waszych... – Wyraz twarzy Elli zauważalnie się zmienia. – To nauczyciel, prawda? – Nie potrafię ukryć radości. – Jak się nazywa?

– Zabieraj ode mnie te łapska, kurwa!

Teraz już inne dzieciaki zaczynają na mnie patrzeć. Strumień uczniów zatrzymał się, zewsząd patrzą na mnie zdumione twarze. Cichną rozmowy, a śmiech zamienia się w przytłumiony chichot.

– Kim ona jest? – pyta ktoś.

– O Boże, to matka Charlotte Jackson! – odpowiada ktoś inny.

– Tak, totalnie pierdolnięta. Podobno przez miesiąc nie pozwalała Charlotte brać prysznic ani się kąpać, bo myślała, że ktoś dodaje kwas do wody!

Ella też dostrzega zamieszanie wokół nas. Zaczyna się czerwienić, ale potem odrzuca włosy do tyłu w wyzywającym geście. Powinna zdjąć dłoń z jej ramienia, ale boję się, że jeśli ją wypuszczę, już nigdy jej nie zobaczę.

– Ella – mówię cicho. – Nie ma co robić scen. Powiedz mi tylko, jak się nazywa ten pan E, a obiecuję, że więcej już nie będę ci zawracać głowy.

Dziewczyna się uśmiecha i przez sekundę myślę, że wszystko dobrze się skończy, lecz zaraz uśmiech znika, zastąpiony paskudnym grymasem.

– Pomocy! – krzyczy, odchylając głowę do tyłu. – Niech ktoś mi pomoże! Pomocy! Pomocy!

Puszczam ją, ale jest już za późno. Ktoś przeciska się szybko przez tłum, odpycha mnie do tyłu i staje między nami.

– Pani Jackson? – mówi ze zdumieniem kobieta, która stoi przede mną. To Clara Cooper, nauczycielka angielskiego.

– Myślałam, że mi wyrwie rękę.

Pani Cooper odwraca się do Elli, za którą ustawia się już grupka dziewczyn gotowych ją wspierać.

– Pani Jackson zrobiła ci krzywdę?

– Tak, proszę pani. Szłam właśnie do autobusu, kiedy mnie złapała i nie chciała puścić.

– Tak – potwierdza jedna z jej koleżanek. – Tak było.

– Myślałam, że mnie uderzy. – Twarz Elli to ucieleśnienie dziecięcej niewinności. – Naprawdę się wystraszyłam.

Pani Cooper odwraca się do mnie i podnosi brwi.

Jest mi gorąco i słabo, czuję okropną suchość w ustach. Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Chcę wrócić do domu. Chcę położyć się do łóżka, zasnąć, a po przebudzeniu

odkryć, że to wszystko – wypadek Charlotte, prezenty Jamesa, kłótnia z Brianem i to – jest tylko złym snem.

– Poklepałam ją po ramieniu – mówię. – To wszystko. Chciałam z nią porozmawiać.

Pani Cooper przygląda mi się uważnie, a potem odwraca się do tłumu.

– Wracajcie wszyscy do domu. Ella, ty poczekaj przy bramie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Ella krzywi się z irytacją.

– Ale pani...

– Poczekaj przy bramie.

Dziewczyna wydyma usta i podnosi ręce, jakby chciała zaprotestować, jednak zmienia zdanie i idzie do bramy. Tłum powoli się rozchodzi, rozczarowany, że przedstawienie dobiegło już końca.

Pani Cooper czeka, aż zostaniemy same, po czym odwraca się do mnie.

– Jak się pani miewa, pani Jackson?

Mam już na końcu języka „dobrze”, ale w jej łagodnym tonie i zatroskanych oczach jest coś, co każe mi powiedzieć prawdę.

– Jestem zmęczona.

– Nie dziwię się. – Dotyka lekko mojego ramienia, a potem opuszcza rękę. – Jak się czuje Charlotte? Bardzo nam jej brakuje.

– Bez zmian – odpowiadam. – Ale dziękuję, że pani pyta.

Pani Cooper uśmiecha się do mnie, a potem ogląda się przez ramię. Ella stoi oparta o bramkę do piłki nożnej, kopie w metalowy słupek.

Brzdęk! Brzdęk! Brzdęk!

– Ella!

Przestaje, gdy tylko nauczycielka wymawia jej imię, i spogląda na mnie z urazą. Clara odwraca się ponownie do mnie.

– Co tu się dzieje? O co chodziło Elli?

Mówię jej o internetowej rozmowie i o moich obawach, że „pan E” może być jakimś zagrożeniem dla dziewczyn.

– Myśli pani, że to rodzic czy nauczyciel?

Opowiadam o reakcji Elli na sugestię, że pan E może być nauczycielem, a pani Cooper zamyśla się na chwilę.

– Jest pan Egghart... Uczy fizyki.

Kręcę głową. Żadna z dziewczyn nie ma zajęć z fizyki.

– Czy to na pewno pan? – pyta nauczycielka. – Bo mamy kilka nauczycielek na E, panią Everett, panią Evesham i panią East.

– Nie, na pewno chodziło o mężczyznę. Jedna z nich nazwała go fiutem.

– Próbuję sobie przypomnieć jeszcze innych nauczycieli z nazwiskiem na E... – Pani Cooper bawi się kolczykami i skupiona wpatruje w chodnik. – Jenny Best z sekretariatu ma pełną listę personelu. Najlepiej byłoby zapytać... Och! – Podnosi wzrok. – Właśnie sobie przypomniałam. Mamy nowego nauczyciela, który zastępuje panią Hart od ekonomii na czas jej urlopu macierzyńskiego. Jego nazwisko zaczyna się na E. Chwileczkę, jak to było... Eggers? Nie. Ethan? Też nie. To bardzo popularne nazwisko. Zaraz sobie



przypomnę. Już wiem! – Uśmiecha się triumfalnie. – Evans! Tak jest. Pan Evans.

– Evans? – powtarzam, ogarnięta nagle dziwnym spokojem. Czuję się tak, jakbym wypłynęła z własnego ciała i obserwowała tę rozmowę z góry. – Wie pani może przypadkiem, jak ma na imię?

Nim jeszcze Clara otwiera usta, ja już wiem, co powie.

– James – oznajmia. – Tak samo jak mój chłopak.

Dziwne uczucie unoszenia się w powietrzu nagle ustępuje, wracam do swojego ciała tak gwałtownie, że muszę zrobić krok do tyłu, by się nie przewrócić.

– James Evans?

– Tak. – Clara wciąż się uśmiecha. – Dlaczego? Chyba nie myśli pani, że jest...

– Jak on wygląda? Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu? Blondyn? Elokwentny?

– Tak. – Spogląda na mnie ze zdumieniem. – Wszystko się zgadza. Proszę poczekać! – woła, gdy wbiegam do szkoły. – Pani Jackson, proszę poczekać!

## Niedziela, 31 marca 1991

*Wczoraj na Oxford Street wpadłam na Hels. Na jej widok – a wyglądała prześlicznie w czarnej sukience w zielone groszki, które kontrastowały z jej rudymi włosami upiętymi fantazyjnie na czubku głowy – najpierw ogromnie się ucieszyłam, ale potem przypomniałam sobie, że już się nie przyjaźnimy, więc uciekłam szybko do sklepu muzycznego HMV. Musiała mnie jednak zauważyć, bo chwilę później poczułam jej dłoń na ramieniu.*

– Sue? To ty, prawda? – spytała. Wydawała się tak uradowana z tego spotkania, że ja z kolei omal się nie rozplakałam. Opanowałam się jednak. Nie chciałam, by zobaczyła, jak mi jest bez niej źle. Gawędziłyśmy przez chwilę o różnych rzeczach – ja opowiadałam o kostiumach, które przygotowywałam do inscenizacji Czekając na Godota, i o tym, że moja mama przywykła już do domu opieki, choć jej stan ciągle się pogarsza. Hels powiedziała mi, że dostała w pracy awans i że wrócili właśnie z Rupertem z Florencji, gdzie się zaręczyli. Nie mogłam się powstrzymać i uściskałam ją serdecznie – dopiero gdy odsunęła się ode mnie i podniosła moją rękę, żeby obejrzeć mój pierścionek, przypomniałam sobie, że i ja jestem zaręczona.

– No, no, tajemniczy z ciebie człowiek – powiedziała, ale zamiast się uśmiechnąć, wyraźnie spochmurniała. – Gratulacje, Susan, musisz być bardzo szczęśliwa.

Wtedy właśnie się rozplakałam, na samym środku HMV otoczona tłumem ludzi, którzy przeglądali najnowsze płyty.

Hels była tak przerażona, że próbowałam uciec. Nie dość, że płakałam jak bóbr w publicznym miejscu, to jeszcze moja była przyjaciółka patrzyła na mnie jak na dziwadło. Dogoniła mnie jednak i złapała za rękę.

– Proszę, Susan, chodźmy na drinka. Powiedz mi, co się dzieje. Tęskniłam za tobą.

Poszłyśmy do Dog and Duck w Soho i znalazłyśmy ciemny zakątek, gdzie mogłam swobodnie mówić i nie straszyć ludzi swoją zapłakaną twarzą. Powiedziałam Hels

o wszystkim. Opowiedziałam jej o spotkaniu z mamą Jamesa, o wyjeździe do Pragi, o tym jak nie chciał spać w moim łóżku i jak wyrzucił królika przez okno. Hels słuchała mnie w milczeniu, od czasu do czasu kiwała tylko głową lub potakiwała. Jednak gdy zaczęłam mówić o tym, jak domagał się, bym odbyła z nim stosunek analny i udowodniła mu w ten sposób, jak bardzo go kocham, zachłysnęła się z przerażenia.

– Zrobiłaś to? – Wielkie zielone oczy Hels patrzyły na mnie z niepokojem. – Pamiętam, że kiedyś próbowaliście tego z Nathanem i potem przysięgałaś, że już nigdy więcej tego nie zrobisz.

– Wiem. Mówiłam Jamesowi, że tego nie lubię i nie chcę tego robić, ale on nie dawał mi spokoju, powtarzał, że najwyraźniej kochałam swojego byłego chłopaka bardziej niż jego, skoro wtedy się na to zgodziłam, a teraz się nie zgadzam. Wspominał o tym przy każdej okazji, doszło do tego, że nawet gdy dobrze się bawiliśmy, ja nie mogłam się zrelaksować, bo czekałam, kiedy znów zacznie. W końcu doszłam do wniosku, że jeśli to zrobię, temat w końcu zostanie zamknięty.

– I...?

Odwróciłam głowę, by nie widziała łez, które znów napłynęły mi do oczu.

– Musisz od niego odejść, Sue. – Helen sięgnęła do moich rąk. – I to jak najszybciej.

Próbowałam się spierać. Próbowałam wytłumaczyć, że James był w dzieciństwie molestowany, że czuł się stłamszony przez swoją matkę, że był prawdziwym romantykiem i stracił dziewictwo dopiero w wieku dwudziestu czterech lat, że naprawdę mnie kochał i przez cały czas zmagają się z rozczarowaniem i zazdrością – ale Hels kręciła tylko głową.

– To nie jest miłość, Sue. Kochający mężczyzna tak nie traktuje kobiety.

– Ale... – Próbowałam tłumaczyć, że nie wszystko jest złe, że zdarzają się między nami prawdziwie magiczne chwile, że mamy z sobą wiele wspólnego i że każdy dzień może być prawdziwą przygodą, kiedy James jest w dobrym humorze.

– Właśnie, kiedy jest w dobrym humorze. Bo obie dobrze wiemy, co się dzieje, kiedy jest w złym nastroju. Czy naprawdę warto, Sue? Czy warto znosić ciągłą krytykę i upokorzenia dla tych kilku miłych chwil? Czy warto żyć w ciągłym strachu i zastanawiać się, co znów za chwilę przyjdzie mu do głowy?

– Nie boję się go. Nigdy jeszcze mnie nie uderzył.

– Na razie – pokręciła głową. – Może cię nie bije, ale tak czy inaczej znęca się nad tobą, Sue. Musisz od niego odejść. Jak najszybciej.

Nie musiała tego powtarzać, bo sama myślałam o tym już setki razy. Inaczej jednak brzmiało to w ustach kogoś innego, kto patrzył na mnie z troską i przerażeniem. Czułam wtedy, że nie przesadzam ani nie popadam w obłąd, że James rzeczywiście nie powinien mnie tak traktować, że będę szczęśliwsza sama.

Więc zrobię to. Odejdę od niego. Zrobię to w piątek, kiedy umówiliśmy się na drinka.

Mam tylko nadzieję, że nie będę trzęsła się tak jak teraz.

Brian! – krzyczę do komórki, biegnąc w głąb korytarza, mijając gabloty z pracami plastycznymi, witryny wypełnione trofeami sportowymi i wysokie metalowe szafki. – Brian, musisz natychmiast przyjechać do domu. James Evans pracuje w szkole Charlotte. Przeczytałam w twoim komputerze rozmowę Charlotte z Ellą, obie się go bały. Zadzwoń na policję, ja jestem w szkole.

Dobiegam do schodów i pędzę na górę, przytrzymując się poręczy i przeklinając swoje nogi, które nie chcą się szybciej poruszać. Nie byłam tu co najmniej od roku, ale nadal pamiętam, gdzie jest gabinet dyrektora.

– Czym mogę pani służyć?

Jasnowłosa kobieta w średnim wieku, w jasnoróżowej bluzce i z perłami na szyi, podnosi wzrok znad biurka, kiedy wpadam do małego pokoju przylegającego do gabinetu dyrektora. Jest niewiele starsza ode mnie, trzy, może cztery lata. Nazywa się Clarissa Gordon. Była tutaj, gdy przyszedłem ostatnio do dyrektora.

– Chciałam zobaczyć się z panem Andersonem – mówię, próbując poniewczasie przyklepać trochę włosy. – To pilne.

Widzę po minie Clarissy, że mnie pamięta. Mierzy mnie wzrokiem, a na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

– Jak się pani nazywa?

– Jackson. Sue Jackson. To bardzo ważne. Chodzi o bezpieczeństwo dwóch uczennic.

Clarissa unosi brwi. Pamięta zapewne okoliczności mojej ostatniej wizyty – wpadłam wtedy na lekcję biologii i zażądałam, by Charlotte natychmiast ze mną wyszła. Miesiąc wcześniej obrabowano nasz dom, a reportaż o uczennicy zgwałconej w miejskim parku, który obejrzałam wtedy właśnie w telewizji, przekonał mnie, że James na nią poluje. Trzęsłam się wtedy tak bardzo, że nie mogłam oddychać. Pan Posser, nauczyciel biologii, zaprowadził mnie wtedy do pana Andersona, a dyrektor wezwał szkolną pielęgniarkę. Wciąż pamiętam ściągniętą twarz Clarissy, która przyglądała mi się zza przeszkłonych drzwi, podczas gdy pielęgniarka kazała mi powoli i miarowo oddychać, a ja błagałam, by mnie wysłuchała. Dlaczego nikt nie rozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi mojej córce? Potem przez pół roku zażywałam mocne leki uspokajające.

– Bezpieczeństwo dwóch uczennic, tak? Cóż, gdyby podała mi pani trochę więcej szczegółów, mogłabym zadzwonić do pana Andersona i... – Przerzywa, gdy za oknem za moimi plecami przechodzi kilkoro rozgadanych nauczycieli.

– Nie ma na to czasu. – Obchodzę jej biurko i sięgam do klamki drzwi po prawej. – Muszę rozmawiać z nim natychmiast.

– Przepraszam panią, pani Jack...

Krzesło skrzypi głośno, gdy wstaje i rusza za mną, ale ja wcześniej naciskam klamkę i wchodzę do gabinetu dyrektora.

– Clarisso, ja... – Dyrektor podnosi wzrok znad biurka i otwiera usta ze zdumienia.

– Przepraszam, panie Anderson – dyszy sekretarka. – Ta pani weszła tu siłą. Nie mogłam jej zatrzymać.

– W porządku, Clarisso. – Dyrektor kiwa głową. – Zajmę się tym.

– Ale prosił pan, żeby dziś nikt panu nie przeszkadzał. Mówi pan, że musi przygotować raport dla...

– Zajmę się tym, Clarisso. Dziękuję.

– Tak, panie Anderson. – Sekretarka wychodzi tyłem z pokoju. Jej mina mówi, że gdybyśmy były trzydzieści lat młodsze, czekałaby na mnie przy bramie z dwiema koleżankami.

– Będę obok – mówi, zamykając za sobą drzwi.

Ian Anderson spogląda na mnie spod krzaczastych brwi i wskazuje puste krzesło.

– Proszę usiąść, pani...

– Jackson. Dziękuję, postoję.

– Dobrze. – Zaplata ręce na swojej szerokiej piersi. – Co mogę dla pani zrobić, pani Jackson?

– Przepraszam, że tak pana nachodzę, ale to pilne. – Zaciskam dłonie na oparciu krzesła.

– Jeden z pana nauczycieli stanowi poważne zagrożenie dla dzieci.

Prostuje się gwałtownie.

– Jeden z naszych nauczycieli?

– Mam powody, by przypuszczać, że jeden z nauczycieli pracuje tu tylko dla pozorów. Być może skrzywdził Charlotte i jej przyjaciółkę, Ellę.

– Charlotte... – Pan Anderson patrzy na mnie tak, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

– Charlotte Jackson? Jest pani jej...

– Matką? Tak.

Czekam, aż zerwie się z miejsca i przejdzie do działania, ale on patrzy na mnie, jakby się spodziewał, że powiem coś jeszcze.

– Proszę. – Pokazuję mu gestem, by wstał. – Może pan go odszukać? Im dłużej zwlekamy, tym większe prawdopodobieństwo, że dziś stąd odejdzie. – A może odejdzie na zawsze. James wie, że jestem na jego tropie, czuję to. – Proszę, panie Anderson. Trzeba go powstrzymać, zanim kogoś skrzywdzi. Jeśli już tego nie zrobił.

– Zanim kto kogoś skrzywdzi?

– James Evans.

– James Evans? Nasz nauczyciel ekonomii?

– Tak. Nie. Tak naprawdę to nie jest nauczyciel, to oszust. – Przesuwam się w stronę drzwi. – Proszę, panie Anderson. Chodźmy.

– Pani Jackson – mówi dyrektor, podnosząc rękę. – Proszę usiąść na moment i jeszcze raz wszystko mi opowiedzieć. Przyznaję, że za panią nie nadążam.

– Nie ma na to czasu. – Podchodzę, kładę dłonie na blacie biurka i pochylam się, by

nasze oczy znalazły się na jednym poziomie. – Proszę. Wytlumaczę wszystko, ale najpierw musimy znaleźć Jamesa Evansa. Nie ma pan pojęcia, w jakim niebezpieczeństwie znalazły się dzieci. Musimy go powstrzymać, zanim ucieknie. – Nie umiem już dłużej ukrywać zdenerwowania i irytacji. – Proszę, chodźmy.

– Traktujemy oskarżenia przeciwko naszym nauczycielom bardzo poważnie, pani Jackson. – Dyrektor powoli podnosi się z krzesła, ściąga z oparcia marynarkę, wkłada jedną rękę, potem drugą, wygładza materiał... Przez jedną straszliwą sekundę myślę, że zacznę zapinać guziki, ale nagle się ożywia i pokonuje gabinet czterema długimi krokami. – Pani Jackson – mówi, otwierając drzwi, zza których wyziera zdumiona twarz Clarissy. – Proszę pójść za mną.

Mam wrażenie, że przejście do pokoju nauczycielskiego zajmuje nam całą wieczność. Gdy idziemy mostkiem łączącym sale przedmiotów ścisłych z głównym budynkiem, staję na moment przy panoramicznym oknie i patrzę na parking. Kręci się tam kilkanaścioro nauczycieli, niektórzy rozmawiają w małych grupach, inni wsiadają do samochodów. Wypatruję wśród nich Jamesa, ale nie ma go tam.

– Pani Jackson?

Dyrektor stoi po drugiej stronie mostka. Idę w jego stronę.

– Oczywiście może go tutaj nie być. – Otwiera drzwi pokoju nauczycielskiego. – Może pojechał już do domu albo jest w którejś z pracowni, a może nawet...

Nie słyszę reszty zdania, bo serce wali mi tak mocno, że jego łomot zagłusza wszelkie inne dźwięki. Po drugiej stronie pokoju stoi jasnowłosa mężczyzna odwrócony do nas plecami. Pochyla głowę, jakby coś czytał albo przeglądał. Wciąż słyszę głos pana Andersona, ale nie rozumiem, co do mnie mówi. Każda komórka mojego ciała każe mi zawrócić, uciekać i nie oglądać się za siebie, ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę oderwać oczu od szerokich pleców i silnych ramion jasnowłosego mężczyzny. Powietrze gęstnieje, dzieląca nas odległość nagle się kurczy. Mam wrażenie, że stoję tuż za nim, wdycham jego zapach. Wyciągam rękę i czuję dotyk jego włosów, delikatną skórę jego karku, sztywny, wykrochmalony kołnierz. Widziałam to i czułam w setkach koszmarów. Wystarczy tylko, by obrócił głowę, a w końcu zobaczę jego twarz, w końcu się obudzę.

– James? – mówię półszepem. Obraz na obrzeżach mojego pola widzenia ciemnieje i znika niczym fotografia, pod którą ktoś podłożył ogień. Mrugam nerwowo, próbuję się otrząsnąć, lecz teraz tańczą mi przed oczami ciemne pląty, a uszy wypełnia szum oceanu. Czuję się tak, jakbym pływała pod wodą, głęboko, głęboko pod...

– Pani Jackson?

Czuję, jak ktoś dotyka mojego łokcia, próbuję odwrócić głowę, by zobaczyć, kto to jest, ale boję się, że stracę równowagę, że nawet najmniejszy ruch pośle mnie prosto na dno.

– Pani Jackson, chce pani usiąść?

Czuję dotyk innej ręki, ktoś mnie pcha/ciągnie, zmusza, bym usiadła. Wszystko jest czarne, ocean w mojej głowie pulsuje z coraz większą siłą. Żołądek podchodzi mi do gardła i...

– O Boże, zwymiotowała!

– W toalecie są papierowe ręczniki. Przyniosę kilka.

– I szklankę wody, jeśli...

– Mamy kubki. Może któryś z nich...

Potem zapada cisza.

– Pani Jackson, słyszy mnie pani?

– Pani Jackson? – Inny głos, tym razem kobiecy.

– Sue?

Unoszę powieki.

– Brian? – mówię, lecz z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Próbuję usiąść, ale ktoś naciska delikatnie na moje ramiona i biodra, układa z powrotem na plecach.

– Nie ruszaj się. Uderzyłaś się w głowę, kiedy upadłaś. Karetka już tutaj jedzie.

– James – mówię, wpatrując się w jasnoniebieskie oczy, które patrzą na mnie z troską i zdumieniem jednocześnie.

– Nie, Sue. To Brian.

– Wiem. Wiem, że to ty, Brian. Gdzie jest James?

Mój mąż odwraca się do kogoś, kto stoi za nim, poza moim polem widzenia.

– James, ona chce z panem rozmawiać.

– Nie! Nie! – Próbuję krzyknąć, ale głos więźnie mi w gardle. – Nie!

– Pani Jackson? – Obok Briana pojawia się twarz, której nigdy dotąd nie widziałam. – Jestem James Evans.

– Nie. – Kręcę powoli głową. – Nie, to nie pan.

Mężczyzna się uśmiecha. To dobry, ciepły uśmiech, który rozjaśnia jego twarz, rozszerza nozdrza i marszczy skórę w kącikach oczu.

– Może pani zadzwonić do mojej mamy albo sprawdzić moje świadectwo urodzenia, ale przez ostatnie dwadzieścia dziewięć lat wszyscy nazywali mnie James Evans – oprócz przyjaciół, którzy mówią do mnie Jamie – więc jestem pewien, że...

– Ten drugi – mówię. – Gdzie jest ten drugi?

Próbuję usiąść prosto i rozejrzeć się dokoła, ale Brian kręci głową.

– To jest James Evans. – Przykłada dłoń do mojej twarzy i delikatnie odgarnia z niej włosy. – Nauczyciel ekonomii, który miał zajęcia z Charlotte i Ellą. To jedyny James Evans w tej szkole, Sue.

– Ale... – Spoglądam na młodego mężczyznę i natychmiast uzmysławiam sobie mój błąd. James Evans nie byłby już jasnym blondynem, miałby czterdzieści osiem lat. – O Boże!

Zakrywam twarz dłońmi i zamykam oczy. Co ja narobiłam?

– Dziewczynki urwały się ze szkolnej wycieczki – mówi Brian. – Miały jechać do Londynu z panem Evansem, ale...

– Zadzwoiły w ten sam dzień i powiedziały, że czymś się zatręły. Mówiły, że poprzedniego wieczoru były razem w klubie dla nastolatków, zjadły jakiegoś zepsutego kurczaka i przez całą noc chorowały. Nie widziałem powodu, żeby im nie wierzyć, choć teraz dochodzę do wniosku, że powinienem był do państwa zadzwonić i potwierdzić tę informację.

– Powinien pan był – odpowiada mu głos, który należy prawdopodobnie do dyrektora.

– Przeczytałem tę rozmowę na MSN, Sue. Dziewczyny nie bały się, że pan Evans naprawdę je zabije. To była tylko taka figura retoryczna.

Odsuwam dłonie od twarzy i patrzę na cztery twarze pochylone nade mną.

– Skoro nie pojechały w tamten weekend z panem Evansem – mówię – i skoro nie zostały z nami w domu, to gdzie były?

Brian kręci głową.

– Nie wiemy.

## Sobota, 6 kwietnia 1991

*Przez cały tydzień czułam się fatalnie. Nie mogłam szyć ani spać, prawie w ogóle nie jadłam. Gdy tylko dzwonił telefon, podskakiwałam ze strachu, przerażona, że to James i że domyślił się, co mam zamiar zrobić. W rzeczywistości zadzwonił tylko raz – na chwilę, by się upewnić, że jesteśmy umówieni na piątek.*

*Nie chciałam tam iść. Powtarzałam sobie, że James nie jest taki zły, że wielu mężczyzn jest o wiele gorszych od niego, ale wtedy, jakby wyczuwając, że chwieję się w swoim postanowieniu, zadzwoniła do mnie Hels.*

*– Będziemy z tobą – powiedziała. – Oboje będziemy. Rupert i ja pomożemy ci przez to przejść. Musisz być silna, Susan. Pamiętaj o wszystkich sytuacjach, kiedy przez niego płakałaś.*

*Tymczasem, jakby na przekór losowi, gdy tylko James zobaczył, jak wchodzę do Heart in Hand, zerwał się od stołu, objął mnie i powiedział mi, że pięknie wyglądam. Był w świetnym humorze, opowiadał o naborze do jakiejś roli telewizyjnej, o którym pisali w „The Stage”, i przeproszał mnie raz po raz, że nie dzwonił częściej, ale był zajęty przygotowaniami do przesłuchań.*

*– Poszło mi dobrze, naprawdę dobrze – mówił, ściskając moją dłoń. – Jeśli dostanę tę rolę, będzie nas stać na własne mieszkanie i na jakieś mniejsze mieszkanie dla mamy w pobliżu. Zostaniemy wreszcie sami, a w razie potrzeby mama zawsze będzie mogła poprosić mnie o pomoc. A ty... – Omal nie wyskoczył ze swojego miejsca, tak był podekscytowany. – Ty będziesz miała własną pracownię, może nawet rozkręcisz jakiś interes, zamiast robić to za darmo dla Abberley. Będzie cudownie.*

*Siedzieliśmy w klubie – on rozprawiając i fantazjując, a ja kiwając głową i odgrywając rolę oddanej dziewczyny – przez dobre dwie godziny, aż w końcu nie mogłam znieść tego dłużej i zaproponowałam, żebyśmy wzięli coś na wynos i poszli do mnie. James był zaskoczony, bo myślał, że wybierzemy się potem do restauracji, ale kiedy powiedziałam, że jestem zmęczona, zgodził się. Spacer do domu był okropny. Ja za bardzo się denerwowałam, by rozmawiać, więc szliśmy w krępującym milczeniu. James zerkał na mnie co kilka sekund, a ja unikałam jego spojrzenia.*

*Kiedy otworzyłam drzwi, objął mnie ramionami i wtulił twarz w moją szyję.*

*– Może powrót do domu nie był jednak takim kiepskim pomysłem. Chciałaś zwabić mnie do swojego łóżka, tak, moja mała kokietko?*

Zesztywniałam pod jego dotykiem i wysunęłam się z jego ramion. Przeszedł za mną do kuchni i obserwował od drzwi, jak z lodówki wyjmuję butelkę wina. Czułam, jak wpatruje się w moje plecy, gdy otworzyłam butelkę i napełniłam kieliszek.

– Chcesz trochę, James?

Nie odpowiedział.

Kiedy wstawiałam butelkę z powrotem do lodówki, zauważyłam, że zrobił się w niej okropny bałagan, zaczęłam więc przestawiać paczki z szynką, kartony z mlekiem i puszki z fasolą.

– Co robisz? – spytał nagle James.

Odpowiedziałam jakąś niedorzeczną uwagą o maleńkiej lodówce i maleńkim umyśle, odwinęłam z folii kawałek żółtego sera, po czym zawinęłam go z powrotem, tym razem ciałniej, i odłożyłam na najwyższą półkę w drzwiach.

– Sue, zostaw tę pierdoloną lodówkę i spójrz na mnie.

Odwróciłam się powoli, wpatrzona w wykładaną płytkami podłogę.

– Spójrz na mnie.

Zacisnęłam mocniej dłoń na kieliszku i zmusiłam się do podniesienia wzroku. Przeniknęła mnie zimny dreszcz, gdy zobaczyłam oczy Jamesa. Nie było w nich ani odrobiny ciepła, życzliwości czy miłości. Patrzył na mnie z całkowitą obojętnością, jakby nigdy dotąd mnie nie widział.

– Chodźmy do salonu – wyszeptalam. – Musimy porozmawiać.

James odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni. Poszłam za nim, przystanąłam jednak w korytarzu, by wypić łyk wina. Za ledwie weszłam do salonu, dłoń Jamesa pochwyciła mnie za gardło i pchnęła na ścianę.

– Wiedziałem, że mnie zdradzisz. Ty obrzydliwa szmato...

– James... – Kieliszek wypadł mi z dłoni, gdy odruchowo podniosłam ręce do szyi. Próbowalam rozprostować jego palce, ale był za silny. – James, nie mogę oddychać.

– Nikt nie będzie cię kochał tak jak ja. – Szczrzył zęby niczym wściekły pies, jego nozdrza falowały gwałtownie. – Nikt.

– Proszę. – Pociągnęłam ponownie za jego rękę, nadaremnie próbowałam postawić obcas na podłodze. Dotykałam jej tylko czubkami palców. – Proszę, James. Proszę, zrobisz mi krzywdę.

– To dobrze. – Przysunął twarz do mojej, czułam jego gorący oddech, widziałam krople potu na jego skórze. – Bo ty krzywdzisz mnie.

– Nie zdradziłam cię. Przysięgam. Przysięgam na życie mojej mamy. Na grób mojego ojca.

Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek... i uśmiechnął się. Przez sekundę myślałam, że uderzy mnie głową, ale wtedy pocałował mnie w usta z taką siłą, że straciłam czucie w wargach. Sięgnął jedną ręką do mojej piersi, potem, jakby po namyśle, pchnął mnie przez pokój. Uderzyłam stopą o stolik, poleciałam do przodu i wylądowałam na sofie.

– James... – Obróciłam się na bok. Przeszedł do mnie przez salon, mierząc mnie tym samym martwym wzrokiem. – James, przestań. Nie zdradziłam cię. Przysięgam. Ja...

Przystanął i parsknął śmiechem. Śmiał się tak gwałtownie, że złapał się za brzuch, zgiął



wpół i oparł ręką o sofę.

– Ty? – parsknął wreszcie. – Zdradzić mnie? Akurat! Patrzyłaś ostatnio w lustro? Patrzyłaś? Kto by cię chciał, gruba suko? Cieszę się, że chciałaś porozmawiać. – Śmiech ustał równie raptownie, jak się zaczął. James stanął prosto i wygładził na sobie ubranie. – Bo ja też chciałem z tobą pogadać. Nie układa nam się, Suzy-Sue, i pomyślałem, że powinniśmy się rozejść.

Umilkł.

Najwyraźniej czekał na jakąś reakcję, ale ja nie miałam pojęcia, czego ode mnie chce. Miałam płakać? Błagać go, by tego nie robił? Zgodzić się? Bałam się, że podejmę niewłaściwą decyzję, więc w końcu nie zrobiłam nic.

– Ach... – westchnęła po chwili, która przeciągała się w nieskończoność. – Żadnej reakcji. Nie reagujesz, choć mężczyzna, którego rzekomo kochasz nad życie, chce od ciebie odejść. Bardzo dziwne. Nie takiego zachowania spodziewałbym się po zakochanej kobiecie.

– Ja... ja naprawdę cię kocham, James, ale...

– KŁAMIESZ! – rzucił mi to prosto w twarz, a ja zakryłam głowę rękami i zwinęłam się w kłębek. – Wstrętna oszustka!

Poczułam jego dłoń na nadgarstku i przez jedną przerażającą chwilę myślałam, że złamie mi rękę, kiedy jednak szarpnął mnie za palec serdeczny, wiedziałam już, co chce zrobić. Patrzyłam nań z przestachem, kiedy przeszedł przez pokój i otworzył okno. Do salonu wdarły się odgłosy ulicy.

– Och, babciu... – Podniósł pierścionek, który trzymał między kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki. – Tak mi przykro. Naprawdę myślałem, że poznałem tę jedyną. Myślałem, że to prawdziwie bratnia dusza. Ale ona mnie nie kochała, babciu. Nie tak bardzo, jak twierdziła. – Stłumił szloch. – Więc czas się pożegnać. Nie tylko z nią, ale i z twoim pierścionkiem. Przepraszam, że cię zawiodłem, babciu. Staralem się. Naprawdę.

Obserwowałam w przerażeniu, jak odciąga rękę do tyłu. Chciał wyrzucić pierścionek – rodzinny klejnot – przez okno, i to z mojej winy.

– Nie! – Zeskoczyłam z sofy i ruszyłam chwiejnym krokiem w jego stronę, wyciągając przed siebie ręce. – James, nie rób tego! Twoja babcia by nie chciała...

Ale było już za późno. Pierścionek wyleciał przez okno i wylądował na ulicy przed nadjeżdżającym samochodem.

– Nie wszystko stracone. – Pochwyciłam Jamesa za rękę. – Możemy go jeszcze odzyskać. Może nie jest wcale uszkodzony.

– Ty pazerna suko... – Odepchnął mnie z taką siłą, że upadłam na dywan. – Ja gównie cię obchodzę, ale chciałaś zatrzymać swój cenny pierścionek? Cóż, mam dla ciebie smutne wieści, moja droga naciągaczko. – Pochylił się, ujął mnie pod brodę i zmusił, bym na niego spojrzała. – To nie jest żaden diament ani szafir. To gówniana błyskotka, którą kupiłem na pchlim targu. Szkoda, że nie widziałaś swojej miny, kiedy rzuciłaś się na to cudo jak kot na kielbasę. I ty uważasz się za inteligentną? Żałosne...

Pchnął mnie znowu na dywan i wyprostował się.

– Mama powiedziała, że zasługuję na kogoś więcej niż na garkotłuka z maszyną do szycia, i miała rację. – Pokręcił głową. – Biedna mama. I pomyśleć, że omal jej nie

*porzuciłem, żeby być z tobą. Z tobą! Jezu! Swoją drogą przekonałem się, że grube dziewczyny rzeczywiście są łatwe. – Przykucnął ponownie i przesunął palcem po mojej szczęce, a potem uszczypnął mnie pod brodą. – Nie powinnaś rozkładać nóg tak szybko, kiedy poznasz następnego chłopaka. Może będzie cię bardziej szanował.*

Gdzie wtedy byłaś, kochanie? Śmiało, mamie możesz wszystko powiedzieć.

Mówię trochę głośniej niż szeptem. Jest piąta rano i niemal wszyscy pacjenci na oddziale śpią. Słyszę pielęgniarki, które rozmawiają cicho w swoim pokoju, od czasu do czasu słychać też skrzypienie wózka lub czyjeś kroki na korytarzu przed pokojem Charlotte. Pielęgniarka, która rozmawiała ze mną przez domofon, była zaskoczona, że chcę wejść do szpitala o tej porze, ale gdy powiedziałam jej, że miałam okropny sen i boję się o życie córki, ustąpiła i wpuściła mnie. Na pewno nie jestem pierwszym ani ostatnim rodzicem, który pojawia się w środku nocy, by sprawdzić, co się dzieje u jego dziecka.

Skłamałam, mówiąc o śnie. W ogóle jeszcze nie spałam. Jak mogłabym zasnąć, gdy dręczyło mnie tyle pytań? Po powrocie ze szkoły długo jeszcze rozmawialiśmy, ale o pierwszej w nocy Brian uznał, że najwyższy już czas kłaść się spać. Leżałam przez cztery godziny, słuchając jego pochrapywania i posapywania, aż w końcu wstałam, zabrałam ubrania z krzesła przy łóżku i poszłam do łazienki.

– Pan Evans powiedział, że nie pojechałaś na wycieczkę... – Obserwuję twarz Charlotte, przekonana, że zauważę w końcu jakąś reakcję. Jestem pewna, że ta sekretna wyprawa ma jakiś związek z tajemnicą, która skłoniła ją do wejścia pod autobus. – Podobno udawałaś, że boli cię brzuch, że się czymś zatrzymała. Wiem, że to kłamstwo.

Nic. Najmniejszego drgnienia ani napięcia. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że rysy jej twarzy nieco złagodniały, jakby pogrążyła się w jeszcze głębszym śnie. Pielęgniarki nie wierzą mi, gdy mówię, że wiem, kiedy Charlotte śpi. Błędne – choć bardzo powszechne – jest przekonanie, że pacjenci pogrążeni w śpiączce zawsze śpią. Nieprawda. Jak każdy człowiek na przemian czuwają i śpią, choć nie zawsze wiadomo, jak rozróżnić te dwa stany. Ja potrafię to określić na podstawie ułożenia jej powiek, kształtu żuchwy i rozluźnienia ust, ale mogę też odgadnąć, czy śpi, nawet w ciemności. Jedna z pielęgniarek – Kimberley – uśmiechnęła się tylko uprzejmie, gdy powiedziałam jej, że Charlotte pachnie inaczej, kiedy śpi, ale to prawda. Znam zapach Charlotte lepiej niż zapach kogokolwiek innego. Znam zapach jej skóry, znam też wyjątkową mieszankę aromatów będącą połączeniem jej dezodorantu, perfum i lakieru do włosów. Kiedy była jeszcze małeńka, a ja czuwałam przy jej łóżeczku, dobrze poznałam słono-słodki zapach jej snu. Nawet teraz, gdy podniosę rękę Charlotte do twarzy, mogę odgadnąć po zapachu jej nadgarstka, czy śpi.

– Sue?

Aż podskakuję z przestachu, czując dotyk dłoni na ramieniu, ale od razu domyślam się, że to Brian.

– Tak, kochanie?

Ma podkrążone oczy i wydaje się chorobliwie blady. Jest w tej samej koszuli co wczoraj, wymiętej i poplamionej od potu pod pachami. Włosy mu sterczą pod różnymi kątami. Wygląda jak strach na wróble na nocnej zmianie.

– Co ty robisz? – pyta, spoglądając znacząco na zegar.

– Odwiedzam Charlotte.

Zaciska dłoń na moim ramieniu tak mocno, jakby musiał się mnie przytrzymać, by nie stracić równowagi.

– Chodź do domu, Sue. – Jego głos brzmi wyjątkowo głośno w pustej sali. – Musisz pojechać do domu.

– Więc jak pani widzi, pani doktor, żona nie czuje się ostatnio najlepiej.

Siedzimy w gabinecie doktor Turner przy Western Road, Brian po lewej stronie, ja po prawej, a lekarka za swoim biurkiem. Ma długie rude włosy związane w kucyk, a na szyi nosi różnokolorowe paciorki.

– Rozumiem. – Kiwa głową, nie spuszczać ze mnie wzroku. Patrzy na mnie, odkąd Brian zaczął mówić. Opowiadał jej, jak się ostatnio zachowywałam, co mówiłam i co robiłam.

– Jestem tu tylko z powodu omdleń – mówię.

Doktor Turner przechyla głowę na bok.

– Tylko z powodu omdleń?

Chce chyba, bym przyznała, że chodzi o coś więcej, i prawdopodobnie będzie rozczarowana, jeśli tego nie zrobię, ale tak czy inaczej kiwam głową.

– Tak. Właściwie nie przyszedłbym, gdyby ratownik nie powiedział, że powinnam się zbadać.

– Rozumiem. – Odwraca wzrok i zapisuje coś w komputerze. – Więc nie martwi się pani swoim samopoczuciem? Pani zdaniem emocjonalnie wszystko jest w porządku?

– Tak. Nie. Oczywiście jestem teraz pod wpływem silnych emocji. Moja córka leży w śpiączce.

– Nasza córka.

Spoglądam na Briana. Podczas ostatniej wizyty przez cały czas trzymał mnie za rękę. Dziś nawet mnie nie dotknął, ale trudno mu się dziwić po tym, jak potraktowałam go ostatnio.

– Nasza córka – poprawiam się.

– Rozumiem. – Doktor Turner unosi brwi. – Jak długo to trwa?

– Siedem tygodni – odpowiadam. – Pięć dni i... – Zerkam na zegarek, ale kątem oka dostrzegam, jak Brian kręci głową, i milknę.

– Więc prawie od dwóch miesięcy żyje pani w stresie?

Kiwam głową.

– A wszystkie te objawy... pojawiły się, dopiero gdy wasza córka zachorowała?

– Tak – potwierdza Brian, nie dając mi dojść do słowa, choć chciałabym zaprotestować przeciwko użyciu słowa „zachorowała”. – Przed wypadkiem Charlotte Sue była w doskonałej formie. To znaczy... – Tu zerka na mnie niepewnie. – Od 2006 roku.

Lekarka mruczy coś pod nosem i zerka na monitor, sprawdzając datę. Po chwili ponownie odwraca się do mnie.

– To wtedy zdiagnozowano u pani nerwicę pourazową, tak?

– Zgadza się.

– Jakie były objawy?

– Urojenia – mówi Brian. – Nerwowość. Paranoja. Palpitacje serca. Zaburzenia snu.

– Sue... – Doktor Turner z naciskiem wypowiada moje imię. – Zgadza się pani z tym opisem objawów?

Wpatruję się w swoje dłonie. Nie chcę myśleć o 2006 roku. Zbyt bolesne jest wspomnienie tego, przez co musieli wtedy przejść Brian i Charlotte, szczególnie Charlotte.

– Tak.

– A leczenie, które pani wówczas zaproponowano...

– Było nieskuteczne! – parska Brian. – Psychoterapia. Jezu! Równie dobrze mogłaby wybrać się do kawiarni i pogawędzić z...

– Proszę. – Kładę dłoń na jego kolanie. – Brian, proszę, przestań.

– Ale to nie poskutkowało, prawda, Sue? Wydawało się może, że jest inaczej, ale na dłuższą metę nic się nie zmieniło – mówi, spoglądając na lekarzkę i rozkładając ręce. – Inaczej nie miałyby takich problemów teraz, prawda?

Chcę mu powiedzieć, że nie mam żadnych urojeń, że James Evans naprawdę wie, gdzie mieszkamy, i że grozi nam niebezpieczeństwo, ale jeśli to zrobię, uzna tylko, że jest ze mną jeszcze gorzej, niż myślał. Po tym, co zdarzyło się wczoraj w szkole, nie mogłam dłużej wymigiwać się od wizyty u lekarza, zwłaszcza gdy ratownik napomknął coś o omdleniach. Tylko przyznając, że być może przeżywam nawrót nerwicy pourazowej, mogłam wytłumaczyć, dlaczego biegałam po korytarzach szkoły i krzyczałam, że nauczyciel ekonomii jest niebezpieczny. Musiałam zgodzić się na wizytę u doktor Turner – choćby po to, by ratować reputację Briana.

– Sue. – Lekarka pochyła się w moją stronę, dając w ten sposób do zrozumienia, że kolejne pytanie jest skierowane tylko i wyłącznie do mnie. – Jak się pani czuje? Na co dzień? Teraz?

Mrugam kilka razy, próbując ogarnąć to pytanie. Jest trudne i bardzo obszerne.

– Proszę nie zastanawiać się zbyt długo. Proszę wypowiedzieć kilka pierwszych słów, które przychodzą pani do głowy.

– Wystraszona – mówię. – Nerwowa. Zmartwiona. Roztrzęsiona. Zmartwiona? Mówiłam to już, tak? – dodaję szybko, uprzedzając Briana. – Przerazona. Zmęczona. Niespokojna.

Lekarka kiwa głową, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Mam wrażenie, że mnie rozumie, że gdyby tylko Brian wyszedł z gabinetu, mogłabym opowiedzieć jej o wszystkich moich obawach, a ona uspokoiłaby mnie jednym skinieniem głowy.

– Czy te uczucia są czasami... przytłaczające, Sue?

– Tak.

Kiwa głową.

– A jak chciałaby się pani czuć?

– Spokojna. Wolna od strachu. Szczęśliwa. Zadowolona. Cała.

– Cała? – powtarza, marszcząc brwi.

– Tak – potwierdzam. – Cała. Czuję się rozdarta. Moje serce jest z Charlotte, siedzi przy jej łóżku i trzyma ją za rękę, nawet jeśli wcale mnie tam nie ma. Ale mój umysł pochłaniają myśli o byłym narzeczonym... – Widzę, że w tym momencie Brian wyraźnie się wzdryga. – Próbuję odgadnąć, jaki będzie jego następny ruch i jak mogę ochronić swoją rodzinę.

– Rozumiem. – Lekarka znów kiwa głową, ale tym razem wpisuje też coś do komputera. Kiedy ponownie się do mnie odwraca, nie widzę już na jej twarzy współczucia, lecz chłodny profesjonalizm, pozbawioną wyrazu maskę, która ma mnie zapewne uspokajać i dodawać otuchy. – Mogę przepisać pani środek, dzięki któremu łatwiej poradzi sobie pani z lękami. Nie będzie pani czuła się tak przytłoczona.

Brian wyraźnie się rozpogadza, otwiera usta, by coś powiedzieć, lecz doktor Turner ucisza go spojrzeniem.

– Możemy to wypróbować – kontynuuje – ale zalecałabym robić to w połączeniu z terapią. Niektóre terapie, szczególnie poznawczo-behawioralna, są szczególnie pomocne w leczeniu nerwic pourazowych. Co pani o tym myśli, Sue? Umówić panią z kimś?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Czuję się okropnie, jakby ktoś wmówił tej biednej lekarce, że jestem chora, a przecież nic mi nie jest.

– Nie – mówię w końcu. Brian głośno wciąga powietrze. – Co do terapii. Nie mam czasu, żeby przesiadywać w gabinetach i rozmawiać o...

– Terapia to coś więcej niż rozmowa, Sue. Chodzi o zmianę twojego myślenia.

– Rozumiem i doceniam to. Naprawdę. Ale poprzestanę na lekarstwach, jeśli można.

– Można. – Doktor Turner unosi lekko brwi, ale wydaje się usatysfakcjonowana moją reakcją. Odwraca się do komputera i klika kilkakrotnie myszką. Chwilę później odwraca się do drukarki i wyjmuje z niej receptę.

Brian kładzie mi dłoń na kolanie.

– Dobra decyzja, Sue.

Uśmiecha się, w jego oczach widać ulgę.

Słucham jednym uchem, jak lekarka mówi mi o działaniu lekarstwa, instruuje, kiedy powinnam je zażywać, co może się stać, jeśli będę piła alkohol lub stosowała inne środki, opisuje możliwe skutki uboczne i proponuje, byśmy spotkali się ponownie za sześć tygodni i porozmawiali o postępach w leczeniu.

– Być może do tego czasu zmieni się pani podejście do terapii – dodaje. – Gdyby zechciała pani podjąć ją wcześniej, proszę dać mi znać.

– Dobrze. – Odbieram od niej receptę, składam ją na pół i chowam do torebki.

Lekarka uśmiecha się do mnie, kiwa głową Brianowi, a potem obraca się na krześle i sięga po jakąś książkę z półki. Wizyta skończona.

– Chodź, kochanie. – Brian bierze mnie za rękę i ściska ją delikatnie. – Pójdziemy teraz do apteki i nafaszerujemy cię tym cudownym środkiem. – Trąca mnie lekko i śmieje się. – Jeszcze zrobimy z ciebie posłuszną żonę!

Czwartek, 30 maja 1991

Minęły prawie dwa miesiące, odkąd rozeszliśmy się z Jamesem, i choć Hels twierdzi, że czas leczy rany, czuję się teraz gorzej niż w dniu rozstania.

Rozmawiałam z Hels następnego poranka i opowiedziałam jej o wszystkim, co się zdarzyło. Była zszokowana, gdy powiedziałam, że James przyduślił mnie do ściany, i zagroziła, że jeśli kiedykolwiek znów będę próbowała go usprawiedliwiać albo brać winę na siebie, więcej się do mnie nie odezwie. Kazała mi też zgłosić to zdarzenie na policję. Wiem, że po prostu się o mnie martwiła, ale ten komentarz mnie zirytował. James nie był kryminalistą. Był pijany i wystraszył się, że spałam z kimś innym. Owszem, stracił panowanie nad sobą i zachowywał się brutalnie, ale nie uderzył mnie. Poza tym znał połowę policjantów w mieście, więc jaki miałoby to sens? I tak od razu by go puścili (zwłaszcza że nie miałam żadnych śladów pobicia).

Oczywiście nie powiedziałam tego Hels. Nie zdradziłam jej też prawdziwego powodu, dla którego nie chciałam iść na policję – w głębi duszy miałam nadzieję, że jeszcze tego samego dnia James stanie w drzwiach mojego mieszkania z bukietem czerwonych róż i ze skruszoną miną. Nie przyszedł. Ani nie zadzwonił. A ja drugą noc z rzędu piłam i paliłam, dopóki nie zmorzył mnie sen.

Przez kilka pierwszych tygodni po rozstaniu często widywałam się z Hels i Rupertem. Jedno z nich dzwoniło przynajmniej raz dziennie, a dwa lub trzy razy w tygodniu zabierali mnie oboje do kina, do pubu albo do ich mieszkania. Nie wiem sama, kiedy ani dlaczego znów zaczęliśmy się od siebie oddalać. Może po ich wakacjach w Grecji, może wtedy, gdy Rupert miał mnóstwo pracy i ciągle brał nadgodziny, a może dlatego, że przestałam wybuchać płaczem na każdą wzmiankę o Jamesie i oboje doszli do wniosku, że już mi przeszło. Tak czy inaczej przestałam tak często wychodzić z domu – i wtedy dopiero się zaczęło. Nocami leżałam w łóżku i analizowałam każdy szczegół mojego związku z Jamesem, próbowałam zrozumieć, kiedy wszystko się zepsuło, w którym momencie zniknęła magia. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia i żal – gdybym na drugiej randce nie powiedziała mu wszystkiego o moim życiu seksualnym, myślałby nadal, że jestem prawdziwym aniołem, gdybym nie powiedziała mu o Rupercie, może tworzylibyśmy teraz czwórkę najlepszych przyjaciół, może gdybym wyciągnęła go z baru kilka godzin wcześniej, jego matka miałaby o mnie inne zdanie. Marzyłam o tym, by cofnąć czas, wrócić do przeszłości i zrobić wszystko inaczej. Może wtedy nie czułabym, że straciłam miłość swojego życia.

Im więcej o tym myślałam, w tym większym pogrążałam się smutku i tym więcej piłam. Siedziałam przy telefonie i co chwila podnosiłam słuchawkę, by sprawdzić, czy działa, albo wybierałam numer Jamesa. Najpierw kilka razy matka Jamesa powiedziała mi, że nie ma go w domu. Potem odkładała słuchawkę, gdy tylko usłyszała mój głos. Piątego dnia nagrany kobiecy głos powiedział mi, że „nie ma takiego numeru”.

Coraz częściej nie chodziłam do pracy – szczególnie w niedziele, gdy odbywały się próby. Nie pamiętałam już, ile razy bolał mnie brzuch lub głowa i ile razy musiałam nagle jechać

do mamy – a gdy jednak pojawiałam się już w barze, klienci pytali, co się stało z moim uśmiechem.

W zeszłym tygodniu zadzwonił telefon. Natychmiast podniosłam słuchawkę, pewna, że to James chce mi powiedzieć, jak bardzo za mną tęskni, okazało się jednak, że dzwonił Steve z Abberley Players. Siedział w pubie z innymi aktorami i rozmawiał z nimi o moim tajemniczym zniknięciu. Domyślili się, że zerwałam z Jamesem, bo zrobił się ponury i opryskliwy (przyznam, że ucieszyła mnie ta informacja) i wychodził, gdy tylko ktoś wymienił w jego obecności moje imię, chcieli więc sprawdzić, czy dobrze się czuję (i czy ich kostiumy są już gotowe!). Roześmiałam się, rozbawiona tą ostatnią uwagą, a Steve powiedział:

– Widzisz, mówiłem im, że nie straciłaś poczucia humoru. Spotkaj się z nami. Tęsknimy za tobą.

Wzruszyło mnie to, ale podziękowałam grzecznie, mówiąc, że wypiałam już ponad połowę butelki wina, słucham sobie płyt Niny Simone i palę papierosy. Steve stwierdził, że to fantastyczny sposób na spędzenie wieczoru i za chwilę przyjedzie do mnie z drugą butelką wina i papierosami. Próbowałam go od tego odwieść, ale nie dawał za wygraną i prosił mnie uparcie o adres, aż w końcu mu go podałam.

Dwie godziny później byliśmy już w łóżku.

To był powierzchowny, pijacki seks, a gdy potem Steve przytulił mnie do swojej chudej, nieowłosionej piersi i powiedział, że zawsze mu się podobałam i że James jest głupcem, skoro pozwolił mi odejść, omal się nie rozplakałam. Myślałam, że kochając się z innym mężczyzną, szczególnie takim, którym James pogardzał, uwolnię się w końcu od wspomnień, ale tylko zatęskniłam za nim jeszcze mocniej. James był całkowitym przeciwieństwem Steve'a. Nie czułam żadnego napięcia, gdy na mnie patrzył, ani żadnej namiętności, gdy mnie całował, nie umierałam z miłości, gdy obejmował mnie od tyłu i wtulał twarz w mój kark. Czułam się przy nim bardziej samotna niż wtedy, gdy byłam naprawdę sama.

Rano nie mogłam się doczekać, kiedy sobie pójdzie. Widziałam rozczarowanie w jego oczach, gdy na propozycję wspólnego śniadania w jakiejś kawiarni, a potem wycieczki na miejscowy pchli targ odpowiedziałam, że okropnie boli mnie głowa i chcę jak najszybciej wrócić do łóżka. Stwierdził wówczas, że właściwie to i on chętnie by się zdrzemnął, ale na samą myśl o dotyku jego nagiego ciała zrobiło mi się niedobrze. Dałam mu wyraźnie do zrozumienia, że chcę zostać sama, i praktycznie wypchnęłam go za drzwi. Już w progu odwrócił się do mnie i spojrzał mi prosto w oczy.

– On na ciebie nie zasługuje.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie jestem idiotką. – Schował ręce do kieszeni dzinsów. Wyglądał w tym momencie jak nastolatek, niemal dziecko. – Wiem, że wciąż go kochasz. Myślałem... miałem nadzieję... że jeśli spędzisz trochę czasu ze mną, z kimś, kto cię docenia, kto nigdy nie byłby dla ciebie okrutny, nigdy by cię nie skrzywdził, to wtedy może... może... – Przerwał i pokręcił głową.  
– Nieważne. Uważaj na siebie, Susan. – Dotknął delikatnie mojej dłoni. – Proszę.



Brian od czterech dni nie odstępuje mnie ani na krok. Mówiłam mu wiele razy, że powinien wrócić do pracy, bo nie jestem obłąkana i nie zrobię nic głupiego, ale on nie chce słuchać. Powtarza, że wcale nie uważa mnie za obłąkaną, chce tylko, bym odpoczęła trochę po ostatnich stresujących miesiącach, i że jest przy mnie właśnie po to, by mi ten odpoczynek zapewnić.

– Czas na tabletkę! – mówi, wpadając do salonu z kubkiem herbaty w jednej dłoni i fiolką pełną małych białych tabletek w drugiej.

– Brian...

– Obiecałaś, Sue – mówi, stawiając na stoliku kubek z parującą herbatą i wręczając mi fiolkę. – Powiedziałaś lekarce, że będziesz to zażywać.

Uśmiecham się do męża i wysypuję na otwartą dłoń dwie tabletki. Przyglądam im się beznamiętnie. Doktor Turner powiedziała, że będę po nich spokojniejsza. Przechyliłam dłoń, przetaczając pastylki. Jak widzi świat ktoś, kto jest spokojny, kto nie czuje strachu? Ja już tego nie pamiętam.

– Woda – mówi Brian, wstając nagle. Wraca zaraz, w jednej ręce niesie szklankę wody, w drugiej gazetę. – Proszę bardzo. – Stawia szklankę obok kubka i spogląda wymownie na tabletki na mojej dłoni. Zaciskam ją w pięść. Zażywałam już podobny środek i wiem, że działa szybko. Nim minie godzina, stanę się bardziej zrelaksowaną, nieruchawą, uległą wersją samej siebie. Tak uległą, że nie będę w stanie obronić mojej rodziny przed niebezpieczeństwem.

– Brian, czy naprawdę coś by się stało, gdybym nie...

Przerywa mi dzwonek telefonu w gabinecie. Mąż się krzywi.

– Cholera! Pójdę odebrać, to może być coś ważnego.

– Oczywiście.

Słucham kroków Briana na schodach, a potem na piętrze. Po chwili ciszy dobiega mnie jego przytłumiony głos, gdy rozmawia z kimś przez telefon. Milknie na moment, a potem znów coś mówi, tym razem znacznie głośniejsze. W końcu odkłada z trzaskiem słuchawkę i schodzi ciężko na dół.

– Cholera! – rzuca krótko, wpadając do salonu i siadając ciężko na fotelu.

– Złe wieści?

Pochyla się do przodu, chowa głowę w dłoniach i milczy. Ja też się nie odzywam. Szesnaście spędzonych wspólnie lat nauczyło mnie, że kiedy Brian jest w złym humorze, lepiej zostawić go w spokoju, bo wtedy szybciej dochodzi do siebie.

– Hm... – Zerka na mnie spomiędzy palców i kręci głową. – Nie, nie mogę. To nie

byłoby fair.

– Co takiego?

– Chcą, żebym do nich przyjechał. Będą głosować nad ustawą o silnikach wiatrowych.

– Więc jedź. – Uśmiecham się. – Poradzę sobie.

– Nie. – Ponownie kręci głową. – Potrzebujesz mnie.

– Brian, dam sobie radę, naprawdę. Milly dotrzyma mi towarzystwa. A jeśli zostanę sama, obejrzę sobie spokojnie teleturnieje i nie będę musiała słuchać twoich złośliwych komentarzy.

Uśmiecha się do mnie.

– Nie jestem chyba aż taki okropny.

– Jesteś! – odpowiadam ze śmiechem. – Jedź! Obiecuję, że zadzwonię, jeśli coś się będzie działo. Choć niczego takiego nie przewiduję – dodaję szybko.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Będzie dobrze.

Brian wstaje, przechodzi przez pokój i całuje mnie w czoło.

– Postaram się wrócić jak najszybciej, ale sama wiesz, jak to się czasami ciągnie.

– Jasne. Jedź śmiało. Zobaczymy się później.

Czekam, aż wyjdzie, i mam już wstać, gdy nagle Brian wraca. Spogląda na szklankę z wodą.

– Zażyłaś tabletki?

– Oczywiście – odpowiadam i uśmiecham się promiennie, wciskając jednocześnie tabletki w szparę między poduszkami sofy. – Nawet ich nie poczułam.

Dziesięć minut po tym, jak samochód męża opuszcza podjazd, ja również wyjeżdżam stamtąd swoim golfem, ale w odróżnieniu od Briana nie kieruję się ku stacji, lecz na White Street. Parkuję przed domem Elli Porter.

Po chwili widzę ją z daleka, jak człapie ze swetrem przerzuconym niedbale przez ramię i torbą, która niemal wlecze się po ulicy. Wreszcie. Kilka ostatnich dni było dla mnie prawdziwą męczarnią – skazana niemal na areszt domowy, nie mogłam zrobić nic, by dowiedzieć się, co Charlotte i Ella robiły tamtego dnia, zamiast pojechać na wycieczkę z panem Evansem.

– O kurwa... – mówi cicho Ella, dojrzawszy mnie za kierownicą.

– Czekaj! – wołam, gdy zarzuca torbę na ramię i zaczyna biec w stronę domu. – Ella, poczekaj!

Wyskakuję z auta i pędzę za nią. Ella otwiera bramkę ogrodu i jest już o krok od drzwi domu.

– Ella, wiem o wycieczce do Londynu. Wiem, że ty i Charlotte nie pojechałyście z panem Evansem.

Zamiera, odwrócona do mnie plecami, z kluczem w dłoni.

– Rozmawiałam z panem Evansem, wiem o wszystkim.

Wciąż się nie rusza.

– Jeśli nie powiesz mi, gdzie pojechałyście wtedy z Charlotte i co robiłyście, opowiem o wszystkim twojej mamie.

– No i co z tego? – Odwraca się powoli, patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. – I tak by pani nie uwierzyła. Uważa, że pani jest walnięta. Wszyscy tak uważają.

– Czyżby? – Staram się nie myśleć o plotkach, które krążą o mnie poza murami szkoły. – Tak czy inaczej wiem, że okłamałyście pana Evansa. Powiedziałyście, że zatruliście się kurczakiem.

– Wcale nie kłamałyśmy. Byłyśmy cały czas tutaj, w moim pokoju. Charlotte nie chciała pani o tym mówić, bo musiałaby się też przyznać, że była w Nandos, a wtedy nazwałaby ją pani grubasem i opieprzyła za przerwanie diety.

– Nic takiego... – zaczynam, ale potem milknę. Jest sprytna, próbuje poprzez atak odwieść mnie od celu. – Więc jeśli spytam twoją mamę o ten weekend, wszystko potwierdzi?

– Nie było jej tutaj. Wyjechała z tatą.

– Dokąd?

– Nie pani interes.

– Owszem, to będzie mój interes, jeśli okaże się, że dwie piętnastolatki zostały same w domu.

Z tyłu dochodzi trzask zamykanych drzwi samochodu i stukot obcasów na chodniku. Cóż za wycucie czasu...

– To pewnie twoja mama – mówię, nie odwracając się. – Spytajmy ją, co, Ella? Ciekawe, czy wie, że zgodnie z prawem nie wolno jej zostawiać na cały weekend dzieci w wieku poniżej szesnastu lat. Potem możemy zadzwonić na policję i...

– Nie! – Ella zerka za niski żywopłot na niebieskie audi i wysoką, szczupłą kobietę, która idzie w naszą stronę. – Proszę tego nie robić.

– Niby dlaczego?

– Bo wtedy nie mogłabym już nigdzie wyjść.

– Więc powiedz mi, gdzie byłyście wtedy z Charlotte.

Klik-klak, klik-klak, obcasy słychać coraz bliżej. Ella oblizuje nerwowo wargi.

– Nie. – Odsuwa się od drzwi, jakby chciała rzucić się do ucieczki. – Powie pani mamie.

– Nie powiem.

– Zabije mnie.

– Nic nie robi, jeśli jej nie powiem. Twoja mama nie musi nic wiedzieć o tej rozmowie.

Słyszę brzęk kluczy i zgrzyt otwieranej bramki. Kroki są coraz bliżej.

– Powiedz mi – syczę, robiąc krok w stronę Elli. – Powiedz mi.

– Poszłyśmy do nocnego klubu Grey's w Chelsea z Dannym i Keishą – mówi szybko. – Charlotte poznała tam jakiegoś piłkarza, a ja musiałam sama wracać ostatnim pociągiem do Brighton. To wszystko, koniec opowieści.

– Zostawiłaś Charlotte w nocnym klubie z mężczyzną, którego dopiero co poznała?

– A ja musiałam w środku nocy podróżować sama przez Londyn, żeby złapać ostatni pociąg do domu. Poza tym nie była tam sama. Zostali z nią Danny i Keisha.

– Jak się nazywał ten piłkarz?

– Nie wiem. Wysoki Murzyn z obcym akcentem. Ktoś mi mówił, że gra w pierwszej lidze, ale kto wie, czy...

Milknie i patrzy na coś za moimi plecami, wystraszona.

– Znowu ty! – Czuję perfumy Chanel Numer 5, a sekundę potem staje obok mnie Judy Porter we własnej osobie. – Jeśli znów zawracasz głowę mojej córce, zadzwonię po policję. To nękanie, Sue.

– Spokojnie, mamó – mówi Ella, zerkając na mnie z ukosa. – Nie zrobiła mi nic złego.

– Więc czego chciała? – Judy zaplata ręce na piersiach i wydyma usta, czekając na odpowiedź.

– Podziękować mi za podrzucenie komórki Charlotte.

Co? Spoglądam na nią ze zdumieniem. Więc to ona wrzuciła telefon do naszej skrzynki?

– Naprawdę?

– Tak. – Odwracam się do Judy. – To było bardzo miłe ze strony Elli, a ponieważ byłam akurat w okolicy, pomyślałam, że podziękuję jej osobiście.

Judy rozplata ręce, kołysze się na wysokich obcasach i mierzy mnie spojrzeniem.

– Więc teraz już pójdziesz?

Ella kiwa lekko głową. Błaga mnie, bym nie zadawała więcej pytań. Bym sobie poszła.

– Tak, już idę. Miło było was zobaczyć.

Sprawa komórki musi poczekać. Najpierw zajmę się czymś innym.

## Piątek, 7 czerwca 1991

*Jess, szef baru, zadzwonił do mnie w środę, żeby spytać, czy wydobrzałam już po „grypie”, dał mi też do zrozumienia – choć nie powiedział tego wprost – że jeśli najpóźniej w czwartek nie pojawię się w pracy, będę musiała poszukać sobie innego zajęcia.*

*Nie miałam wyjścia, musiałam pójść. Wydałam już wszystkie oszczędności, a w przyszłym tygodniu muszę zapłacić czynsz.*

*Moja zmiana zaczęła się fatalnie – upuściłam butelkę wina, urwałam dozownik i rozlałam piwo na podłogę, gdy zmieniałam beczkę. Na szczęście dochodziło dopiero wpół do siódmej, bar był pusty, a Jess poszedł dokończyć jakąś papierkową robotę, więc nikt nie był świadkiem mojej niezdarności. Wciąż zerkalam na drzwi. James przychodził tu tylko w niedzielę, a zdaniem Steve’a w ogóle nie pojawiał się tutaj co najmniej od miesiąca, nie wiem więc, dlaczego się bałam, że przyjdzie akurat tego dnia.*

*Ale przyszedł.*

*Było wpół do dziewiątej. Przerwa skończyła się piętnaście minut wcześniej, sprzątałam właśnie szklanki i popielniczki ze stołów. Początkowo James w ogóle mnie nie zauważył, pogrążony w rozmowie z Maggie, szefową Abberley Players, którą prowadził pod rękę. Kiedy jednak zbliżyli się do baru, podniósł wzrok, nasze spojrzenia spotkały się z sobą. Pobladł nagle jak ściana, a Maggie, która gadała dotąd jak najęta, umilkła nagle i również spojrzała w moją stronę, by zobaczyć, co go tak wystraszyło. Na mój widok wyraźnie sposepniała, stanęła na palcach i syknęła mu coś do ucha. Mówiła bardzo cicho, ale dosłyszałam słowa „pójść gdzie indziej”. James położył dłoń na jej ramieniu i przez sekundę wydawało się, że wyprowadzi ją z baru, potem jednak poklepał ją po plecach*

*i przeszedł wraz z nią do stolika po drugiej stronie sali.*

*Pochyliłam się i zaczęłam przestawiać szklanki w zmywarce.*

*– Cześć, Susan.*

*Podniosłam wzrok i uśmiechnęłam się.*

*– Cześć, Maggie.*

*– Dawno cię tu nie było.*

*– To prawda. – Chciałam spojrzeć w stronę Jamesa, jednak w porę się powstrzymałam. – Chorowałam trochę.*

*– Ojej... – Dobrze, że była szefową, a nie aktorem, bo jej współczucie było równie prawdziwe jak plastikowa paprotka w rogu sali. – Przykro mi to słyszeć.*

*Miałam już zapytać, ja się czuje, czy wybrali już następne przedstawienie i kiedy mam zacząć brać miarę, Maggie mnie jednak uprzedziła.*

*– Odsłuchiłaś moją wiadomość z sekretarki? – spytała.*

*Pokręciłam głową. Nie zadzwoniła do mnie ani razu, odkąd rozeszliśmy się z Jamesem.*

*– Naprawdę? – Udała zdziwienie. – To dziwne. Mogłabym przysiąc, że miałam dobry numer. Tak czy inaczej raz jeszcze przepraszam, że nie będziemy już korzystać z twoich usług, ale moja znajoma poleciła mi fantastyczny magazyn w pobliżu Craydon, gdzie mają masę używanych kostiumów z BBC. Wynajmowanie gotowych ubrań jest o wiele tańsze niż szycie nowych. Dzięki za współpracę, byłaś fantastyczna. – Przerwała na moment i zerknęła na lodówkę za moimi plecami. – Poproszę butelkę chardonnay i dwa kieliszki.*

*Po chwili salę wypełnił perlisty chichot Maggie i basowy śmiech Jamesa, a ja uciekłam do damskiej toalety. Wpadłam do kabiny, pewna, że zaraz zwymiotuję, i pochyliłam się nad muszlą. Odkaszlnęłam kilkakrotnie, ale poza tym nic się nie stało. Jeszcze przez chwilęostałam w łazience, a potem, przerażona, że James zejdzie do baru i zobaczy, że mnie tam nie ma, przejrzałam się w lustrze, obmyłam twarz i wyszłam. Maggie mogła mi odebrać pracę, za którą i tak nie dostawałam żadnych pieniędzy, ale nie miałam zamiaru stracić przez nią posady, dzięki której miałam czym opłacić czynsz i...*

*– Au... – jęknęłam odruchowo, uderzywszy w coś wysokiego i twardego. – Przepra... – Słowa zamarły mi na ustach, gdy ujrzałam nad sobą twarz Jamesa. Trzymał obie dłonie na moich ramionach.*

*– Dobrze się czujesz? – spytał, patrząc na mnie z z troskaniem. – Widziałem, jak wybiegłaś i... – Przyłożył dłoń do czoła. – Przepraszam, nie wiem, dlaczego właściwie za tobą poszedłem. Nie jestem już twoim chłopakiem, więc nie powinno mnie to obchodzić. – Odwrócił się i ruszył w drugą stronę. Dotarł do drzwi baru i zawrócił. – Niech to szlag... – Znów położył mi dłonie na ramionach i przechylił głowę, by przyjrzeć mi się lepiej. – Brakowało mi ciebie, Suzy. Brakowało mi ciebie bardzo. Jakby zniknął mój cień albo serce. Robiłem wszystko, żeby o tobie zapomnieć. Próbowałem się na ciebie wściekać, obwiniać cię, przeklinać i nienawidzić, ale nic nie działało. – Uderzył się pięścią w pierś. – Nie było dnia, żebym nie żałował. Nienawidzę siebie samego. Nienawidzę siebie za to, że cię skrzywdziłem, ale musiałem to zrobić. Kiedy spojrzałaś na mnie wtedy w swoim mieszkaniu, wiedziałem, że czas odejść. W twoich oczach nie było już światła, nie było miłości. Wyglądałaś na nieszczęśliwą, a ja wiedziałem, że to przeze mnie. Dlatego*

odszedłem, żebyś znów mogła być szczęśliwa.

Nie mówiłam nic, bo byłam pewna, że jeśli tylko otworzę usta, zadławię się własnymi łzami.

– Ale dziś... kiedy zobaczyłem cię za barem, zrozumiałem, że się oszukuję. Wymyślałem różne preteksty i robiłem różne uniki, żeby nie dowiadywać się, co u ciebie. – Przyłożył dłoń do mojej twarzy, a ja aż zadrżałam, gdy ciepło jego palców spłynęło na moją skórę. – Więc spytam cię teraz. Spytam raz i potem nigdy już tego nie zrobię. Jeśli powiesz „tak”, odejdę i nigdy nie wrócę. – Umilkł i przesunął kciukiem po moich ustach. Zesztywniałam, pewna, że mnie pocałuje, ale on szybko cofnął rękę, jakbym go parzyła. – Jesteś szczęśliwa, Suzy? Jesteś szczęśliwa, kochanie?

Gorące łzy pociekły mi po policzkach, gdy pokręciłam głową.

– Nie.

James pochylił się bliżej.

– Powtórz to.

Ponownie pokręciłam głową.

– Nie. Nie jestem szczęśliwa. Nigdy nie czułam się gorzej. Tęskniłam za tobą. Nadal tęsknię. Tęsknię każdego wieczoru, gdy kładę się spać, i każdego ranka, gdy się budzę.

– Och, Suzy... – James wziął mnie w ramiona i przycisnął moją głowę do piersi. – Och, Suzy, moja Suzy, moja jedyna miłości. Już nigdy nie pozwolę ci odejść. Nigdy, nigdy, nigdy. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Nie wiem sama, jak długo tak stałam, obejmując go i wtulając twarz w jego sweter. Otworzyłam oczy tylko na moment, gdy usłyszałam stukot wysokich obcasów. Zobaczyłam, jak Maggie wychodzi na zewnątrz przez podwójne drzwi, a potem znowu opuściłam powieki.

## 20

Spokojnie, podsuniemy tylko koszulę nocną, żeby ci umyć nogi.

Pielęgniarka i pielęgniarz – Kimberley i Chris – właśnie myją Charlotte, gdy przyjeżdżam do szpitala. Proponuję, że w takim razie wyjdę, ale oni mówią, że już prawie skończyli.

– Teraz umyjemy ci jeszcze zęby.

Obserwuję, jak Kimberley delikatnie rozchyła wargi Charlotte i wsuwa do jej ust biały patyczek z małą różową gąbką na końcu. Przypomina mi to tanie lizaki, które kupowałam jako dziecko.

– Wytrę ci tym buzię – mówi Kimberley, kiedy pochyla się nad moją córką i delikatnie czyści wnętrze jej ust. – A potem zęby i język.

Oli był zaskoczony, gdy powiedziałam mu, że pielęgniarki myją Charlotte zęby.

– Przecież ona niczego nie je – dziwił się. – Jest pod kroplówką, prawda?

Wyjaśniłam mu, że chodzi o higienę. Nie wspominałam o okropnym zapachu śmierci, rozkładu i zapachu dziąseł, który uderza mnie czasem, gdy całuję ją w usta. Jest obrzydliwy. Gorzej niż obrzydliwy. Jest tak odrażający, że trzeba wstrzymywać oddech, by nie wymiotować. Charlotte, która tak dbała o higienę, byłaby zdruzgotana, gdyby się o tym dowiedziała. Oczywiście nigdy jej tego nie powiem. Jest więcej spraw, o których wcale nie musi wiedzieć, kiedy już się ocknie.

– Zmienimy ci jeszcze tylko cewniki i będzie po wszystkim – mówią do Charlotte, podnosząc koc i sięgając pod łóżko.

Odwracam wzrok – Charlotte czułaby się upokorzona, wiedząc, że przyglądałam się usuwaniu nieczystości z jej ciała. Przed wypadkiem rzucała we mnie poduszką, gdy wspominałam, jak zmieniałam jej pieluchy.

– Wszystko w porządku, Sue? – Kimberley pcha wózek w stronę drzwi. – Wrócę później, pogadamy.

– Cześć, Sue. – Chris dotyka delikatnie mojego przedramienia i idzie za nią. W jego oczach zawsze widać szczerze współczucie, choć potrafi być opryskliwy. Widać je w oczach wszystkich pielęgniarzy i pielęgniarek, szczególnie matek. Każda z nich zapewne dziękuje Bogu, że jej nie spotkało podobne nieszczęście.

– Dziękuję wam – mówię, a oni wychodzą z sali i zamykają za sobą drzwi. – Cześć, kochanie. – Przyciągam krzesło bliżej łóżka, siadam tuż obok Charlotte. – Mama jest przy tobie. Jak się dziś czujesz?

Sięgam po jej dłoń, przyciskam ją do ust i zamykam oczy. Za kilka minut zapytam ją o klub nocny Grey's i o piłkarza, ale najpierw muszę posiedzieć z moim dzieckiem

w milczeniu. Muszę się dowiedzieć, jak się czuje.

– Halo? – Wciskam guzik domofonu i patrzę na kamerę umieszczoną pół metra nad moją głową. – Chciałam się zobaczyć z Dannym Argentem.

W głośniku coś trzeszczy, potem zapada cisza. Odsuwam się od drzwi i patrzę w górę. Wyłączony o tej porze neon z nazwą klubu Breeze wydaje się w blasku dnia szary i brzydki. Nigdy nie byłam w tym lokalu – nie byłam w żadnym nocnym klubie od ponad dwudziestu lat. James zabronił mi chodzić do barów i dyskotek, kiedy byliśmy razem. Mówił, że to miejsca, gdzie ludzie szukają łatwego seksu, i że chadzają tam napalone dziry, a nie ludzie żyjący w monogamicznych związkach. Próbowałam mu wytłumaczyć, że moje koleżanki nie są dzirami i że nie chodzę do klubów, by go zdradzać, ale żeby tańczyć i dobrze się bawić. Wtedy on przypominał mi o rozmowie z naszej drugiej randki, gdy przyznałam, że pięć razy zdarzyło mi się uprawiać seks z przypadkowymi partnerami poznanymi tej samej nocy.

„Powiedziałaś, że dwóch z nich poznałaś w nocnym klubie”, mówił. Nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć.

Mija minuta, potem jeszcze jedna, dzwonię ponownie. Zaczynam myśleć, że jednak niepotrzebnie tu przyszedłam. Jest piąta po południu, oczywiście, że o tej porze nikogo jeszcze tu nie ma, ale... Musiałam tu przyjść. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej o piłkarzu, którego Charlotte poznała w Londynie. Muszę wiedzieć, co jej zrobił.

Jeszcze raz naciskam guzik domofonu.

– Danny. Tu Sue Jackson. Wpuść mnie, proszę. Musimy porozmawiać, to bardzo ważne.

Dzwonię znów, powtarzam swoją prośbę, a potem walę pięścią w drzwi i nasłuchuję.

Nic.

Nie ma tu okien, przez które mogłabym zajrzeć do środka. Miałam nadzieję, że Danny będzie w biurze, ale wygląda na to, że w środku nie ma nikogo, nawet sprzątaczkę. Sięgam do torebki i wyjmuję komórkę. Mam już dzwonić do Olego, gdy z głośnika wydobywa się męski głos:

– Sue? Co pani tu robi? Chwileczkę, już wpuszczam panią do środka.

– Proszę. – Danny stawia na białym stole dwie filiżanki z parującą kawą i talerz maleńkich włoskich ciasteczek i poklepuje obity aksamitem puf obok siebie. Pod ścianami klubu znajduje się jeszcze sześć takich samych boksów. W każdym stoi biały stolik o blacie pokrytym żywicą epoksydową otoczony ciemnoczerwonymi aksamitnymi pufami, na których może usiąść sześć osób. Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał ten lokal za trzy albo cztery godziny – wypełniony tłumem rozbawionych ludzi, brzękiem szklanek i kieliszków, pokrzykiwaniami i śmiechem. Minęło już ładnych parę lat, odkąd wprowadzono zakaz palenia, ale w powietrzu wciąż unosi się charakterystyczny zapach – mieszanka dymu papierosowego, rozlanych drinków i potu.

Przysiadam obok Danny'ego.

– Dziękuję, że zechciałeś się ze mną zobaczyć.

– Nie ma sprawy. Wszystkie mamy Olivera są moimi mamami. – Śmieje się i kładzie dłoń za głową, wypychając do przodu łokieć, dzięki czemu jego klatka piersiowa wydaje się jeszcze szersza, niż jest w rzeczywistości. Przypuszczam, że nie robi tego przypadkiem.



– No dobrze... – Opuszcza ręce i odwraca się do mnie. – To jakaś tajemnicza sprawa. Proszę mi wszystko opowiedzieć!

Ma jasnoniebieskie oczy, szeroki uśmiech i mocną szczękę – nie dziwię się, że nie tylko Keisha, ale i większość młodych kobiet nie może mu się oprzeć. Bez wątplenia jest atrakcyjnym młodzieńcem, lecz jego spojrzenie jest nieco zbyt badawcze, a uśmiech trochę za szeroki, by mogły być szczere. Nigdy dotąd nie przebywałam sam na sam z Dannym i dopiero teraz zaczynam rozumieć, dlaczego Brian mu nie ufa.

– Otóż – zaczynam – niedawno dowiedziałam się, że Charlotte i Ella uciekły ze szkolnej wycieczki.

Danny parska śmiechem, szybko jednak poważnieje.

– Przepraszam, to było niepoważne. Pewnie jest pani na nie wściekła.

– Nie, niezupełnie. – Sięgam po filiżankę i wypijam łyk kawy. – Choć jestem trochę zła na osobę, która je do tego namówiła.

– Tak? – Wydaje się zaintrygowany, jakbym chciała podzielić się z nim jakąś ciekawą plotką. – A kto to taki?

Spoglądam na niego znad krawędzi filiżanki.

– Ty.

– Ja? – Podnosi rękę do piersi. – Ja? – Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, milknie jednak, widząc, że mnie wcale nie jest do śmiechu. – To absurdalne, Sue. Ten, kto pani to powiedział, ma nierówno pod sufitem.

– Albo też tam był.

– Co? – Wzdłuż linii jego włosów pojawiają się kropelki potu, ociera je wierzchem dłoni. – Kto? To jakaś bzdura. Jestem szefem klubu nocnego, a nie jakimś... jakimś cudakiem, który wyciąga dziewczynki na wagary.

Odstawiam filiżankę na stół.

– Więc nigdy nie słyszałeś o klubie nocnym Grey's w Londynie?

– Grey's w Chelsea? – upewnia się, nieco już spokojniejszy. – Oczywiście, że słyszałem. Powinienem znać takie miejsca i wiedzieć, gdzie najchętniej bawią się młodzi ludzie.

– I właśnie dlatego namówiłeś Charlotte i Ellę, żeby uciekły ze szkolnej wycieczki i pojechały tam? Bo to modne miejsce?

– Oczywiście, że nie. Nikogo do niczego nie namawiałem. Dlaczego miałbym to robić? To nie mój klub. Poza tym prawie nie znam Charlotte. – Patrzy mi prosto w oczy. – Mam nadzieję, że niczego pani nie insynuuje, pani Jackson.

– Co masz na myśli?

– Że ja... że coś mnie łączyło z Charlotte.

– A łączyło?

– Ależ skąd! – Przykłada obie ręce do piersi w teatralnym geście, ale tym razem jestem mu skłonna uwierzyć. – Nigdy. Przecież to siostrzyczka Olego, jeszcze dzieciak. Nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Poza tym jestem z Keishą.

– Rozumiem. – Rozglądam się po klubie, patrzę na puste stanowisko didżeja, na parkiet i lśniący bar. – Ale tak czy inaczej uznałeś, że fajnie będzie zabrać dziewczynki do klubu w Londynie.

– Nie! Dlaczego miałbym to robić? Po co miałbym zabierać dwie piętnastolatki do nocnego klubu? – Nagle nieruchomieje, robi się śmiertelnie poważny. – Sugeruje pani, że jestem jakimś cholernym pedofilem? Bo jeśli tak, to...

– Niczego nie sugeruję. Chcę tylko poznać prawdę. Powiedziano mi, że w piątek ósmego marca byłeś z Keishą, Charlotte i Ellą w klubie Grey's w Chelsea. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że to nieprawda.

– To nieprawda – mówi ze śmiertelnie poważną miną. – W ogóle nie było mnie wtedy w Londynie. Zabrałem Keishę na romantyczną wycieczkę do... – Ucieka wzrokiem na bok. – Do Oxfordu.

Kłamię w żywe oczy, ale niczego nie zyskam, domagając się od niego prawdy. Będzie kłamał dalej. James był taki sam.

Zerkam na zegarek. Mam piętnaście minut, żeby wrócić do domu przed Brianem.

– No dobrze... – mówię, wyciągając rękę. – Dziękuję ci bardzo za kawę i rozmowę.

Danny marszczy brwi.

– Już pani wychodzi?

– Tak.

– Więc... to wszystko? – Wstaje z pufa. – Wierzy mi pani, że nie poszedłem do klubu z Charlotte i Ellą? – Odsłania zęby w sztucznym uśmiechu. – Najwyraźniej ktoś naopowiadał pani głupstw.

Ja również się uśmiecham.

– Do zobaczenia, Danny. Nie odprowadzaj mnie do wyjścia, trafię sama.

Kładę dłoń na klamce. Już mam ją nacisnąć, gdy nagle drzwi otwierają się gwałtownie, odpychając mnie na bok, na ścianę klubu.

– O Boże, przepraszam najmocniej! W ogóle pani nie widziałam... – Zza drzwi wygląda znajoma twarz. – Pani Jackson? Co pani tu robi?

– Keisha?

– Dobrze się pani czuje? Wydaje się pani trochę blada.

Łapię się jedną ręką za brzuch.

– Trochę się tylko zadyszałam, zaraz mi przejdzie.

– Chodźmy na zewnątrz. Trochę świeżego powietrza na pewno dobrze pani zrobi.

Przysiadamy razem na betonowym schodku. Jest wąski, więc siedzimy nienaturalnie blisko siebie.

Keisha grzebie przez chwilę w torbie i wyciąga stamtąd paczkę marlboro lights oraz zapalniczkę.

– Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Śmiało.

Obserwuję, jak wyłuskuje długimi paznokciami papierosa z paczki, a potem go zapala i zaciąga się głęboko. Minęło dwadzieścia lat, odkąd ostatnio paliłam, ale wciąż pamiętam, jak cudownie smakuje nikotyna, gdy człowiek ma ochotę zapalić.

– Chce pani jednego? – pyta Keisha, zauważywszy moje spojrzenie, i wyciąga do mnie paczkę.

– Nie palę – odpowiadam, po czym natychmiast zmieniam zdanie. – Choć właściwie

chętnie się poczęstuję. Dzięki.

Wkładam papierosa do ust, sycąc się tym uczuciem, tak obcym i tak dobrze mi znanym zarazem. Keisha podaje mi ogień, a ja zaciągam się głęboko. Dym drapie mnie w gardło. Zaciągam się ponownie. Dym ma wyrazisty, chemiczny smak, a ja przypominam sobie pierwszego papierosa wypalonego w 1984 roku, gdy miałam piętnaście lat. Opieram się plecami o drzwi i zamykam oczy, pozwalając, by nikotyna krążyła po moim organizmie. Papieros smakuje paskudnie, ale cały rytuał – podniesienie ręki do ust, wciągnięcie powietrza, wstrzymanie, wydech, opuszczenie ręki – i działanie nikotyny przynoszą ukojenie.

Po chwili orientuję się, że Keisha coś do mnie powiedziała, i otwieram oczy.

– Słucham?

Odchyła głowę do tyłu i wypuszcza z ust idealnie okrągłe kółko szarego dymu.

– Mówiłam, że nie spodziewałam się pani tu zobaczyć.

Kółko robi się coraz szersze i bledsze, aż znika.

Podaję jej pierwszą wymówkę, jaka przychodzi mi do głowy:

– Przyszłam porozmawiać z Dannym o przyjęciu niespodziance dla Olego, który niedługo skończy dwadzieścia jeden lat.

– Świetny pomysł! – Keisha się rozpromienia. – Dla mnie nigdy nikt nie zorganizował przyjęcia niespodzianki. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio oficjalnie obchodziłam urodziny. Musiałam być wtedy bardzo mała. Miałam osiem, może dziewięć lat... Więc chce pani zorganizować tę imprezę tutaj, w Breeze?

– Właściwie zastanawiałam się nad nocnym klubem Grey's w Londynie. Chciałam zapytać Danny'ego o zdanie.

Keisha unosi brwi.

– Byłam tam. Superlokal. Ale cholernie drogi. Siedem i pół funta za rum z colą!

– Wiem, lecz Oli tylko raz będzie miał dwudzieste pierwsze urodziny. Chcę, żeby były naprawdę wyjątkowe.

Zaciągam się, przez kilka sekund przetrzymuję dym w płucach, a potem wypuszczam go powoli.

– To Charlotte poleciła mi Grey's. Przed wypadkiem – dodaję szybko na widok jej zdumionej miny. – Mówiła, że świetnie się bawiła, kiedy była tam z tobą i Dannym.

– To prawda. – Keisha rzuca niedopałek do rynsztoka. Czubek żarzy się jeszcze przez chwilę, a potem ciemnieje i gaśnie. – Najbardziej wypasiony klub, w jakim byłam. W łazience siedzi babka, która za funta smaruje dłonie kremem. Może też spryskać perfumami, jeśli ktoś chce. Przychodzą tam naprawdę różne typy.

– Tak? – Uśmiecham się zachęcająco. Muszę to ostrożnie rozegrać. Jeśli ją wystraszę, nie powie mi nic więcej. – Charlotte mówiła, że bywają tam też sławni ludzie.

– Zgadza się. – Obejmuje szczupłymi ramionami kolana i przyciąga je do piersi. Słońce zachodzi, robi się chłodno. – Muzycy, aktorzy, piłkarze. Ale nie tak łatwo się do nich dostać, bo siedzą w wydzielonej strefie dla VIP-ów.

– Więc jak Charlotte poznała tego piłkarza? – Rzucam papieros na chodnik i rozgniatam go obcasem.

Keisha spogląda na mnie ze zdumieniem.

– Mówiła pani o nim?

– Oczywiście. Jesteśmy z sobą bardzo blisko. Mówimy sobie o wszystkim.

– Super. – Znów unosi brwi. – Więc Charlotte powiedziała pani, co zdarzyło się tamtej nocy?

Nie wiem, co ma na myśli, więc kiwam tylko głową.

Przygląda mi się uważnie.

– I nie wściekła się pani?

– Nie. – Staram się oddychać powoli i miarowo, ale serce wali mi jak młot. To może być to. To może być właśnie powód, dla którego Charlotte weszła pod autobus. – Dlaczego miałabym się wściekać?

Po drugiej stronie ulicy pusta puszka uderza z brzękiem o chodnik. Keisha i ja podskakujemy, wystraszone, ale ulica jest pusta.

– Muszę iść. – Keisha podnosi się nagle i sięga do klamki, wciąż wpatrzona w miejsce, skąd dobiegł przed chwilą hałas. – Danny na mnie czeka, a ja i tak za dużo już powiedziałam.

– Proszę... – Sięgam do jej dłoni. – Proszę. Musisz mi powiedzieć, co się wtedy stało.

– Myślałam, że pani wie.

– Wiem, że poznała jakiegoś piłkarza, ale nic poza tym. Proszę, Keisha. Proszę, powiedz mi, co się stało.

Kręci głową, otwiera drzwi i wsuwa jedno ramię do środka.

– Jeśli pani powiem, on mnie zabije.

– A jeśli mi nie powiesz, Charlotte może umrzeć.

To nieczyste zagranie, ale jak się okazuje, skuteczne. Keisha nieruchomieje na moment, a potem wychodzi z powrotem na zewnątrz i zamyka za sobą drzwi. Potrząsa pustą paczką po papierosach, zgniata ją w dłoni i wyrzuca do rynsztoka, a potem szuka w torbie nowej paczki. Ściąga z niej folię, otwiera... Mam wrażenie, że trwa to wieczność, a gdy zaczyna jeszcze szukać w torbie zapalniczki, mam ochotę krzyknąć. W końcu wkłada papierosa do ust, zapala go, zaciąga się, wydmuchuje dym i spogląda na mnie spod rzęs.

– Uprawiała z tym piłkarzem seks w toalecie.

Wpatruję się w rozżarzoną końcówkę jej papierosa, na kłąb dymu sunący powoli w górę, na popiół, który opada na ziemię.

– Kto to był? – pytam, odrywając w końcu wzrok od papierosa. – Jak się nazywa?

Keisha wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Wiem tylko, że ma na imię Alex, nazwiska nie znam. Jest obcokrajowcem, chyba Francuzem. Gra podobno w Chelsea. Albo w Manchester United. W każdym razie w jednym z najlepszych klubów, nie pamiętam dokładnie w którym.

– Rozumiem. Piłkarz pierwszej ligi, Alex. – Mam wrażenie, że wypowiada te słowa ktoś inny, że ja nie mam z nimi nic wspólnego. – Jak mogę go znaleźć?

Keisha zaciąga się ponownie i otwiera drzwi, unikając mojego wzroku.

– Nie wiem, przykro mi.

– W porządku – odpowiadam z uśmiechem, choć jestem pewna, że kłamie. Wszyscy coś

przede mną ukrywają – Brian, Danny, Ella, Liam – i myślą, że jestem zbyt rozdygotana emocjonalnie, by sobie z tym poradzić.

Mylą się.

Czekam, aż Brian pójdzie spać, a potem zakradam się do jego gabinetu i włączam laptop.

Wpisuję w wyszukiwarkę „sławny piłkarz Alex” i naciskam ENTER.

Pierwszy wynik dotyczy brazylijskiego piłkarza, który gra w Paris Saint-Germain. Czy właśnie jego miała na myśli Keisha? Może nie chodziło o to, że jest Francuzem, tylko że mieszka we Francji? Sprawdzam następny wynik, który dotyczy innego francuskiego gracza – ten nazywa się Alexandre Degas, ale nie gra w brytyjskim klubie, a przynajmniej nie ma tu takiej informacji. Więc może Alexandre Laurent? Albo Alex Sauvage? Jest też Olivier Alexandre, który gra w Tottenham Hotspur, ale nie sądzę, by chodziło właśnie o niego.

Odsuwam krzesło od biurka. Sama nie wiem, czego się spodziewałam – nie mogłam przecież przypuszczać, że znajdę dane kontaktowe tego Alexa, skoro nawet nie wiem, o kogo konkretnie chodzi. Obracam się na krześle, szukam wokół siebie jakichś podpowiedzi, nie znajduję jednak niczego, więc wstaję i idę do pokoju Charlotte. Powinnam była zażądać od Keishy więcej informacji. Powinnam była spytać, skąd wie, że Charlotte uprawiała z tym człowiekiem seks w toalecie. To do niej zupełnie niepodobne. Była zakochana w Liamie po uszy, uwielbiała go. Nigdy by go nie zdradziła. Była tego pewna, bo bardzo przeżyła niewierność własnego ojca. Nie wyobrażam sobie, by kochała się z kimś, kogo dopiero co poznała, nawet jeśli była pijana, a on był sławnym piłkarzem, niesamowicie przystojnym i...

Wyglądam kołdrę na jej łóżku, prostuję się i przyglądam uważniej plakatom na ścianie. To strony wydarte z czasopisma „Torso of the Week”, zdjęcia przystojnych półnagich mężczyzn – aktorów, prezenterów telewizyjnych i... piłkarzy. Jest tam David Beckham, Ashley Cole, Ronaldo i... ktoś, kogo nie rozpoznaję, wysoki przystojny Mulat o jasnobrązowych oczach, wysokich kościach policzkowych i pełnych ustach. Alex Henri, jak głosi napis pod zdjęciem, napastnik, Chelsea FC.

Pędzę z powrotem do gabinetu Briana.

Wpisuję w Google „Agent Alexa Henriego”.

Na ekranie pojawiają się informacje o Stevie Torrance, „międzynarodowym agencie sportowym”. Klikam na link do jego strony i po chwili patrzę na zdjęcie łysiejącego mężczyzny w średnim wieku, który wykrzywia usta w sztucznym, nieprzekonującym uśmiechu. Szybko czytam jego biografię, zerkam na listę klientów, a potem klikam na zakładkę „Kontakt”. Pojawia się adres e-mailowy, numer skrzynki pocztowej w Londynie i numer telefonu. Zapisuję wszystko. Teraz jest już za późno, by dzwonić do obcej mi osoby, chowam więc kartkę do portfela, zostawiam go na stoliku w przedpokoju i wracam cichutko do sypialni. Potem wkładam koszulę nocną i kładę się do łóżka. Mija jeszcze dużo czasu, nim w końcu zasypiam.

– Mogłaby mu pani powiedzieć, że to pilne?

Kobieta po drugiej stronie linii telefonicznej wzdycha ciężko.

– Pani Jackson, dzwoni pani już trzeci dzień z rzędu. Wiem, że to pilne. Mówi to pani za

każdym razem. Przekazałam pani wiadomości, a jeśli pan Torrance jeszcze do pani nie oddzwonił, to... – Jestem pewna, że wzrusza w tym momencie ramionami. – Jest bardzo zapracowanym człowiekiem.

– Proszę – mówię błagalnym tonem. – Naprawdę ogromnie mi zależy, by ta wiadomość dotarła do Alexa Henriego. Moja córka jest w śpiączce, a on może mi pomóc.

Sekretarka aż zachłystuje się z wrażenia.

– To straszne! Ja też mam córkę. Kiedy miała siedem lat, musiała pójść do szpitala przy Ormond Street, myślałam, że zwariuję wtedy ze strachu. Była w siódmym niebie, kiedy na oddział przyszli H & Claire, wie pani, ten duet popowy. Ile lat ma pani córeczka?

– Też siedem. – To przerażające, jak łatwo przychodzi mi kłamać. – Prawdziwa chłopczyca. Futbol to cały jej świat, zaraziła się chyba od swojego ojca, oboje są zapalonymi kibicami Chelsea, nie przepuszczą żadnego meczu. Alex Henri to jej ulubiony gracz, ma całą ścianę zalepioną jego plakatami.

– Nie ona pierwsza i nie ostatnia. – Sekretarka się śmieje. – Proszę posłuchać, Sue... mogę się tak do pani zwracać?

– Oczywiście.

– Cóż, pewnie nie powinnam tego mówić, ale Steve nie przepada za tego rodzaju działaniami charytatywnymi. Uważa, że są dobre dla wizerunku, ale wizerunkiem nie opłaci się rachunków, więc pozwala swoim klientom brać udział tylko w dużych, dobrze znanych imprezach. Musi pani załatwić to z Alexem na własną rękę.

– Ale jak? Szukałam w internecie, lecz udało mi się tylko znaleźć numer Steve'a.

– Proszę mnie teraz uważnie posłuchać – mówi sekretarka, zniżając głos. – Mogłabym stracić pracę, gdyby się wydało, że pani to powiedziałam.

– Nie pisnę ani słowa – zarzekam się. – Przysięgam.

– Normalnie nigdy, przenigdy bym tego nie zrobiła, ale jestem dziś w dobrym nastroju. Mój Sean wrócił wczoraj z Afganistanu, no a biorąc pod uwagę, w jakim stanie jest pani córka... Jeśli chce pani złapać Alexa, proponuję, żeby wybrała się pani dziś wieczorem do klubu nocnego Grey's w Chelsea. Zwykle bywa tam w piątki. Nie obiecuję, że zgodzi się odwiedzić pani córeczkę, ale może podpisze koszulkę albo nagra dla niej wiadomość na pani komórce. Mogłaby ją pani jej puścić.

– Tak! – Nie potrafię ukryć podniecenia, choć jego powody są całkiem inne, niż przypuszcza sekretarka. – Cudowny pomysł, bardzo pani dziękuję.

– Nie ma za co. Proszę mi tylko obiecać jedną rzecz, nie, dwie.

– Oczywiście.

– Proszę nikomu o tym nie mówić i nie dzwonić więcej do tego biura.

– Nie będę. Obiecuję. Dziękuję pani bardzo, pani... przepraszam, nie dosłyszałam imienia.

Śmieje się.

– Nieprzypadkowo. Do widzenia, Sue.

Jednostajny sygnał brzęczy w moim uchu jeszcze przez dobre pół minuty, nim wreszcie odkładam słuchawkę. Jeśli sekretarka ma rację i Alex Henri rzeczywiście jest dziś wieczorem w klubie, to jak dostanę się do wydzielonej i pilnie strzeżonej strefy dla VIP-

ów? Piękna piętnastolatka zatrzepocze rzęsami i oczaruje ochronę, ale co ze mną? Co ma zrobić przysadzista czterdziestotrzylatka, która od dwudziestu lat nie była w klubie? Ale tym będę się martwić, kiedy będę już na miejscu, a skoro nie mogę nawet wyjść z domu po gazetę bez opieki Briana, to jak mam go przekonać, że dobrze mi zrobi wieczorny wyjazd do Londynu?

Środa, 26 czerwca 1991

*Mieszkam z Jamesem. A właściwie z Jamesem i jego matką. Wprowadziłam się do nich ponad tydzień temu. Jess znów obciął mi godziny pracy (do 15 tygodniowo) i nie było mnie stać na czynsz za mieszkanie. Powiedziałam Jamesowi, że spróbuję wrócić do nauczania i jakoś to nadrobić, ale on nalegał, bym wprowadziła się do niego.*

*– Potraktuj to jako nowy początek – mówił. – Nie przejmuj się Maggie i jej teatrykiem. Zasługujesz na to, żeby zarabiać na tym, co robisz. W pokoju gościnnym zmieści się jeszcze twoja maszyna do szycia, więc urządz sobie tam pracownię i zrób parę próbek, żebyś mogła ubiegać się o pracę gdzie indziej, albo rozkręcić własny interes. Ja będę płacił za czynsz i jedzenie, nie przejmuj się tym.*

*Był to niemal doskonały układ, który psuła jedynie matka Jamesa. Pierwszego wieczoru po mojej przeprowadzce w ogóle nie zeszła ze swojego pokoju na piętrze, a następnego ranka, gdy o siódmej trzydzieści przyszłam z Jamesem na śniadanie, na stole w kuchni czekała już na mnie lista „zadań” do wykonania. Lista została sporządzona nieznanym mi charakterem pisma i obejmowała między innymi zakupy, odkurzanie, mycie toalety i plewienie ogródka.*

*– Nie masz nic przeciwko, prawda? – powiedział James na widok moich uniesionych brwi. – Opiekunka mamy wyjechała na tydzień, a przez tę agorafobię i artretyzm nie może nic sama zrobić.*

*Artretyzm? Wydawała się całkiem sprawna tamtego pamiętnego dnia, gdy spóźniliśmy się na lunch.*

*– Poza tym – dodał – i tak masz teraz sporo wolnego czasu, prawda?*

*Miałam mu ochotę przypomnieć, że sam proponował, bym urządziła pracownię w pokoju gościnnym, ale w porę ugryzłam się w język. Na pewno musiał długo namawiać matkę, by pozwoliła mi się wprowadzić, wypadało więc odwdzińczyć się choć w ten sposób. Poza tym miało to trwać tylko tydzień, więc mogłam się zająć urządzaniem pracowni po powrocie opiekunki.*

*Gdy dziewięć godzin później James wrócił z pracy, miałam odciski na dłoniach, a moje przedramiona były całe poparzone pokrzywami, ale wykonałam wszystkie zadania z listy, w dodatku w piekarniku czekała duszona wołowina z warzywami. James wydawał się wniebowzięty – był pewien, jak twierdził, że przypadniemy sobie z jego matką do gustu, jeśli tylko przełamiemy pierwsze lody. Jednak w rzeczywistości nie widziałam jego matki przez cały dzień. Około dziewiątej słyszałam jej kroki, gdy szła do łazienki, poza tym nie dawała żadnego znaku życia. Po południu zaczęłam się martwić, że coś jej się stało,*

zapukałam więc do drzwi, by spytać, czy dobrze się czuje i czy nie chciałaby zupy pomidorowej z kanapką z serem. Odpowiedziała, że jest „w doskonałym zdrowiu, dziękuję bardzo” i kazała zostawić tacę z jedzeniem przed drzwiami. Zrobiłam to, a potem zesłam na dół i czekałam w korytarzu. Pięć minut później drzwi się otworzyły, stanęły w nich na moment stopy okryte kapcami, a potem taca zniknęła we wnętrzu pokoju.

James nie mógł utrzymać rąk przy sobie i gdy tylko skończyliśmy kolację (którą jego matka znów zjadła u siebie w pokoju), zaciągnął mnie do sypialni i rzucił na łóżko. Zapiszczałam, gdy zdarł ze mnie ubranie i wcisnął twarz w moje piersi, umilkłam jednak szybko, gdy zakrył mi usta dłonią i mocno przytrzymał.

– Ciii... – wyszeptał. – Nie chcemy, żeby mama nas słyszała.

Miałam już odpowiedzieć, kiedy zerwał ze mnie majtki i wszedł we mnie, pchając tak mocno, że uderzyłam głową w wezłowie łóżka. Jęknęłam głucho ze zdumienia i rozkoszy.

James zdjął dłoń z moich ust.

– A może chcemy? – I naparł na mnie ponownie.

Później, gdy leżeliśmy przytuleni do siebie, mokrzy od potu, odgarnął włosy z mojej twarzy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo mi cię brakowało, jak brakowało mi seksu z tobą, kiedy się nie widywaliśmy.

– Mnie też. – Przesunęłam dłonią po jego szerokiej piersi, przeciągnęłam palcami przez włosy.

– To była prawdziwa tortura. – Pocałował mnie w głowę. – Leżeć samotnie w łóżku, wyobrażać sobie ciebie nagą i nie móc cię dotknąć.

– Wiem.

– Spałaś z kimś innym w tym czasie, gdy nie byliśmy z sobą?

Spojrzałam mu prosto w oczy. Unikanie jego spojrzenia byłoby niebezpieczne.

– Nie.

– Naprawdę? Nie kręciłaś z nikim innym, bo czułaś się samotna?

– Nie. – Odsunęłam od siebie widok głowy Steve'a na mojej poduszce. – Oczywiście, że nie.

James zmrużył oczy.

– Nie całowałaś się z nikim, gdy byłaś pijana?

– Nie.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się blado. – Możesz mi powiedzieć, jeśli coś zrobiłaś, nie będę się złościł. Ja przeleciałem parę babek.

– Co?! – Serce ścisnęło mi się z bólu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłby przespać się z kimś innym. Nigdy.

– Pieprzyłem się parę razy. – Wzruszył ramionami. – Nic wielkiego. Nie byliśmy z sobą. Aty?

Naprawdę tak myślał? Naprawdę się tym nie przejmował? Spojrzałam mu prosto w oczy, w maleńkie źrenice i szare, przetykane błękitem tęczęwki. Nigdy nie potrafiłam dostrzec w nich prawdy. Jego oczy były nieprzeniknione.

– Nie – skłamałam. – Nie zrobiłam nic takiego, z nikim się nawet nie całowałam. Za



*bardzo za tobą tęskniłam, żeby w ogóle myśleć o innych mężczyznach.*

*Odetchnął z ulgą i wyraźnie się rozluźnił.*

*– Wiedziałem... – Przytulił mnie mocno do siebie. – Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa. Wiedziałem, że mama się myli. – Odsunął się nieco i spojrzał na mnie. – Ja też z nikim nie spałem. To był tylko żart.*

*Żart? Wtuliłam głowę w jego pierś i przełknęłam łzy, które napłynęły mi do oczu. Mnie wcale nie wydawało się to zabawne.*

## 21

Musical? – Brian podnosi brwi zaskoczony. – Myślałem, że nie cierpisz musicali. Mówiłaś, że to opera dla głupców.

– Nieprawda! To twoje słowa. I wcale nie mówiłam, że nie cierpię musicali. Po prostu wolę zwykłe sztuki. Tak czy inaczej nie chodzi o mnie, tylko o urodziny Jane.

– A Eryk ma grypę? W maju?

Mam już odpowiedzieć, że mamy teraz prawdziwą epidemię grypy, a mąż Jane pracuje w szkole, gdzie aż roi się od zarazków, okazuje się jednak, że nie ma takiej potrzeby, bo Brian parska śmiechem i mówi:

– Coś mi się wydaje, że Eryk chce się po prostu wymigać od tego wyjścia. Prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwię. Ja też wolałbym raczej ciężko zachorować, niż pójść na musical.

– Jane od dawna chciała zobaczyć musicalową wersję *Billy’ego Elliota* – mówię. – To jeden z jej ulubionych filmów.

– Powiedz jej, że niedaleko jest sklep z płytami DVD. Zaoszczędzi trzydzieści parę funtów czy ile tam zdzierają za bilet w West End.

– Brian! – Udaję oburzenie, widzę jednak po jego minie, że nie sprzeciwi się mojemu wyjazdowi do Londynu. To zadziwiające, jak łatwo uwierzył w to kłamstwo. Mogłabym pojechać wszędzie i z każdym, a on niczego by nie podejrzewał.

– Trochę późno zaczyna się ten spektakl, nie uważasz? – Spogląda na zegar w rogu. – Jest już siódma, a nawet jeśli wyjedziesz w ciągu kilku minut, będziesz tam najwcześniej o wpół do dziewiątej.

– Wiem – mówię. – Też byłam zaskoczona. Będziemy musiały przejechać szybko taksówką, żeby zdążyć do West End na dziewiątą. Spektakl zaczyna się później niż zwykle, bo jeden z aktorów występuje wcześniej w jakimś talk-show.

To bezczelne kłamstwo, które mógłby zdemaskować każdy, kto w miarę regularnie ogląda telewizję i wie, że tego rodzaju programy są nagrywane z dużym wyprzedzeniem. Na szczęście Brian ogląda telewizję bardzo rzadko. Uważa, że to ogłupia, a poza tym irytuje go fakt, że telewizory zużywają tak dużo nieodnawialnej energii.

– Rozumiem – potakuje, jakby wierzył w każde moje słowo, a potem przygląda się, jak wyglądam swoje ubranie. To najbardziej twarzowa suknia, jaką mam w swojej garderobie.

– Dobrze, że się ubrałaś, zanim przyszedłem. – Unosi brwi. – Choć można by pomyśleć, że zamierzałaś pojechać bez względu na to, co powiem.

Czekam na uśmiech potwierdzający, że to żart, i nie rozczarowuję się. Nie zakładałam

niczego z góry, nie byłam wcale pewna, że będę mogła pojechać, ale ostatnie dni minęły bez żadnych incydentów i wiem, że Brian lubi Jane.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko – mówi. – Spędziłaś cały dzień u Charlotte, wręcz powinnaś gdzieś teraz wyjść, rozruszać się... Zażyłaś dziś tabletkę, prawda? – pyta, zerkając na szklankę z wodą, która stoi obok na stoliku.

– Ależ tak.

– I dobrze się czujesz? Nie boisz się, że tłum w pociągu i w teatrze cię przytłoczy? Dawno nie byłaś w Londynie. Ludzie żyją tam w szalonym tempie.

– Brian! – Ponownie parskam śmiechem. – Byłam w Londynie jakieś dwa miesiące temu. Chyba nie zmienił się szczególnie od tamtego czasu, co?

– To prawda. – Zerka ponownie na zegar. – Jane po ciebie przyjedzie, czy mam cię podrzucić na stację?

Sięgam po torebkę, przerzucam żakiet przez ramię i wkładam buty na obcasach.

– Dzięki, ale za moment powinna tu być taksówka.

Brian podnosi gazetę i kręci z rozbawieniem głową.

– Baw się dobrze.

Przechodzę przez pokój, klękam przy jego fotelu i całuję go w czoło. Podnosi na mnie wzrok, zaskoczony.

– A to z jakiej okazji?

– Bo cię kocham.

Zegar w rogu pokoju odlicza spokojnie sekundy, gdy patrzymy na siebie. Wydaje się, że robimy to tak naprawdę po raz pierwszy od długiego czasu.

– Nawet po wszystkim, co się wydarzyło? – pyta cicho.

– Pomimo to.

Przykłada dłoń do mojej twarzy, delikatnie gładzi kciukiem po policzku.

– Nie zasługuję na ciebie, Sue.

Kładę dłoń na jego dłoni.

– Nieprawda.

Przez moment widzę swoje odbicie w jego oczach. Wydaję się zmęczona, zmartwiona i stara. Kiedy się to stało? Kiedy się tak zestarzałam? A on? Przecież ledwie wczoraj spacerowaliśmy wzdłuż Kifissos, rozmawiając o wspólnej przyszłości...

– Ja też cię kocham – szepcze Brian. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Gdyby coś ci się stało, byłbym zgubiony. Całkowicie.

Robi mi się ciepło na sercu, ogarnia mnie fala miłości tak wielkiej, że aż trudnej do zniesienia.

– Nigdzie się nie wybieram.

– A ja myślałem, że jedziesz do Londynu! – Odsuwa rękę od mojej twarzy i śmieje się głośno. – Biedny Billy Elliot. Na pewno też miał nadzieję, że cię zobaczy. Jesteś bardzo kapryśną kobietą, Susan Jackson.

Ja też się śmieję, a potem podchodzę do okna i wyglądam na zewnątrz. Wydaje mi się, że przed momentem słyszałam taksówkę wjeżdżającą na podjazd. I rzeczywiście, widzę blask reflektorów, a po chwili rozlega się klakson.

– Nie czekaj na mnie! – wołam, wychodząc z salonu. – Wrócę późno.

– Napisz SMS-a, gdybyś miała jakieś kłopoty.

Kłopoty? Odwracam się i spoglądam pytająco na Briana, ale już wpatruje się w gazetę.

To była tylko niewinna, rzucona mimochodem uwaga.

Żałuję, że rzeczywiście nie ma ze mną Jane. Przy niej nie czułabym się jak trędowata – czterdziestotrzyletnia kobieta stojąca w kolejce do jednego z najmodniejszych klubów Londynu, w towarzystwie ludzi na tyle młodych, że mogliby być moimi dziećmi. Obok przechodzi ochroniarz, na mój widok przystaje na moment, potem idzie dalej.

Myślałam, że będę wyglądać zbyt wyzywająco w małej czarnej do kolan i z szerokim dekoltem, ale martwiłam się niepotrzebnie. W porównaniu z miniaturowymi skrawkami materiału udającymi ubrania, które noszą tu inne kobiety, moja sukienka wygląda jak burka. Z wyjątkiem plaży nigdzie jeszcze nie widziałam tyłu odsłoniętych kobiecych ciał w jednym miejscu. Jest chyba około pięciu stopni, ale dziewczyny nie wyglądają na zziębnięte, podczas gdy ja włożyłam żakiet natychmiast po wyjściu z pociągu i żałowałam, że nie wzięłam jeszcze płaszcza.

– Przepraszam – mówi jakaś smukła blondynka za moimi plecami. – Która godzina?

Jej oczy oprawione sztucznymi rzęsami patrzą gdzieś ponad moje lewe ramię, ale na pewno zwraca się do mnie, bo za mną jest już tylko ściana.

– Wpół do jedenastej – odpowiadam zafascynowana jej silikonowym dekoltem i napompowanymi ustami. Jest opalona na brąz o takim samym odcieniu, jaki ma dębowy wieszak w naszym przedpokoju, a jej makijaż tak nieskazitelnie równy, jakby naniesiono go aerografem. Długie do pasa, wymodelowane suszarką blond włosy przypominają fryzurę Farrah Fawcett sprzed lat.

– Dzięki – mówi, poruszając lekko oczami.

– Często tu przychodzisz? – pytam, nieudolnie próbując nawiązać rozmowę.

– Co weekend. – Wydaje się, że teraz patrzy na tył głowy jakiegoś młodego mężczyzny stojącego kilka metrów dalej.

– Dobra muzyka?

– W porzo.

– A parkiet?

Kręci głową.

– Nie tańczę. Nie w tych butach.

Spoglądam na jej stopy i dziwię się, że w ogóle może utrzymać równowagę.

– Podobno przychodzi tu sporo piłkarzy – odzywam się ponownie.

W końcu odwraca ku mnie swe niebieskie oczy i przeszywa przenikliwym, niepokojącym spojrzeniem.

– Zgadza się. A co, polujesz na kogoś? – Uznawszy, że nie stanowię dla niej żadnej konkurencji, odwraca wzrok.

– Miałam nadzieję, że uda mi się spotkać... – Zniżam głos, by nie dzielić się tą informacją z całą kolejką. – ...Alexa Henriego.

W jej oczach pojawia się ledwie dostrzegalny błysk zainteresowania.

– Niezły jest.

Czekam w napięciu, aż powie coś więcej, jednak na razie to chyba wszystko. Mija pół godziny, nim znów ktoś się do mnie odzywa.

– Przykro mi, kochana. – Ochroniarz podnosi rękę, gdy zbliżam się do złotego sznura przed wejściem do klubu. – Nie dzisiaj.

Patrzę na niego z konsternacją.

– Co nie dzisiaj?

Zaplata ręce na piersiach.

– Wygłupy niczego nie zmieniają. Szkoda mojego i twojego czasu.

– Nie... naprawdę... Ja naprawdę nie rozumiem. – Odwracam się do blondyny, która stoi za mną, równie znudzona jak pół godziny temu. – O co mu chodzi?

Wzrusza ramionami.

– Chce, żebyś spadała.

– Dlaczego?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Bo jestem za stara? – Ochroniarz dorównuje wzrostem Brianowi, ale jest od niego trzy razy szerszy, do tego łysy i nosi kozią bródkę, która ma zapewne zasłonić jego podwójny podbródek. – Mogę cię oskarżyć o dyskryminację ze względu na wiek. Wiesz o tym, prawda?

Wyraz twarzy ochroniarza nie zmienia się ani na jotę. Jest równie obojętny jak przed momentem.

– Jeszcze tu jesteś?

– Musisz mnie wpuścić, bo... – Spoglądam na ulicę, na tłum zbliżający się do klubu, pary trzymające się za ręce, na grupy dziewczyn w wysokich obcasach i roześmianych chłopaków, na turystów wpatrzonych w swoje mapy i iPhone'y, ale mam pustkę w głowie. Tego faceta nie obchodzi Charlotte, Alex Henri ani wypadek. Jego jedynym zadaniem jest wpuszczanie ludzi, którzy pasują do określenia „piękni i młodzi”. Nie jestem ani piękna, ani młoda. Zdesperowana spoglądam na blondynę, ale ona znów tylko wzrusza ramionami.

– Jestem jej agentką – mówię, doznawszy nagłego olśnienia. – Jeśli mnie nie wpuścisz, pójdzie stąd i zabierze wszystkich swoich pięknych przyjaciół do... Whisky Mist – wymieniam pierwszą lepszą nazwę, która przychodzi mi do głowy.

Jedna z przyjaciółek Blondyny otwiera usta, by zaprotestować, zostaje jednak uciszona celnym kuksańcem mojej nowej znajomej. Ochroniarz mierzy je spojrzeniem, podczas gdy blondyna uśmiecha się doń słodko.

– Wchodź – mówi w końcu mężczyzna i odpina złoty sznur, wpatrując się jednocześnie bezczelnie w dekolt blondyny.

W środku jest ciemno, przystaję na moment przy wejściu i mrugam oczami, czekając, aż mój wzrok przywyknie do nowych warunków.

– Dwadzieścia pięć funtów – mówi znudzony kobiecy głos. W przeszklonej budce po prawej siedzi młoda blondynka. Sięgam do portfela, wydaję trzy banknoty dziesięciofuntowe i przesuwam je po blacie w jej stronę. Bierze je bez słowa i wydaje mi pięć funtów. Nie mówi nic więcej, więc robię krok w stronę dudniącej muzyki i wąskiego strumienia światła, który wypływa zza podwójnych drzwi na końcu korytarza.

– Pieczątką – mówi recepcjonistka i wzdycha.

Odwracam się do niej.

– Słucham?

– Proszę podać mi rękę.

Wydaje się nieobecna, jakby wolała w tym momencie być w każdym innym miejscu na świecie, tylko nie tutaj. Myślę o swojej sofie, o kieliszku wina i łbie Milly na moich kolanach. Doskonale ją rozumiem.

Posłusznie wsuwam rękę pod szklaną przegrodę, a kobieta przybija pieczętkę na moim nadgarstku. Jestem teraz dumną posiadaczką czarnego tatuażu w kształcie litery G. Pocieram go kciukiem, ale wcale się nie rozmazuje. Będę musiała jakoś się tego pozbyć, zanim wrócę do domu.

Czuję się, jakbym weszła do wnętrza zatłoczonego autobusu ze szklanymi kulami pod sufitem. Z trudem przeciskam się przez drzwi i przystaję przed zbitą masą ludzkich ciał wypełniających klub. Jest tu nie tylko ciasno, ale i gorąco jak w piecu. Gdziekolwiek się ruszę, jestem popychana, szturchana i potrącana.

– Co?! – krzyczą ludzie raz po raz, choć rytmiczna muzyka zagłusza ich głos. – Co mówiłeś?!

Bar ciągnie się po jednej stronie sali – złoty, lśniący, sięgający od podłogi do sufitu i zastawiony butelkami wszelkich rozmiarów, kolorów i kształtów. Niezwykle atrakcyjni barmani i barmanki bez ustanku sięgają po kieliszki, otwierają i zamykają lodówki, nalewają drinki. Pod przeciwległą ścianą znajdują się miejsca siedzące – wyłożone skórą boksy i pufy otaczają stoły z przyciemnianego szkła. Jakaś dziewczyna mówi swojej przyjaciółce, że mogą tam siedzieć tylko ci, którzy kupią butelkę szampana za pięćset funtów albo butelkę wódki za trzysta. Nic dziwnego, że tylu ludzi stoi na środku klubu, w wąskim przejściu między boksami i barem. Nie kupuję nic do picia, lecz przeciskam się przez tłum ku drugiemu końcowi sali, gdzie widać schody prowadzące na piętro. Strzeże ich złoty sznur i dwóch potężnie zbudowanych ochroniarzy, prowadzą więc zapewne do strefy dla VIP-ów.

– Jezu! – słyszę okrzyk po prawej stronie. – Więc nie żartowałaś, kiedy mówiłaś, że chcesz poznać Alexa Henriego, tak? Wystarczy spojrzeć na twoją minę!

Odwracam się i widzę moją jasnowłosą znajomą z kolejki.

– To moja agentka! – Blondyna trąca łokciem swoją przyjaciółkę i obie zanoszą się śmiechem, jakby to była najśmieszniejsza rzecz na świecie. – Mitsy – mówi, wyciągając do mnie rękę.

– Sue – odpowiadam, ściskając jej dłoń. – Dziękuję za pomoc. To dla mnie naprawdę ważne.

– Nie ma sprawy. Gdyby zwracał się do mojej mamy tak jak do ciebie, przywalilibym mu. Kawał chama.

Uśmiecham się w odpowiedzi. Nie bardzo wiem, jak kontynuować tę rozmowę, ale Mitsy robi to za mnie.

– No dobra... – zaczyna, spoglądając w stronę schodów i ochroniarzy, którzy odprawiają właśnie trzy skąpo odziane dziewczyny. – Jak zamierzasz się dostać do Alexa?

Kręcę głową. Nie zastanawiałam się nad tym do tej pory. Zakładałam, że uda mi się jakoś z nim porozmawiać albo chociaż przekazać mu wiadomość, ale nawet go nie widzę. Schody prowadzą na balkon nad naszymi głowami, ale widać zza nich jedynie kilka par nóg. Nie wiem nawet, czy Alex Henri tam jest.

– Mogłabyś mnie przedstawić? – pytam, zerkając ponownie na Mitsy.

– Ja? – Odrzuca głowę do tyłu i zanosi się śmiechem. – Kochana, myślisz, że gdybym знаła Alexa, stałabym tutaj i rozmawiała z tobą? Bez urazy...

– Jasne, nie gniewam się. Myślałam tylko... Wiesz, jesteś bardzo atrakcyjna, mogłabyś być modelką, a ochroniarz przy wejściu nie widział nic dziwnego w tym, że masz agentkę, więc...

– Próbujesz mnie podrywać? – Śmieje się znowu, po czym nagle łapie swoją przyjaciółkę za rękę, dojrzwawszy kogoś po drugiej stronie sali. – Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym facecie, który wygląda jak skrzyżowanie Andy'ego Carrola z Benem z *Hollyoaks*? – pyta, pochylając się do niej. – Jest tutaj!

Znikają w tłumie, nawet na mnie nie spojrzawszy. Nie czuję się urażona. Wręcz przeciwnie, jestem tej dziewczynie ogromnie wdzięczna, że pomogła mi wejść do klubu. Spoglądam ponownie na schody. Dostanę się do strefy VIP, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej w życiu dokonam.

## Czwartek, 21 maja 1992

*Nie mogę uwierzyć, że nie pisałam w swoim pamiętniku niemal od roku. Początkowo ukrywałam go w stoliku pod maszyną do szycia, a potem chyba całkiem o nim zapomniałam – aż do teraz. Więc tak, minął prawie rok, odkąd ostatnio tu zaglądałam i odkąd wprowadziłam się do domu Jamesa. Chciałabym móc powiedzieć, że moje życie jest cudowne, że jestem szczęśliwsza, szczęśliwsza i otoczona miłością, ale prawda wygląda całkiem inaczej.*

*Nie wiem, jak to się stało. Czuję się uwięziona, nieszczęśliwa i bardziej samotna niż kiedykolwiek dotąd. Każdy dzień mojego życia wygląda tak samo – wstaję, biorę prysznic, wkładam dżinsy i koszulkę (w rozmiarze 44, w ciągu ostatniego roku przytyłam dziesięć kilo), jem śniadanie z Jamesem i jego matką (zaczęła się pokazywać trzy dni po mojej przeprowadzce, co miało zapewne oznaczać, że w końcu wielkodusznie mi wybaczyła), a potem wykonuję zadania, które mi wyznacza. Jeśli mam szczęście, jest wśród nich wyjście na zakupy, co oznacza, że zobaczę innych ludzi, ale zazwyczaj chodzi o sprzątnięcie, pomoc w jej osobistych potrzebach (opiekunka, jeśli tu była, nie wróciła nigdy z urlopu) i siedzenie w salonie, czyli „dotrzymywanie jej towarzystwa”, w czasie gdy ogląda jedną telenowelę po drugiej. Ja też zaczęłam je oglądać, głównie po to, by nie myśleć o okropnym batik, który patrzy na mnie swymi wielkimi pustymi oczami z drugiej strony pokoju. Brzmi to pewnie absurdalnie, ale naprawdę napełnia mnie przerażeniem. Wciąż mnie obserwuje, śledzi mój każdy ruch.*

*Przez kilka pierwszych miesięcy, które tu spędziłam, James wpadał po pracy uradowany*

do domu i brał mnie w ramiona. Teraz już tego nie robi. Nie nazywa mnie też swoim aniołem ani kotkiem. Ledwie dostrzega moją obecność. Nie pamiętam nawet, kiedy się ostatnio kochaliśmy. Nie śpimy już nago, a gdy wieczorem James wraca z łazienki, mówi mi tylko „dobranoc” i odwraca się do mnie plecami. Pięć minut później już śpi.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to moja wina. Wciąż podjadam, żeby poprawić sobie humor (głównie czekoladę, kiedy wracam na piechotę z supermarketu. Nie jeżdżę już autobusem, bo przyprawia mnie to o ataki klaustrofobii), pomyślałam więc, że już mu się nie podobam. Pewnego dnia włożyłam sukienkę zamiast zwykłego stroju roboczego, czyli dżinsów i koszulki, ale kiedy James wrócił do domu, pokręcił tylko głową i powiedział, że powinnam nosić większy rozmiar, jeśli nie chcę pokazywać wszystkich swoich fałdek i warstw tłuszczu. Pobiegłam wtedy do łazienki i popłakałam się.

James nadal dba o swój wygląd. Co niedziela, przed próbami, i raz lub dwa razy w tygodniu spędza ponad godzinę w łazience, po czym wynurza się z niej w oparach dezodorantu i wody po goleniu, owinięty w pasie ręcznikiem, by potem przez dziesięć minut prasować koszulę, a przez następne dwadzieścia suszyć i układać włosy. W końcu, gdy zapewnię go, że dobrze wygląda, wychodzi. Jestem pewna, że ma romans – zapewne z Maggie – lecz jeśli ośmielę się powiedzieć coś na ten temat, odwraca kota ogonem i oskarża mnie o flirtowanie z klientami w pracy (pół roku temu musiałam zatrudnić się w Tesco, bo Jess zwolnił mnie z pracy w barze). Chciałam znów uczyć, ale James powiedział, że nie chce, bym sama podróżowała do północnego Londynu – uważa, że to niebezpieczne, tym bardziej że mogę dostać ataku paniki, jak wtedy w metrze, gdy znów się zesłaliśmy. Poza tym, jak twierdzi, jego matka mnie potrzebuje, a jeśli będę pracować blisko domu, w razie potrzeby szybko pospieszę jej z pomocą. Wszystko to miało sens, ale tak czy inaczej próbowałam walczyć o swoje. Nie chciałam pracować w Tesco. Mam wyższe wykształcenie. Jestem dyplomowanym nauczycielem TEFL i kostiumologiem, a nie kasjerką. James nie chciał mnie słuchać. Obracał moje argumenty przeciwko mnie, mówił, że jestem snobką, zbyt zepsutą, by pracować ze zwykłymi ludźmi choćby przez te kilka miesięcy, których potrzebuję, by stanąć z powrotem na nogi.

Poczułam się dotknięta tymi zarzutami, ale on ujął wtedy moje dłonie i powiedział, że trzeba mieć ambicje i cele, lecz mój krawiecki biznes nie może ruszyć od razu i potrzebuję trochę cierpliwości. Parsknęłabym śmiechem, gdyby nie zatkało mnie ze zdumienia. Od miesięcy nawet nie tknęłam maszyny do szycia – głównie za sprawą wymagań jego matki.

Tęsknię za swoją mamą tak bardzo, że boli mnie serce. Nie odwiedzałam jej od wieków, bo nie miałam ani czasu, ani pieniędzy. Dzwoniłam do niej parę razy, ostatnio kilka miesięcy temu, ale wtedy tylko się denerwowała, a ja miałam wyrzuty sumienia, że to przeze mnie. Od tamtej pory nie kontaktowałam się z nią w ogóle i teraz boję się z kolei, że całkiem o mnie zapomni albo pomyśli, że to ja o niej zapomniałam.

Kilkakrotnie omal nie zadzwoniłam też do Hels, ale zawsze w ostatniej chwili odkładałam słuchawkę. Nie chcę usłyszeć „A nie mówiłam”, nie chcę też, by przypomniała mi, ile czasu i pieniędzy poświęcili z Rupertem, bym zapomniała w końcu o Jamesie – nadaremnie, jak się okazało. Poza tym czy rzeczywiście mam jakieś powody do narzekań? Nie głoduję, nie biją mnie, nie muszę spać w szopie w ogrodzie. Mam pracę, mam co jeść, mam dach nad



głową, nie sypiam sama. Czasami nawet wychodzimy gdzieś z Jamesem – zazwyczaj do teatru, kina lub restauracji z jego matką (nie cierpi zostawać sama w domu) – a gdy James jest w dobrym humorze, znów się w nim zakochuję. Puszcza do mnie oko przy stole, kładzie mi rękę na nodze i szepcze do ucha, że chce mnie zaciągnąć do toalety i przelecieć. Oczywiście nigdy tego nie robi, ale właśnie takie chwile – i te rzadkie momenty, kiedy obejmuje mnie w nocy – wciąż mnie tutaj trzymają. Za ich sprawą wciąż wierzę, że jednak James mnie kocha, że po prostu popadliśmy w rutynę i wystarczy tylko się otrząsnąć, by znów zobaczyć mnie taką jak w czasach, gdy nie byliśmy razem. Sama wpakowałam się w tę sytuację i sama muszę się z niej wydobyć.

Nie mówiłam o tym Jamesowi, ale zaczęłam odkładać trochę pieniędzy z moich zarobków w Tesco, żebym za jakiś czas znów mogła sama wynająć mieszkanie. Zostaje niewiele po tym, jak oddaję Jamesowi 200 funtów na czynsz i drugie tyle na jedzenie (zgodził się, bym mieszkała tu za darmo tylko do czasu, gdy znów zacznę zarabiać), lecz mały plik banknotów na dnie mojego plecaka powoli zaczyna rosnąć. Mam już pewnie kilkaset funtów, zdecydowanie za mało, by opłacić kaucję i miesięczny czynsz, ale powoli dojdę i do tego. Może za następne pół roku? Ta myśl dodaje mi sił, jest dla mnie światełkiem w tunelu. Kiedy już zamieszkam sama, zacznę pracować w Tesco na pełny etat, bo nie będę się opiekować matką Jamesa. Zacznę też zdrowiej jeść i trochę schudnę. Może nawet nawiążę jakieś przyjaźnie w pracy. Kilka dziewczyn uśmiecha się do mnie zachęcająco, ale ja prawie w ogóle się nie odzywam (zdaniem Jamesa wyrażam się zbyt elokwentnie i ludzie biorą mnie za snobkę). A przecież kiedyś byłam okropnie gadatliwa... Czasem wracam myślami do początków mojej pracy w Abberley Players, gdy żartowałam i przekomarzałam się ze wszystkimi. Tęsknię za kobietą, którą kiedyś byłam. I nie mogę odpędzić myśli, że być może James też za nią tęskni.

Moja siedmioletnia córka jest w śpiączce – mówię w nadziei, że ta sama historia, która wzruszyła sekretarkę Steve’a Torrance’a, podziała również na ochroniarzy z Grey’s. – Alex Henri jest jej ulubionym graczem. Chcę tylko, by nagrał się na mojej komórce, powiedział „Wracaj do zdrowia, Charlotte”, i zaraz sobie stąd pójdę. Naprawdę, wpadnę tam tylko na moment.

Ochroniarz zakłada ręce na piersiach i nawet na mnie nie patrzy. Wciąż wpatruje się w tłum przy barze.

– Proszę, ona jest bardzo chora.

– Posłuchaj, kochana – mówi, zerkając w końcu na mnie. – Nawet gdyby twoja córka właśnie umierała, ja i tak nie wpuszczę cię na górę. Gdybym to zrobił, musiałbym też wypuścić wszystkich innych.

– Ale oni nie mają chorych dzieci. Proszę, rozmawiałam dziś z jego sekretarką, powiedziała mi, że mogę do niego podejść.

– Jak się nazywa ta sekretarka?

– Nie przedstawiła się.

– To dziwne, prawda? – Unosi brwi.

Patrzę błagalnym wzrokiem na jego kolegę. Nosi obrączkę, a na szyi ma wytatuowany napis „Connor”.

– Pan wygląda na rodzinnego człowieka. Ma pan dzieci?

Nie odpowiada. Nie reaguje też, gdy kładę mu dłoń na ramieniu.

– Zrobiłby pan wszystko, żeby chronić swoje dzieci, prawda? Zrobiłby pan wszystko, żeby były szczęśliwe i zdrowe, zgadza się? Ja chcę tego samego dla mojej córki. Chcę, żeby się w końcu obudziła, i jestem gotowa zrobić wszystko, żeby do tego doprowadzić. Rozumie pan to, prawda?

W końcu zwraca ku mnie oczy. Są ciemne i przysłonięte powiekami, niemal całkiem ukryte w mięsistej twarzy.

– Zrobiłabyś wszystko?

– Oczywiście.

Mierzy mnie spojrzeniem i uśmiecha się, błyskając złotym siekaczem.

– Obciągnęłabyś mi?

Wydaję z siebie dźwięk będący czymś pośrednim między okrzykiem zdumienia i śmiechem.

– Ja... – Nie wiem, co powiedzieć. Nie mam pojęcia, czy mówi poważnie. – Ja...

– Ile jej płacisz za obciążenie? A może to ona płaci tobie?

Tuż za mną stoi wysoki jasnowłosy mężczyzna w białej koszuli, ciemnych dżinsach i eleganckiej czarnej marynarce. Mierzy mnie wzrokiem, a potem spogląda na żonatego ochroniarza i śmieje się.

– Co to ma być, noc seksu z babciami? Jezu, Terry, masz coraz mniejsze wymagania, co?

Czekam, aż ochroniarz uderzy go w twarz albo co najmniej wyprosi z klubu. On jednak śmieje się tylko i odpina złoty sznur.

– Biorę, co jest, Rob, zwłaszcza jeśli nie muszę za to płacić.

– Przepraszam. – Przesuwam się na bok, stoję między Robem i sznurem i prostuję się dumnie. – Jestem tutaj. Mam uszy.

– Ja pierdołę, ona ma uszy! – Zerka na grupę zgromadzonych za nim ludzi i wybucha gromkim śmiechem. – Masz tupet, kochana! Co się stało? Zabłądziłaś po drodze na bingo?

– A ty zawsze jesteś taki niegrzeczny wobec kobiet, na których nie robi już wrażenia ładna buzia i dobrze skrojony garnitur?

– Och... – Rozpromienia się, słysząc ten przypadkowy komplement. – Nie kręca cię ładni chłopcy, wolisz takich twardzieli jak Terry. – Trąca łokciem ochroniarza.

– Prawdę mówiąc, nie interesuje mnie żaden z was. Przyszłam tu, żeby spotkać się z Alexem Henrim.

– Ach, lubisz Francuzików, tak, babciu?

– Przestań mnie tak nazywać, ty nadęta cioto – odpowiadam bez zastanowienia i dopiero potem gryzę się w język.

Terry kładzie mi dłoń na ramieniu w ostrzegawczym geście, ale Rob zbywa go machnięciem ręki.

– Zostaw ją, Tez. – Ponownie mierzy mnie wzrokiem i mruży oczy. – Alex Henri, tak? Chcesz się z nim spotkać?

Kiwam w milczeniu głową.

Spogląda na drugiego z ochroniarzy i pyta:

– Alex był już kiedyś z taką starą dziwką?

Zaciskam dłonie za plecami, by nie ulec pokusie i nie uderzyć Roba w tę cwanaż zarozumiałą gębę. Ochroniarz wzrusza tylko ramionami.

– Wpuść ją. Może być zabawnie. – Rob kiwa głową na Terry'ego, który podnosi brwi, ale potem cofa się, by wpuścić mnie na schody. Robię krok do przodu.

– Zerznij go porządnie, babciu! – woła za mną ochroniarz.

Przyspieszam jeszcze kroku. Im szybciej porozmawiam z Alexem Henrim i wyjdę stąd, tym lepiej. W tym klubie jest coś okropnie klaustrofobicznego – sufity są zbyt niskie, na sali jest za dużo ludzi, jest też za gorąco. Kiedy jestem już na górze, przychodzi mi do głowy, że gdyby wybuchł tu pożar, połowa ludzi zdeptałaby się na śmierć, próbując przedostać się do małych drzwi. Odpycham od siebie tę przerażającą myśl, gdy przechodzę obok grupy dziewczyn przypominających do złudzenia Mitsy i dwóch wielkich facetów ze złamanymi nosami. Ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba, to atak paniki.

Strefa dla VIP-ów jest bardziej zatłoczona, niż mi się wydawało, gdy jeszcze stałam na dole. Dopiero po kilku minutach udaje mi się przecisnąć do miejsc siedzących po drugiej stronie sali. Otaczają mnie niemal wyłącznie piękne szczupłe kobiety i przystojni,

atletycznie zbudowani mężczyźni, zajęcia popijaniem szampana, tańczeniem na krzesłach i flirtowaniem. Wydaje się, że to obszar przeznaczony wyłącznie dla pięknych i młodych – pewnie dlatego co chwila ktoś patrzy na mnie ze zdumieniem, gdy przeciskam się przez tłum. Nigdy w życiu nie czułam się starsza, brzydsza i grubsza niż tutaj, ale mimo to brnę dalej.

– Alex Henri – szepczę do siebie, gdy w końcu go dostrzegam.

Nie byłam pewna, czy rozpoznam go tylko na podstawie kilku fotografii i plakatów wiszących na ścianie pokoju Charlotte, ale te jasnobrązowe oczy i ostre kości policzkowe są zbyt charakterystyczne, by pomylić go z kimkolwiek innym.

– Przepraszam, przepraszam... – Pomagając sobie łokciami i ramionami, przeciskam się przez ciżbę otaczającą jego stolik. – Muszę porozmawiać z Alexem.

Ludzie spoglądają na mnie ze złością, ktoś szturcha mnie łokciem, ktoś wylewa mi jakiś napój na plecy, w końcu jednak docieram do celu i staję przed nim. Dzieli nas tylko stolik ze szkła dymnego, na którym stoi wiaderko z lodem, butelki szampana i kieliszki.

– Alex.

Nie reaguje. Z jednej strony tuli się do niego szczupła brunetka, z drugiej blondynka o bujnych kształtach, obok nich stoi i siedzi cała armia przystojnych mężczyzn i pięknych kobiet. Mam wrażenie, że znalazłam się w reklamie jakichś perfum. Wszędzie dookoła atrakcyjni i bogaci ludzie głośno się śmieją i piją szampana. Robię jeszcze jeden krok do przodu. Właśnie o tym marzą nastolatki, rozmyślam, gdy krawędź stołu wbija się w moje golenie, a zimny napój ścieka mi po plecach na podłogę. Właśnie dlatego chcą być bogaci albo sławni, a nie uczyć się, by potem zostać lekarzami czy prawnikami. Przed klubem czeka teraz pewnie kilkunastu paparazzich, którzy też chcą uszczknąć coś dla siebie z tego bajecznego świata – wystarczy, że zrobią zdjęcie znanemu piłkarzowi, który choć jest żonaty, wychodzi z jakąś inną kobietą, albo młodej piosenkarkę, która wsiadając do samochodu, odsłoni nagie krocze. Ale Charlotte na pewno nie myślała o tym wszystkim, gdy przedstawiono ją Alexowi Henriemu, nie zastanawiała się nad ciemną stroną tego stylu życia – nad jego powierzchownością, kłamstwami, problemami z alkoholem i narkotykami. Była oszołomiona pięknymi uśmiechami, wspaniałymi fryzurami i drogimi ubraniami. Trudno jej się dziwić – to życie różniło się niemal wszystkim od życia, które prowadziła na co dzień.

– Alex Henri! – krzyczę co sił w płucach, a on w końcu podnosi na mnie wzrok. Ściągam też na siebie uwagę kilkorga jego znajomych.

– Hej, Alex, już po dobranocce, pora spać! – woła jeden z nich, a reszta rechocze głośno.

– Twoja mama mówi, że nie możesz się już dłużej bawić! – woła ktoś inny.

Zewsząd dobiegają nas śmiechy i docinki. Alex też się uśmiecha, ale widzę, jak nerwowo bawi się spinkami do mankietów. Nie wie, kim jestem ani czego chcę.

– Mamusiu, proszę – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Proszę, pozwól mi zostać jeszcze godzinę. Obiecuję, że będę grzeczny.

Brunetka po jego prawej krztusi się szampanem ze śmiechu, a jeden z mężczyzn sięga do niego ponad stołem i przybija mu piątkę.

– Muszę porozmawiać z tobą o mojej córce – kontynuuję. – Nazywam się Sue Jackson.

Moja córka ma na imię Charlotte. Poznałeś ją parę tygodni temu. Razem... spędziliście trochę czasu.

– Charlotte, powiadasz? – Wyciąga komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i naciska kilka klawiszy. Wstrzymuję oddech i czekam z bijącym sercem. – Kilka tygodni temu. Charlotte... – Podnosi wzrok i kręci głową. – Nie przypominam sobie, żebym rznął się wtedy z jakąś grubą Brytyjką.

Przez moment nie mam pojęcia, o co mu chodzi, na szczęście w porę przychodzi zrozumienie. Myśli, że Charlotte wygląda jak ja. Myślę o mojej pięknej, szczupłej córce leżącej na szpitalnym łóżku i wzbiera we mnie złość.

– Moja córka nazywa się Charlotte Jackson – powtarzam spokojnie. – Poznałeś ją dziewiątego marca. Jest mniej więcej tego samego wzrostu co ja, ale jest piękną młodziutką blondynką. Ma najbardziej zielone oczy, jakie można sobie wyobrazić, i bardzo charakterystyczną urodę.

Henri wzrusza ramionami.

– Znam wiele pięknych kobiet.

Spogląda na blondynkę po lewej i obejmuje ją ramieniem. Ona wtula się w niego z wdzięcznością i chichocze, gdy piłkarz szepcze jej coś do ucha. Jego znajomi wracają do rozmów i swoich kieliszków z szampanem. Byłam zabawna przez pięć sekund, lecz Alex dał im do zrozumienia, że zabawa skończona.

– Zabrałeś ją do toalety, Alex.

Na sali zapada cisza. Blondynka patrzy na mnie ze zdumieniem, jakiś mężczyzna w szarej koszulce i ze srebrnym krzyżykiem na szyi głośno cmoka, a Alex Henri patrzy na mnie obojętnie. Kątem oka dostrzegam łysego mężczyznę w ciemnym garniturze i liliowym krawacie, który marszczy brwi i próbuje ściągnąć na siebie uwagę Alexa. Wydaje mi się znajomy, choć nie wiem dlaczego.

– Zabrałeś ją do toalety – powtarzam. – Chcę wiedzieć, co się tam stało.

– A jak, kurwa, myślisz, co się stało?

– Chcesz, żebym ci pokazał, babciu?

– Czytałeś jej bajki na dobranoc, prawda, Alex?

Komentarze uderzają we mnie ze wszystkich stron. Nikt się już nie śmieje, rozbawienie ustąpiło miejsca agresji. Pasożyty myślą, że atakuję ich gospodarza, i przeszły do obrony. Opuszczam na sekundę wzrok, a gdy go podnoszę, otacza mnie niewidzialna emocjonalna zbroja. Wciąż obrzucają mnie obelgami, ale teraz nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

– Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności, Alex – mówię spokojnie. – Moja córka leży w szpitalu, w ciężkim stanie, i przypuszczam, że to, co wydarzyło się tutaj w tamtą sobotę, może mieć z tym coś wspólnego.

– Dość. – Alex wstaje, ma ponurą, zaciętą minę, z jego twarzy zniknęły wszelkie ślady rozbawienia. Spogląda w róg sali i pstryka palcami.

– Proszę – mówię, gdy dwaj ochroniarze ruszają w naszą stronę. – Potrzebuję tylko pięciu minut. O nic cię nie oskarżam. Muszę się tylko do...

Przerywam w pół słowa, gdy jakaś potężna siła odciąga mnie gwałtownie do tyłu, z dala od tłumu ludzi, z dala od stolika i Alexa.

– Miała piętnaście lat! – krzyczę, gdy ochroniarze prowadzą mnie w stronę schodów. – Była nieletnia, Alex. Tylko piętnaście! – wrzeszczę ponownie, już z dolnej sali, przez którą ciągnie mnie dwóch osiłków. – Alex Henri, ona miała piętnaście lat!

Ludzie przerywają rozmowy i gapią się ze zdumieniem. Muzyka dudni w jednostajnym rytmie, ale równie dobrze mogłaby tu panować całkowita cisza. Oczy wszystkich skierowane są na mnie. Jakaś dziewczyna chichocze.

– Twoja mama znów się wkurzyła – mówi ktoś. Ktoś inny parska śmiechem, aż się krztusi.

Przestaję krzyczeć, upokorzona.

– Dość! – Wbijam obcas w podłogę i próbuję wyswobodzić ręce z uścisku ochroniarzy. – Dość! Wyjdę sama. Nie musicie mnie wyrzucać.

Wymieniają porozumiewawcze spojrzenie i powoli rozluźniają uścisk.

Tłum rozstępuje się przede mną, gdy zmierzam do wyjścia, odprowadzana przez moich strażników. Portier, z którym kłóciłam się wcześniej, dotyka palcem słuchawki w uchu i odpina sznur.

– Nigdy tu nie wracaj – syczy w moją stronę.

Nie zwracam na niego uwagi. Idę dumnie wyprostowana wzdłuż kolejki, dochodzę do końca ulicy i skręcam w prawo. Dopiero wtedy uginają się pode mną nogi. Opieram się o drzwi jakiegoś budynku, siadam na stopniu i ukrywam twarz w dłoniach. Jak to się stało? Jak doszło do tego, że okłamałam męża, zostałam wyśmiana przez obcych mi ludzi, publicznie upokorzona? Co się stało z Susan Ann Jackson – szanowaną czterdziestotrzyletnią żoną polityka – i kim jest ta zdesperowana istota, to pośmiewisko, które zajęło jej miejsce? Wyszłam z Grey's z podniesioną głową, ale widziałam przerażenie i odrazę w oczach mijanych ludzi. Co się tam stało, Charlotte? Czy spotkało cię coś równie przykrego jak mnie? Czy coś gorszego?

Prostuję się i spoglądam na zegarek. Minęła już północ. Jeśli nie wezmę się w garść, nie zdążę na ostatni pociąg do Brighton, a Brian będzie chciał wiedzieć dlaczego. Wstaję powoli, wyglądam sukienkę, poprawiam torebkę i ruszam przed siebie, przygarbiona i skulona z zimna. Co kilka minut macham na przejeżdżające taksówki, ale pędzą dalej. Dopiero gdy docieram do końca ulicy, uświadamiam sobie, że nie wiem nawet, czy idę we właściwym kierunku. Rozglądam się dokoła, szukając jakichś punktów orientacyjnych, lecz dostrzegam tylko neon metra na końcu wąskiej alejki biegnącej między dwoma potężnymi budynkami po prawej stronie. Bez okularów nie jestem w stanie odczytać z tej odległości nazwy, ale przypuszczam, że to Chelsea. Jeśli się pospieszę, może złapię jeszcze metro na Dworzec Wiktorii? W moją stronę pędzi taksówka, oślepia mnie na moment blaskiem reflektorów, wyciągam rękę, ale auto przemyka obok i znika w ciemności. Spoglądam ponownie w głąb alejki i rozcieram zziębnięte ramiona. Więc jednak metro.

Ruszam w stronę neonu, najszybciej jak pozwalają mi na to buty z wysokimi obcasami. Trzymam się chodnika i wysokich budynków po prawej. Jestem już w połowie drogi. Dobrze oświetlona ulica i samochody zostały z tyłu, z mrocznych zakamarków alejki wypełzają długie cienie. Nie ma tu żadnych domów, okien wypełnionych migotliwym blaskiem telewizorów lub ciepłym światłem lamp. Brzęczy rzucona na bruk puszcza.

Podskakuję, wystraszona, i oglądam się za siebie. W oddali pojawiła się sylwetka mężczyzny, ciemna postać o szerokich ramionach i wąskich biodrach, która zmierza w moją stronę. Nie jest to ktoś, kto wybrał się na nocny spacer po Londynie, to człowiek, który stara się poruszać szybko i bezszelestnie, nie ściągając na siebie uwagi. Czekam, aż zmieni kierunek, przejdzie przez drogę na przeciwległy chodnik – tak właśnie postąpiłaby większość mężczyzn, by upewnić samotną kobietę, że nie ma się czego obawiać – ale on tylko przyspiesza kroku. Zerkam na neon metra. Jeszcze dwieście metrów. Dwieście metrów, które dzielą mnie od bezpieczeństwa. Ja także przyspieszam, zaczynam biec. Stukot moich obcasów niesie się daleko. Kilka sekund później dołącza do nich ciężki łomot butów – mężczyzna też poderwał się do biegu. Zbliża się do mnie. Jest ubrany w wojskową kurtkę z kapturem, który naciągnął na głowę, widzę jednak kształt jego szerokiej zuchwy, która zwęża się do wyrazistego podbródka z dołkiem.

Biegnę. Chłodne nocne powietrze smaga mnie po twarzy, łapie za sukienkę, ciągnie do tyłu i spowalnia, choć biegnę co sił w nogach, nie spuszczać wzroku z neonu metra. Jakaś kobieta w czapce z daszkiem i dżinsowej kurtce przechodzi przez ulicę w pobliżu stacji, chcę ją zawołać i błagać o pomoc, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Słyszę jedynie swój chrapliwy oddech i ciężkie kroki mojego prześladowcy. Jest coraz bliżej. Czuję, jak mnie dogania, jak wpatruje się w tył mojej głowy. Już niedaleko, tylko jakieś sto metrów i...

Nie!

Mężczyzna w żółtej kamizelce ochrony zaciąga metalową kratę w wejściu do metra.

Stój!

Próbuję krzyczeć, powiedzieć mu, by na mnie zaczekał, by mnie wpuścił, lecz on znika za bocznymi drzwiami i zatrzaskuje je za sobą. Wypadam na główną ulicę. Dyszę ciężko, uda pałą mnie ze zmęczenia, zaczyna łapać mnie kurcz, ale nie zwalniam kroku – skręcam w lewo za kobietą, którą widziałam przed momentem. Teraz, gdy jestem już bliżej, dostrzegam, że ma słuchawki na uszach. Nie ogląda się. Jakaś starsza kobieta po drugiej stronie ulicy zerka na mnie z zaciekawieniem, lecz odwraca szybko wzrok, gdy na nią patrzę. Chcę pójść za nią, ale w tym momencie obok przejeżdża samochód, więc muszę odskoczyć do tyłu. Muszę się zatrzymać.

– Sue... – dolatuje mnie męski głos, a moje ciało zamiera. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę mówić. Nie mogę oddychać. Obok przejeżdżają samochody, a ja czekam. – Sue...

Czekam na koniec.

## Środa, 12 sierpnia 1992

*Muszę pisać szybko, bo James pojechał na chwilę do szpitala i nie mam pojęcia, kiedy wróci. Boję się zostawić pamiętnik w pracowni, więc teraz chowam go pod luźną deską w podłodze w przedpokoju. Jeśli coś mi się stanie, a policjanci przeszukają dom, na pewno go znajdą i poznają całą prawdę o Jamesie i o tym, co mi zrobił.*

*Napiszę więc wprost – myślę, że James mnie zabije.*

*Nie wiem kiedy ani jak, ale sam powiedział, że wolałby raczej spędzić całe życie w więzieniu, niż myśleć o tym, że „rozkładam nogi” dla innego faceta. Biorąc pod uwagę to, co zrobił mężczyźnie, z którym się przespałam, nie mam powodów, by mu nie wierzyć.*

*Zostałam dziś sama, po raz pierwszy od niedzielnego wieczoru, ale James tak czy inaczej nie pozwoli mi uciec. Zamknął mnie na klucz w domu, odłączył telefon, bym nie mogła dzwonić po pomoc, nie da mi też nic walenie w ścianę, bo para, która mieszka po sąsiedzku, wyjechała na wakacje i ich dom stoi pusty. Sprawdziłam wszystkie okna – dwukrotnie – lecz one również są zamknięte na zamek, podobnie jak tylne drzwi. Godzinę temu krzyczałam przez skrzynkę pocztową do kobiety, która szła ulicą z wózkiem, ale nawet nie spojrzała w moją stronę. Mogę się tylko domyślać, że albo zagłusza mnie ruch uliczny, albo dom stoi tak daleko od chodnika, że mój głos tam nie dociera.*

*Nie mogę nawet poprosić o pomoc pani Evans – choć pewnie i tak nic by to nie dało – bo jej tu nie ma. Dostała zawału, kiedy ja byłam w Yorku, z wizytą u mamy. Właśnie dlatego James pojechał do szpitala, żeby się z nią zobaczyć. A ja siedzę uwięziona w ich domu i mogę tylko pisać.*

*Wróciłam z Yorku w niedzielę wczesnym wieczorem. Byłam w świetnym nastroju. Mogłam w końcu odwiedzić mamę, bo James dał mi pięćdziesiąt funtów na bilet kolejowy (myślę, że chciał się mnie pozbyć, żeby spędzić cały weekend z kimś, kogo tam teraz pieprzy), w dodatku mama czuła się znacznie lepiej niż ostatnio.*

*Mama pytała, jak mi się żyje, a ja nie miałam serca powiedzieć jej prawdy. Mówiłam więc, że jestem bardzo szczęśliwa z Jamesem, że się zaręczyliśmy i że odnoszę coraz większe sukcesy jako kostiumolog. Moja opowieść była tak przekonująca, że sama zaczęłam w nią wierzyć i przez całą drogę powrotną snułam plany na przyszłość. Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do domu i opowiem o wszystkim Jamesowi, a może nawet znajdę trochę czasu i uporządkuję tkaniny, gdy pani Evans będzie spać. Miałam wrażenie, że wyjeżdżając z Londynu, pozbyłam się szarej mgły, która wypełniała mój umysł. Nie byłam zaniedbana ani gruba. Po prostu czułam się trochę przygnębiona. Potrzebowałam tylko więcej wiary w siebie i pozytywnego myślenia, a wszystko mogło się jeszcze odwrócić. Poza tym odłożyłam już prawie trzysta funtów. Razem z zawartością puszek, którą tuż przed wyjściem dostałam od mamy (a było tam prawie dwieście funtów), niemal wystarczało na kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc. Może jednak nie będę musiała pracować na pełny etat w Tesco – rozmyślałam, gdy pociąg wjeżdżał do Londynu. Jeśli pomieszkam z Jamesem i jego matką jeszcze dwa lub trzy miesiące, a mój biznes wreszcie wystartuje na dobre, może praca na część etatu wystarczy na opłacenie czynszu i rachunków.*

*– James! – zawołałam, wchodząc do ciemnego przedpokoju. – James, jesteś w domu? To był dla mnie wspaniały weekend, mówię ci...*

*W półmroku migotała czerwona lampka automatycznej sekretarki, jednak nie zwracałam na nią uwagi, zajęta zdejmowaniem butów i wkładaniem zamszowych kapci. Potem przeszłam do salonu, gdzie przywitało mnie znajome spojrzenie czarnej maski z batik, poza tym jednak pokój był pusty.*

*– James? James? Pani Evans?*



Spojrzałam na zegarek. Wpół do ósmej. Całkiem możliwe, że James postanowił zostać w teatrze po próbie i napić się piwa, ale jego matka powinna być w domu. Zwykle o tej porze oglądała jeden ze swoich ulubionych seriali. Może była w toalecie? Albo drzemała w swoim pokoju? W domu panowała niepokojąca cisza, czułam się niczym włamywacz, przechodząc na palcach z pomieszczenia do pomieszczenia i wstrzymując nerwowo oddech.

– Pani Evans? – Drzwi łazienki były otwarte, więc zapukałam do sypialni. – Pani Evans, dobrze się pani czuje?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zajrzałam do jej pokoju. Łóżko było posłane, zasłony zaciągnięte, wszystko wyglądało normalnie prócz... Podeszłam bliżej do toaletki. Nie było tam szczotki z rączką z masy perłowej. Brakowało też brązowej skórzanej walizki zawierającej jej zestaw do makijażu i maleńkiego srebrnego pudełeczka na biżuterię z obrączką i pierścieniem zaręczynowym. Gdzie ona mogła być? Nie umiała prowadzić samochodu, bała się wychodzić z domu, a jeśli spotykała się z przyjaciółkami – co zdarzyło się zaledwie dwukrotnie w ciągu mojego rocznego pobytu w tym domu – to one przychodziły do niej.

Wzruszyłam ramionami i postanowiłam przejść do mojej pracowni. Skoro ani Jamesa, ani pani Evans nie było w domu, to mogłam spokojnie zająć się porządkowaniem tkanin. Wszystkie leżały wciąż w pudłach, byłam więc pewna, że najpierw trzeba będzie je przeprasować.

Otworzyłam drzwi pokoju gościnnego i stanęłam jak wryta. Mój stolik pod maszynę do szycia leżał na podłodze. Pół metra dalej leżała sama maszyna, na której widniał odcisk brudnego buta. Delikatne prowadnice nici, regulatory napięcia i trzpienie były pogięte i połamane, stopka wyrwana, rzucona w drugi kąt pokoju. Pudła z materiałami, które tak starannie ułożyłam w rogu, ktoś rozrzucił po podłodze. Były pogniecione i podeptane, same materiały zaś podarte, poplątane i poplamione czymś, co wyglądało jak czerwona farba. Mój manekin opierał się bokiem o ścianę, a w jego piersi tkwiły czarne nożyczki krawieckie. Wszędzie walały się kolorowe nici, wstążki, guziki i taśmy zbryzgane tą samą czerwoną farbą. Ktoś wyrwał zasłony z okien, rozbił lustro i rozciął tapicerkę na krześle, które tak pieczołowicie obszyłam. Odłamał też od siedziska eleganckie drewniane nogi.

Wycofałam się z pokoju, przyciskając dłonie do ust, pewna, że zostaliśmy obrabowani i włamywacz wciąż jest w domu. Kto inny zniszczyłby mój pokój i zabrał rzeczy Margaret? Ale gdzie ona była? Przeszył mnie zimny dreszcz, gdy wyobraziłam sobie matkę Jamesa związaną i przerażoną. Przeszłam przez korytarz najciszej, jak potrafiłam – pięta, palce, pięta, palce – unikając skrzypiących desek. Krew dudniła mi w uszach, gdy mijałam naszą sypialnię. Zostawili ją tutaj? Zatrzymałam się w pół kroku, ze stopą uniesioną nad podłogą. Ledwie żywa ze strachu czekałam na jakiś ruch lub dźwięk, a gdy nagle zaskrzyphiała za mną deska, popędziłam do schodów, zbiegłam na dół, przeskoczyłam nad swoją walizką i minęłam buty. Kładłam już dłoń na klamce, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, a ktoś złapał mnie za szyję.

– Nie! – Próbowałam uderzyć napastnika, który pchał mnie do tyłu, z dala od światła i jedynej drogi ucieczki.

– Suka!

Natychmiast rozpoznałam ten głos.

– James, przestań... – Potknęłam się o walizkę i poleciałam do tyłu, na podłogę. – To ja, Suzy. – Wyciągnęłam do niego rękę, pewna, że pomoże mi wstać, gdy tylko zrozumie swój błąd. – James, to ja, Suzy.

Pochylił się nade mną i spojrzał mi prosto w oczy. Potem sięgnął do mojej głowy i odgarnął mi włosy z czoła.

– James... – Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego twarzy. – Stało się coś strasznego. Moja pracownia... Wszystko, na co tak ciężko pracowałam, zostało zniszczone. Dlaczego ktoś to zrobił?

Zaczął przesuwać palcami przez moje włosy, a potem wcisnął czubki palców w skórę.

– Au... – Złapałam go za rękę i próbowałam odciągnąć. – Mógłbyś być trochę delikatniejszy?

– Nie wiem. A ty mogłabyś być trochę bardziej prawdomówna? – Wyprostował się nagle, ciągnąc mnie w górę za włosy.

Poczułam się tak, jakby ktoś oderwał mi skórę od czaszki. Krzyknęłam i zamachnęłam się ręką, lecz ledwie zdążyłam stanąć na nogach, James pociągnął mnie w stronę salonu. Wciąż krzyczałam przeraźliwie, każdy krok przyprawiał mnie o kolejny paroksyzm bólu. Gdy myślałam już, że zemdleję, James zwolnił uścisk i rzucił mnie na drugą stronę pokoju. Odruchowo zakryłam głowę rękami tuż przed tym, jak wleciałam z hukiem w witrynę. Runęłam na podłogę, okryta deszczem odłamków szkła. Leżałam oszołomiona i zszokowana, gdy James znów mnie dopadł.

– Znów się lenisz, ty zdziro?!

Złapał mnie za kostkę u nogi, przeciągnął do drzwi i poderwał w górę.

– Powiedz mi prawdę! – ryknął mi prosto w twarz, a potem jego pięść wylądowała na mojej kości policzkowej. Znów znalazłam się na podłodze.

– Proszę... – jęczałam, próbując się podnieść i przyciskając dłoń do policzka. – Proszę, powiedz mi, co zrobiłam źle. Porozmawiajmy o tym, może...

Zawyłam z bólu, gdy jego but wylądował na moim ramieniu. James pochylał się nade mną, wykrzywiając twarz w okropnym gniewnym grymasie. Podniósł nogę, jakby znów chciał mnie kopnąć, gdy...

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń!

James spojrzał w stronę drzwi salonu.

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń!

Odwrócił się ponownie do mnie.

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń!

Bip!

„Tu numer zero dwa zero siedem cztery pięć sześć trzy dwa dziewięć osiem trzy. Zostaw wiadomość po sygnale”.

Telefon przełączył się na automatyczną sekretarkę.

„Halo? Susan, tu Jake z Abberley Players. Przepraszam, że znów dzwonię, ale naprawdę musimy porozmawiać. Steve i James się pobili. Steve jest w szpitalu, nie wiemy, co się stało

z Jamesem. Martwimy się o niego. I o ciebie. Mówił bardzo... hm... dziwne rzeczy. Zadzwoń do mnie, proszę, kiedy odsłuchasz tę wiadomość. Mój numer to zero dwa zero osiem dziewięć osiem dwa trzy siedem cztery pięć sześć. Dzięki”.

Spojrzałam na Jamesa. Miał pod okiem siniaka, którego nie zauważyłam wcześniej w ciemności, i rozbitą, zakrwawioną wargę. Czerwone plamy widniały również na jego szyi i pięściach. Nie wiedziałam, czy to krew moja czy Steve’a.

Zauważył, że na niego patrzę, a wyraz zmartwienia na jego twarzy ustąpił odrazie.

– Wstań.

Powoli dźwignęłam się z podłogi.

– Rozbierz się.

Zrobiłam, co mi kazał. Powoli rozpięłam guziki koszuli, zdjęłam ją – krzywiąc się, gdy utknęła na spuchniętym prawym ramieniu – i upuściłam na podłogę. Potem rozpięłam dżinsy, zsunęłam je na ziemię i wyszłam z nich.

– Bieliznę też.

– James, proszę. Nie spotykaliśmy się ze Steve’em, gdy ja... gdy my... to była jedna wielka pomyłka. Nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Tylko jeszcze bardziej za tobą tęskniłam i...

– Bielizna!

Najpierw zdjęłam majtki, a potem sięgnęłam za plecy, by rozpiąć biustonosz. Aż zachłysnęłam się przy tym z bólu, ale bałam się tego, co robi James, jeśli go nie posłucham, więc w końcu zdjęłam stanik i również rzuciłam go na podłogę.

Zadrżałam ze strachu, gdy zrobił krok w moją stronę. Tym razem jednak mnie nie uderzył. Podszedł do okna i, rozsunięwszy zasłony, otworzył je na całą szerokość.

– Stań tutaj, Susan.

Zawahałam się. Naprzeciwko ciągnął się szereg domów. Dzielila je od nas ruchliwa ulica, ale podobnie jak my widzieliśmy ich okna, tak i oni widzieli nasze.

– Stań przy oknie, Suzy.

Zrobiłam kilka sztywnych kroków, dziwnie otepiąta, jakbym znalazła się nagle w moim najgorszym koszmarze.

– Tak, stań przy samym oknie. Chcę, żeby wszyscy widzieli, jaką jesteś grubą, obrzydliwą i brudną dziwką.

Chwyciłam się obiema dłońmi parapetu i spojrzałam na samochody w dole. Może gdyby zauważył mnie któryś z kierowców, domyśliłby się, że dzieje się tutaj coś niedobrego, i zadzwonił na policję. Nie, nie zrobiłby tego. To był Londyn. Tutaj nikt nie przejmował się nikim na tyle, by dzwonić po policję. Z tyłu dobiegł mnie jakiś hałas, odwróciłam się wystraszona, że James wypchnie mnie na zewnątrz. Zobaczyłam przed sobą przegubową lampę skierowaną żarówką w górę, prosto na moją twarz.

– Odwróć się – rozkazał James. – Chcę, żeby świat zobaczył, jaka jesteś odrażająca. Chcę, żeby wszyscy widzieli te zwały tłuszczu, cellulit i rozstępy. Niech wszyscy patrzą na twoje obwisłe piersi i ogromne uda, niech się zastanawiają, jak ktokolwiek mógł się z tobą kochać. Z takim potworem.

Milczałam, zmagając się ze łzami. Jeśli miała to być kara za seks ze Steve’em, niech i tak

*będzie. Istniały rzeczy gorsze od publicznego upokorzenia, znacznie gorsze.*

*– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego przestałem się z tobą kochać, Suzy? – Milczał przez moment, czekając na moją reakcję, a nie doczekawszy się, i tak mówił dalej: – Miałem się kochać z kimś, kto tak wygląda? Zdajesz sobie sprawę, jak odpychające jest dla mężczyzn takie ciało?*

*Pojedyncza łza pociekła mi po policzku. Pierdolony gnojek. Kiedy już to wszystko się skończy, kiedy ukarze mnie, jak zechce, ucieknę od niego tak daleko, że już nigdy mnie nie znajdzie.*

*– I pomyśleć, że miałem wyrzuty sumienia, bo znów zacząłem chodzić do prostytutek. – Stłumił śmiech, a ja uświadomiłam sobie, że zeszywniałam ze zdumienia. – Po prostu nie mogłem już dłużej się kochać z taką tłustą krową. Poza tym nigdy nie umiałaś dobrze obciążać... No dobrze... – Sofa zaskrzypiała, gdy wstał, a w pokoju nagle pociemniało. – Dość zabawy. Chcę wiedzieć, dlaczego pieprzyłaś się ze Steve'em, ile razy to robiłaś, jak to robiłaś i czy... – Złapał mnie za włosy i pociągnął do tyłu. – Czy śmiałaś się ze mnie przez cały ten czas.*

*– James, nie! – Wrywałam się i walczyłam, biłam go i drapałam, gdy zaciągnął mnie do rogu pokoju i położył na szklanym stoliku. – Puść mnie, proszę.*

*– Puścić cię? – Słyszałam, jak rozpina rozporek, a potem poczułam ciężar jego ciała, gdy położył się na mnie i syknął mi do ucha: – Suzy, nigdy cię nie puszcę. Nigdy. Jesteś wstrętną dziwką, ale moją dziwką. – Odchylił moją głowę do tyłu, a potem uderzył nią ponownie o blat stołu. – I chcę, żebyś przeprosiła moją matkę. Dostała zawału, kiedy zobaczyła, co zrobiłem z twoim pokojem, do czego ty mnie zmusiłaś. Chcę, żebyś do końca życia przeproszała nas oboje. A teraz... – Rozstawił kopniakiem moje nogi i przycisnął penis do mojego odbytu. – Czy Steve pieprzył cię tutaj?*

*Wbiłam wzrok w batik i pozwoliłam, by szerokie białe oczy mnie zahipnotyzowały. Mój umysł wypełnił się pustką, gdy wpłynęłam w rozdziawione czarne usta i zniknęłam.*

Sue, wsiadaj.

Rozglądam się dokoła, pewna, że zobaczę zimne szare oczy mojego Jamesa, ale za mną nikogo nie ma.

– Sue Jackson?

Tuż obok zatrzymuje się czarny mercedes z przyciemnianymi szybami, a z tylnego fotela przywołuje mnie gestem jakiś mężczyzna. Wygląda znajomo, ale nie mogę sobie przypomnieć...

– Steve Torrance. – Uśmiecha się szeroko, a ja rozpoznaję w końcu te olśniewająco białe zęby. Agent Alexa Henriego. Widziałam jego zdjęcie w internecie. Otwiera drzwi i wsuwa się głębiej do samochodu. – Wsiadaj.

Oglądam się za siebie, lecz nikogo tam nie ma. Alejka też jest pusta. Przecież nie wyobraziłam sobie Jamesa biegnącego za mną. Był tam, widziałam jego twarz. Gdzie się podział? Wystraszył się samochodu Steve'a i schował? Czeka, aż odjedzie, żeby wykonać następny ruch?

– Posłuchaj, Sue. – Zza otwartych drzwi ponownie wysuwa się głowa Steve'a. – Jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Wsiadaj albo każ mi spierdalać.

Waham się. Próbować złapać taksówkę i ryzykować spotkanie z Jamesem, czy też wsiąść do auta z nieznanym mężczyzną?

Steve uśmiecha się szerzej i ponownie wsuwa w głąb samochodu, robiąc mi miejsce. Po raz ostatni rozglądam się dokoła – ulica wciąż jest pusta – i wsiadam, a potem szybko zamykam drzwi. Jakiś cień przesuwają się po oknie, a ja aż podskakuję ze strachu.

– Jedźmy już, proszę. Ruszaj!

Kierowca, starszy mężczyzna w czapce z daszkiem naciągniętej niemal na oczy, odwraca się do mnie.

– Za kogo ty się uważasz, Roberta De Niro? To jest West End, kochana, a nie cholerny Nowy Jork.

Zerka na Steve'a Torrance'a, który unosi brwi i odwraca się do mnie ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Dokąd chciałabyś pojechać, Sue?

– Na Dworzec Wiktorii.

Przyciągam bliżej torebkę, wciąż zerkając na ulicę. Boję się, że lada moment James otworzy drzwi i wyciągnie mnie z samochodu.

Kierowca wzrusza ramionami, włącza kierunkowskaz i rusza. Dopiero gdy dojeżdża do końca ulicy, oddycham z ulgą.

Steve Torrance podnosi wzrok znad swojego blackberry.

– Ile?

Milczę, pewna, że mówi do kierowcy.

– Ile? – powtarza, zerkając na mnie znad telefonu.

Przyciskam torbę do piersi.

– Co ile?

– Za milczenie.

– Słucham?

– Sue, nie bawmy się w podchody. – Opada na oparcie fotela i chowa komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Twój krótki występ w klubie nie przeszedł bez echa, gratuluję. Miejmy tylko nadzieję, że nie było tam jakiegoś dziennikarza, który nagrał to wszystko na komórkę, bo inaczej cała ta rozmowa nie ma sensu. Więc mów, ile mam ci zapłacić, żebyś nie poszła z tym do jakiejś gazety.

Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie sens jego słów.

– Myślisz, że dlatego to zrobiłam? Bo chcę, żeby Alex mi zapłacił?

– A nie chcesz?

– Oczywiście, że nie. – Poprawiam pas bezpieczeństwa, bym mogła odwrócić się swobodnie do Steve'a. Jest chyba niewiele wyższy ode mnie, ma wielki brzuch i szeroki kark. Jego łysinę pokrywa warstwa potu. – Nie należę do takich ludzi. Moim mężem jest Brian Jackson, poseł z Brighton.

– Cudownie. – Sięga do wewnętrznej kieszeni, wyciąga z niej chusteczkę i przykładą ją do czoła. – Tego mi tylko brakowało, żeby wmieszał się pierdolony rząd, bo Henri nie może utrzymać fiuta w rozporoku.

– Więc rzeczywiście uprawiał seks z moją córką? – pytam spokojnie, choć serce łomocze mi jak szalone.

Przestaje wycierać łysinę i podnosi na mnie wzrok.

– Chwileczkę, do ciężkiej cholery. Wydawało mi się – jak i każdemu, kto tam stał i miał uszy – że oskarżasz mojego klienta o seks z nieletnią. A teraz mówisz, że żadnego seksu nie było?

– O nic go nie oskarżałam. Prosiłam tylko, żeby ze mną porozmawiał.

– Stój! – Pochyliła się do przodu i podnosi rękę. – Zatrzymaj, kurwa, ten samochód!

Mercedes hamuje z piskiem opon, nie zważając na wściekłe trąbienie innych aut. Po lewej stronie widać park, oddzielony od ulicy potężnym żelaznym ogrodzeniem, a po prawej ciągnie się szereg małych hoteli. Chodnik zaścielają puszki po piwie, niedopałki i psie kupy. Okolica nie wygląda zbyt zachęcająco.

– Wsiadaj. – Steve sięga do drzwi po mojej stronie i otwiera je. – Wynoś się z mojego samochodu!

– Nie – odpowiadam krótko i zamykam z powrotem drzwi.

– Jak to, kurwa, nie?! – Jego twarz jest tuż przy mojej, widzę otwarte pory i pęknięte żyłki wokół jego nosa, czuję zapach curry i szampana bijący z jego ust.

– Nie wysiądę, dopóki nie powiesz mi, co się stało.

– Kiedy?

– Kiedy Charlotte i Alex Henri poszli razem do toalety.  
– Pytasz niewłaściwego człowieka, kochana, bo mnie tam nie było.  
– Więc powinieneś się dowiedzieć.  
– Powiniennem, tak? – Uśmiecha się drwiąco. – Przecież nie pójdziesz z tym do prasy, sama przyznałaś.

– Owszem, ale mogę pójść na policję. – Drwiący uśmiezek natychmiast znika. – Nie chcę żadnych pieniędzy, ale moja piętnastoletnia córka jest w śpiączce, a ja mam wszelkie powody, by przypuszczać, że doprowadziło ją do tego spotkanie z pana klientem.

– Hola, hola! – Podnosi obie ręce zwrócone do mnie wnętrzem dłoni. – Kto mówił coś o śpiączce?

– Ja, właśnie teraz.

– O co, kurwa, chodzi? – Zauważa, że kierowca na niego patrzy, i pokazuje mu, by jechał dalej. Kierowca posłusznie zapala silnik i włącza się do ruchu. Steve znów pochyła się do mnie i mówi cicho: – Jeśli oskarżasz mojego klienta o skrzywdzenie twojej córki, to lepiej, żebyś miała mocne dowody, bo...

– Nikogo o nic nie oskarżam. Chcę tylko wiedzieć, co się wtedy stało.

Opada z powrotem na swoje miejsce.

– Mówiłem ci już, nie było mnie tam. Wyjechałem wtedy do Nowego Jorku w interesach.

Samochód wyjeżdża z za rogu, widzę już dworzec. Zerkam na zegarek. Piętnaście minut do odjazdu ostatniego pociągu.

Spoglądam na Steve'a.

– Możesz mnie umówić z Alexem, żebym spytała go o tamten wieczór?

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, nie uważasz?

– Prawdę mówiąc...

– Proszę. – Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciąga z niej komórkę i podaje mi ją. – Wpisz swój numer. Pogadam z Alexem, a potem do ciebie zadzwonię.

Wpisuję numer swojej komórki, choć nie mam pojęcia, czy mogę mu zaufać. Zarabia na życie, przedstawiając swoich klientów w jak najlepszym świetle, więc jeśli nawet Alex do czegoś się przyzna, Steve raczej nie podzieli się ze mną tą informacją. Ba, nie zdziwię się wcale, jeśli zadzwoni, by mi powiedzieć, że Alex zaprzecza, by kiedykolwiek spotkał Charlotte. Jeśli w ogóle zadzwoni...

– Już? – Spogląda na nowo zapisany kontakt i chowa komórkę z powrotem do marynarki.

Samochód zatrzymuje się przy krawężniku.

– Wiktoria – mówi kierowca.

Steve wyciąga do mnie rękę.

– Będziemy w kontakcie – mówi, gdy ściskam jego dłoń. Potem marszczy lekko brwi, opada na swoje miejsce i ponownie wyciąga blackberry. Otwieram drzwi i wysiadam.

Piątek, 23 października 1992

James więził mnie przez sześć tygodni, a sam wychodził z domu, tylko by odwiedzić swoją matkę. Przed wyjściem odłączał telefon i sprawdzał, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Po tygodniu zadzwonił Val, mój szef z Tesco. Chciał ze mną rozmawiać, ale James powiedział mu, że wyjechałam do Yorku, bo stan zdrowia mojej mamy się pogorszył. Potem nikt już o mnie nie pytał.

Uświadomiłam sobie, że James może mnie w każdej chwili zabić, a i tak nikt się o tym nie dowie. Każdego ranka myślałam jedynie o tym, by dożyć wieczora. Co prawda James nie dotknął mnie więcej – z wyjątkiem tej sytuacji, gdy zauważył, jak macham przez okno w sypialni do jakiejś starszej pani idącej ulicą, wtedy zbił mnie na kwaśne jabłko – ale bez ustanku mną dyrygował. Kazał mi siedzieć tu, stać tam, zejść mu z drogi, przygotować coś do jedzenia – albo całkowicie mnie ignorował. Nie pozwalał mi czytać książek, oglądać telewizji ani sprzątać w mojej pracowni. Mogłam tylko wykonywać prace domowe albo siedzieć w milczeniu na środku korytarza, gdzie widział mnie z sofy w salonie.

Trzy tygodnie po tym, jak mnie zgwałcił, powiedziałam Jamesowi, że muszę iść do apteki. Roześmiał mi się w twarz i odparł, że powinnam była martwić się tryprem, zanim poszłam do łóżka ze Steve'em.

– Nie – pokręciłam głową. – Spóźnia mi się okres. Potrzebuję testu ciążowego.

Jakiś czas później siedziałam przerażona na zamkniętej klapie sedesu, a obok, na krawędzi wanny, leżał zużyty test ciążowy. Dwa lata temu szalałabym ze szczęścia, gdybym się dowiedziała, że zaszłam z Jamesem w ciążę, teraz jednak drżałam ze strachu. Wciąż łudziłam się nadzieją, że James w końcu się mną znudzi, machnie ręką na „zdradę” ze Steve'em i puści mnie wolno. Ale na pewno by tego nie zrobił, gdyby okazało się, że jestem w ciąży. Gdybym nosiła jego dziecko, trzymałby mnie tutaj co najmniej przez następne dziewięć miesięcy.

– No i...? – spytał, wpadając do łazienki. Nie zamykałam za sobą drzwi, bo i tak nie miało to sensu.

Bez słowa podałam mu test.

– Dwie niebieskie linie? – Zmarszczył brwi. – Co to ma niby oznaczać?

– Że jestem w ciąży.

Kiedy następnym razem wyszedł z domu, zaczęłam przygotowania do ucieczki. Przede wszystkim wyrwałam z książki telefonicznej numer kliniki aborcyjnej i schowałam ją do jedynej rzeczy w moim pokoju, której nie zniszczył James – sekretnej szufladki w stoliku pod maszynę do szycia. Ukryłam tam również mój pamiętnik i oszczędności, a potem zaczęłam systematycznie przeszukiwać dom – sprawdzałam każdą szufladę, każdą puszkę, każdą szafkę i każde pudło w nadziei, że znajdę tam coś, co pomoże mi się stąd wydostać. Piątego dnia odkryłam futro z norek schowane z tyłu szafy Margaret. Wstrzymałam oddech, gdy moje palce natrafiły na jakiś mały metalowy przedmiot ukryty w jednej z kieszeni. Klucz. Klucz do drzwi. Nie wychodziła sama z domu od lat, ale może los uśmiechnął się do mnie i był to klucz do drzwi wyjściowych. Nie zdążyłam tego sprawdzić, bo w chwili, gdy zacisnęłam klucz w dłoni, trzasnęły zamykane drzwi frontowe. Spanikowana zamknęłam się w szafie i schowałam za futrem. Kroki Jamesa niosły się po całym domu, gdy wchodził na piętro.



– Suzy! – zawołał. – Suzy! Gdzie jesteś? Nie czuję kolacji. Oglądałaś przez cały dzień telewizję, ty leniwa suko? Suzy! – Deski na korytarzu zaskrzypiały, gdy przeszedł do pracowni, i chwilę potem, gdy wracał. – Suzy!

Kroki były coraz bliżej. Wszedł do pokoju Margaret. Wstrzymałam oddech, pewna, że zdradzi mnie głośne bicie serca.

– Suzy! – zawołał ponownie James, tym razem już ze schodów.

Wypełzłam cicho z szafy, schowałam klucz do skarpetki i zbiegłam na dół.

James spojrział na mnie ze zdumieniem, gdy wpadłam do salonu.

– Gdzieś ty, kurwa, była? Szukałem cię na górze. Nie było cię tam.

– Na strychu – odparłam, wskazując smugę kurzu na moim policzku (starłam go z butów w szafie Margaret). – Twoja mama mówiła kiedyś, że wyniosła tam twoje ubrania z dzieciństwa, więc chciałam je przejrzeć.

– Co zrobiłaś?!

– Przepraszam... – Przycisnęłam dłoń do brzucha. – Chciałam tylko dobra dziecka. Pomyślałam, że moglibyśmy urządzić w mojej pracowni, to znaczy w pokoju gościnnym, pokój dla dziecka.

– Ale... – Twarz Jamesa przybrała na powrót normalny kolor, nie zaciskał też już tak mocno zębów. – Nie widziałem drabiny na strych, a włącz był zamknięty.

– Ja go zamknęłam – wyjaśniłam, wciąż trzymając dłoń na brzuchu. – Bałam się, że mogę przypadkiem spaść. Nie chciałam, żeby coś się stało maleństwu.

Robiło mi się niedobrze, kiedy wygadywałam takie rzeczy – jakbyśmy mieli odgrywać rolę szczęśliwej rodziny i z radością rozprawiać o wspólnej przyszłości – ale „maleństwo” było jedyną piętą achillesową Jamesa.

Patrzył na mnie przez chwilę, wodząc wzrokiem od mojego brzucha do twarzy i z powrotem. Wiedział, że kłamię, ale bardzo chciał mi wierzyć.

– Nie rób tego więcej – burknął w końcu, pokazując mi, bym wyszła z pokoju. – Nie powinno cię interesować, co jest na strychu. Jeśli dziecko będzie czegoś potrzebowało, ja to załatwię.

– Dobrze. – Skinęłam głową, myśląc jednocześnie o kluczu ukrytym w mojej skarpetce, po czym odwróciłam się do wyjścia. – Pójdę zrobić kolację, dobrze? Dzisiaj jest indyk na sposób chiński.

Uciekłam następnego dnia. Stałam przy oknie w pokoju gościnnym i patrzyłam przez szparę między zasłonami, jak James wychodzi z domu do pracy, przechodzi na drugą stronę ulicy i czeka na przystanku autobusowym. Zrobiło mi się zimno ze strachu, gdy zerknął na dom, jednak odwrócił wzrok. Pół minuty później wszedł do autobusu linii 13 i odjechał.

Pędziłam przez kolejne pomieszczenia, upychając do torby ubrania, przybory toaletowe, koszulę nocną, ręcznik i jedzenie. Nie miałam pojęcia, jak długo będę musiała leżeć w klinice po aborcji. Nie znałam nikogo, kto poddałby się takiemu zabiegowi, nie wiedziałam więc, ile kosztuje ani ile trwa, ale o tym mogłam pomyśleć później. Już nienawidziłam siebie samej za to, co zamierzałam zrobić. Co do kosztów, to miałam nadzieję, że sześćset funtów wystarczy na opłacenie zabiegu i tani lot za granicę, bo

*chciałam uciec od Jamesa jak najdalej.*

*Stałam w pracowni, trzymając w jednej dłoni pamiętnik i kartkę z numerem telefonu, a plik banknotów w drugiej, gdy z dołu dobiegło walenie do drzwi. Wrzuciłam swoje rzeczy do torby, przykryłam ją narzutą, wyczołgałam się na korytarz i przysunęłam do poręczy. Hałas dobiegał od strony drzwi wejściowych. Czyżby James już wrócił? Zaczęłam czołgać się dalej, wiedziałam bowiem, że ze szczytu schodów zobaczę wejście.*

*Przesuwałam się powoli, nieruchomiejąc po każdym stuknięciu. Nagle rozległ się brzęk zamykanej skrzynki pocztowej. Na wycieraczkę leżała biała kartka. To gazownik zostawił prośbę o podanie stanu licznika.*

*Trzydzieści sekund później schodziłam już na dół, trzymając w jednej dłoni torbę, a w drugiej klucz.*

*– Proszę... – błagałam, przystawiając czubek klucza do zamka. – Proszę, niech to będzie ten, proszę...*

*Drzwi się otworzyły.*

*Pobiegłam do bramki, a potem popędziłam ulicą, nie oglądając się ani razu za siebie. Ani wtedy, gdy czułam na sobie zły wzrok batiku. Ani wtedy, gdy na górze trzasnęły drzwi do któregoś pokoju. Ani nawet wtedy, gdy przypomniałam sobie, że kiedy wrzuciłam swoje rzeczy do torby, na podłogę spadł kawałek żółtej kartki z numerem telefonu.*

Udany wieczór? – Brian patrzy na mnie zaspanymi oczami, gdy o szóstej rano dzwoni jego budzik.

– Cudowny, dziękuję.

Ziewa i przeciąga się.

– O której wróciłaś?

Zastanawiam się, czy nie skłamać, ale nie mam pojęcia, o której zasnęłam, więc nie mogę udawać, że położyłam się koło niego niepostrzeżenie.

– Zaraz po drugiej.

Unosi brwi zaskoczony.

– Nie piłaś, prawda? Chyba nie możesz łączyć alkoholu z tymi tabletkami, które zażywasz.

– Oczywiście, że nie. Niedaleko teatru była bardzo przyjemna kafejka, więc przysiadaliśmy tam z Jane, żeby trochę pogadać. Straciłyśmy poczucie czasu, to wszystko.

Brian obraca się na łóżku, by lepiej mi się przyjrzeć. Strach ściska mi żołądek, modlę się, by nie zadzwonił do Jane.

– Nie mam nic przeciwko, bylebyś się tylko dobrze bawiła, kochanie.

Czuję, jak całuje mnie w policzek, a potem wstaje i podnosi kołdrę, wpuszczając pod nią powiew chłodnego powietrza. Słyszę, jak skrzypią deski pod jego stopami, gdy przechodzi przez pokój, potem zapada cisza.

Przyciągam poduszkę Briana i mocno ją tulę. Może już wkrótce odkryję, co pchnęło Charlotte do próby samobójstwa, ale jestem okropnie zmęczona. Chcę przetoczyć się na drugi bok, spać przez milion lat i obudzić się, gdy będzie już po wszystkim, ale nie mogę. Nie mogę czekać beczynn timer, podczas gdy śpiączka odbiera Charlotte zdrowie, zdolności, a może nawet życie.

Tylko co mogłabym teraz zrobić? Trop zaprowadził mnie do Steve'a Torrance'a i teraz nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na jego telefon.

Odrzucam kołdrę na bok i siadam prosto.

A jednak mogę coś zrobić.

– Sue? – Danny wygląda zza frontowych drzwi rozczochrany, ma zaspane, nieprzytomne oczy. – Jest ósma rano, niedziela.

– Wiem.

Ja też nie chcę tu być. Chcę być w szpitalu, z moją córką – i będę tam za chwilę – ale najpierw muszę się dowiedzieć, co ukrywa Danny.

– Skąd miała pani mój adres? – Przeciąga dłonią przez włosy i poprawia biały frotowy

szlafrok.

– Zadzwoiłam do Olego. – On też nie był zachwycony, kiedy go zbudziłam.

– Jasne. – Danny ziewa i zerka do wnętrza mieszkania. – Więc w czym mogę pani pomóc, Sue?

– Chciałabym wejść do środka, jeśli można.

– Ehm... To chyba nie najlepsza pora.

– Keisha jest w środku? W porządku, ona też może wszystko usłyszeć.

Danny przestępuje z nogi na nogę.

– Nie, nie ma jej tutaj.

– Och... – Zaglądam za jego plecy, do wnętrza mieszkania. W przedpokoju stoi para niebotycznie wysokich czarnych szpilek. Danny odwraca się, by zobaczyć, na co patrzę.

– To nie to, co... – Kręci głową. – No dobrze, a co to za ważna sprawa?

– Okłamałeś mnie. Byłeś wtedy w klubie Grey's z Charlotte i Ellą. Wiem o tym.

– Sue, przysięgam. – Podnosi ręce niczym niewinny człowiek w geście poddania. – Nie byłem tam. W Brighton jest wielu nieżyczliwych ludzi i jeśli ktoś rozpuszczał takie plotki...

– Danny.

– Tak?

Patrzy mi prosto w oczy, czekając na ciąg dalszy. Uśmiecha się, unosi kordialnie brwi i trzyma kciuki w kieszeniach szlafroka. Podobnie jak James jest doskonałym kłamcą. Ciekawe, co powiedział kobiecie leżącej w jego łóżku – że już nie jest z Keishą, że są tylko przyjaciółmi, że żyją w otwartym związku? A co z Keishą? Co jej powiedział? Czy biedna dziewczyna podejrzewa, że ją zdradza?

– Nikt mi tego nie powiedział, Danny. Policja przejrzała nagrania z kamer ochrony w Grey's z tamtego wieczoru. Widziałam, jak wchodziłeś do klubu.

– Policja... – Przygląda mi się uważnie, ale ja zachowuję kamienną twarz. Nie on jeden potrafi kłamać.

– Powiedz mi, co się wtedy stało, Danny.

Cofa się do przedpokoju.

– Lepiej niech pani wejdzie.

Piętnaście minut później znów stoję w jego drzwiach, lecz teraz już się żegnam.

– To nie była moja wina – powtarza Danny. – Ella usłyszała, jak rozmawiałem z Keishą o wyjściu do Grey's, i obie pojawiły się w sobotę wieczorem w tym samym pociągu co my. Próbowałem je namówić, żeby wróciły do Brighton, ale Ella powiedziała, że...

– Doniesie, że sprzedałeś nieletnim dziewczynom alkohol w Breeze. – Już mi to mówił. Kilka razy.

– Otóż to. – Zakłada ramiona na piersiach i chowa dłonie pod pachami.

– Ale dlaczego właśnie Grey's? Dlaczego pojechały za wami właśnie tam?

– Bo to znane miejsce? – Wzrusza ramionami. – Bo we wszystkich gazetach można zobaczyć zdjęcia gwiazd, na których stamtąd wychodzą? Bo Ella się we mnie podkochuje?

– Podkochuje?

– Tak, Charlotte powiedziała o tym Keishy. Myślę, że po części właśnie dlatego

zdecydowały się na ten wyjazd: bo Ella podsłuchiwała, jak umawiałem się do Grey's z kumplem, i wydawało jej się, że jeśli przyjdzie tam w miniówie i koszulce z wielkim dekoltem, to na nią polecę. – Uśmiecha się drwiąco.

Zerkam ponownie na buty w przedpokoju. Ciekawe, ile ma lat kobieta w sypialni.

– I co?

– Jak to co? Miałem pójść do łóżka z Ellą? Chyba pani żartuje!

– Wpuściłeś je do klubu.

– Wpuściłem je do Breeze tylko ze względu na Charlotte. To siostra mojego najlepszego kumpla, właściwie rodzina.

– Więc zachęcałbyś swoją nieletnią siostrę do picia, tak?

– Nie, oczywiście, że nie... – Milknie raptownie i prostuje się. Jego twarz zamienia się w nieruchomą maskę. – Może pani obwiniać mnie o wszystko, co spotkało Charlotte, ale to nie moje dziecko. Co robiła pani zdaniem, gdy była w mieście do drugiej albo trzeciej w nocy? Grała w klasy? Co to za matka, która nie wie, gdzie o tej porze podziewa się jej dziecko?

Cofam się o krok, jakby uderzył mnie w twarz.

– Przykro mi, ale nie dam zrobić z siebie jakiegoś pedofila tylko dlatego, że wpuściłem do klubu młodszą siostrę mojego najlepszego kumpla i jej najlepszą przyjaciółkę.

Nie odpowiadam. Jestem zbyt oszołomiona jego poprzednią uwagą, by cokolwiek powiedzieć.

Ma rację. Trudno mi to przyznać, ale tak właśnie jest. Gdzie moim zdaniem była Charlotte w sobotnią noc?

Dobrze wiem, co wtedy myślałam – że zatrzymała się na noc u Elli. Wyobrażałam sobie, że oglądają romantyczne komedie, robią maseczki i malują paznokcie, a nie idą do klubu w minispódniczkach i wysokich obcasach, piją alkohol i uprawiają seks w toalecie. Czy ja kiedykolwiek naprawdę znałam swoją córkę?

– Spotkałeś go? – pytam. – Spotkałeś Alexa Henriego?

Kręci głową.

– Nie byłem w strefie dla VIP-ów. W ogóle nie byłem tam długo. Charlotte, Keisha i Ella najpierw się wkurzyły, a potem pokłóciły. Keisha była wściekła, mówiła, że Ella wpadła mi w oko i zaprosiłem ją, żeby zorganizować orgietkę we troje. Co jest oczywistą bzdurą. – Wzrusza ramionami. – Więc poszedłem sobie.

– I zostawiłeś je wszystkie trzy w klubie?

– Tak. Keisha nie jest dzieckiem, a uznałem, że skoro Charlotte i Ella były dość rozgarnięte, żeby dojechać pociągiem do Londynu, to uda im się też jakoś wrócić. Jak już mówiłem, wcale ich tam nie zapraszałem.

– Ale miały tylko po piętnaście lat i zostały w klubie pełnym mężczyzn dwukrotnie od nich starszych.

– Czy ja wyglądam na opiekunkę do dzieci?

– Danny, nie uważam wcale... – Przerzywa mi dzwonek telefonu. – Poczekaj momencik.

Wyjmuję komórkę z torebki i spoglądam na wyświetlacz. Nie znam tego numeru.

– Halo, tu Sue Jackson.

– Cześć, Sue, mówi Steve. Steve Torrance.

Nie kojarzę tego nazwiska, ale zaraz wszystko sobie przypominam.

– Jasne, jak się masz?

– No więc rozmawiałem z Alexem... – Zaciskam zęby, przekonana, że Henri wszystkiemu zaprzeczył. – Mówi, że poszedł do kibla z twoją córką, lecz do niczego nie doszło. Miała mu obciągnąć, ale się wystraszyła. Rozpłakała się i powiedziała, że nie da rady tego zrobić. Mówiła Alexowi, że jakiś facet ją szantażuje. Podobno wpadła w histerię. Alex nie wiedział, co z nią zrobić, więc zostawił ją w kiblu i wrócił do kumpli. Potem już jej nie widział.

– Mówiła... – Cofam się o krok, próbuję czegoś przytrzymać, ale nie mam czego. – Mówiła, że ktoś ją szantażuje?

– Tak powiedział mi Alex. – Steve Torrance wzdycha. – Posłuchaj, kochana, nie wiem, w jakich jesteś układach z córką, ale ja nie pozwoliłbym swojej córce przebywać w towarzystwie alfonsa i prostytutki, bo wtedy i ją będą uważać za dziwkę.

– Dziwkę? – Z trudem panuję nad drzeniem głosu. Danny wpatruje się we mnie z ciekawością, ale nie zwracam na niego uwagi. Znów czuję się tak, jakbym wyszła z własnego ciała, jakbym odgrywała rolę w jakiejś sztuce, wypowiadała słowa jakiejś obcej mi postaci. – Alex Henri wziął moją córkę za prostytutkę?

– Nikt nie będzie nigdzie opowiadał, że Alex korzysta z usług prostytutek, jasne? Nie dał Charlotte żadnych pieniędzy, a jeśli spróbujesz sprzedać taką historię gazetom, pozwę cię o zniesławienie i zażądam takiego odszkodowania, że do końca życia nie wygrzebiez się z długów.

Danny marszczy brwi i zaplata ręce na piersiach.

– Jak oni wyglądali? – pytam. – Ci ludzie, z którymi była?

– Skąd mogę wiedzieć? – Steve ziewa głośno. – Mam ci przedstawić portret pamięciowy? Al wspominał coś o facecie i zgrabnej czarnej dziewczynie.

– Wymienił ich imiona?

– Jasne, Jaś i Małgosia. Nie mam zielonego pojęcia. On o tym nie mówił, ja go nie pytałem. Posłuchaj, kochana. – Steve przyjmuje chłodny, rzeczowy ton. – Bardzo miło się rozmawia i tak dalej, ale jak już kiedyś wspominałem, jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Zawarliśmy umowę, ja swoją część wykonałem. A co z tobą?

– Jak to, co ze mną?

– Pójdiesz na policję? Właściwie i tak nie mogłabyś niczego zarzucić mojemu klientowi, bo nawet jej nie tknął.

– Nie – odpowiadam. – Nie pójdę.

Steve rozłącza się bez słowa.

– Dobrze się pani czuje, Sue? – Danny rozciera dłońmi ramiona. – Jeśli nie masz nic przeciwko, wrócę do środka, cholernie tu zimno.

– Z kim rozmawiasz, Dan? – Zza drzwi w korytarzu wysuwa się twarz w kształcie serca otoczona burzą blond loków. – Wracaj do łóżka, zimno mi! – Dopiero w tym momencie zwraca na mnie uwagę. – O cholera, to twoja mama? Boże, ale wstyd...

– To nie jest tak, jak... – zaczyna Danny, gdy dziewczyna znika z powrotem w sypialni,

ale ja podnoszę rękę.

– Nie obchodzi mnie, z kim sypiasz, Danny.

– To dobrze. – Cofa się do przedpokoju i zaczyna zamykać drzwi.

– Jeszcze jedno.

Nieruchomieje z ręką na klamce.

– Tak?

Mogłabym przejść do ataku. Mogłabym mu zagrozić, że jeśli nie powie mi całej prawdy o tym, co zdarzyło się tamtego wieczoru w Grey's, poinformuję policję, że jest stręczycielem, ale mogę też szybciej i spokojniej dowiedzieć się wszystkiego, na czym mi zależy.

– Podaj mi adres swojej dziewczyny.

Keisha? – Dźgam palcem przykrywkę skrzynki pocztowej i otwieram ją. – Keisha, jesteś tam?

W górze wrzeszczy mewa, a po przeciwległej ścianie nadmorskiej sutereny przesuwają się jakieś cienie.

– Keisha, tu Sue Jackson, mama Charlotte. Muszę koniecznie z tobą porozmawiać.

Cień się wydłuża.

– Keisha?

Słyszę skrzypienie deski, a potem kobiecy głos:

– Jest pani sama?

– Tak.

Z cienia wysuwa się najpierw stopa z pomalowanymi na różowo paznokciami i srebrnym łańcuszkiem na kostce, a potem cała Keisha. Jest ubrana w krótką różową koszulę nocną z motywem z bajki Disneya na przedzie, jej ramiona okrywa cienki bawełniany szlafrok. Jest nieuczesana, a bez makijażu wydaje się nieprawdopodobnie młoda. Wysuwam dłoń ze skrzynki, gdy podchodzi bliżej. Sekundę później drzwi się otwierają.

– Sue! Co pani tu robi?

– Danny dał mi twój adres. Chciałam zobaczyć, jak się miewasz.

– Och... – Wydaje się ucieszona i zmartwiona zarazem. – To bardzo miło z pani strony.

Proszę wejść.

Wchodzę za nią do salonu, a gdy prosi, bym usiadła, opadam na fotel z czarnej skóry. Keisha podchodzi do okna i sięga do żaluzji. Przez sekundę myślę, że je podniesie – na zewnątrz jest piękny dzień – ale ona rozciąga tylko dwie listewki i wygląda na zewnątrz.

– Widziała pani, żeby ktoś tutaj wchodził?

Kręcę głową.

– Nie zauważyłam nikogo. Dlaczego?

– Nieważne.

Odsuwa dłoń i aż podskakuje, gdy listewki z trzaskiem wracają na swoje miejsce. Potem pociera dłońmi ramiona, jakby było jej zimno, choć w mieszkaniu panuje tropikalny upał. Zdjęłam już płaszcz i sweter.

– Napije się pani herbaty, Sue?

– Nie, dziękuję, ja tylko... – Ale Keisha już idzie w stronę maleńkiej wnęki kuchennej po drugiej stronie mieszkania.

– Keisha... – Idę za nią. – Wszystko w porządku?

Zerka w stronę przedpokoju, a potem pokazuje mi, bym weszła do kuchni i zamknęła za



sobą drzwi. Gdy sięgam do klamki, słyszę, jak zasuwa zasłony, a w pomieszczeniu natychmiast robi się ciemniej.

– Keisha, o co chodzi?

Nie odpowiada. Sięga po czajnik. Napełnia go wodą, a potem otwiera szafkę i zaczyna w niej grzebać.

– Gdzie jest ta cholerna herbata? Mam nadzieję, że Ester nie zużyła wszystkiego.

Stoję w milczeniu przy drzwiach, gdy przesuwa słoje, puszkę i pudełka z jednej strony szafki na drugą, potem zaczyna je wszystkie ustawiać na blacie.

– Nie przejmuj się – mówię, gdy jej ruchy stają się coraz bardziej nerwowe. – Nie muszę pić herbaty. Może być kawa.

– Kurwa!

Słoik z dżemem wypada z szafki, uderza w szklanę, która stacza się z blatu i rozbija na wyłożonej płytkami podłodze, zasypując bosc stopy dziewczyny deszczem maleńkich odłamków.

– Kurwa! – powtarza Keisha i odskakuje do tyłu, ale nie ma gdzie uciec w takiej maleńkiej kuchni. Duży kawałek szkła wbija się jej w piętę.

– Masz apteczkę? – pytam.

Dziewczyna kręci głową, wpatrując się z przerażeniem w kałużę krwi rosnącą wokół jej stopy.

– Czystą ścierkę do naczyń?

Wskazuje szufladę obok zlewu.

– Jakiś środek antyseptyczny?

– Może być w szafce w łazience.

Piętnaście minut później jesteśmy z powrotem w salonie, Keisha siedzi na fotelu i opiera nogę owiniętą ścierką do naczyń na pudłach, które znalazłam na podwórku.

– Jestem pani wdzięczna za pomoc, Sue – mówi, gdy przysiadam obok niej – ale nie pójdę z tym na pogotowie.

– To głęboka rana. – Myślę o kałuży krwi, którą starłam w kuchni, głębokim nacięciu w jej lewej pięcie. – Może trzeba ją zszyć. Na razie przestała krwawić, ale gdy postawisz stopę na ziemi i krążenie wróci do normy, możesz mieć poważne kłopoty.

– Już mam.

– Słucham?

– Nic takiego. – Odwraca wzrok.

– Przyjechałam samochodem. To żaden kłopot. Zabrałabym tylko...

– Mówiłam już, nic mi nie będzie.

– Keisha, nie mogłabym sobie wybaczyć, gdybym cię tu zostawiła i...

– Nie jadę do żadnego pierdolonego szpitala!

Przez kilka kolejnych minut żadna z nas się nie odzywa. Trzymam splecione dłonie na kolanach i rozglądam się po salonie – patrzę na brzydki gazowy komin, ustawioną powyżej wazę z więdącymi różami, stertę płyt DVD przy telewizorze i oprawione w drewno zdjęcie nieznannej mi kobiety stojącej przez pałacem Buckingham. Czy to jej współlokatorka?

– Przepraszam, Sue. – Keisha podnosi głowę i patrzy na mnie. – Nie powinnam tak przeklinać. – Zerka na żaluzje i osuwa się nieco niżej w fotelu.

– Wszystko w porządku? – Ja również patrzę na okno, ale nie widzę tam nic niepokojącego. – Wydajesz się dzisiaj trochę zdenerwowana.

– Naprawdę? – Uśmiecha się. – Jestem okropną niezdara, to wszystko. Może pani spytać Danny’ego. Ciągłe coś upuszczam i rozbijam. Cud, że wcześniej nic sobie nie zrobiłam...

– Wzdycha, odgarniając włosy z twarzy. – A pani jak się miewa, Sue?

– W porządku, dziękuję. – Sięgam po sweter i kładę go sobie na kolanach. Nie dostałam w końcu herbaty, a muszę coś zrobić z rękami. – Keisha, dlaczego ktoś miałby ci zarzucać, że jesteś prostytutką?

Jestem pewna, że się oburzy i zacznie protestować. Tymczasem ona sięga po papierosa i zapala go drżącymi dłońmi. Zaciąga się głęboko.

– On wie? – pyta tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Kto?

– Danny. – Patrzy na mnie, a jej piękne duże oczy wypełniają się łzami. – Powiedziała mu pani?

– Danny’emu? – Kręcę głową. – Nie rozumiem. Myślałam, że jest twoim alfonsiem.

– Moim alfonsiem? Żartuje sobie pani, prawda? Danny myśli, że jestem aniołem. Tak o mnie mówi – mój najdroższy, piękny anioł. Wyobraża sobie pani, jak by mnie nazywał, gdyby wiedział, co robię... co robiłam – poprawia się, krzywiąc twarz.

– Robiłaś?

– Rzuciłam to, gdy go poznałam. Nie chcę pracować za barem w klubie, ale tylko tak mogę zarobić na czynsz, odkąd... – przerywa i kręci głową.

– Odkąd co?

– Nic.

– Nieprawda. – Patrzę na papierosa, który drży między jej palcami. – Co się stało? Dlaczego bałaś się otworzyć drzwi? I dlaczego byłaś taka zdenerwowana tamtej nocy?

Znowu zerka w stronę okna, a potem na swoje dłonie. Dostrzegam siniec wokół jej nadgarstka. Nie uchodzi to uwagi Keishy.

– To nie Danny, jeśli tak pani myśli.

Wstaję z sofy i kucam naprzeciwko niej. Siniaki na jej ręce są fioletowe, wyglądają jak odciski palców. Ten, kto ją zaatakował, musiał być silny.

– Kto ci to zrobił? Klient? Twój alfons?

– Mówiłam pani, że już się tym nie zajmuję. – Spogląda na mnie gniewnie. – Kocham Danny’ego i umarłabym, gdyby się o tym dowiedział. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mnie zostawił. Bez niego jestem niczym.

Mówi jak ja dwadzieścia lat temu.

– Przepraszam. – Delikatnie dotykam jej ramienia. – Nie chciałam cię zdenerwować, ale ktoś zrobił ci krzywdę i trzeba go powstrzymać, zanim zrobi to znowu. Byłaś na policji?

Kręci głową.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – Robi mi się niedobrze na samą myśl o wizycie w komisariacie, ale Keisha potrzebuje mojego wsparcia.

– Nie.

– Ale pójdziesz? Sama, jeśli będzie trzeba?

– Nie. Nie mogę pójść na policję.

– Dlaczego?

– Nieważne. – Próbuje wstać, pojękuje cicho, gdy zranioną stopą dotyka dywanu. Chce jej pomóc, ale zbywa mnie machnięciem ręki. Idę za nią do kuchni.

– Wina? – Otwiera lodówkę.

Kręcę głową, a ona wyciąga butelkę, otwiera ją, wypija kilka dużych łyków. Potem sięga po wielki kieliszek, który leży na suszarce obok zlewu.

– Nie chce pani się w to mieszać, Sue – mówi, napełniając kieliszek. – I tak powiedziałam już pani za dużo.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– I lepiej niech tak zostanie.

– Keisha – zaczynam, gdy wracamy do salonu, a dziewczyna siada z powrotem na fotelu i kładzie nogę na oparciu. – Skoro już się tym nie zajmujesz, to dlaczego ktoś powiedział mi, że byłaś w Grey's ze swoim alfonsiem?

Patrzy na mnie przez kilka sekund, jakby się zastanawiała, co odpowiedzieć.

– Kto pani powiedział, że jestem prostytutką? – pyta w końcu.

– Steve Torrance. Agent Alexa Henriego.

Unosi brwi.

– To ma sens.

– Co ma sens?

– Znałam paru piłkarzy.

– Znałaś?

– Pieprzyłam się z nimi. – Patrzy mi prosto w oczy. – Za pieniądze. Kiedy byłam dziwką i mieszkałam w Londynie.

Nie wiem, co powiedzieć. Pomimo zadziornego tonu wydaje się zawstydzona, a ja wciąż nie wiem, co się stało z Charlotte. Nie chcę ranić Keishy i sprawiać jej jeszcze większego cierpienia, ale nie mogę stąd wyjść, nie poznawszy prawdy.

– Nie rozumiem. – Kręcę głową. – Danny powiedział mi, że wyszedł z klubu, zanim ty i Charlotte spotkałyście się z Alexem Henrim, co znaczy, że nie wszedł do strefy VIP-ów.

– Zgadza się.

– Więc kogo Steve Torrance wziął za twojego alfonsa?

Keisha ponownie zerka w stronę okna.

– O co chodzi? Nie wiesz, czy nie możesz mi powiedzieć?

Milczy.

Patrzę na nią, na jej piękne migdałowe oczy, pełne zmysłowe usta i szczupłe, zgrabne ciało, i zastanawiam się, jakie to okropne nieszczęście sprawiło, że musiała się sprzedawać, by zarobić na życie. Jest tak piękna, że mogłaby być modelką albo prezenterką telewizyjną, a mimo to ceni siebie tak nisko, że oddaje swoje ciało każdemu facetowi z pieniędzmi i pozwala ukraść swe serce mężczyźnie, który tak naprawdę jej nie kocha. Mogłabym jej powiedzieć sto razy, że jest warta o wiele więcej, ale wiem, że i tak by mi nie uwierzyła.

– Była pani kiedyś szantażowana, Sue? – pyta cicho, prawie szeptem.

Kręce głową.

– Właśnie to się z tobą dzieje? Ktoś, kto wie, że byłaś prostytutką, grozi ci, że powie o tym innym ludziom? Że powie o tym Danny’emu?

Kiwa głową, a po jej policzku spływa pojedyncza łza.

– Co kazał ci zrobić, Keisha?

Kręci głową w milczeniu.

– Coś związanego z seksem?

Potwierdza skinieniem głowy.

Przysuwam się jeszcze bliżej, niemal jej dotykam.

– To był klient?

Kolejne skinienie.

– Jak się nazywa?

Patrzę na jej usta, gdy wypowiada bezgłośnie jedno krótkie słowo:

– Mike.

– Znasz jego nazwisko?

– Nie.

– Czego chciał w zamian za dotrzymanie twojej tajemnicy, Keisha?

– Nie mogę pani powiedzieć. – Zakrywa twarz dłońmi i zaczyna płakać.

– Charlotte – mówię cicho, przeniknięta nagłym dojmującym chłodem. – Czy to ma coś wspólnego z Charlotte?

Keisha płacze w głoś, a ja zrywam się na równe nogi.

– Powiedz mi. – Ujmuję jej dłonie i delikatnie odciągam od jej twarzy. – Powiedz mi, co zrobiłaś. Powiedz mi, co on kazał ci zrobić.

– Nie. – Odtrąca moje ręce i ponownie zakrywa twarz. – Nie, nie, nie, nie, nie. Nie mogę. Nie mogę.

– Keisha, proszę. – Moje ramiona pokrywają się gęsią skórką. Ona wie. Ona wie, co się stało z Charlotte.

– Nie mogę... – szepcze, szlochając. – On mnie zabije. Groził, że jeśli komuś o tym powiem, odnajdzie mnie i...

Przerywa jej dzwonek mojego telefonu. Gotowa jestem od razu przerwać połączenie, widzę jednak, że to numer domu opieki, w którym mieszka mama.

– Halo? – Kładę dłoń na ramieniu Keishy, by dodać jej otuchy i dać zarazem do zrozumienia, że jeszcze nie skończyłyśmy rozmawiać. – Tu Sue Jackson.

– Cześć, Sue – mówi ktoś w słuchawce. – Tu Mary. Chodzi o twoją mamę. Niestety, mam bardzo złe wieści.

Powinnam być wtedy przy niej... – szlocham, chowając twarz w ramieniu Briana. Już trzeci raz wybucham dziś płaczem, a jest dopiero dziewiąta rano. – To ja powinnam trzymać ją za rękę, a nie jakaś obca osoba.

Brian obejmuje mnie ramieniem i tuli mocno.

– To nie był nikt obcy – mówi kojącym tonem. – Mary opiekowała się nią od wielu lat.

– Ale to ja jestem jej córką. – Z trudem rozpoznaję własny głos. – I nie byłam przy niej, kiedy najbardziej mnie potrzebowała.

– Ciii... – Gładzi mnie po głowie i pozwala się wypłakać. – Ciii...

Szloch wciąż wstrząsa moim ciałem, ale uspokajam się powoli dzięki delikatnemu dotykowi Briana i cichym słowom pocieszenia. Przypomina mi to sytuacje, gdy trzymałam małą Charlotte na rękach i pocieszałam ją po jakimś bolesnym upadku. Tuliłam ją wtedy do siebie i głaskałam, dopóki nie przestała płakać.

– O tak, właśnie tak – mówi Brian, gdy podnoszę w końcu głowę i sięgam po chusteczkę do nosa. – Nie chcemy przecież denerwować Charlotte, prawda?

Jesteśmy w szpitalu. Poprosiłam Briana, żeby mnie tu zawiózł prosto po wizycie w domu opieki. Przeraziłam się, że Charlotte również może umrzeć sama.

– Nic nie mogliśmy zrobić – mówi Brian, sadzając mnie na krześle przy łóżku Charlotte i podając pudełko z chusteczkami. – Mary mówiła, że to wszystko stało się bardzo szybko.

Mnie powiedziała to samo. Mama czuła się całkiem dobrze, szła z jadalni do swojego pokoju, podtrzymywana przez Mary, i nagle osunęła się na podłogę.

– Straciła przytomność – opowiadała. – Nic tego nie zapowiadało, nie było żadnych podejrzanych objawów.

Wezwano lekarza, ale choć pojawił się po kilku minutach, było już za późno. Mama umarła.

Nie mogłam... nie chciałam w to uwierzyć. Kiedy przyjechałam do domu opieki, leżała na kołdrze, ubrana w szarą tweedową spódnicę, białą bluzkę i beżowy sweter. Pogłaskałam ją po policzku i stwierdziłam ze zdumieniem, że jest ciepła.

– Szybko! – Podniosłam wzrok na Mary. – Sprowadź lekarza. To pomyłka. Ona jest ciepła. – Wstałam i położyłam dłoń na piersi mamy. – Umiesz prowadzić resuscytację? Może nie jest jeszcze za późno.

– Sue... – szepnęła Mary, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Ona nie żyje. Przykro mi.

– Ale... – Spojrzałam ponownie na policzek mamy, przekonana, że dojrzę tam jakieś drgnienie, strużkę śliny wypływającej z uchylonych ust, lecz mama leżała w całkowitym bezruchu. Wtedy w końcu pogodziłam się z myślą, że nie żyje. Nie dlatego, że jej usta były

zamknięte, a ręce złożone na piersiach, lecz dlatego, że w pokoju było nienaturalnie cicho i spokojnie, nawet gdy rozmawiałam z Mary. Mama nie chrapała. Nigdy nie widziałam jej takiej spokojnej.

– Będzie ciepła jeszcze przez jakiś czas – tłumaczyła łagodnie Mary. – Ciało staje się zimne dopiero około ośmiu godzin po śmierci.

– Mogę potrzymać ją za rękę?

Skinęła głową, a ja podniosłam dłoń mamy i ujęłam ją mocno.

– Zostawię was same – powiedziała Mary. – Będę u siebie w biurze, gdybyś czegoś potrzebowała – dodała od drzwi i wyszła.

Nie wiem, jak długo siedziałam w tym pokoju – może dziesięć minut, a może dziesięć godzin – ale z pewnością i tak za krótko. Nawet gdy już się z nią pożegnałam, gdy powiedziałam jej wszystko, czego nie zdążyłam powiedzieć za życia, nawet gdy nie miałam już o czym mówić i siedziałam z głową ułożoną na jej boku, wciąż trzymając jej dłoń, ciągle było mi mało. Chciałam zostać przy niej na zawsze, bo wiedziałam, że gdy wyjdę z tego pokoju, już nigdy więcej jej nie zobaczę.

W pewnym momencie przyszła do mnie Mary z kubkiem herbaty. Bez słowa wcisnęła mi go w rękę i odwróciła się do wyjścia, ale gdy była już przy drzwiach, zawołałam ją.

– Tak? – odwróciła się do mnie.

– Nie miała żadnych gości, prawda? Nie pojawił się tu ostatnio jej... bratanek?

Mary pokręciła głową.

– Nie, od czasu twojej ostatniej wizyty nie było u niej nikogo. Spodziewała się czyichś odwiedzin?

– Nie – zaprzeczyłam, oddychając w duchu z ulgą.

– Mówiłaś jej? – Brian wciska mi w dłonie styropianowy kubek z herbatą i zerka na Charlotte. – O babci?

– Nie. – Wypijam łyk, wpatrzona w twarz mojej uśpionej córki. – Chcę, by obudziła się z myślą, że świat to miejsce piękne i bezpieczne, a nie mroczne i smutne.

– Przecież nie wszystko jest tutaj mroczne i smutne – mówi Brian. – Rozumiem, dlaczego tak myślisz akurat teraz, ale nie trzeba...

Przestaję go słuchać. Charlotte się boi i dlatego nie chce się obudzić. Wiem, że tak jest. Byłam tego pewna, odkąd powiedziano mi o wypadku, a teraz domyślam się już dlaczego. Wczoraj tak niewiele brakowało, bym dowiedziała się czegoś więcej o szantażyście, który zatrzał jej życie, ale wtedy zadzwoniła Mary, a ja pobiegłam do samochodu, zostawiając Keiszę samą. Nie wiem, czy przyjęła to z ulgą, czy też wystraszyła się jeszcze bardziej.

Od wczoraj wysłałam jej cztery wiadomości i dwukrotnie dzwoniłam, ale nie doczekałam się żadnej odpowiedzi. Próbowалам ponownie, jakieś pięć minut temu, lecz jej telefon przełączył się od razu na pocztę głosową. Jestem pewna, że kryje się za tym jakieś racjonalne, niewinne wyjaśnienie – zraniona stopa, przedłużona wizyta w szpitalu – ale choć tłumaczę sobie to na różne sposoby, wciąż nie mogę się pozbyć paskudnego ucisku w żołądku. Coś się stało. Coś okropnego.

– O co chodzi?

Podskakuję na dźwięk głosu Briana.

– Chyba nie obwiniasz się nadal za to, co się stało z twoją mamą, prawda?

Kręcę głową, zadziwiona jego przenikliwością. Rzeczywiście dręczą mnie wyrzuty sumienia, choć dotyczą kogoś innego.

– Muszę iść – mówię. – Mam coś bardzo ważnego do zrobienia.

Brian kiwa głową i sięga po gazetę.

– Twoja matka byłaby z ciebie dumna, Sue.

– Jesteś pewien? – mówię do telefonu, zatrzymując auto przed mieszkaniem Keishy i gasząc silnik. – Jesteś całkiem pewien, że wyjechała do Irlandii?

– To ja chciałbym o to panią zapytać. – Danny wydaje się zirytowany. – Pani widziała ją ostatnia. Co pani jej nagadała, do cholery?

Nie wiem, czy naprawdę się o nią martwi, czy też boi się, że powiedziałam jej o blondynce w jego mieszkaniu.

– Nic.

– Obiecała mi pani, Sue. Obiecała pani, że nie wspomni jej pani o niczym.

– Wiem. Nic nie mówiłam. – I to nie ze względu na nieuzasadnioną lojalność wobec niego. – Jak się zachowywała, kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś?

– Nie rozmawialiśmy. Około północy przysłała mi SMS. Pisała, że wraca na jakiś czas do Irlandii, bo tęskni za domem. Spałem wtedy i przeczytałem wiadomość dopiero rano. Próbowałem do niej dzwonić, ale nie odbierała. Potem dzwoniłem jeszcze trzy razy... – Milknie na moment. – Rozmawiałem też z szefem baru, z jej znajomymi i ze współlokatorką, ale nikt nic nie wie. Po waszym spotkaniu nikt już jej nie widział. Jest pani pewna, że nie wspomniała o niczym przypadkiem?

– Tak – odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. – W ogóle o tobie nie rozmawialiśmy, Danny.

To kłamstwo, ale nie zamierzam mu mówić, dlaczego Keisha wymieniała jego imię.

W jej mieszkaniu pali się światło, żaluzje w salonie nadal są opuszczone. Klękam przy drzwiach i przytrzymując się doniczki, zaglądam do środka przez skrzynkę pocztową. Kolana boją mnie od klęczenia na betonie.

– Ale... – zaczyna Danny.

– Jestem pewna, że skontaktuje się z tobą – przerywam mu, gdy ktoś wchodzi do przedpokoju. – Dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem.

– Naprawdę? – W jego głosie słychać autentyczną troskę. – Byłbym bardzo wdzięczny.

Chowam telefon do torebki i pukam mocno do drzwi.

– Keisha?! – wołam. – Keisha, to znów ja, Sue.

Żadnej reakcji.

Czekam kilka sekund i pukam ponownie. Mam już zajrzeć do skrzynki i krzyknąć coś do niej, gdy w końcu drzwi się otwierają i wygląda zza nich nieznana mi twarz.

– Dzień dobry – mówi kobieta o równo obciętych rudych włosach. Natychmiast rozpoznaję ją z fotografii w salonie. Patrzy na mnie nieufnie wielkimi zielonymi oczami, zaciskając na krawędzi drzwi dłoń o długich, polakierowanych na pomarańczowo paznokciach. – Słucham panią.

– Pani jest współlokatorką Keishy, tak? – Zaglądam do przedpokoju. – Jest u siebie?

Kręci głową.

– Wyjechała.

Mówi z dziwnym akcentem i obcą intonacją. Na pewno nie jest Brytyjką. Może Polką?

– Wie pani dokąd?

– Do Irlandii.

Może Danny miał rację. Może postanowiła po prostu zniknąć.

– Wie pani, kiedy wyjechała?

Kobieta kręci głową.

– Nie. Zostawiła kartkę na lodówce. Napisała tylko „Jadę do Irlandii”.

– Mogłabym zajrzeć na moment do jej pokoju? – pytam tknięta nagłą myślą. – Pożyczyłam jej książkę, a teraz bardzo jej potrzebuję.

Znów patrzy na mnie nieufnie.

– Pani poda tytuł. Znajdę ją.

– Rzecz w tym, że muszę też... – Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Muszę obejrzeć pokój Keishy. Sama nie wiem, co spodziewam się tam zobaczyć, ale choćby nie wiem ilu ludzi powtarzało mi, że wyjechała do Irlandii, nie pozbędę się uczucia, że stało się z nią coś niedobrego. – Muszę poszukać innej książki – kończę nieprzekonująco. – Niedawno coś mi poleciła, ale nie pamiętam tytułu. Opisała okładkę, więc na pewno szybko ją znajdę. Wejdę tam tylko na minutkę, obiecuję.

Rudowłosa mierzy mnie wzrokiem.

– Jak się pani nazywa?

– Sue. Sue Jackson.

Kręci głową i przymyka drzwi, zostawiając tylko wąską szparę.

– Keisha nigdy o pani nie wspominała.

– Bo zaprzyjaźniłyśmy się dopiero niedawno. O wiele lepiej zna moją córkę, Charlotte. Może pani ją spotkała?

– Charlotte? – Rozjaśnia się. – Ładniutka Charlotte, która wpadła pod autobus?

– Tak – potwierdzam. – To moja córka.

Otwiera szeroko drzwi.

– Proszę wejść. Chętnie pani pomogę, proszę tylko powiedzieć, czego pani potrzebuje.

Na pierwszy rzut oka pokój Keishy nie różni się szczególnie od pokoju Charlotte. Na ścianach wiszą plakaty półnagich mężczyzn, na komodzie stoją buteleczki perfum, kosmetyki do pielęgnacji włosów i makijażu, wszędzie leżą porzrzucone beładnie ubrania. W rogu pokoju stoi suszarka na ubrania obwieszona bielizną – stanikami, majtkami, baskinkami, pasami do pończoch – wszelkich możliwych rodzajów, krojów i kolorów. W porównaniu z tym moja szuflada wypełniona pięciopakami z M&S i czarnymi lub białymi stanikami obwieszonymi koronką wygląda jak relikwiarz minionej epoki.

– Okropna z niej bałaganiara – mówi współlokatorka Keishy, która przedstawiła się przed chwilą jako Ester. – Nigdy nie zmywa i zawsze zostawia naczynia w salonie, ale dobrze mi się z nią mieszka.

Pokój Keishy wygląda jak sklep z ubraniami po eksplozji, lecz na szafie leży walizka



i kilka toreb na ubrania, a na komodzie, wśród innych kosmetyków, można wypatrzeć szczotkę do włosów, dezodorant i kosmetyczkę, z której wysypują się kredki do oczu, szminki i korektory.

Spoglądam na Ester.

– W łazience jest jej szczoteczka do zębów?

Dziewczyna podnosi brwi, zdziwiona tym pytaniem.

– Ją też chce pani pożyczyć?

– Nie, ale wygląda na to, że Keisha w ogóle nie spakowała się na podróż do domu, więc byłam ciekawa, czy zostawiła też szczoteczkę.

Z twarzy Ester znika uśmiech, a w jego miejsce pojawia się wyraz niepokoju.

– Sprawdź.

Gdy tylko wychodzi, przechodzę nad zaścielającymi podłogę czasopismami, rachunkami, wyciągami bankowymi i ubraniami. Przystaję przed komodą, zerkam na drzwi, a potem wysuwam szybko górną szufladę. Kolejna sterta papierów. Przesuwam je na bok i odkrywam wibrator w kształcie królika, kilka splątanych naszyjników, zepsuty zegarek i prostownicę do włosów. Czuję się niczym włamywacz grzebiący w rzeczach swojej ofiary, ale muszę... aha! Sięgam po czerwony przedmiot w skórzanej okładce, który wysunął się spod starej kartki bożonarodzeniowej.

– Co pani robi?! – Ester stoi w drzwiach i patrzy na mnie z przerażeniem. W dłoni ściska niebieską szczoteczka do zębów.

– To paszport Keishy. – Wyciągam książeczkę z szuflady, zerkam na datę ważności i zdjęcie, a potem podaję ją Ester. – Proszę spojrzeć, jest ważny jeszcze przez trzy lata. Jak wjechałaby bez tego do Irlandii? Teraz już nie wystarczy prawo jazdy.

– Ale... – Ester kręci głową. – Dlaczego w takim razie napisała, że jedzie do domu?

– Nie wiem. – Patrzę na szczoteczka do zębów w jej dłoni. – Wiem tylko, że wyszła stąd w wielkim pośpiechu.

Dzień dobry, pani Jackson. – Ella otwiera drzwi i uśmiecha się do mnie szeroko. Nie wydaje się ani trochę zaskoczona moją wizytą. – Mama jest z tyłu. Mam ją zawołać?

– Prawdę mówiąc, chciałam porozmawiać z tobą. Możemy wybrać się gdzieś na chwilę?

– Chodźmy do parku. – Spogląda przez ramię na przedpokój. – Wezmę tylko płaszcz.

Zamyka drzwi. Słyszę, jak woła do matki, że idzie do sklepu na rogu, a po chwili pojawia się przede mną ponownie. W dłoni trzyma nowiutki banknot dziesięciofuntowy.

– Mama poprosiła, żebym kupiła jej przy okazji fajki – wyjaśnia z uśmiechem.

– Kim jest Mike? – pytam, gdy siadamy na ławce na skraju parku.

Ella zdejmuje folię z paczki marlboro lights, otwiera ją i wyjmuje paznokciami papierosa.

– Mike? – powtarza i mruga oczami, gdy wiatr pcha dym prosto w jej twarz. – Skąd pani o nim wie?

– Keisha mi powiedziała.

– No tak... – Przewraca oczami. – Jasna sprawa.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. – Wkłada papierosa do ust i zaciąga się ponownie. Pali jak pięćdziesięciolatka, która potrzebuje co najmniej dwóch paczek dziennie.

– Nieprawda, Ella, to ważne.

Odchyła głowę do tyłu i wydmuchuje dym.

– Oboje są fiutami, to wszystko. Nic dziwnego, że trzymają się razem.

– Mike jest jej przyjacielem? – pytam, marszcząc brwi.

– Albo jej ochroniarzem. – Śmieje się. – Rozstają się tylko wtedy, gdy Keisha jest z Dannym, bo on nie chce mieć z nim nic wspólnego. Uważa Mike'a za odrażającego pedała, którym zresztą jest.

– Jest gejem? – upewniam się, słysząc ton dezaprobaty w jej głosie.

– Tak. – Kiwa głową.

Jak to? Przecież to przeczyłoby wszystkiemu, co powiedziała mi wczoraj Keisha. Jak Mike może wykorzystywać prostytutkę i być gejem? To nie ma sensu. Spoglądam na paczkę papierosów w dłoni Elli. Też chętnie bym zapaliła, ale krzyżuję ręce na piersiach i chowam dłonie pod pachami.

– Jak dobrze znała go Charlotte?

– Cholernie dobrze! – odpowiada, zerkając na mnie z ukosa. – I tak pani wie, prawda? O to właśnie chodzi, tak? Udaje pani, że o niczym nie ma pojęcia, i próbuje mnie podpuścić.

– Coś w tym rodzaju... – odpowiadam wymijająco, świadoma, że moje kłamstwo w każdej chwili może wyjść na jaw.

– Bogu dzięki! – Rzuca niedopałek na ziemię. – Zastanawiałam się, czy pani o tym powiedziec, ale Charlotte kazała mi przysiąc, że zachowam wszystko dla siebie. Co prawda już się nie przyjaźnimy, ale ja nie jestem kablem.

– Wydaje mi się, że to wyjątkowa sytuacja, nie uważasz? Możesz zdradzić tajemnicę przyjaciółki jej rodzicom, jeśli być może od tego zależy jej życie, co?

– Tak. – Opuszcza głowę i bawi się guzikami płaszcza.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz – proszę cicho.

– Gdy Keisha przedstawiła nam Mike'a, nie spodobał się żadnej z nas – mówi. – Był stary i namolny, a w jego oczach było coś nieprzyjemnie chytrego.

Czekam cierpliwie na ciąg dalszy.

– Ale kiedy Keisha poszła szukać Danny'ego, Mike zaproponował, że postawi nam drinki. Pomyślałyśmy, że stary dupek próbuje nas podrywać, więc poprosiłyśmy o najdroższe drinki, jakie tam były. Ja zamówiłam... – Macha ręką, zbywając tę uwagę. – Nieważne, co zamówiłam. Kiedy je piłyśmy, Mike zaczął nam opowiadać, że dopiero co przeprowadził się do Brighton i jest tu zupełnie sam. Mówił, że wyjechał z Londynu, żeby ułożyć sobie życie na nowo po tym, jak zerwał z chłopakiem, a jego siostrzenica, Martha, umarła na raka. Powtarzał, że ogromnie ją kochał, że była dla niego jak córka i Charlotte bardzo ją przypomina. Mnie wydawało się to trochę dziwne, ale Charlotte była wzruszona.

No tak, moja córka zawsze starała się myśleć o innych tylko dobrze.

– No więc... – Ella oblizuje usta i wkłada do nich następnego papierosa. – Kiedy wypiliśmy te drinki, ja dałam Charlotte znak, że chcę już wyjść, ale ona mnie olała i dalej rozmawiała z Mikiem. Postawił nam następną kolejkę, a oni ciągle gadali i gadali – o jego siostrzenicy, o jego pracy i Bóg wie czym jeszcze. Myślałam, że do rana będziemy paplać z tym pedałem... – Zerka na mnie z ukosa. – Tak naprawdę rozmawiał tylko z Charlotte, a nie ze mną. Udało mi się im ją odciągnąć dopiero wtedy, gdy zagrali *Love it When You Lie* i poszłyśmy tańczyć.

– Widziałaś go jeszcze potem?

Ella kręci głową.

– Tamtej nocy już nie. Ale był w Breeze, kiedy poszłyśmy tam następnym razem. Keishy z nami nie było, a on do nas podszedł i przywitał się.

– Więc Charlotte i Mike się zaprzyjaźnili?

– Tak – przyznaje. – Między innymi dlatego już się tak dobrze nie dogadywałyśmy. Ona miała mnóstwo nowych znajomych, zadawała się ze znanymi piłkarzami w Grey's, a ja czułam się jak ta gorsza, jakbym nic dla niej nie znaczyła. Chciałam z nią o tym porozmawiać, ale ona powiedziała, że żyje po prostu swoim życiem, że to fajnie mieć przyjaciela geja, że Mike jest zabawny i dobrze jej doradza przy wyborze ubrań i innych rzeczy.

– Ubrań? – Robi mi się słabo, kiedy wyobrażam sobie moją córkę w przebieralni, paradującą półnago przed mężczyzną, którego prawie w ogóle nie zna. – Jak to, doradzał jej przy wyborze?

– Zabierał ją na zakupy. – Ella się krzywi. – Wiem, byłam okropnie zazdrosna, nie wypieram się. Wydawał na nią setki funtów, kupował jej markowe ciuchy, te najlepsze, a nie jakieś odrzuty z TK Maxx. I nie tylko ciuchy – okulary przeciwsłoneczne, płyty, różne rzeczy. Mówił, że to mu sprawia przyjemność, że czuje się, jakby kupował to wszystko Marcie.

Ella opowiada z ożywieniem, opisuje z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co „Mike” kupił mojej córce. Kojarzę niektóre z tych rzeczy – widziałam je w pokoju Charlotte i wierzyłam jej, kiedy mówiła, że to podróbki kupione na straganie albo prezenty od Liama – o innych nie miałam pojęcia. Ta historia brzmi całkiem wiarygodnie – osamotniony gej przeprowadza się do obcego miasta, spotyka tam dziewczynę, która do złudzenia przypomina jego zmarłą siostrzenicę, i w zamian za towarzystwo obsypuje ją prezentami – więc dlaczego czuję się tak, jakby temperatura spadła nagle o dwadzieścia stopni?

– Jak wygląda Mike?

Ella wzrusza ramionami.

– Staro.

– Ile może mieć lat? Mniej więcej tyle co ja?

Ella mierzy mnie spojrzeniem.

– Tak, pewnie tak.

– Co jeszcze?

– To był zwykły facet, starszy gość z siwymi włosami, nic nadzwyczajnego.

– Zastanów się... proszę, to bardzo ważne. Jakiego był wzrostu? Gruby czy chudy? Jakie nosił ubrania? Jakąś biżuterię? Miał wąsy, brodę, okulary?

– Jak już mówiłam... – zaczyna, poprawiając się na ławce i spoglądając na grupę nastolatków, które bujają się na huśtawkach dla dzieci. – Wyglądał przeciętnie, tyle że był bardzo wysoki. – Spogląda ponownie na mnie. – Mniej więcej taki jak mój tata.

A więc około metra dziewięćdziesięciu.

– Co jeszcze?

– Zawsze elegancko ubrany, ciemne spodnie, koszula i tak dalej. Nigdy nie widziałam go w dzinsach. Nie pamiętam, jakie miał buty. – Znów odwraca się w stronę nastolatków. – I nosił chyba zegarek.

– A jak był zbudowany?

– Przeciętnie – wzdycha. – Nie był ani gruby, ani chudy. Nie nosił okularów, nie miał wąsów i brody – dodaje, nim zdąży ją zapytać. – O, coś sobie przypomniałam... – Stawia stopy na ławce i obejmuje kolana ramionami. – Miał oczy dziwnego koloru, takie szarawe, duży nos i dziwny akcent. Z Birmingham? Liverpoolu? Nie znam się na akcentach, ale na pewno nie był stąd. To wystarczy? – Odwraca się do mnie, ale ja na nią nie patrzę. Nie mogę oderwać spojrzenia od nastolatków po drugiej stronie parku. Opisała właśnie Jamesa dwadzieścia lat po tym, jak widziałam go ostatnio.

– Pani Jackson? – Kątem oka widzę, jak Ella opuszcza nogi. – Dobrze się pani czuje? Dziwnie pani wygląda.

Myliłam się co do ich nauczyciela, Jamiego Evansa, ale tym razem się nie mylę. Czuję to

w kościach. Wiem, że gdzieś w Brighton ukrywa się mój były narzeczony, obserwuje mnie i śmieje się, dumny ze swojej najnowszej roli – samotnego geja – zadowolony, że udało mu się zakraść do życia mojej córki, i to tuż pod moim nosem.

– Czy on jej kiedykolwiek dotknął? – pytam, odwracając się raptownie do Elli. – Czy kiedykolwiek skrzywdził Charlotte?

– Dlaczego miałby to robić? Mówiłam pani, kupował jej całą masę prezentów. Traktował ją jak księżniczkę.

– Dlaczego ją szantażował?

– Szantażował? – dziwi się Ella. – Charlotte nigdy o tym nie wspominała. Mike zachowywał się tak, jakby gotów był całować ziemię pod jej stopami.

– Masz jego numer? Albo adres?

– Nie. Ale Liam będzie miał.

– Liam?

– Tak. – Patrzy na moją zdumioną minę i parska śmiechem. – Przecież Charlotte nie kochała się sama z sobą w mieszkaniu Mike'a, prawda?

Sue? – Słyszę niepokój w głosie Briana. – Gdzie ty się podziewasz? Nie ma cię już od paru ładnych godzin.

– Przepraszam. – Wyłączam silnik. Wszystkie okna w domu Liama są odsłonięte, ale nie widać za nimi żadnego ruchu. – Coś mnie zatrzymało w domu pogrzebowym.

– Naprawdę? – Ton jego głosu natychmiast się zmienia. – Więc dlatego dzwonili stamtąd przed chwilą, żeby złożyć nam kondolencje i spytać, czy nie chcemy tam przyjechać?

– Ja... – Gorączkowo szukam jakiejś wymówki. – Jeszcze tam nie byłam.

– Najwyraźniej.

– Wybrałam się na spacer po plaży. Rozmyślałam o różnych sprawach.

– Przez trzy godziny?

– Tak, przez trzy godziny. – W jego głosie jest coś, co mnie irytuje. – Wczoraj umarła moja matka, na miłość boską! Czyżby wprowadzono jakieś ograniczenie czasowe żałoby? W parlamencie przegłosowali jakąś ustawę, o której mi nie powiedziałeś?

Wiem, że to niesprawiedliwe, ale łatwiej się złościć, niż kłamać. A jestem już tak blisko odkrycia prawdy o wypadku Charlotte.

Brian milczy długo, mam już odsunąć słuchawkę od ucha, by sprawdzić, czy się nie rozłączył, kiedy...

– Powiedz mi, gdzie jesteś, to po ciebie przyjadę.

Równie dobrze mógłby nadstawić drugi policzek.

– Nie ma potrzeby. Naprawdę. Zabrałam samochód.

– Więc dojadę do ciebie. Napijemy się kawy. Porozmawiamy.

Po lewej stronie rozlega się ciche chrząknięcie, a ja przypominam sobie, że nie jestem sama. Ella pisze coś zawzięcie na swoim telefonie, widzę jednak po jej minie i ułożeniu ciała, że czuje się bardzo dziwnie w tej sytuacji. Trudno się dziwić. Poprosiłam ją, by pojechała ze mną i pomogła mi w rozmowie z Liamem, a nie wysłuchiwała małżeńskich kłótni.

– Nie chcę towarzystwa, Brian. – W tym momencie uświadamiam sobie, że właśnie dlatego do mnie dzwoni. Nie próbuje mnie kontrolować, po prostu się martwi. Wczoraj umarła moja matka, myśli, że wpadłam w depresję albo znów cierpię na nerwicę pourazową, a ja mówię mu, że chcę zostać sama. Boi się pewnie, że chcę popełnić samobójstwo. – Przepraszam – mówię łagodniejszym już tonem. – Wiem, że się o mnie troszczysz, ale muszę przejść przez to sama i...

– Ale...

– Nie na długo, tylko dzisiaj. Muszę dziś pobyć sama. Wrócę przed wieczorem. Proszę,

Brian, zaufaj mi.

– Oczywiście, że ci ufam, Sue. Po prostu nie chcę...

– Nie zrobię nic głupiego – obiecuję, choć wiem, że być może podejmę jakieś desperackie kroki, w zależności od tego, co powie mi Liam. Ale nie czuję, że postępuję głupio. Czuję się tak, jakbym o dwadzieścia lat za późno odzyskiwała w końcu kontrolę nad własnym życiem. – Proszę, Brian, potrzebuję tego.

– W porządku – mówi. – Rozumiem. Proszę tylko, nie wracaj zbyt późno. Nie każ mi się martwić bez potrzeby.

Robi mi się ciepło na sercu. To dobry człowiek. Mimo wszystko to dobry człowiek, a ja mam szczęście, że pojawił się w moim życiu.

– Kocham cię, Brian.

Ella krzywi się okropnie, ale nie zwracam na nią uwagi.

– Ja też cię kocham, Sue. Uważaj na siebie i do zobaczenia później.

Kończę rozmowę, lecz nie odwracam się od razu do Elli. Patrzę przed siebie, na cienką linię horyzontu, i odmawiam krótką modlitwę. Nie do Boga, wszechświata czy jakiegokolwiek konkretnej siły. Proszę po prostu o siłę, odwagę i ochronę dla mojej rodziny. Proszę, by ten dwudziestoletni koszmar wreszcie się skończył.

– Mogę włączyć radio? – pyta Ella. – Skoro zamierza pani tak tutaj siedzieć... Nie znoszę ciszy.

Uśmiecham się do niej.

– Nie ma potrzeby. Pójdziemy teraz do Liama i mam nadzieję, że głównie ty będziesz mówić.

Jeśli starsza siostra Liama zdziwiła się, ujrawszy w drzwiach mamę byłej dziewczyny Liama i jej była przyjaciółkę, to nie dała tego po sobie znać. Wyjaśniła nam spokojnie, że jego zespół, Last Fight, ma właśnie próbę przy Lewes Road. Nie wiedziała, o jakiej porze skończą, ale zaproponowała, byśmy poczekały na nich w The Gladstone, pubie za rogiem, gdzie zawsze spotykali się po próbach.

– Nie musiała pani kupować mi coli – burmuszy się Ella, gdy siadamy przy drewnianym stole na tyłach pubu. – Mam już piętnaście lat, jakby pani nie wiedziała.

Unoszę lekko brwi.

– Doprawdy?

Uśmiecha się, a ja uświadamiam sobie, jak bardzo zmieniło się jej zachowanie od naszej pierwszej rozmowy po wypadku Charlotte. Złość, oschłość, poczucie urazy – wszystko to zniknęło. Znowu jest tą sympatyczną dziewczynką, którą Charlotte przyprowadzała po lekcjach do domu, by razem z nią piec ciastka i dekorować je kolorową posypką.

– Jest! – mówi nagle, wskazując na drugi koniec sali.

Liam, otoczony przez ciemnowłosych, jednakowo ubranych młodzieńców, z gitarą przerzuconą przez ramię idzie leniwym krokiem przez pub. Na nasz widok staje jak wryty.

Podnoszę rękę i przywołuję go do nas.

Kiwa głową, odwraca się do swoich kolegów z zespołu i mówi do nich coś, a potem rusza w naszą stronę.

– Dzień dobry, pani Jackson. – Spogląda na Ellę i marszczy brwi zaskoczony. – Cześć,

Ella.

– Ona wie. – Ella odchyła się do tyłu i patrzy prosto w oczy Liama. – Wie, że kochaliście się z Charlotte w mieszkaniu Mike’a.

– Co? – Liam wyraźnie blednie.

– Ale nie jest na was zła – dodaje szybko dziewczyna i przyciąga do siebie wolne krzesło. – Chce wypytać cię o Mike’a. Myśli, że możesz wiedzieć coś, co pomoże wybudzić Charlotte.

Liam zerka na swoich rozbawionych kolegów z zespołu, którzy usiedli wokół stołu po drugiej stronie sali.

– Proszę. – Uśmiecham się wymuszenie. – Nie jestem na was zła. Naprawdę. Chciałam ci tylko zadać kilka pytań.

– Dobrze. – Sięga po krzesło stojące obok mnie. – Ale nie mogę zostać długo. Mam z kumplami z zespołu parę spraw do omówienia. To był pomysł Charlotte – dodaje, nim jeszcze zdążę go o cokolwiek zapytać. – To ona chciała koniecznie, żebyśmy się kochali. Ja wolałem poczekać, aż skończy szesnaście lat, żeby wszystko było legalnie.

Nie wierzę w to ani przez sekundę, ale sądząc po tym, co Oli powiedział o pokoju hotelowym, Charlotte chciała tego równie mocno jak Liam, jeśli nie mocniej.

– To ona zaproponowała, żebyście zrobili to w domu Mike’a?

– Nie. – Liam spogląda na nasze napoje. – A właściwie nie od razu.

– Co masz na myśli?

– Powiedziała mi, że poznała w Breeze jakiegoś bogatego starego geja. Podobno wyglądała jak jego zmarła siostrzenica, chciał jej kupować różne rzeczy. Ja uważałem, że to chore. – Pociera dłonią nieogolony podbródek. – Ale Charlotte powiedziała wtedy, że Mike mógłby prawdopodobnie kupić też coś dla mnie, a moja gitara była zepsuta, więc... – Liam urywa, jakby zawstydzony.

– Kupił ci nową gitarę?

– Tak. – Zerka na futerał oparty o ścianę obok niego. Nie znam się na muzyce, lecz nawet ja wiem, że gitary Les Paul nie są tanie. – Mówiłem, żeby go o to nie prosiła, ale ona uważała, że to będzie zabawne. Skoro ma kasę, to może ją wydawać, jak zechce, powtarzała, a poza tym... – Podnosi ze stołu jakąś ulotkę i zwija ją w kulkę. – Wyglądało na to, że cieszy go kupowanie jej różnych rzeczy, więc czemu nie?

Robi mi się zimno na myśl o tym, że moja córka potrafiła być tak wyrachowana. Wydawało mi się, że wychowałam ją trochę inaczej. Nie wiem, czy chcę tego dłużej słuchać.

– Więc jak to się stało, że w końcu uprawialiście seks w jego domu?

– Mike to zaproponował pewnego wieczoru, kiedy Charlotte się upiła. Mówiła, jak trudno być teraz nastolatką, bo jeśli chcesz stracić dziewictwo, musisz to robić na szkolnym podwórku albo w samochodzie. Wtedy on powiedział, że możemy skorzystać z jego mieszkania. – Liam opuszcza wzrok. – Mówił, że wyjeżdża na weekend do znajomych w Londynie, że zostawi nam świeżą pościel i jedzenie w lodówce, a my przez te dwa dni będziemy mogli traktować to mieszkanie jak swoje.

Nie dziwię się wcale, że dwoje nastolatków bez wahania skorzystało z takiej propozycji.



– Oczywiście zgodziliście się?

– Tak – odpowiada, nie podnosząc oczu.

– I...?

– I nic. – Odsuwa krzesło i kładzie dłoń na futerale gitary. – Mogę już iść?

– Mike się tam nie pojawił podczas waszego pobytu? Nie stało się nic złego? Nic niezwykłego?

– Nie. – Kręci głową, czerwieniąc się lekko. – Było super.

Podnosi się już z miejsca, a ja uświadamiam sobie, że zaraz stracę jedyną być może okazję na poznanie prawdy. Czy naprawdę przypuszczałam, że były chłopak mojej córki będzie chciał rozmawiać ze mną o seksie? Nawet Ella wpatruje się w kartę drinków z taką miną, jakby to była najbardziej fascynująca lektura na świecie.

– Więc dlaczego Mike szantażował Charlotte?

– Co? – Liam marszczy brwi i patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Keisha powiedziała mi, że Mike szantażował Charlotte. Wiesz, o co mu chodziło?

– Nie. – Kręci z niedowierzaniem głową. – Nigdy o tym nie wspominała... – Spogląda na Ellę. – Wiedziałaś coś o tym?

Dziewczyna podnosi wzrok znad karty.

– Nie.

– Naprawdę nie próbowała wam o tym powiedzieć? – Wodzę wzrokiem od Elli do Liama i z powrotem.

Oboje patrzą na mnie z konsternacją.

– Więc gdybym wam powiedziała, że napisała w swoim pamiętniku o „tajemnicy, która ją dobija”, nie mielibyście pojęcia, o co jej chodziło?

Wyglądają na zszokowanych, ale oboje kręcą głowami.

– Liam... – Ja też wstaję z krzesła. – Zanim wrócisz do swojego zespołu, poproszę cię o jeszcze jedno.

Wzrusza ramionami.

– Jasne. Co takiego?

– Pokaż mi, gdzie mieszka Mike.

Siedzę z Liamem w samochodzie. Kiedy wychodziliśmy z pubu, do Elli zadzwoniła jej mama, pytając, gdzie, do cholery, są jej fajki, więc podwiozłam ją do domu. Nie zrobiłam tego tylko ze względu na jej matkę, chciałam też, żeby była bezpieczna. Teraz, gdy stoimy przed domem przy 117 Highgate Road, chcę też dopilnować, by i Liam był bezpieczny.

– To na pewno ten dom? – pytam.

– Tak. Wszędzie bym go poznał.

– Dzięki. – Spoglądam we wsteczne lusterko i włączam kierunkowskaz. – Odwiozę cię teraz do Gladstone.

– Nie, zostaję tutaj. Jeśli chce pani pogadać z tym gnojem, pójdę z panią. Jak się będzie stawał, przywalę mu i po sprawie.

Takie groźby brzmią dość zabawnie w ustach siedemnastolatka, ale mnie wcale nie jest do śmiechu. Liam nie zdaje sobie sprawy, co mogłoby go spotkać, gdyby stanął na drodze Jamesowi.

– Nie, nie pójdziesz. – Wyjeżdżam na drogę, ignorując jego protesty. – Wystarczy, że Charlotte leży w szpitalu.

Liam się śmieje, zadowolony, że uważam go za twardziela, który może posłać do szpitala dorosłego mężczyznę. Nie wyprowadzam go z błędu.

Piętnaście minut później jestem z powrotem przed mieszkaniem Jamesa. Wygląda całkiem niewinnie – niebieskie drzwi, mosiężna kołatka, wykuszowe okna z lekko rozchyłonymi zasłonami – ale ja nie mogę wysiąść z samochodu. Umysł mnie ponagla, każe wyjść, zapukać do drzwi i stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który od dwudziestu lat odwiedza mnie w koszmarach, lecz ciało nie chce się ruszyć. Spoglądam w dół, na diamentowy pierścionek, który Brian kupił mi w czasie „zaimprovizowanych” wakacji na Rodos po jego romansie. Przez długi czas nie chciałam go nosić – był dla mnie świadectwem jego wyrzutów sumienia – ale potem nadeszła piętnasta rocznica naszego związku, romans był już odległym wspomnieniem, a pierścionek stał się symbolem pozytywnego podejścia, nowego początku, więc zaczęłam go nosić. Próbuję teraz zmusić rękę z tym symbolem, by się podniosła i sięgnęła do drzwi auta.

Ręka mnie nie słucha.

Patrzę ponownie na dom.

Może pomysł spotkania z Jamesem jest więcej niż ryzykowny czy wręcz głupi – jest bardzo niebezpieczny. A jeśli popełniłam znów ten sam błąd – jeśli „bogaty gej Mike” rzeczywiście jest tylko bogatym gejem Mikiem? A jeśli zadzwonię do Briana czy też na policję i powiem, że mój walnięty były narzeczony odnalazł mnie w Brighton, wkradł się

w łaski mojej córki i potem ją szantażował, a to wszystko okaże się nieprawdą? Ile razy można podnosić fałszywy alarm, zanim przyjdą po ciebie panowie w białych fartuchach i ubiorą cię we wdzianko z długimi rękawami? Ella opisała kogoś, kto wygląda jak James, ale opis jej nauczyciela, Jamesa Evansa, również do niego pasował. Skoro już raz się pomyliłam, mogłam pomylić się ponownie. Potrzebuję dowodu. Konkretnego dowodu.

Moja ręka w końcu się podnosi i sięga do drzwi.

Udaje mi się jakoś przejść przez drogę i dotrzeć do furtki. Nieustannie wodzę wzrokiem od drzwi domu do okien, wypatrując jakichś oznak życia, niebezpieczeństwa, sygnału, że powinnam natychmiast uciekać, ale gdy wchodzę za furtkę i próbuję podejść do drzwi, czuję się nagle tak, jakbym stanęła na polu magnetycznym. Moje ciało przebiega do przodu, lecz jakaś siła pcha je do tyłu. Wracaj! Wracaj! Powietrze jest gęste, jakby naładowane elektrycznością, chroni dom, odgania mnie od niego. Wracaj! Wracaj! Robię kolejny krok do przodu, zaciskając mocno dłoń na kluczykach. Chcę tylko zajrzeć do środka przez wąską szparę między zasłonami. Tylko jedno spojrzenie. Następny krok, krzyk mewy nad domem. W salonie nie pali się światło, nie widać migotliwego blasku telewizora. Zawieram układ z Bogiem. Zajrzę tylko do środka, ale niech nie będzie tam Jamesa, błagam.

Robię jeszcze jeden krok, potem kolejny. Jestem teraz tak blisko, że wystarczy, bym przesunęła się o kilka centymetrów na lewo, a stanę przed szparą między zasłonami. Powoli wypuszczam powietrze z płuc. Na ulicy jest teraz całkiem cicho. Nie słychać samochodów, mew ani dzieci, tylko głucho bicie mojego serca.

Powoli, bardzo powoli przechyliłam głowę w stronę szczeliny między zasłonami, w stronę okna na życie Jamesa.

Nie wiem, co spodziewam się zobaczyć – być może dokładną kopię jego pokoju sprzed dwudziestu lat – ale na pewno nie pozbawionego charakteru wnętrza. W salonie stoi jeden fotel obity czarną skórą, z dopasowanym skórzanym pufem, skórzana sofa z tego samego materiału i sosnowy stolik. Na podłodze leży beżowy dywan, poplamiony kawą przed kominkiem, obok, na niskim stoliku, stoi duży płaski telewizor i odtwarzacz DVD. To wszystko. Żadnych książek, kubków po kawie, ozdób czy zdjęć. Równie dobrze mogłoby to być mieszkanie pokazowe, zaprojektowane specjalnie dla współczesnego kawalera, pozbawione charakteru, barw i ciepła... Choć... Przyciskam dłoń do serca, które nagle chce wyrwać się z mojej piersi... Jest tu coś, co nadaje temu wnętrzu indywidualny rys.

Batik zawieszony nad kominkiem.

Drżącymi rękami przenoszę torebkę z fotela pasażera na kolana. Miałam rację. Od samego początku. Te kartki i paczki nie trafiały do naszego domu przypadkiem, nie miałam przywidzeń, gdy wydawało mi się, że ktoś ściga mnie w ciemnej alejce w Londynie. To James Evans odpowiadał za wypadek Charlotte. Miałam rację od samego początku.

Sprawdzam, czy wszystkie drzwi w samochodzie są zamknięte, a ulica nadal pusta, po czym sięgam do torby. Trafiam dłonią na portfel, na notes, na kosmetyczkę i garść paragonów, ale wciąż nie mogę odszukać komórki. Odwracam torebkę i wysypuję jej zawartość na kolana. Szczotka do włosów uderza w kluczyki wetknięte w stacyjkę, te zaś kołyszają się przez chwilę. Może to znak. Może powinnam stąd odjechać. Zadzwoń do Briana z jakiegoś bezpiecznego miejsca. Tak zrobię. Zgarniam przedmioty leżące na moich kolanach i dotykam czegoś gładkiego i twardego.

Mój telefon.

Podnoszę go i naciskam klawisz.

Nic się nie dzieje.

Przesuwam palcem po ekranie. Dotykam klawiszy. Naciskam je raz za razem.

Nic. Nic. Nic.

Potrząsam telefonem, uderzam nim o kierownicę i ponownie naciskam klawisz, ale nie działa. Rozładował się.

Proszę, błagam w myślach, przekręcając kluczyk. Proszę, niech Brian będzie w domu.

Nigdy chyba nie poczułam tak wielkiej ulgi na widok samochodu mojego męża na podjeździe. Podjeżdżam obok, trąbię i wypatruję jakichś oznak życia w domu. W kuchni i w korytarzu na piętrze jest ciemno. Brian siedzi pewnie w swoim gabinecie.

Milly rzuca się na mnie, gdy tylko otwieram drzwi ganku. Liże mnie po twarzy, macha zamasyście ogonem.

– Cześć, mała – mówię, głaszcząc ją po głowie, potem delikatnie odsuwam ją od siebie. – Przepraszam cię, ale muszę poszukać taty.

Ignoruję jej żalosne skamlenie i wchodzę do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

– Brian! – wołam, rozglądając się po salonie. Jest pusty, wygląda dokładnie tak, jak go zostawiłam.

– Brian! – wołam ponownie. Wbiegam na schody i otwieram drzwi gabinetu. – Brian, musimy zadzwonić na policję.

Pokój jest pusty, laptop zamknięty, dokumenty ułożone starannie w trzy pliki obok telefonu.

Idę do sypialni. Może postanowił się zdrzemnąć.

– Brian, jesteś...?

Ale sypialnia również jest pusta.

To nie ma sensu. Jak to możliwe, że jego samochód stoi na podjeździe, a Briana nie ma w domu? Gdzie w takim razie jest?

Biegam z pokoju do pokoju, wypatruję na podłogach i ścianach śladów walki, śladów ataku – na tę myśl strach ściska mi żołądek tak mocno, że ogarniają mnie mdłości – ale wszystko wygląda całkiem normalnie. Meble stoją na swoich miejscach, obrazy na ścianach są całe, nigdzie nie widać rozbitego szkła ani plam krwi.

Przechodzę z salonu do kuchni, bardziej już skonsternowana niż wystraszona. Na stole nie ma żadnego listu, żadnego napisu w rodzaju „wyszedłem do pubu” na tablicy nad mikrofalówką. Może Brian wysłał mi SMS-a, a ja nie zdążyłam go odebrać, zanim rozładował mi się telefon. Idę po ładowarkę wetkniętą w kontakt przy czajniku, gdy nagle z boku rozlega się jakiś szelest, a ja ląduję na podłodze.

– Milly!

Sunia trąca mnie nosem i lize po twarzy. Odpycham ją łagodnie i spoglądam na drzwi ganku. Są otwarte na całą szerokość. Widocznie nie zamknęłam ich dokładnie.

Podnoszę się na równe nogi i przechodzę przez kuchnię. Mam już zamknąć drzwi ganku, gdy dostrzegam białą kopertę z folią bąbelkową w klatce pod skrzynką pocztową. Wyjmuję ją. Moje nazwisko i adres zostały sporządzone starannym pochyłym pismem, którego nie widziałam od dwudziestu lat.

– Milly, szybko! – Chwytam ją za obrożę, otwieram drzwi i biegnę przez podjazd.

Dziesięć minut później zatrzymuję samochód przy przystani. Jest późno, dokoła panuje cisza przerywana jedynie szumem fal. Blask latarni nadaje białej kopercie dziwny, czerwony odcień. Nie powinnam jej otwierać. Powinnam zawieźć ją prosto na policję i powiedzieć wszystko, co wiem o Jamesie Evansie, ale nie mogę. Gdyby się okazało, że to głupi żart, że koperta zawiera jakąś maskotkę albo coś równie niewinnego, zostałabym wyśmiana już na komisariacie.

Wyjmuję chusteczki higieniczne z pudełka w schowku i okrywam nimi palce, którymi rozrywam kopertę. Nie chcę zatrzeć odcisków Jamesa, jeśli tam są. Nie jest to łatwe, ale w końcu udaje mi się oderwać skrzydełko koperty i zajrzeć do środka. W ciemności nie widzę, co się tam kryje, przesuwam więc Milly do tyłu, przechylam kopertę i wysypuję jej zawartość na fotel pasażera.

Na siedzisko wypada para maleńkich dziecięcych bucików. Uszyte z mięciutkiej wełny, pokryte delikatną koronką i obwiązane wstążeczką, wyglądają dokładnie tak jak drogie i niepraktyczne buciki, o których marzyłam, gdy Charlotte była jeszcze niemowlęciem. Ogarnięta wspomnieniami, biorę jeden z nich do ręki i podnoszę do twarzy. W tym samym momencie moje nozdrza wypełnia znajomy metaliczny zapach, a po przedramieniu spływa strużka gęstej lepkiej cieczy – z krzykiem odrzucam but, który uderza o szybę i spada na matę przed siedzeniem pasażera.

Nawet w nikłym blasku latarni rozpoznaję substancję, która oblepia moje palce, spływa kroplami po szybie i wsiąka w miękką tkaninę bucików. To krew.

Ogarnia mnie nagle chłodny spokój. James wie. Zna tajemnicę, którą zabrałam z sobą

dwadzieścia lat temu. Mogę przestać się bać. On wie. Mogę przestać.

Sięgam po kartkę leżącą obok drugiego bucika i wycieram krew, bym mogła przeczytać wiadomość zapisaną tym samym charakterem co adres na kopercie.

*Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb.*

*Księga Powtórzonego Prawa 19:21*

Odwracam kartkę.

*Życie za śpiączkę? To nie wydaje się sprawiedliwe.*

*Charlotte i ja mamy jeszcze coś do załatwienia.*

Kartka wypada z mojej dłoni, spływa powoli na podłogę u moich stóp.

Muszę dotrzeć do szpitala przed Jamesem.

Biegnę z parkingu do drzwi szpitala co sił w nogach, ale nie czuję pędu powietrza na twarzy. Nie słyszę nagranego głosu, który mówi mi, że drzwi się otwierają, gdy wchodzę do windy, nie czuję ostrego zapachu środka antyseptycznego, gdy myję ręce przed wejściem na oddział. Nie widzę, nie słyszę, nie czuję nic. Jestem w stanie zawieszenia, brnę przez koszmar, ścigam widmo mojego uśpionego dziecka. Unosi się tuż przede mną, na wyciągnięcie ręki, a gdy próbuję jej dosięgnąć, znika.

Umrze, jeśli natychmiast się do niej nie dostanę. Wiem to z pewnością, która przenika całe moje ciało, sięga do szpiku kości. Gotowa jestem postawić na to własne życie. Oddać moje życie. James nie może jej zabrać. Niech zabierze mnie. Zmuszę go do tego. Nie dam mu wyboru.

Widzę już drzwi jej sali w głębi korytarza. Są otwarte, pada zza nich smuga światła. Ktoś z nią jest. Podrywam się do biegu, ale brnę przez błoto, każdy krok kosztuje mnie coraz więcej wysiłku, każdy jest wolniejszy od poprzedniego.

Odebrałam Jamesowi jego dziecko, bo wiedziałam, że jeśli je urodzę, nigdy nie zdołam uciec. To nie byłoby dziecko, lecz obroża na mojej szyi, pętla, za którą pociągałby bez wahania, gdyby tylko chciał mnie wykorzystać, ukarać, upokorzyć.

Byłam spokojna i zdecydowana, gdy weszłam do kliniki. Bez wahania połknęłam tabletkę, położyłam się na łóżku i objęłam rękami brzuch, gdy pojawiły się skurcze. Nie krzyknęłam, nie zapłakałam. Gdy po nodze pociekła mi krew, poszłam do toalety. Czułam, jak życie wysuwa się ze mnie i ląduje w muszli. Ale pół godziny później, gdy leżałam zwinięta w kłębek na łóżku, a obok mnie stała pielęgniarka, która głaskała mnie po głowie i powtarzała, że jestem silna, że nie wzięłam nawet tabletki przeciwbólowej – wtedy szlochałam jak dziecko, szlochałam, jakby właśnie zawałił się cały mój świat.

Silna? Byłam nieprawdopodobnie słaba. Spędziłam cztery lata życia z potworem, torturowana nienawiścią przebraną za miłość. Byłam upokarzana, lekceważona, karana, kontrolowana. Byłam osądzana, ignorowana, krytykowana i odrzucana. Odciełam się od przyjaciół i rodziny, straciłam pracę, musiałam wybierać między życiowymi marzeniami i miłością do Jamesa. A jednak nie odeszłam. Próbowałam kilka razy, ale byłam słaba. Zawsze udawało mu się przemówić do mojego serca, przeniknąć z powrotem do mojego życia. Nie byłam silna, gdy leżałam na szpitalnym łóżku, oddawszy jego dziecko w zamian za wolność. Byłabym silna, gdybym wyszła z klubu World Headquarters w Camden trzy lata i dwieście siedemdziesiąt dni wcześniej, gdy ze śmiechem na ustach nazwał mnie zdzirą. Byłabym silna, gdybym pożegnała się z nim na zawsze tamtej nocy, kiedy powiedział, że nie będzie spał w moim łóżku, bo byli tam wcześniej inni mężczyźni.

Byłabym silna, gdybym poszła na policję tej nocy, kiedy mnie zgwałcił. Byłabym silna, gdybym nie pozwoliła, by kiedykolwiek skrzywdził inną kobietę.

Płakałam po tym dziecku w każdą rocznicę zabiegu. Płakałam, bo nie zasłużyło na śmierć, płakałam, bo byłam wściekła na Jamesa, że doprowadził mnie do tego kroku. Przede wszystkim płakałam, bo czułam się winna – gdybym nie była wówczas taka słaba, gdybym znalazła w sobie dość determinacji, może zabrałabym je z sobą do Grecji i jakoś sobie poradziła, zarabiając na życie jako nauczycielka.

Myślałam, że zostanę ukarana za to, co zrobiłam. Myślałam, że nigdy już nie zajdę w ciążę, ale rok po moim ślubie z Brianem pojawiła się Charlotte, nasze cudowne dziecko. Czułam się pobłogosławiona, jakby otworzyło się przede mną nowe życie, jakbym odzyskała wreszcie pełną wolność. Potem, kiedy chcieliśmy dać jej rodzeństwo, poroniłam trzy razy z rzędu.

Kładę dłoń na klamce i otwieram drzwi.

Charlotte leży nieruchomo na pozbawionym kołdry łóżku, z jej ust wystaje plastikowa przezroczysta rurka, jej piersi są upstrzone kolorowymi kólkami elektrod. Kardiomonitor w rogu pokoju piszczy miarowo, znacząc upływ czasu niczym medyczny metronom, a ja zamykam oczy.

– Sue? – Ktoś kładzie mi ciężką dłoń na ramieniu. – Napijesz się herbaty?

– Brian? – Mrugam kilka razy.

– Sue? – Patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami, ale nie mam pojęcia, o czym teraz myśli. – Sue, dobrze się czujesz?

– Wszystko w porządku, mamó?

Wzdrygam się na dźwięk słowa „mama”, ale nie wypowiedziała go Charlotte, lecz Oli, który siedzi obok jej łóżka. Na jego kolanach leży sterta egzemplarzy „National Geographic”, w dłoni trzyma moje najlepsze nożyczki krawieckie. Na stoliku leżą wycinki z czasopisma.

– Mamo? – powtarza.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się do mnie zwracał.

– Ja... – Wodzę wzrokiem od niego do Briana i z powrotem. Co oni tutaj robią? Mam wrażenie, że mój świat przełączył się z hiperrealnego, kolorowego koszmaru w czarno-białą rzeczywistość. Dlaczego piją spokojnie herbatę? Czyżby nie wiedzieli, co grozi Charlotte? Spoglądam pytająco na Briana.

Uśmiecha się, wciąż trzymając dłoń na moim ramieniu.

– Oli wpadł do nas po swoje czasopisma, chciał też odwiedzić Charlotte przed powrotem na uczelnię. Przyjechaliśmy jego samochodem.

– Przyjechaliście samochodem Olego...

– Tak. Mój został pod domem. Nie chce zapalić, to chyba jakiś problem z przewodem paliwowym. Im szybciej kupię sobie samochód na prąd, tym lepiej. – Ścisną moje ramię. – Czekaliśmy, aż wrócisz z plaży, żebyś mogła pojechać z nami, ale powiedziałaś, że chcesz być sama... – Milknie na moment. – Miałem zostawić ci wiadomość, lecz w końcu zapomniałem.

Oli parska śmiechem.



– To zupełnie do ciebie niepodobne, tato...

Wpatruję się w nich z niedowierzaniem. Śmieją się i żartują, podczas gdy w moim samochodzie leżą dwa zakrwawione buciki i kartka z groźbami pod adresem mojej córki.

– Wydajesz się trochę blada. – Brian sadza mnie na krześle po lewej stronie łóżka Charlotte i kuca obok mnie.

Milczymy wszyscy przez chwilę, aż wreszcie Brian bierze kilka głębokich oddechów, jakby przygotowywał się do wypowiedzenia jakiejś ważnej kwestii.

– Znalazłem to – oznajmia. Sięga do kieszeni spodni i otwiera dłoń, na której leżą trzy białe tabletki. – Posprzątałem trochę, bo pomyślałem, że nie będziesz miała ochoty się tym zajmować... – Spogląda ponownie na tabletki. – Czy chcesz mi coś powiedzieć, Sue?

– Tak. – Nagle siadam prosto, a Brian aż podskakuje zaskoczony. – Charlotte jest w niebezpieczeństwie. James mnie odnalazł. Tym razem niczego sobie nie wymyśliłam, Brian. Mam dowód. Leży w moim samochodzie. Buciki poplamione krwią. Wie o aborcji i chce się na mnie zemścić, wykorzystując do tego Charlotte. Szantażował ją, dlatego leży teraz w śpiączce, dlatego weszła wtedy pod autobus. Ale jemu to nie wystarcza. – Chwytam Briana mocno za rękę. – On chce jej śmierci. Chce ją zabić.

Wpatruję się w jego twarz, szukam tam grymasu wściekłości, żądy mordy, widzę jednak tylko, jak zerka na Olego.

– Brian? – Ściskam jego rękę jeszcze mocniej. – Wierzysz mi, prawda? Spójrz tylko na moje dłonie, są... – Ale moje dłonie wcale nie są okrwawione. – Są czyste tylko dlatego, że umyłam ręce, kiedy tu wchodziłam. Jeśli zejdziemy razem do samochodu, pokażę ci buciki i... – Próbuję wstać, lecz mój mąż sadza mnie z powrotem na krześle. – Brian, proszę! Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Spogląda na Olivera i kiwa głową. Trzy sekundy później Oli stoi obok mnie z plastikowym kubkiem w dłoni.

– Sue... – Brian delikatnie zsuwa moje palce ze swojego nadgarstka. – Chciałbym, żebyś zażyła dwie tabletki.

– Nie! – Patrzę błagalnie na Olego, ale on spuszcza wzrok. – Nic mi nie jest. Poszłam do lekarza tylko dlatego, że pomyliłam się co do nauczyciela w szkole Charlotte, ale tym razem mam dowód. Nie popełniłam kolejnego błędu. Proszę! Chodźmy do samochodu, pokażę ci!

– Sue. – Brian wpycha mi tabletki do ust. – Zażyj to, a wtedy porozmawiamy.

– Nie! – Próbuję wstać. Brian mnie przytrzymuje, łagodnie, lecz stanowczo. Nie wypuści mnie stąd.

– Proszę, mamó. – Oli robi krok w moją stronę, podaje mi z namaszczeniem plastikowy kubek, jakby był to jakiś święty kielich. – Napij się. Łatwiej przełkniesz tabletki.

– Oliver, nie.

– To tylko woda.

– Nieważne, co to jest. Nie będę...

– Mamó, proszę! Martwimy się o ciebie. Martwimy się już od dłuższego czasu... – Znów odwraca wzrok. – Od wypadku Charlotte nie jesteś sobą. Całe to gadanie o Keishy i Charlotte, o tym, kto się z kim przyjaźni, prośby o numer i adres Danny'ego... Od razu

wydało mi się to dziwne, ale nic nie mówiłem, dopóki tato nie znalazł tych tabletek w sofie.

Mgła, która wypełniała do tej pory salę Charlotte, nagle się rozwiewa. Mój mąż i pasierb myślą, że jestem psychicznie chora. Widzę to w ich twarzach, w ich pozach, słyszę to w ich szeptach. Dodali dwa do dwóch i znaleźli oczywistą odpowiedź. Jestem obłąkana i nic, co teraz zrobię lub powiem, nie odwiedzie ich od tego przekonania. Cóż mogę im powiedzieć? Że ostatnio spędziłam ze znajomymi Charlotte więcej czasu niż z nią samą? Że pojechałam do klubu w Londynie i jechałam samochodem z agentem sławnego piłkarza? Że zaglądałam do wnętrza domów obcych ludzi? Nie uwierzą w ani jedno słowo. Co gorsza, pomyślą, że to wszystko tylko moje urojenia. To oczywiste, że mam urojenia – przecież nie zażywałam tabletek, prawda?

Mogłabym im pokazać, co leży w moim samochodzie, ale pewnie pomyśleliby, że sama to zrobiłam, żeby uwiarygodnić swoje iluzje. Brian spojrzełby na okrwawione buciki, a potem natychmiast zawiózłby mnie do psychiatry. Zostaje mi więc tylko jedno wyjście. Nie mam innego wyboru.

– Jeśli je zażyję – mówię spokojnie – wysłuchasz mnie do końca?

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Oczywiście, że cię wysłucham, kochanie.

Pojedziemy na chwilę do sklepu, do Millets.

– Zaraz wrócimy.

– Oli musi kupić parę rzeczy na następną wyprawę.

– Tak, potrzebuję porządnego płaszcza przeciwdeszczowego. W Krainie Jezior prawie codziennie leje jak z cebra.

– Kupimy też dwuosobowy namiot.

– Grube skarpetki.

– Karimatę.

Mój mąż i pasierb mówią do mnie. Ich usta otwierają się i zamykają, brwi unoszą i opadają, oczy rozszerzają i zwężają, ale nie widzę w tym żadnego sensu. Słyszę słowa, mnóstwo słów, fale dźwięków przepływają nad moją głową, ale nie odróżniam jednego od drugiego, a kiedy sama otwieram usta, by spytać, o co im chodzi, nie wydobywa się z nich żaden głos. Poddaję się po dwóch próbach, pozwalam, by ogarnęła mnie przyjemna ociężałość, opieram głowę o ścianę i wpatruję się w świetlówkę pod sufitem. Migocze, pulsuje światłem i szumi, a ja przypominam sobie, jak trzymiesięczna Charlotte leżała w wózekku w naszym pokoju i patrzyła z zachwytem na lampę.

– Godzinę nas nie będzie.

– Najwyżej półtorej.

– Później przyjedziemy po ciebie. Oli wróci na uczelnię, a ja odwiozę nas oboje do domu.

– Wyglądasz na spokojniejszą.

– Czy to uśmiech? Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio...

Odwracam w ich stronę oczy, czuję, że moje usta się poruszają i że coś do nich mówię. W mojej głowie brzmi to nonsensownie, ale Brian i Oli zadowoleni kiwają głowami. Wygląda na to, że ich uspokoiliam, zapewniłam, że mogą mnie spokojnie zostawić, bo potem czuję dotyk ust na policzku i uścisk dłoni na ramieniu. W następnej chwili już ich nie ma.

W pokoju zapada nagle głucha, przejmująca cisza. I wtedy...

Bip-bip-bip.

To dźwięk kardiomonitora stojącego w rogu sali. Medycznego metronomu – nieodłącznego towarzysza Charlotte – i mojego.

Tik-tak, tik-tak. Bip-bip-bip. Tik-tak, tik-tak.

Jesteśmy w salonie. Ja leżę na sofie, Charlotte siedzi na podłodze. Podnosi plastikowy klocek, odrzuca go pół metra dalej, pełźnie do niego, znów podnosi i znów rzuca. Na jej

twary maluje się duma – opanowała już rzucanie i raczkowanie, teraz świat należy do niej. Chcę zatrzymać tę chwilę. Chcę ją przeżyć jeszcze raz, przeżywać bez końca.

Spoglądam na moją córkę, wyciągam rękę, by dotknąć jej włosów. Jestem zaskoczona, gdy nie czuję pod dłonią jedwabistości dziecięcych loków, ale głaszczę ją dalej, przeciągam palcami po miękkich kosmykach.

Bałam się. W moim umyśle budzi się jakieś wspomnienie, jest jednak ulotne, wymyka się i ucieka, gdy próbuję je zatrzymać i zrozumieć. Wciąż czuję na policzku ciepły pocałunek Briana i dłoń Olego na ramieniu. Moje życie jest idealne. Mam szczęście.

Słyszę jakieś skrzywienie, dźwięk, który wyrывa mnie z rozmyślań. Widzę, że otwierają się drzwi sali. Brian i Oli zamknęli je za sobą, kiedy wychodzili? Nie zauważyłam. Jakaś postać – mężczyzna w ciemnym garniturze – przechodzi obok mnie. Stoi teraz przy oknie, zwrócony do mnie plecami.

Lekarz.

Przyszedł, żeby przekazać mi dobre wieści, by powiedzieć, że Charlotte niedługo się obudzi, że mogę ją uściskać i zabrać do domu.

– Doktorze Rashid? – Podnoszę się z krzesła bez wysiłku, jak we śnie, i robię krok w jego stronę. – Czy moje dziecko wyzdrowieje?

W sylwetce lekarza, w kształcie jego głowy jest coś, co każe mi się zatrzymać. W cudownym kolorowym obrazie mojej szczęśliwej świadomości pojawia się czarna plama, która rozszerza się niczym kropla atramentu na powierzchni wody. Poruszam niepewnie palcami, jakby zdrętwiały po kilku godzinach bezruchu. Potem czuję podobne mrowienie w udach, ramionach, łydkach i stopach. Moje ciało się budzi, podczas gdy umysł wciąż drzemie. Nagle ogarnia mnie pragnienie ucieczki, ale czemu miałabym uciekać? Tutaj jest moje dziecko. Potrzebuje mnie.

– Doktorze Rashid? – powtarzam. – Czy to jakaś zła wiadomość? Dlatego nie chce pan ze mną rozmawiać?

Tak, wyczułam już, że chce powiedzieć mi coś okropnego, a moje ciało przygotowuje się na najgorsze, próbuje wyrwać umysł z sennego otępienia.

Przez kilka sekund lekarz wciąż stoi w bezruchu. Zastanawiam się, czy w ogóle mnie usłyszał, ale w końcu jego ramiona się podnoszą, jakby wziął głęboki oddech, po czym odwraca się do mnie. Nie od razu rozpoznaję szare oczy przetykane błękitem, duży nos, jestem zdumiona widokiem siwych włosów, głębokich zmarszczek wokół ust i gęstego zarostu na twarzy.

– Cześć, Suzy-Sue.

Leniwe mrowienie zamienia się w gwałtowny dreszcz, który przenika mnie od stóp do głów, eksploduje i wprawia całe ciało w dygot, jakby temperatura spadła nagle o czterdzieści stopni.

Myślałam, że jestem gotowa na tę chwilę. Myślałam, że jestem już dość dojrzała, silna i odporna, by nie wpaść w panikę na dźwięk jego głosu, ale czuję się tak, jakbym weszła do wehikułu czasu, jakbym znów miała dwadzieścia trzy lata, ukrywała się w szafie i słuchała z drżeniem jego nawoływania. Cofam się o krok, odruchowo przykładam dłoń do brzucha, by ukryć sekret, którego już tam nie ma. James to dostrzegł, krzywi usta

w szyderczym grymasie i mruży oczy z obrzydzeniem, które w następnej sekundzie ustępuje miejsca szerokiemu, szczeremu uśmiechowi.

– Cześć, Sue. – Robi krok w moją stronę. – Jak się miewa Charlotte?

Wyrwam się wreszcie z odrętwienia, staję szybko przy łóżku córki i kładę jej dłonie na ramionach, nie spuszczać przy tym wzroku z Jamesa. Tymczasem on podchodzi do łóżka, sięga po kartę choroby i przegląda ją, pomrukując coś pod nosem. W końcu wydyma usta i kręci głową.

– Nie jestem lekarzem, ale nawet ja widzę, że rokowania nie są najlepsze. O ile się nie mylę, twoją córkę dzieli od śmierci ledwie kilka minut.

– Wynoś się – mówię na tyle spokojnie i stanowczo, na ile potrafię. – Wynoś się albo...

– Naciśniesz to? – James przechodzi na drugą stronę łóżka i uderza pięścią w guzik alarmu. – Ojej, chyba nie działa. Służba zdrowia bardzo się stara, ale prawdę mówiąc, ten ich sprzęt...

– Więc będę krzyczeć.

– Owszem, możesz to zrobić... – Kładzie dłoń na bladej szyi Charlotte i powoli bębni palcami o jej delikatną skórę. – Tylko że zanim zdążysz nabrać powietrza, ona będzie już martwa.

Na stoliku obok niego leżą czasopisma Olivera i moje najlepsze nożyczki krawieckie. Gdybym rzuciła się przez łóżko, mogłabym ich dosięgnąć, ale James i tak byłby szybszy.

– I o to chodzi – mówi, mylnie interpretując moje milczenie. – Nie ma sensu histeryzować. Nie pomoże ci krzyk ani jakieś heroiczne wysiłki. Jeśli w ogóle stać się na jakiś wysiłek. – Odsuwa rękę od szyi mojej córki i kreśli w powietrzu okrągły kształt. – Zawsze byłaś pulchna, teraz zrobiło się z ciebie prawdziwe krówsko. To przez ciążę, tak? – Spogląda na moją córkę, a ja mam ochotę rzucić się na niego i wydrapać mu oczy. – Zrobiłaś się taka gruba, bo przez dziewięć miesięcy nosiłaś w sobie to paskudztwo, czy spałaś się tak ciastkami?

Parska śmiechem, a ja cieszę się w duchu, że od razu przeszedł do obelg. Bałam się, że spróbuje mnie zwieść czułymi słówkami i przeprosinami. Mimo to milczę. Czekam, aż na korytarzu rozlegną się czyjeś kroki lub głosy, bym mogła wezwać pomoc, lecz na oddziale jest wyjątkowo cicho, nie słyhać nawet skrzypienia wózków ani trzaskania drzwiami.

– Nie jest taka gruba jak ty, ale to tylko kwestia czasu. – Wciąż patrzy na Charlotte. – Do dziś robi mi się niedobrze, kiedy przypomnę sobie te fałdy tłuszczu na twoich plecach, brzuchu, udach... Nie wiem, jak udało ci się znaleźć kogoś, kto jeszcze cię chciał.

– Zdaje się, że tego samego dnia mnie zgwałciłeś.

– Zgwałciłem? – Podnosi wzrok na mnie. – Zgwałcić można kogoś, kto jest niewinny, ale ty nigdy taka nie byłaś, prawda, Suzy-Sue? Kiedy cię poznałem, byłaś wstrętną zdzirą, która już od lat puszczała się na lewo i prawo.

– Nie. Byłam normalną dwudziestolatką, która miała wcześniej kilku chłopaków i kilka przelotnych przygód. Nie zasłużyłam sobie nigdy na żadną z tych obelg, którymi ciągle mnie obrzucałeś.

– Prawda boli, Suzy-Sue.

– Ale to nie jest prawda. – Słowa same płyną z moich ust, nie mogę ich powstrzymać.

Przez dwadzieścia lat wszystkie te myśli kotłowały się we mnie, czekały, aż w końcu je wypowiem. Próbowałam o nich zapomnieć, ale tylko przybierały na sile. Nic dziwnego, że przedostawały się również do moich snów. – Nie ma w tym ani krztyny prawdy. Próbowałeś wzbudzić we mnie wstyd, James. Chciałeś, żebym żałowała swojego dotychczasowego życia, bo nie mogłeś znieść myśli, że miałam jakieś życie przed tobą. Ale większość dwudziestolatek ma już za sobą różne historie, James, choćbyś nie wiem jak chciał, żeby było inaczej. Co więcej, są tym, kim są, właśnie ze względu na swoją przeszłość.

James kręci głową.

– Widzę, że wciąż jesteś z tego dumna. Minęło tyle lat, a ty wciąż się niczego nie nauczyłaś.

– Kochałeś mnie, James?

Wzdryga się, jakby rozbrojony na moment tym pytaniem, jednak błyskawicznie odzyskuje panowanie nad sobą.

– Oczywiście, że cię kochałem. Byłaś miłością mojego życia.

– Nie, James. – Nie spuszczać z niego wzroku, wysuwam szufladę stolika i wsuwam do niej rękę, szukając na oślep czegoś, co mogłabym wykorzystać jako broń. Moje palce natrafiają jedynie na pudełko z chusteczkami i jakiś gładki skórzany przedmiot. – Nie kochałeś mnie. Inaczej zaakceptowałbyś moją przeszłość. Tymczasem ty kazałeś mi cierpieć, bo nie dorosłam do ideału kobiety, który chciałeś we mnie widzieć.

Krzywi się z odrazą.

– Oszukałaś mnie, Suzy. Pozwoliłaś mi myśleć, że jesteś inna, że jesteś wyjątkowym, pięknym aniołem, a byłaś taka sama jak wszystkie brudne dzidziury w Londynie. Nie byłaś mnie godna.

Podchodzi do Charlotte, przesuwając palcem wskazującym po jej kościach policzkowych, dotyka czubka jej głowy, gładzi jej włosy. Wpatruje się w nią ze skupieniem, oddycha głęboko przez nos.

– Tak powiedziała ci mamusia? – pytam, gdy kładzie palec na zamkniętym oku Charlotte. – Że jej wyjątkowy chłopiec zasługuje na wyjątkową dziewczynę? Że Bóg ześle Jamiemu anioła, który zachował czystość specjalnie dla niego?

– Ja zachowałem czystość dla ciebie. – Odrywa rękę od twarzy mojej córki i próbuje sięgnąć do mnie. Odsuwam się odruchowo, potem jednak ponownie przybliżam się do łóżka. Skoro nie mogę wezwać pomocy, muszę odciągnąć go od Charlotte. Muszę stać się przynętą.

– Nieprawda, James. Oddałeś swoje dziewictwo prostytutce.

– I myślisz, że jestem z tego dumny? Coś, co powinno być pięknym spotkaniem dusz, zamieniło się w plugawe porubstwo z dziwką.

– To nie była moja wina.

– Nie. – Jego oczy wypełniają się łzami. Sięga po dłoń Charlotte i przyciska ją do ust, pochylając nisko głowę. – Nie była. – Po jego policzku spływa łza. – Przepraszam, Suzy. Przepraszam za wszystko, co przeze mnie wycierpiałaś. Nie jesteś zdziwą. Jesteś piękną, dobrą, serdeczną kobietą. Nigdy nie czułem się wobec ciebie godzien. Dlatego byłem dla ciebie

okrutny. Próbowałem cię odepchnąć od siebie.

Patrzę w zdumieniu, jak po jego twarzy spływają kolejne łzy. Wpatrujemy się w siebie bez słowa, aż ciszę przerywają dwa kobiece głosy dochodzące z korytarza. Spoglądam w stronę drzwi. Mam krzyżeć? Uciekać? Ale wtedy zostawiłabym Charlotte samą z Jamesem. To byłoby zbyt niebezpieczne. Więc muszę krzyżeć. Otwieram usta i...

TRZASK! Słyszę paskudne chrupnięcie i natychmiast się odwracam. James trzyma prawą rękę Charlotte za nadgarstek. Mały palec jest wygięty pod kątem prostym do tyłu, paznokieć dotyka wierzchu dłoni.

– Cześć, mamusiu – mówi James dziecięcym głosem i porusza złamanym palcem, jakby do mnie machał. – Patrz, jaki mam śmieszny paluszek.

– Zostaw ją w spokoju! – Rzucam się w jego stronę, opieram jedno kolano na łóżku i próbuję odtrącić Jamesa ciężarem własnego ciała. On jest szybszy, odpycha mnie na bok tak, że ląduję na Charlotte. Próbuję się podnieść, ale James łapie mnie za prawe przedramię i przyciąga je do gardła mojej córki. Z jej ust wydobywa się okropne bulgotanie, gdy próbuje zaczerpnąć powietrza.

– Zostawić ją w spokoju? – powtarza James, wbijając palce w moją rękę i pochylając się nade mną. – Tak jak ty zostawiłaś samą moją mamę? Ona umarła, Sue. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Nie wiedziałaś, bo uciekłaś i zostawiłaś ją samą w szpitalu. Porzuciłaś nie tylko mnie, Sue. Porzuciłaś też ją.

– Nie wiedziałam – szepczę. – Nie miałam po...

– Zamknij się. Rzygać mi się chce, kiedy słyszę twój głos. Powiedz jeszcze jedno słowo, a połamię Charlotte wszystkie palce, jeden po drugim, i na koniec skręcę jej kark. Rozumiesz?

Kiwam w milczeniu głową.

– Teraz wstań.

Próbuję się podnieść sama, ale James łapie mnie za włosy. Ciągnie mnie, zgiętą wpół, w stronę stóp Charlotte, a potem szarpie mocno w dół, tak że stoję przed nim w głębokim pokłonie. Przenika mnie strach, gdy naciska z góry na moją głowę i zmusza, bym uklękła.

Przez kilka sekund nic się nie dzieje. Słyszę tylko miarowe popiskiwanie kardiomonitora i chrapliwy oddech Charlotte. Zamykam oczy i przygotowuję się na cios, kopniak albo coś jeszcze gorszego, ale nic się nie dzieje. W końcu słyszę zgrzyt przesuwanej krzesła i głos Jamesa.

– Omal mi serce nie pękło, kiedy zrozumiałem, co chcesz zrobić – mówi cicho, a ja zbieram się na odwagę i zerkam w górę, w jego stronę. Siedzi na krześle przy Charlotte i chowa twarz w dłoniach. – W przerwie na lunch poszedłem do kwaciarni i kupiłem ci kwiaty, a potem, kiedy wracałem do domu, zauważyłem przy High Street sklep z dziecięcymi ubraniami, na który nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi. Nie mogłem się powstrzymać i wszedłem tam. Wiesz, co kupiłem?

Nie odpowiadam, nie ruszam się.

– Wiesz, co kupiłem, Suzy-Sue?

Kręcę głową.

– Sukienkę. Piękną czerwoną sukieneczkę w białe stokrotki. Była naprawdę maleńka,

Suzy, do trzech miesięcy. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie cudownego i nie mogłem się doczekać, kiedy ci to pokażę. Wiedziałem, że tobie też się spodoba. – Przerzywa na moment. – Mówiłem ci, że zawsze chciałem mieć córkę, prawda?

Ponownie kiwam głową.

– Szalałem z radości, kiedy mi powiedziałaś, że jesteś w ciąży.

Przygryzam wargę. Wcale się nie cieszył, kiedy powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Oskarżył mnie o zdradę i przez trzy godziny wrzeszczał na mnie w kuchni, żądając, bym powiedziała mu, czyje to dziecko, podczas gdy ja leżałam na podłodze zwinięta w kłębek i szlochałam bezsilnie.

– To było coś niesamowitego, coś cudownego. Nosiłaś moje piękne, niewinne dziecko. Myślałem, że pęknię z dumy. W końcu mogłem pokochać kogoś bez ograniczeń, bez bólu, bez strachu. Kochałbym i byłbym kochany. Zawsze.

Charlotte zaczyna oddychać nieregularnie, rzęzi. Muszę jak najszybciej założyć jej maskę tlenową. Jeśli jej mózg nie otrzyma wystarczającej ilości tlenu... Zamykam oczy i po raz drugi od czasu jej wypadku odmawiam cichą modlitwę. Nie jestem pewna, czy za pierwszym razem ktoś ją usłyszał.

– Więc wróciłem do domu pełen miłości, pełen szczęścia i nadziei, z bukietem kwiatów i piękną sukieneczką, a ciebie nigdzie nie było. – W jego głosie pojawia się złowieszczy ton. Odruchowo napinam mięśnie. – Nie mogłem zrozumieć, dokąd poszłaś, bo przecież przed wyjściem zamknąłem wszystkie drzwi. Czuję się zagubiony, Suzy, okropnie zagubiony bez ciebie. A potem zły. Jak mogłaś zepsuć moją niespodziankę, postępując tak samolubnie i uciekając ode mnie?

Pod łóżkiem jest wolna przestrzeń, w której powinnam się zmieścić. Jeśli upadnę na podłogę, może zdołam przeczołgać się do drzwi. James wstanie wtedy i ruszy za mną, ale jeśli zacznę krzyczeć, może ktoś przyjdzie mi z pomocą, zanim on zdąży skrzywdzić Charlotte.

– Myślałaś, że jesteś sprytna, tak? Uciekłaś i zostawiłaś mnie samego, nawet nie pocałowałaś mnie na pożegnanie po tym wszystkim, co przeszliśmy razem. Ale ja byłem sprytniejszy, Suzy.

Kładę dłoń na linoleum i pochylam się na prawo. Muszę być szybka, bo inaczej James złapie mnie za kostkę i odciągnie do tyłu.

– Poszedłem do twojej pracowni i znalazłem na podłodze kawałek papieru. Kawałek strony wyrwany z książki telefonicznej. – Kręci głową. – Wiedziałem, że jesteś zdolna do wielu rzeczy, ale nigdy nie podejrzewałem... – Jego głos wyraźnie drży. – Nigdy nie wyobrażałem sobie, że możesz zabić własne dziecko.

Krzyczę przeraźliwie, gdy nagle łapie mnie za włosy, wyrywa ich garść. W następnej sekundzie James zakrywa mi usta dłonią i obejmuje ramieniem za szyję.

– Wstawaj, ty suko.

Podrywa mnie na równe nogi i pcha w stronę łóżka Charlotte. Uderzam biodrem o metalową ramę, a gdy wyciągam rękę, by się podeprzeć, James chwyta mnie za nią i przysuwa do twarzy mojej córki.

– Kochasz ją, prawda? – syczy mi do ucha. – Myślisz, że jest piękna, czysta i niewinna,



prawda?

– Proszę – mamroczę w jego dłoń. – Nie rób tego. Ona nic ci nie zrobiła.

– Wcale nie jest niewinna, Suzy-Sue, wiesz o tym, prawda? Jest zdziwą, jak jej matka. Słyszałem ją, jęczała jak zarzynana świnia, kiedy pieprzyła się ze swoim chłopakiem w moim pokoju. Widziałem, rznąła się z nim jak prawdziwa dziwka, a kiedy już umrze, też każę ci to obejrzeć.

– Nie. – Próbuję wyrwać się z jego uścisku, odsunąć moją rękę od ust i nosa Charlotte, ale James trzyma mnie bardzo mocno. Czuję, jak moja córka próbuje zaczerpnąć powietrza, słyszę, jak z jej płuc wydobywa się rżenie.

– Odebrałaś mi coś pięknego i drogiego, Suzy-Sue. Zabiłaś moje dziecko, a teraz ja zabiję twoje.

Napiera na moją rękę z taką siłą, że łamie Charlotte nos. Kardiomonitor w rogu piszczy przeraźliwie, czerwona linia, która do tej pory falowała w jednostajnym rytmie, wykonuje przedziwne ewolucje. Z twarzy mojej córki odpływa krew, oczy poruszają się niespokojnie pod powiekami.

– Już niedługo – syczy do mojego ucha James, gdy ciało Charlotte zaczyna dygotać. Zerka na kardiomonitor i sięga do wyłącznika. – Nie chcemy, żeby ktoś tu przybiegł, kiedy będzie już po wszystkim, prawda?

– Nie! – Wyrywam się rozpaczliwie, gdy ciągnie mnie w drugą stronę sali, uderzam go ręką w głowę, rękę, biodro. Moja pięść odbija się od niego jak od skały, ale nagle opada przypadkowo na stolik przy łóżku, roztrącając wycinki z „National Geographic”, i zaciska się na nożycach krawieckich. Podnoszę rękę i wbijam nożyczki w jego udo. James wyje z bólu i upada na ziemię, łapiąc się za nogę.

– Ratunku! – krzyczę, doskakując do Charlotte. Jej usta są sine, ledwie oddycha. – Niech ktoś mi pomoże, proszę!

Próbuję wypchnąć łóżko, wyjechać nim z pokoju, lecz hamulce są zaciągnięte bardzo mocno, nie mogę ich odblokować.

– Proszę... – Nagle tracę dech w piersiach i ląduję na Charlotte z głową obróconą na bok i rozłożonymi szeroko rękami. Widzę nad sobą Jamesa, okrwawione nożyczki w jego prawej ręce, oczy zasłane mgłą wściekłości. Zamykam powieki, gdy unosi ramię do uderzenia, i modlę się, by ktoś usłyszał to zamieszanie, by ktoś uratował Charlotte, nawet jeśli dla mnie będzie już za późno...

– Nie!

Łóżko drży gwałtownie, czuję jakiś ciężar na moich ramionach, a potem słyszę głuchy odgłos ciał upadających na podłogę, posapywania walczących mężczyzn i zgrzyt metalu. Próbuję wstać, uwolnić Charlotte od mojego ciężaru, ale mój bark przenika straszliwy ból, a potem wszystko niknie w ciemności.

Rozpoznaje pani tę kobietę? – Prawniczka, Gillian Matthews, podaje mi zdjęcie młodej kobiety z lekką nadwagą. Nieznajoma ma ciemne włosy, orzechowe oczy i piękny uśmiech.

Kręcę głową i przekazuję fotografię Brianowi.

– Nie, a powinnam?

– Nie, chyba że oglądała pani wiadomości dwadzieścia...

Brian wciąga gwałtownie powietrze. Obie odwracamy się do niego.

– Co? – pytam.

– Nie widzisz tego?

– Czego?

– Podobieństwa. Wygląda dokładnie tak jak ty, gdy się poznaliśmy.

Rzeczywiście, teraz dostrzegam pewne podobieństwo. Mamy niemal takie same włosy i usta, ale jej oczy są ładniejsze od moich, a kości policzkowe wyższe.

– Ciekawe, że pan to zauważył, panie Jackson. – Pani Matthews sięga po zdjęcie i chowa je z powrotem do papierowej teczki.

– Dlaczego? Kim ona jest?

Prawniczka pochyla się do przodu i patrzy mi prosto w oczy.

– To prostytutka, którą James Evans zamordował dwadzieścia lat temu.

– Co? – Wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

– Boże... – Brian kładzie mi rękę na plecach, a ja krzywię się z bólu, gdy dotyka przypadkiem mojego ramienia. Jestem w gipsie zaledwie od trzech dób, ale zdążyłam już zażyć całą paczkę środków przeciwbólowych. – Mówiłaś mi, że on jest niebezpieczny, a ja nie wierzyłem...

– James kogoś zamordował? – Nie mogę oderwać wzroku od papierowej teczki, która leży na blacie. Co jeszcze się w niej kryje? Ksero kartki, którą dołączył do buczków? Zdjęcia zbryzganej krwią sali Charlotte? Rozciętej tętnicy w jego nodze? – Kiedy? Kim ona była?

Pani Matthews otwiera notes, który leży obok teczki.

– Nazywała się Sarah Jane Thompson. Jak stwierdzono podczas sekcji zwłok, zmarła drugiego października 1992 roku.

– Trzy tygodnie po tym, jak od niego uciekłam.

– Tak. – Zagląda ponownie do notatek. – Policja próbowała się z panią skontaktować, ale nikt nie wiedział, gdzie pani szukać, a w miejscowym spisie wyborców było mnóstwo kobiet, które nazywały się tak jak pani. Po trzech tygodniach skończyli poszukiwania,

potem zaczął się proces. Evans twierdził, że jest niewinny, lecz policja miała dość dowodów, żeby doprowadzić do skazania. Wygląda na to, że przez jakiś czas szukał prostytutki, która była do pani podobna.

– Ale wyszedł na wolność. – Kręcę głową. – Jak to się mogło stać? Jak to możliwe, że zamordował kogoś, a po dwudziestu latach znów był wolny i mógł na mnie polować?

Matthews kręci głową.

– Odsiedział swój wyrok i zgodnie z nakazem sądu raz na tydzień zgłaszał się na policję. Miał nawet pracę. – Zerka raz jeszcze do notesu. – Pracował w nocnym klubie w Chelsea. Grey's. Podobno był bardzo popularny, szczególnie wśród VIP-ów.

– Keisha... – Wzdycham ciężko. – Jak ona się czuje?

Pies policyjny znalazł ją nagą, okrwawioną, pobitą i ledwie żywą w lesie w pobliżu Devil's Dyke. Niewiele mogła powiedzieć policji, ale to, co zdołała jakoś przekazać, pozwoliło odtworzyć w całości przebieg wydarzeń.

James dowiedział się, że jestem żoną Briana i mieszkam w Brighton, dzięki wyszukiwarce internetowej – nigdy nie przyszło mi do głowy, że może to być takie proste. Kiedy już znał moje nowe nazwisko i adres, bez trudu namierzył profil na Facebooku, który rok temu kazała mi założyć Charlotte, bym udowodniła światu, że „nie żyję w średniowieczu”. Nie zaglądałam tam od wielu miesięcy, więc nie mogłam się zorientować, że James poradził sobie z zabezpieczeniami i uzyskał dostęp do moich danych i zdjęć oraz – co najgorsze – do strony mojej córki. Dzięki temu dowiedział się, że jej ulubiony klub to Breeze, a tego właśnie potrzebował, by zakraść się do jej życia. Znał już Keishę, był jednym z jej klientów, gdy sypiała jeszcze z piłkarzami i gwiazdami rocka, którzy bywali w Grey's. Keisha lubiła go na tyle, by powiedzieć mu, że wyjeżdża z Londynu, bo poznała świetnego faceta, który prowadzi w Brighton klub Breeze. Pojechał tam jako znajomy Keishy, a kiedy zauważył Charlotte i Ellę, a Keisha powiedziała mu, że Ella podkochuje się w jej chłopaku, przeszedł do działania – zagroził Keishy, że jeśli nie przedstawi go Charlotte i nie będzie trzymała języka za zębami, powie Danny'emu o jej przeszłości. Myślała, że na tym się skończy, i rzeczywiście tak było – do czasu aż James poznał Charlotte lepiej i użyczył jej i Liamowi swojego mieszkania. Keisha nie miała pojęcia, że James nagra skrycie ich najintymniejsze chwile i wykorzysta ten film do szantażowania naszej córki.

– Cóż, Keisha została mocno poturbowana. – Prawniczka zamyka notes. – Ale jej stan jest stabilny. Gdyby znaleziono ją choćby dobie później, na pewno by nie przeżyła.

– Mój Boże... – Zaciskam dłonie na przedramionach, ale i tak pojawia się na nich gęsia skórka. – Musimy ją odwiedzić – mówię, spoglądając na Briana. – Gdyby mi wtedy nie powiedziała... gdyby nie powiedziała...

– Ciii... – Mąż przyciąga mnie do siebie. Tym razem nie zważam na ból w ramieniu. – Kiedy to nagranie zostanie zniszczone? – pyta prawniczkę przyciszonym głosem. – Chcielibyśmy powiedzieć naszej córce, że już go nie ma, jeśli się wybudzi.

– Kiedy się wybudzi – poprawiam go. Wczoraj, gdy powiedziałam jej, że nie musi się już bać „Mike'a”, jej powieki wyraźnie drgnęły. Lekarze mówią, że nie powinnam się w tym niczego dopatrywać, że dopiero co przeszła zabieg nastawiania nosa i złamanego palca, ale

ja wiem, że to znak. Próbuje do nas wrócić. Teraz, gdy wie już, że jest bezpieczna, stara się bardziej niż dotychczas.

– Nagranie? – Matthews marszczy brwi. – Ma pan na myśli ten film z seksem?

Brian krzywi się odruchowo, słysząc to określenie.

– Tak.

– Obawiam się, że policja zatrzyma je jako dowód. Evans groził, że wyśle je do gazet i zamieści w internecie. Gdyby to zrobił, zniszczyłby nie tylko reputację Charlotte... – Spogląda znacząco na Briana. – Pańską karierę także.

– Ale dlaczego chciał, by brano ją za prostytutkę? – pyta mój mąż. – Nie rozumiem tego.

Prawniczka znów kręci głową.

– Obawiam się, że to wszystko było częścią chorego planu zemsty na pani Jackson. Detektyw Carter mówił, że początkowo Evans chciał uwieść Charlotte i namówić ją, by z nim uciekła, ale gdy zrozumiał, że większość piętnastolatek nawet nie spojrzy na czterdziestoletniego faceta, postanowił odgrywać rolę samotnego geja i zaprzyjaźnić się z nią. Kiedy już ufała mu na tyle, że zechciała skorzystać z jego mieszkania, zaczął ją szantażować, a potem zmusił Keishę, by przedstawiała ją w Grey's jako prostytutkę. Nie wiemy, co zamierzał zrobić potem, choć domyślamy się, że nie byłoby to bardzo... – Tu pani Matthews wydyma usta i pozwala, byśmy sami dopowiedzieli sobie resztę.

– Mój Boże... – szepczę, uświadamiając sobie grozę sytuacji. – Nic dziwnego, że Charlotte zrobiła to, co zrobiła. Zerwała z Liamem, nie przyjaźniła się już z Ellą, nie mogła zaufać Keishy, nie miała nikogo, z kim mogłaby szczerze porozmawiać, więc... – Głos więźnie mi w gardle, spoglądam bezradnie na męża. – Brian, Charlotte próbowała się zabić, bo nie mogła się zwierzyć nam.

– Nie. – Mocniej ściska moją dłoń. – Zrobiła to, bo próbowała nas chronić. Wiedziała, co by się stało po upublicznieniu tego nagrania. Trafiłoby do wszystkich gazet: Córka polityka uwikłana w seksualny skandal. Charlotte była tak wrażliwa, że nigdy nie chciałaby postawić mnie w takiej sytuacji.

– Ale do niczego by nie doszło, gdyby nie ja, gdyby nie mój związek z Jamesem. Nigdy by nas nie znalazł, gdybym...

– Ty go powstrzymałaś, Sue.

– Nie. – Kręczę głową. – To ty go powstrzymałaś.

Brian zostawił Olego przy ladzie w Millets z pełnym wózkiem zakupów. Musiał wrócić do szpitala po portfel, który zostawił w szufladzie stolika przy łóżku Charlotte. Po wejściu do szpitalnej sali zobaczył, jak jego córka walczy o życie, a żona lada moment je straci. Rzucił się na Jamesa i powalił go na ziemię. Kiedy kilka sekund później przybiegły tam pielęgniarki, Brian siedział okrakiem na przeciwniku i bił go po twarzy.

– Nie, Sue. – Wtula twarz w moje włosy. – Wiedziałaś, że to nie był zwykły wypadek, i nie poddałaś się nawet wtedy, gdy zabrałem cię do lekarza, gdy umarła twoja matka, gdy nikt nie chciał ci uwierzyć. – Odsuwa się i patrzy mi prosto w oczy. – Nawet gdy ja ci nie wierzyłem. Naraziłem was wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo. Ty, Charlotte i Oliver jesteście moją rodziną. A ty nas wszystkich ochroniłaś. Sama.

Dotykam lewą ręką jego twarzy i ocieram kciukiem łzę.

– Przepraszam... – Pani Matthews dyskretnie chrząka, a my natychmiast odwracamy się do niej. – Więc możemy uznać sprawę za zamkniętą? – mówi, zamykając notes i kładąc na nim pióro.

– Za zamkniętą? – Marszczę brwi.

– Tak. Podczas sekcji zwłok stwierdzono, że Evans zmarł w wyniku zarażenia gronkowcem, a nie od ran zadanych przez państwa. W związku z tym i ze względu na obszerny materiał dowodowy potwierdzający, że działali państwo w samoobronie, prokuratura wycofuje oskarżenie o zabójstwo przeciwko państwu.

Sięgam po dłoń Briana i ściskam ją mocno.

– Czy to oznacza...?

Prawniczka uśmiecha się po raz pierwszy od momentu, gdy weszliśmy do komisariatu. Otwiera i zamyka usta, mówi coś do mnie i Briana, spogląda raz na mnie, raz na niego, ale ja słyszę tylko jedno słowo.

Wolna.

# Podziękowania

Ogromnie dziękuję mojej redaktorce Lydii Newhouse i całemu zespołowi z Avon Harpercollins za ich wsparcie, zachętę i entuzjazm. Przemieniliście tę książkę z wytworu mojej wyobraźni w konkret, z którego nie mogłabym chyba być bardziej zadowolona.

Piękne dzięki dla Madeleine Milburn za wsparcie na każdym etapie tej drogi. Wierzyłaś we mnie nawet wtedy, gdy mnie samej brakowało już wiary, a to czyni z Ciebie naprawdę wyjątkową agentkę.

Jestem też bardzo wdzięczna mojej rodzinie i przyjaciołom – szczególnie rodzicom, Regowi i Jenny Taylorom, oraz bratu Davidowi i siostrze Rebecce – którzy nie przestawali mnie pytać „Jak tam powieść?”, nawet jeżeli w odpowiedzi słyszeli tylko głębokie westchnienie. Serdeczne pozdrowienia dla Suz, Leah, Sophie, LouBag, Steve’a, Guinevere, Angeli, Any oraz babci i dziadka.

Dziękuję wszystkim z Twittera i Facebooka, którzy pomagali mi w zbieraniu materiałów – szczególnie Andrew Parsonsowi za fachowe uwagi dotyczące leczenia szpitalnego oraz Kimberley Mills za informacje o opiece nad pacjentami w śpiączce. Dziękuję też Emily Harborow – i przepraszam. Film, który nakręciłaś dla mnie ukradkiem w szpitalu, utknął w końcu w studiu, ale jestem pewna, że wykorzystam go w innej książce.

Dzięki dla Jima Rossa za moje nowe zdjęcia do książki i dla Rebeki Butterworth za profesjonalny makijaż do sesji.

Dziękuję stokrotnie wszystkim kolegom i koleżankom po piórze. Pisanie bywa okropnie samotnym zajęciem, a Wy utrzymujecie mnie przy zdrowych zmysłach (i zapewniacie odpowiednią dawkę procentów). Szczególne podziękowania przekazuję następującym osobom: Carolyn Jess-Cooke, Sally Quilford, Leigh Forbes, Helen Hunt, Helen Kara, Karen Clarke, Rowan Coleman, Miranda Dickinson, Kate Harrison, Julie Cohen oraz Tamsyn Murray, która była dla mnie szczególnie miła.

Na koniec chciałam wyjątkowo gorąco podziękować Chrisowi i Sethowi. Napisałam tę książkę w czasie urlopu macierzyńskiego – nie dlatego, że moje dziecko było wyjątkowo senne, a ja miałam mnóstwo wolnego czasu, lecz dlatego, że byłam bliska obłądu z niewyspania i tylko pisanie utrzymywało mnie przy zdrowych zmysłach. Nie dokonałabym tego bez Ciebie, Chris. Dziękuję, że o piątej rano wychodziłeś z dzieckiem na spacer, bym mogła się przespać, dziękuję, że zabierałeś je z wizytą do swoich krewnych, żebym mogła coś napisać, i dziękuję, że powtarzałeś mi tyle razy, że mi się uda. Wygląda na to, że się udało.

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Motto

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

Podziękowania